



KRISTEN ASHLEY

Od pierwszego
Rock Chick
wejścia

Kiedy wydaje się,
że już wszystko
stracone,
nagle pojawia się
ON...

KRISTEN ASHLEY

*Od pierwszego
wejścia*

PRZEŁOŻYŁA

Agata Suchocka



Książkę tę dedykuję

Kathleen „Danae” Den Bachlet

Mojej „Annette”.

Dziękuję bogini za to, że zesłała mi przyjaciółkę,

która pozwala mi być sobą.



Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Miłość od pierwszego wejrzenia

Miłość od pierwszego wejrzenia przytrafiła mi się dwa razy. Za pierwszym razem był to Billy Flynn. Za drugim Hank Nightingale. Z Billym nie wyszło i złamał mi serce. A jeśli chodzi o Hanka... No cóż, on też był łamaczem serc, ale nie zamierzałam zajmować się nim na tyle długo, by pozwolić mu skruszyć i moje. Odejście od niego nie było nawet świadomym wyborem, ale przecież to nie miało znaczenia i ostatecznie wyszło na dobre.

Przynajmniej Hankowi.

Billy i Hank są jak noc i dzień, ciemność i światło, zło i dobro.

Billy uosabia wszystko, co mroczne i złe, Hank zaś to, co jasne i dobre.

Bo wiecie, Billy to przestępca. Hank to dla odmiany gliniarz.

Billy wygląda jak młody Robert Redford, lecz zamiast uroku chłopaka z sąsiedztwa (którego posiada mnóstwo, to trzeba mu przyznać), ma w sobie raczej coś z Jamesa Deana w *Buntowniku bez powodu*. Byliśmy razem przez siedem lat, z czego przez trzy ostatnie próbowałam z nim zerwać. To też nie wyszło.

Hank zaś wygląda jak nikt inny. Jest piękny, tak po prostu: wysoki, ciemnowłosy, o bursztynowych oczach i muskulaturze lekkoatlety. Hank żyje dla sprawy. Dla sprawiedliwości. I ma więcej uroku, niż Billy mógłby sobie wymarzyć.

Nie pytajcie mnie, skąd to wiem, skoro znam Hanka dopiero od kilku dni. To się zaczęło w chwili, w której dowiedziałam się, że jest fanem Springsteena. A każdy, kto lubi Springsteena... No właśnie!

Opowiem wam trochę o sobie.

Mama nazwała mnie Roxanne Giselle Logan (ze znanych tylko jej, dziwacznych powodów), lecz wszyscy mówią do mnie Roxie. Mam starszego brata Gilberta – ma ksywkę Gil, bo Gilbert to dość gówniane imię – i młodszą siostrę Esmeraldę, na którą mówimy Mimi, bo tu również mama niezbyt się popisała. Właściwie to byłam szczęściarą, jeśli idzie o dobór imion w naszej rodzinie.

Tata pozwolił mamie na to szaleństwo. Myślę, że zrobił to z wyrachowania, żeby do końca życia móc jej to wypominać. Ale oni naprawdę się kochają. I okazują to, nawet zbyt często jak na mój gust. Dorastanie z rodzicami nieustannie obściskującymi się publicznie to była spora żenada. Mimo to ciągle sobie dogryzali i się kłócili, w myśl powiedzenia: „Kto się czubi, ten się lubi”.

Kilkanaście lat temu nawet nie przyszłoby mi do głowy, że będę musiała nieustannie uciekać z chłopakiem kryminalistą, nieważne, jak byłby przystojny. Dorastałam w przeświadczeniu, że zdobędę świetną pracę, zarobię mnóstwo kasy i nakupuję markowych ciuchów, a tłum lizusów będzie piał hymny na moją cześć i spełniał każdą zachciankę.

Zanim poznałam Billy'ego, naprawdę przymierzałam się do takiego życia.

Nie to, że byłam nadambitna, nic z tych rzeczy. Liceum i studia spędziłam na nieustannym imprezowaniu. Przeszłam przez college na czwórkach i piątkach, ale przecież tak naprawdę nie chodziło o żadną naukę, tylko o piwo, butelkę tequili od czasu do czasu i rock and roll! Tata twierdził, że jestem sprytna, więc może nie będę miała przesrane. Mama zaś mówiła, że jeśli nie zmądrzeję, to i owszem. Oczywiście nie używała takich dosadnych określeń jak tata, ale wiedziałam, o co jej chodzi.

Oboje mieli po części rację, ale to ona była bliżej prawdy.

Na moje szczęście rodzice, a także przodkowie mamy ukończyli Uniwersytet Purdue. Mój

pradziadek był nawet upamiętniony na tablicy wiszącej w szkole jako bohater pierwszej wojny światowej. Można powiedzieć, że indeks tej uczelni niejako mi się należał – z taką rodzinną historią i tyloma członkami Stowarzyszenia Absolwentów w drzewie genealogicznym. Zdobyłam dyplom, choć większość czasu spędzałam w Czekoladziarni Harry’ego, w którym to przybytku balowali zapewne również moi rodzice, dziadek i pradziadek.

Poznałam Billy’ego tuż po ukończeniu studiów. Miałam już niezłą pracę. Stażowałam trochę podczas wakacji w firmach projektujących strony internetowe i jedna z nich, w Indianapolis, zatrudniła mnie na stałe. Chyba tylko dlatego, że traktowali mnie jak biurową maskotkę. Bywałam szurnięta, i to nieźle, a ci dwaj kolesie, którzy zarządzali w filii, też nie grzeszyli powagą. Nosili T-shirty z głupawymi sloganami i podarte jeansy. Chyba mieli jakieś udziały w lokalnej kawiarni, bo żłopali kawę non stop.

Jedna z moich koleżanek, Annette, powiedziała, że dostałam robotę za wygląd. Coś musiało być na rzeczy, w końcu wygrałam Wybory Miss Nastolatek w naszym hrabstwie. Nie przeszłam do finału stanowego, bo posprzeczałam się z inną uczestniczką. No i w sumie uważałam, że te konkursy piękności są do kitu.

Wdałam się w rodzinę mamy: wysoka, ale „korpulentna”, jak mawiał tata. To chyba znaczyło, że mam czym oddychać i na czym usiąść, ale nigdy mi tego nie wyjaśnił. Wszyscy wyglądamy jak MacMillanowie: wysocy, jasnowłosi i niebieskoocy. Oczywiście tylko mój brat ma zarost jak Grizzly Adams, no i nasz wujek Tex.

Nigdy osobiście nie poznałam wujka Texa. Był w Wietnamie i zawiął się (serio, tak po prostu zniknął), jak tylko stamtąd wrócił. Cała rodzina przestała się do niego odzywać. Za wyjątkiem mnie. Pisałam do niego i te listy nie zostawały bez odpowiedzi.

Sztuką epistolarną zająłam się za młodu. Wkręciłam się, ot tak. Pisałam do każdego, czyj adres wpadł mi w ręce. Uwielbiałam przyklejać znaczki i gnać na pocztę. Gryzmoliłam tak dużo, że mama sprezentowała mi papeterię z monogramem na dwunaste urodziny. Do tej pory dostaję od niej dwa duże zestawy co roku: fioletowe, z moimi inicjałami „RGL” wytłoczonymi na górze strony i na skrzydełku koperty.

Zabroniła mi napisać do wujka Texa, twierdząc, że to strata czasu, bo on nigdy nie odpisuje.

Mama niezczęsto robiła się smutna, ale działo się tak za każdym razem, gdy o nim mówiła. Były tylko dwa tematy, które ją dołowały: wujek i moje ignorowanie uwag dotyczących szlajania się z Billym.

Mama i wujek byli bardzo blisko, gdy dorastali, ale gdy tylko skończył osiemnastkę, Tex zaciągnął się do wojska i pojechał do Wietnamu, to było już pod koniec konfliktu. I więcej o nim nie słyszano.

To znaczy do czasu słyszano, gdy zadziwiając wszystkich, przysłał do mnie list. Nie odpisywał nikomu innemu: ani mamie, ani dziadkom, ani ich dwóm siostram. Nawet wtedy, gdy siedział w więzieniu za pobicie dealera, ciągle do mnie pisał.

Gdy miałam czternaście lat, przyłapałam mamę płaczącą nad jego listami, które znalazła w moich rzeczach. Nigdy się nie wygadałam, że widziałam ją myszkującą w moich rzeczach. Mam wrażenie, że robiła to dość często.

Z listów wynikało, że wujek Tex jest cholernie zabawnym gościem, istnym wariatem (może nawet większym ode mnie). Pokochałam go dzięki tej korespondencji i zrozumiałam, dlaczego mama darzy go takim głębokim uczuciem.

Billy’ego poznałam, gdy miałam dwadzieścia cztery lata. Zakochałam się w nim natychmiast,

i to na zabój.

Był zabójczo przystojny. I miał w sobie tyle energii, więcej niż ktokolwiek inny! Potrafił mnie rozśmieszyć i traktował jak księżniczkę. Do tego był wyszczekany. No i ustami umiał wyczyniać różne inne cuda.

Moja rodzina go jednak nie znosiła. Rodzice, Gil, Mimi i wszyscy moi przyjaciele nie cierpieli go. Oczywiście ignorowałam ich. Puszczalam im piosenkę Cowboy Junkies *Misguided Angel* i kazałam pogodzić się z sytuacją.

Po roku znajomości mieszkaliśmy razem w moim mieszkaniu i przeżywaliśmy bal naszego życia, na który składały się świetny seks, imprezy i różne wariactwa. Byłam nim tak zafascynowana, że nie obchodziło mnie, jak zarabiał na życie.

Któregoś dnia powiedział, że w Saint Louis czeka na niego robota, której nie może przegapić. Stwierdził, że za pół roku przejdzie na emeryturę; przeprowadzimy się do Saint-Tropez i będę mogła całymi dniami opalać się topless, podczas gdy on będzie polewał mi szampana do wykwintnych kolacyjek. Obiecał, że da mi życie, na jakie zasługuję: markowe ciuchy, diamenty i perły, bąbelki na śniadanie i wszystko, co zechcę.

Uwierzyłam mu, bo choć miałam dwadzieścia pięć lat, to wciąż byłam głupia. A przecież wszyscy odradzali mi ten związek, nawet wujek Tex. Zrezygnowałam z pracy i przeniosłam się do Saint Louis. Rozpakowałam graty, znalazłam robotę i zaczęłam wszystko od początku.

Po pół roku Billy oznajmił, że jeszcze większa gratka czeka go w Pensacoli. A potem w Charleston. I w Atlancie.

Powinno być to przewidzieć. Zanim mnie poznał, Billy przeprowadzał się co chwilę: z Bostonu (gdzie dorastał) do Filadelfii, Cincinnati, potem do Louisville i Indianapolis. Za to, że przesiedzieliśmy rok w tym ostatnim miejscu, powinno mu w zasadzie podziękować.

Gdy po trzech latach nieustannych przeprowadzek wylądowaliśmy w Chicago, miałam dosyć. Podobało mi się w Saint Louis, w Charleston i Atlancie. Znalazłam we wszystkich tych miejscach fajną pracę i przyjaciół. Każdorazowy wyjazd to była męka. Nie cierpiałam pakowania i życia na walizkach. Czasem już po tygodniu, nim zdążyłam się rozpakować, Billy oznajmiał, że węszy za nowym miejscem. Cały wolny czas poświęcałam na pisanie listów do porzuconych znajomych i naprawdę miałam już dość bycia koczowniczką.

No i zaczęłam podejrzewać, dlaczego Billy jest tak powściągliwy w informowaniu mnie, co robi całymi dniami i gdzie trzyma pieniądze. To była zawsze gotówka, nigdy nie dostał za robotę czeku. Czasami przynosił spore sumy, ale potem przez długi czas nic.

Na początku mu ufałam, wierzyłam w wizje, które przede mną roztaczał, w tę gładką gadkę o tym, że życie, na które „zasługiwałam”, jest na wyciągnięcie ręki. Potem już tylko *chciałam* w to wierzyć, więc nie zadawałam zbędnych pytań. W końcu wściekłam się na siebie za własną głupotę i nieustanne zaprzeczanie, zaklinanie rzeczywistości. To działało tylko przez chwilę.

„Do diabła z nim, Złotko!”, napisał mi wujek Tex ze zwykłą sobie brutalną szczerością. „Nie wygląda to dobrze. Spuść go na drzewo i znajdź sobie prawdziwego faceta!”

Nasz pobyt w Chicago byłby najkrótszy ze wszystkich, gdyby tylko Billy postawił na swoim. Gotów był się zwijać po trzech miesiącach. Ja tymczasem projektowałam strony internetowe, byłam niezależną freelancerką. Annette przeprowadziła się również, więc miałam sprawdzoną przyjaciółkę na miejscu. No i znalazłam kilku dobrych klientów. Mieszkaliśmy w lofcie, który bardzo mi się podobał, w pobliżu stadionu Wrigley (byłam fanką Cubsów, nie ukrywam!), a do rodzinnego domu miałam tylko cztery godziny jazdy.

Nigdzie się nie wybierałam. Powiedziałam Billy’emu, że może wyjechać, jeśli chce, ale ja zamierzałam zostać. Cholernie się pokłóciliśmy i skończyło się łzami. Moimi, oczywiście, bo byłam nieustannie chlapiącą beksą. Potrafiłam rozryczeć się nad zdjęciem małego kociaka.

Koniec końców – zostaliśmy.

Schemat się powtarzał: Billy chciał się przeprowadzać, ja chciałam zostać, kłóciliśmy się, ja zalewałam się łzami i stawiałam na swoim.

Aż któregoś razu Billy wrócił bardzo późno i powiedział, że *musimy* wyjechać. Po jego zachowaniu wnioskowałam, że wszystko to, na co przymykałam oczy, czego nie rozumiałam, spieprzyło się. Coś poszło bardzo nie tak.

Miałam to gdzieś, stanęłam okoniem. Między nami też wszystko się spieprzyło, a od czasu mojej pierwszej odmowy wyjazdu było coraz gorzej i miałam tego wszystkiego serdecznie dość. Chciałam, by Billy sporządzał, dla mnie i dla siebie samego, ale zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Pękało mi serce, bo przecież przeżyliśmy mnóstwo dobrych, a nawet świetnych chwil. Wiedziałam, że będę za nim tęsknić. Ale każda dziewczyna ma swoją granicę wytrzymałości. Wkurzało mnie to, że wszyscy mieli rację co do niego. Ale jeśli da się ciała, to trzeba to przyznać, jakoś przez to przejść i ruszyć do przodu.

Nadeszła pora na wzięcie sobie rady wujka Texa do serca i odprawienie Billy'ego.

Gdy mu to oznajmiłam, pchnął mnie na ścianę, dociskając przedramieniem moje gardło, a jego ładną chłopięcą twarz wykrzywiła furia, jakiej nigdy przedtem nie widziałam.

– Pojedziesz wszędzie tam, gdzie ja! – zasyczał. – Należysz do mnie i nigdy się nie rozstaniemy. Jesteś moja *na zawsze*, do kurwy nędzy!

Przestraszyłam się nie na żarty. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Nie lubiłam się bać. Nawet nie oglądałam horrorów. Strach to nie moja bajka.

To był koniec, właśnie w tamtej chwili. Nadzieja na przyszłość dla mnie i Billy'ego ulotniła się w gwałtownym rozbłysku. Po pierwsze – ręka na gardle sprawiała mi ból. Po drugie – wyraz jego twarzy mnie przerażał. Po trzecie – należałam tylko i wyłącznie do siebie samej. Innymi słowy – pieprzyć to!

Ostatecznie zostaliśmy w Chicago, a cokolwiek tak bardzo przeraziło Billy'ego, stopniowo zgasło. Ale nie mój gniew. Spakowałam jego graty, wystawiłam je za drzwi i wymieniłam zamki.

Nie poszło tak gładko, jak się spodziewałam. Billy rozwalił drzwi kowalskim młotem. Znowu się pożarliśmy, ale jakimś cudem namówił mnie, żebym przyjęła go z powrotem.

Może to była oznaka głupoty albo słabości? Tak naprawdę nie chciałam się z nim pogodzić, bo już wiedziałam, jaki jest naprawdę, i nie zamierzałam tego tolerować. Kochałam go, ale okazał się kimś zupełnie innym, niż to sobie pierwotnie wyobrażałam. Obawiałam się, że smród, który się wokół niego unosił, przylega i do mnie.

W końcu młot kowalski to już nie przelewki. Musiałam mądrze to rozegrać. Ułożyłam swój własny plan jak żywcem wyjęty z *Sypiając z wrogiem*. Założyłam tajne konto oszczędnościowe. Nowe ciuchy, których Billy nigdy nie widział, schowałam u Annette.

Uciekałam do rodziców, ale przyjechał, żeby mnie stamtąd zabrać. Spodziewałam się tego. Przez cały czas oszczędzałam i chowałam kolejne ubrania u Annette, grając na czas.

Potem zviałam do przyjaciółki w Atlancie, ale i tam mnie odnalazł. Więc przyczaiłam się po raz kolejny. Czmychnęłam do hotelu w Dallas, ale i tam dotarł za mną.

Strasznie długo to trwało, a ja nie nawykłam do długofalowych przedsięwzięć. Czułam jednak, że przy nim życie przesącza mi się przez palce, każdego dnia, miesiąca, każdego roku. I choć byłam niecierpliwa, to cechowałam się również uporem i chciałam doprowadzić ten plan do końca.

Nadeszła pora na ostatnią ucieczkę, do miejsca, w którym miał przecież mnie odnaleźć, jak za każdym poprzednim razem, gdy umyślnie zostawiałam za sobą tropy. Gdy i tam mnie znalazł, wróciłam w to samo miejsce, by dokończyć plan, który przygotowałam wcześniej. Wszystko się jednak spieprzyło, bo smród Billy'ego już zdążył do mnie przylgnąć.

Ostatnim punktem planu był wyjazd do Denver. Do wujka Texa.

Nie wszystko poszło po mojej myśli, bo właśnie wtedy, na szczęście lub raczej „o zgrozo!”, zależy, jak na to spojrzeć, poznałam Hankę. To była dziwna znajomość.

Przez to, że napatoczył się Hank, cały mój misterny plan wziął w łeb.

No i właśnie teraz siedzę na zasyfionej podłodze śmierdzącego motelu, przykuta do zlewu.
A Hank za moment pozostanie już tylko wspomnieniem.

Choć przecież zasługuje na lepszy los niż ja.

Muszę tylko mu to wmówić.

Rozdział drugi

Whisky

Opowiem wam, jak to wszystko się zaczęło.

Kilka miesięcy temu wujek Tex napisał mi, że nawiązał nowe znajomości i znalazł robotę, pierwszą od czasu powrotu z Wietnamu. Nie było mu łatwo się przystosować. Siedział w więzieniu przez jakiś czas, a potem żył z marnego spadku po bezdzielnym wujku, który bardzo go lubił, w domu, który również odziedziczył po nim. Dorabiał, niańcząc cudze koty. Wierście lub nie, praca polegała na obsłudze ekspresu w klubokawiarni literackiej połączonej z antykwariatem. Miejsce zwało się Fortnum.

Wujka wsadzili do pierdła za pobicie dealera. A tymczasem teraz robił wzorki na cappuccino. Dziwaczne, nie?

Jego listy przepełnione były historyjkami o pracownikach i stałych bywalcach. Lubił opisywać właścicielkę, Indię Savage.

Biło z tych listów jakieś ciepło, więc wujek musiał darzyć ich wszystkich sympatią, szczególnie Indy i jeszcze jedną dziewczynę, Jet. Pisał, że „Indy ma jaja”, oczywiście to była przenośnia. Wujek lubił silne osobowości. Jet za to „miała power”, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Lubił też tupet, a ten posiadała aż w nadmiarze Ally, kolejna kelnerka. Indy wzięła wujka pod swoje skrzydła i wyraźnie mu to służyło.

Wpisałam więc Denver do mojego planu, mając nadzieję, że Indy rzuciła na Texa jakiś urok, który sprawi, że nie trzaśnie mi drzwiami przed nosem. Zrobił już tak z moją mamą, babcią i ciotkami, robił tak za każdym razem, gdy usiłowały złożyć mu wizytę. Postanowiłam więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się Billy’ego, a wujka Texa sprowadzić na łono rodziny.

Przyjechałam na początku października, w niedzielę. Po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy niekończące się błękitne niebo nad Denver, okiełznane przez łańcuch Gór Skalistych na zachodzie. Mówiono o nich „purpurowi arystokraci” i dopiero, podziwiając widok, zrozumiałam, o co chodziło.

Było słonecznie, ale rzeško. Z samego rana zameldowałam się w hotelu; za pokój zapłaciłam gotówką. Nie chciałam, żeby Billy tak od razu mnie znalazł. Wzięłam prysznic i się wystroiłam, w końcu spotkanie z wujkiem Texem to była wyjątkowa okazja. No i kochałam ciuchy, szczególnie od uznanych projektantów. Mama mawiała, że noszę je jak zbroje, ale tata uważał, że kiepska to zbroja, która działa jak magnes. Do rzeczy. Wydawałam majątek na włosy, ale dzięki temu moje sięgające ramion pukle były miękkie i pięknie się układały. Umalowałam się i założyłam ciemnoszarą spódnicę z dzianiny, która podkreślała moje pośladki. Czarny obcisły golf i kozaki na obcasach, za które zapłaciłam majątek, dopełniały całości. Billy omal zawału nie dostał, gdy zobaczył ich cenę na pudełku. W uszach błyszcząły diamenty, które kupił mi za brudne pieniądze. Ale w końcu brylanty to brylanty, a że nie dokładał się do czynszu... zatrzymałam je. Zegarek z tarczą z masy perłowej od Raymonda Weila. Czarny szklany pierścień od Lalique. I gotowe!

Nie było mnie stać na te wszystkie rzeczy, bo musiałam utrzymywać nas oboje. Karmiłam swą żądzę metek, oszczędzając, na czym się dało, polowałam na przeceny i okazje w nowo otwieranych butikach. Na aukcjach internetowych wyszukiwałam spektakularne ciuchy, których inni chcieli się pozbyć. Najpierw to było hobby. Uwielbiałam ładne rzeczy, a ostatnimi czasy tylko one przypominały mi o życiu, z którego zrezygnowałam, wiążąc się z Billym. Chciałam przypomnieć sobie, dlaczego postanowiłam wyrzucić go z mojego życia.

Spryskałam się perfumami Boucheron, przerzuciłam przez ramię torebkę Fendi (kupioną za

jedną trzecią wartości na garażowej wyprzedaży jakiejś rozwodzącej się damulki), wbiłam koordynaty w nawigację i ruszyłam do domu wujka Texa.

Nie zastałam go. Dziwne, nie siedział w domu w niedzielę? Latami nie ruszał się z tej dzielnicy, no i nie był przecież typem faceta, który w wolnym czasie szlaja się po Denver.

Choć z ostatnich listów wynikało, że jednak się trochę szlajał.

Czekałam, ale się nie pojawił. W budce telefonicznej znalazłam adres Fortnum i zaprogramowałam GPS.

Zaparkowałam na Broadway i podeszłam do drzwi frontowych, na skrzyżowaniu z Bayaud. Lokal wyglądał zachęcająco, nieco hipsterski, ale w taki nienachalny sposób. Miał aurę właściwą miejscom z renomą, których status jest już niepodważalny.

Weszłam do środka i natychmiast się zakochałam! Zapach starego papieru dobiegał z regałów pokrywających wszystkie ściany aż po tyły lokalu.

Uwielbiałam czytać. Kochałam książki, biblioteki i księgarnie, a ta na pierwszy rzut oka wyglądała na najfajniejszą z tych, które widziałam.

Po lewej stała księgarska lada, a po prawej stoisko baristy. Między nimi rozstawiono niskie stoliki, krzesła, a nawet kanapy, na których można było wygodnie rozłożyć się z książką i kawą.

Zamurowało mnie, gdy tylko przekroczyłam próg. Stado samców, jakby wprost wyjętych z okładek magazynów modowych, siorbało kawki, rozłożywszy się na kanapach. Jakbym trafiła na zlot przystojniaków, którzy wpadli do Fortnum na kawę tylko po to, żeby omówić zagadnienia sympozjum „Jak radzić sobie z byciem zajebicie przystojnym?” Pięciu. Dwaj byli podobni jak bracia, ale to ten o bursztynowych oczach przykuł moją uwagę. Wszyscy na mnie patrzyli, ale gdy skrzyżowałam spojrzenie z nim, poczułam, że jeśli choć drgnę, to chyba zjadę na podłogę i stracę przytomność.

Znałam to już. Fatalne zauroczenie, które wcześniej przytrafiło mi się z Billym. Nie pamiętałam, jak bardzo jest intensywne; czułam, jakby przejechał mnie pociąg.

By zamaskować zmieszanie, odwróciłam wzrok i podeszłam do lady zamówić kawę, a tam, jak na złość, stała również złotooka piękność. Rzuciła okiem na mężczyzn, potem na mnie, z grymasem sugerującym, że sytuacja niezmiernie ją bawi.

– Co podać? – spytała.

Zapomniałam, po co w ogóle tu przyszedłam, więc zrobiłam to, co zrobiłby każdy, stojąc przed ekspresem wielkim jak limuzyna: zamówiłam latte na odtłuszczonym mleku z syropem karmelowym.

– Robi się! – Odfrunęła przyrządzić moją kawę, a ja przytrzymałam się lady i zbierałam wszystkie siły, by nie odwrócić się w celu sprawdzenia, czy bursztynowe oczy wciąż mnie obserwują.

Proszę, Boże, niech on wciąż się na mnie gapi!, myślałam, ale po chwili potrząsnęłam głową, by pozbyć się tych nedorzeczości. Jego uwaga była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam!

Za ladą pojawiła się piękna rudowłosa kobieta, a z opisów wujka wywnioskowałam, że to Indy. Uśmiechnęła się do mnie.

Odwzajemniłam uśmiech; przystojniak zniknął z mojego pola widzenia, ale czułam, że wciąż jest w pomieszczeniu. Nagle przypomniałam sobie, po co przyszedłam, i już miałam się odezwać, gdy rozległ się dzwoneczek potrącony skrzydłem otwieranych drzwi.

– Nie odzywam się do ciebie! – Usłyszałam kobiecy głos; ton był wściekły i naburmuszony, więc odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Czy Fortnum było lokalem zarezerwowanym wyłącznie dla pięknych? Powinni wywiesić znak, który przestrzegałby normalnych ludzi przed wejściem i nabawieniem się kompleksu niższości.

Wysoki i zabójczo przystojny Meksykanin oraz towarzysząca mu zjawiskowa blondynka najwyraźniej bawili się w jakieś połajanki. Znałam to z tysiąca sprzeczek moich rodziców, których byłam świadkiem.

– Jesteś beznadziejna! – rzekł mężczyzna, uśmiechając się tak, jakby to był komplement.

– Co on tam buczy? – spytała brunetka zza lady.

– Powiem ci, co nie gra i nie buczy! – odparła blondynka. – Nie wprowadzam się do Eddiego!

– Skinęła brodą w stronę towarzysza.

No niech mnie! Nie mogłam przestać się gapić. Tex opowiadał mi o Jet, o tym, że podkochiwała się w Eddiem, jak również o tym, że on zabiegał o jej względy, a ona udawała, że jej nie zależy. To był jeden z ostatnich listów sprzed kilku tygodni. A teraz miałam ich przed sobą, rozmawiających o zamieszkaniu razem. Szybki Lopez z tego Eddiego, nie ma co!

– Jesteś beznadziejna! – powtórzył Eddie, patrząc na blondynkę.

– Eddie nie pozwala mi pracować u Smithiego! A przynajmniej wydaje mu się, że ma coś do powiedzenia w tej kwestii! – zrelacjonowała.

– Pozwól jej pracować! – doszło od strony kanapy.

Zerknęłam tam, zastanawiając się, na czym polega praca u Smithiego. To odezwał się Indianin o włosach gładko zaczesanych w kucyk, rzęsach, za które mogłabym zabić, i wydatnych kościach policzkowych. Uśmiechał się głupkowato.

Złotooki przystojniak stracił zainteresowanie moją osobą; teraz uśmiechał się i strzelał oczami do Jet. Serce mi zamarło. Tymczasem Eddie uniósł brwi, a jego spojrzenie mówiło więcej niż tysiąc słów. Dziwnie było wiedzieć, kim są ci ludzie, a przecież jednocześnie wcale ich nie znać.

– Nie wprowadziłaś się do Eddiego? – spytała Indy, a ja ponownie spojrzałam na nią.

– To był chwilowy kaprys! – odpowiedziała Jet.

Moje spojrzenie prześlizgnęło się na nią; uśmiechnęła się nieznacznie, parując w stronę lady jak rasowa klacz na wybiegu. Niezła w tym była. Moja mama pochwaliłaby ją za ten spacer.

A ja tymczasem skrzyżowałam spojrzenie z Eddiem, którego czarne oczy zlustrowały mnie od stóp do głowy. Ewidentnie nie spodobało mu się to, co zobaczył, a ja poczułam się niechciana, jakbym była intruzem, którego nikt nie zapraszał na swoje terytorium.

Miałam takie wrażenie dlatego, że jego spojrzenie z ciepłego i rozmarzonego, zarezerwowanego dla Jet, stało się zupełnie pozbawione wyrazu, gdy przeniósł wzrok na mnie. A przecież nie był jakimś tępakiem, to mogłam wyczuć od razu.

Po chwili zignorował mnie i odszedł w stronę kanap. Ja również się odwróciłam, poruszona jego reakcją. Oparłam się wygodnie o ladę; musiałam się skupić, a jedno spojrzenie na Whisky wybiłoby mnie zupełnie z rytmu, to nie ulegało wątpliwości. Tak samo jak to, że moim ulubionym projektantem był Armani.

Ruda, brunetka i blondynka gawędziły za wielkim ekspresem i wyglądały przy tym jak czarownice z Eastwick, były jednak ładniejsze i w niewytłumaczalny sposób straszniejsze. Skoro zidentyfikowałam już Indy i Jet, brunetką musiała być Ally. Z pewnością była spokrewniona z braćmi na kanapie. To by znaczyło, że bursztynowooki przystojniak to Lee (wielka szkoda, bo tak miał na imię facet Indy) bądź Hank. To byłoby chyba gorsze, bo z listów wujka wynikało, że Hank to gliniarz, więc z pewnością nie zainteresowałby się kimś takim jak ja, czyli laską gangstera, bo w końcu nie byłam nikim więcej.

– Powinnaś na stałe zamieszkać z Eddiem – zawyrokowała Ally, kończąc przygotowywanie mojej kawy.

– Właśnie próbuję z nim zerwać! – odpaliła Jet.

Westchnęłam, bo choć potraktował mnie tak obcesowo, był boski! Kto chciałby zrywać z takim facetem? Wszystkie trzy spojrzały na mnie.

– Nie bój nic. – Jet ponownie się uśmiechnęła, a gdy to robiła, stawała się zjawiskowa. – Już tego próbowałam, ale nie wyszło.

Skinęłam głowę.

– Znam ten ból – mruknęłam, bardziej do siebie niż do niej.

Miałam nadzieję, że Eddie nie był takim dupkiem jak Billy, bo już wiedziałam, że polubiłabym Jet. Miała zapał, miała odwagę, a przynajmniej tak opisywał ją Tex.

Zainteresowały się moim komentarzem.

– Twoja kawusia. – Ally wręczyła mi papierowy kubek.

Postawiłam go na stoliku, pytając o cenę; rozliczyliśmy się, po czym pochyliła się w moją stronę.

– Co to znaczy, że znasz ten ból? Też nie możesz się pozbyć faceta? Wiem, że to wścibskie pytanie, ale mój brat gapi się na ciebie tak, jakby chciał zedrzyć te fatałaszkę od chwili, gdy weszłaś. Badam teren w jego imieniu.

Przygryzłam wargę, z trudem powstrzymując się od zerknięcia w stronę sof. Miałam rację, to musiała być Ally. Nie powiedziałyby mi, że to Lee, chłopak Indy, rozbiera mnie wzrokiem, więc musiała mieć na myśli Hanka. Do wzięcia, z tego, co mi było wiadomo, ale wciąż gliniarz.

Nie dziwiło mnie wcale, że Ally wypaliła do mnie coś takiego, w końcu wyglądała na dziewczynę, u której to, co w głowie, to na języku.

Pochyliłam się w ich stronę i powiedziałam coś, co było moim pierwszym błędem z wielu.

– Mowa o Whisky? – szepnęłam, nie mogąc się powstrzymać.

– Whisky? – wtrąciła się Indy.

– Facet o oczach koloru whisky – wyjaśniłam.

Indy rzuciła uśmiezek koleżankom, wszystkie trzy spojrzwały na mnie.

– To nie może być żaden inny – potwierdziła Indy.

– Masz na imię Indy? – spytałam, żeby się upewnić.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Tak. Czy my się znamy?

– Szukam Texa MacMillana. Pracuje tutaj.

Coś zmieniło się w jej twarzy, przeszła w tryb matki kwoki. Ale to Jet mi odpowiedziała pytaniem, nagle tak samo nasrożona.

– A ty to kto?

Spojrzałam na Ally, szukając jakiegoś wsparcia, ale ona dla odmiany przeszła w tryb lwicy, która gotowa była mnie rozszarpać, jeśli miałabym czelność choć spojrzeć na jej młode. Musiałam szybko im wyjaśnić, że nie stanowiłam żadnego zagrożenia. Historyjka z Billym mogła zaczekać.

– Jestem Roxanne Logan. Tex to mój wujek.

Zniknęły kwoki i lwica, pojawiły się trzy zdziwione oblicza, szczęki im nieco opadły. Ally krzyknęła tak głośno, że z pewnością wszyscy faceci w lokalu to usłyszeli, bo spojrzeli w naszym kierunku.

– Chyba sobie jaja robisz! – Po czym odchyliła głowę i parsknęła gromkim śmiechem.

Pozostałe kobiety również zwiły się ze śmiechu, Jet chwyciła się za brzuch.

– Nie wierzę! – krzyknęła.

Co jest, kurwa?? Zachowywały się jak wariatki. Ally krzyknęła w stronę sof:

– Nie uwierzycie, kto to jest!

– Nie mów...! – zaczęłam.

Wszystkie oczy były skierowane na mnie, a te bursztynowe, należące do Hanka, wpatrywały się jednocześnie z rozleniwieniem i ciekawością. Zrobiło mi się słabo, więc odwróciłam wzrok.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał akurat wtedy, gdy Ally oznajmiła:

– To jest Roxanne, pieprzona siostrzenica Texa!

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech i oparłam się o ladę.

– Roxie?

To był łagodny pomruk. Nigdy nie słyszałam takiego głosu i tylko tak można było go opisać.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na starszą wersję mojego brata Gila. Tylko broda na twarzy olbrzyma, który był prawie tak szeroki, jak wysoki, była bardziej szpanerska. Wielka klata, blond czupryna i ciemnoniebieskie oczy. Nasza krew, jak nic. Odziany był w jeansy i flanelową koszulę, a do jego boku kleiła się ładna starsza babka. Przytrzymała się go jedną ręką, a druga zwiłała bezwładnie.

– Wujek Tex? – spytałam, choć to przecież musiał być on.

Poczułam gulę w gardle, nie mogłam powstrzymać łez, choć bardzo się starałam, ale po chwili już płynęły po moich policzkach.

– Boże drogi, Roxie! – Tex wyswobodził się z uścisku kobiety, która bez jego oparcia chwiała

się na nogach, lecz mimo to się uśmiechała, i w dwóch susach dopadł do mnie.

Spróbowałam go objąć, ale rąk mi zabrakło. Ku mojemu zdumieniu chwycił mnie w ramiona i zakręcił wokół.

– Roxanne Giselle Logan, największa ślicznotka na całym pieprzonym świecie! – huknął tak, by wszyscy słyszeli.

Już mnie nos szczytał od powstrzymanego płaczu, beczałam na dobre.

– Wujku! – Śmiałam się przez łzy, przytrzymując się jego potężnych barków. – Postaw mnie!

Wylądowałam pewnie na obcasach. Ujął moją twarz w dłonie wielkie jak bochny i ucałował w czubek głowy. Odsunął mnie nieco, by uważnie mi się przyjrzeć. Oczy mu się zamgliły i znów wyszeptał łagodnie:

– Dziewczyno, wyglądasz zupełnie jak twoja matka!

– Tata mówi to samo!

Nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

– No niech mnie! – rzekł, a ja aż czknęłam ze wzruszenia.

Ponownie zamknął mnie w ramionach.

– Czekałem na te twoje listy. Nie poradziłbym sobie w kiciu, gdyby nie ty, kochana Roxie! W życiu! – mówił łagodnie, ale wszyscy dokładnie go słyszeli.

Próbowałam skinąć, ale głowę miałam wciąż przyciśniętą do jego piersi. Nie chciałam już powstrzymywać łez. To, co powiedział, wiele dla mnie znaczyło. Sam fakt, że powiedział to głośno przy wszystkich.

– Cholernie długo czekałem, żeby cię przytulić, Roxie, za długo!

Obejmowałam go z całej siły.

– Ja też! – szepnęłam.

Ścisnął mnie już tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Otworzyłam oczy i moje spojrzenie skrzyżowało się z Whisky. Wciąż nie mogłam myśleć o nim „Hank”. Był dla mnie Whisky, nic nie mogłam na to poradzić. Przyglądał mi się, siedząc wygodnie na kanapie; jeden z jego butów spoczywał na krawędzi stolika. Jego spojrzenie zmieniło się diametralnie, nie było już w nim rozleniwienia, tylko uwaga.

– Wujku... – zaczęłam, wciąż patrząc na mężczyznę na kanapie. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. – Nie mogę... nie mogę oddychać!

Wtedy Whisky się uśmiechnął.

I dopiero na serio zabrakło mi tchu. Ten uśmiech sprawił, że zapomniałam, jak się oddycha.

– Przepraszam, kochaniutka! – Tex w końcu mnie puścił, ale potrząsnął tak gwałtownie za ramiona, że aż głowa mi się zatrzęsała. – IIIIIHAAAA! – krzyknął, po czym obejmując mnie, powiódł wzrokiem po zgromadzonych. – To moja siostrzenica, Roxie! – oznajmił gromkim głosem, jakby już tego nie wiedzieli.

Obrócił mnie w stronę swojej towarzyszki.

– Nancy, poznaj moją siostrzenicę!

Ochłonęłam już trochę, więc uśmiechnęłam się do niej.

– Cześć, Roxie, jestem Nancy, matka Jet – przedstawiła się i uściśnęła moją dłoń.

Osunęła się na oparcie krzesła, a ja miałam wrażenie, że chyba upadnie, jeśli nie spocznie. Patrzyłam zatroskana na jej bezwładne ramię. Już miałam o to zapytać, ale Tex pociągnął mnie w stronę ekspresu, włókł mnie, jakbym była szmacianą zabawką.

– Indy, kobieto, Ally, i ty, Świrusko, ruszcie no swoje tyłki i poznajcie moją siostrzenicę! – zawołał, a one jak na komendę się zbliżyły.

Wszystkie je rozpoznałam: Ally była siostrą Whisky, a Świruską z jakichś nieznanych mi powodów Tex nazywał Jet.

Następnie przedstawiono mnie Lee i otrzymałam najświeższą informację o tym, że oficjalnie zaręczył się z Indy. Indianin miał na imię Vance, a Polinezyjczyk czy może Hawajczyk, prawie tak wielki jak Tex, to był Mace. Gdy spojrział na mnie pięknymi ciemnozielonymi oczami, poczułam się

jak w reklamie Benettona. W komplecie byli jeszcze blondyn mojego wzrostu, Matt, oraz Eddie, który nieco złagodniał, gdy oznajmiono mu, że jestem krewną Texa. No i w końcu Whisky, czy też Hank Nightingale, jak przedstawił go wujek.

Hank Nightingale.

O! Mój! Boże!

Nawet nazwisko miał wspaniałe.

Uścisnęłam wyciągniętą dłoń i aż przygryzłam wargę, gdy nasze ręce się zetknęły.

Weź się w garść, Roxie! Odetchnęłam głęboko i spróbowałam się uśmiechnąć, co wyszło dość groteskowo. Na szczęście nie zauważył tego, bo lizał mnie spojrzeniem od góry do dołu, zanim Tex zdążył mnie odciągnąć.

Hank chwycił mnie za przedramię i pociągnął w swoją stronę. Jego dłoń zsuwała się coraz niżej, aż w końcu nasze palce się splotły i za moment siedziałam tuż obok niego. Wujek Tex zorientował się, co się kroi, ale zanim zdążył się odezwać, Hank rzekł:

– Wiem, że jesteś podekscytowany przybyciem Roxie – zaczął ściszone głosem tak, że tylko wujek i ja mogliśmy to słyszeć – ale ogarnij się nieco, bo zakreści się jej w głowie od tego ciągnięcia jej z kąta w kąt.

Serce mi zatrzepotało i mimowolnie wtuliłam się w niego. To był odruch, jakbym nie panowała nad ciałem, i w tamtej chwili faktycznie tak było. Oparłam się ramieniem o jego biceps i poczułam, jak jego dłoń zaciska się na mojej. Dlaczego bałam się, że za sekundę ją puści i się odsunie? Nie zrobił tego. Cieszyłam się podwójnie, bo pewnie runęłabym jak długa bez podparcia, no i sam fakt, że wziął mnie za rękę, doprowadził mnie do ekstazy.

Tex uważnie na nas patrzył.

Czułam ciepło bijące od ciała Hanka, znowu zrobiło mi się słabo. W końcu Tex huknął:

– Cholera, Roxie! No nieźle!

O co mu, do diabła, chodziło?

– Co jest? – spytałam, ale mi nie odpowiedział; zamiast tego zwrócił się do Mace’a i Vance’a, oznajmiając: – Musicie się szybciej uwijać, panowie, albo podbiorą wam wszystkie najlepsze sztuki!

Usłyszałam śmiech Hanka tuż przy moim uchu. W jego spojrzeniu pojawił się spokój, ale mogłabym przysiąc, że za tą zasłoną kryła się intensywność rozgrzewająca mi serce.

– No co jest? – Ponownie spojrzałam na wujka.

Zignorował mnie, zajmując się Nancy, która znów uwiesiła się jego ramienia, jakby nie służył jej nigdy do niczego innego. Uśmiechnęła się do nas.

– A może wpadniecie do mnie na kolację, co? Namówię Jet, żeby przygotowała coś ekstra.

– Zrób te swoje czekoladowo-karmelowe wafelki, Świrusko! – huknął Tex, jakby wszystko było już ustalone. – W końcu jest okazja!

Hank tymczasem puścił moją dłoń i odsunął się, a ja poczułam, jakby wyrwał mi przy tym serce. Ostatnie tak intensywne zauroczenie kosztowało mnie siedem lat życia. Nie mogłam sobie pozwolić na powtórkę. Nigdy więcej! Nawet jeszcze nie spławiłam Billy’ego! A Hank mógłby mieć na drugie „Kłopoty”, to było po nim widać.

I gdyby dowiedział się, z kim szlajałam się przez te nieszczęsne siedem lat, nawet by na mnie nie spojrział, nie mówiąc już o braniu za rękę. Byłam tego pewna, tak samo jak tego, że Manolo Blahnik projektuje najwspanialsze buty na świecie.

– W porządku? – spytała Nancy łagodnie.

– Miałam zapytać o to samo – odrzekłam, patrząc sugestywnie na jej rękę.

– Udar, ponad dziewięć miesięcy temu. – Nawet się nie zająknęła.

Już chciałam podejść i jakoś ją pocieszyć, ale Eddie pojawił się w moim polu widzenia i zatrzymałam się w pół kroku. Dlaczego tak bardzo się go bałam?

– Zdrowieję z każdym dniem! – dodała Nancy, co skwitowałam uśmiechem.

Odpowiedziała tym samym, a był to promienny uśmiech, jak u jej córki, czego nie omieszkalam skomentować.

- Tylko nie mów Jet, bo nie uwierzy!
- Eddie przejął Nancy, a Indy krzyknęła:
- Musimy to uczcić wielką imprezą!
- Dobrze gadasz, kobieto! – zagrział Tex.

Eddie wciąż obserwował mnie wnikliwie, jakby mógł przejrzeć wszystkie moje tajemnice. Czarownice z Eastwick natomiast zajęły się planowaniem zabawy. Nie byłam pewna, czy to dobry pomysł.

– Myślę, że to kiepski pomysł... – rzekłam do Nancy i Eddiego, co ten skwapliwie potwierdził.

– Przestań, będzie super! – Nancy poklepała mnie po ramieniu, rzucając uśmiech przechodzącemu obok Texowi.

– Zrobię wafle czekoladowo-karmelowe! – Jet nagle pojawiła się u boku lubego i złożyła głowę na jego ramieniu, zakopując tym samym topór wojenny.

– Słusznie prawisz! – odpalił Tex.

– Skołuję gorzałę! – wypaliła entuzjastycznie Ally, pojawiając się przy nas.

– A gdzie balujemy? – spytała Indy, a Lee już stał przy niej, obejmując ją w pasie.

Był równie onieśmielający co Eddie.

– U Texa nie, bo kocie kłaki lepią się do karmelu! – zdecydowała Ally.

Hank objął ją od tyłu za ramiona, przyciskając do siebie, nieco przekornie, nieco brutalnie. Gil robił mi to samo, braterskie przytulasy!

Wszyscy byli bliskimi przyjaciółmi, było to widać po poufalitych gestach, przepychankach i przekomarzaniu. Zupełnie jak rodzina. Przyjęli do niej Texa i w końcu jakiś miał, co mnie bardzo cieszyło, ale jednocześnie uświadomiło bolesną prawdę, że najprawdopodobniej ja nigdy nie będę posiadać własnej.

– Właśnie, koty! Przecież musisz pomiziać moje koty, Roxie skarbie!

– Nie mogę się doczekać! – zawołałam ze szczerym entuzjazmem, bo naczytałam się o nich przez lata.

– Nancy, poradzicie sobie z Jet? – Tex spojrział na nią pytająco. – Ogarniecie wszystko i dacie znać, gdzie jest impreza? Mamy z Roxie sporo do nadrobienia! Kochaniutka, lecimy poznać kociaki!

Wujek wywlókł mnie z kawiarni, zanim zdążyłam siorbnać choćby łyczek mojego latte.

Zanim Tex przeciągnął mnie przez próg, odwróciłam się tylko na chwilę i uchwyciłam spojrzenie Indy. Wypowiedziałam bezgłośnie „Dziękuję!” tak, by mogła to zobaczyć. Rzuciła mi zakłopotany uśmiech, zanim wujek wyciągnął mnie na zewnątrz. Pewnie nie wiedziała, o co mi chodzi, ale musiałam to zrobić, w imieniu własnym, a także mamy, babci i ciotek.

Nie spozrzałam na Hanka.

Przestał dla mnie istnieć, tak musiało być.

Jeśli nie dla mojego dobra, to dla jego własnego.

Rozdział trzeci

Martini i niegrzeczne dziewczynki

A potem było już tylko lepiej. A może gorzej.

Zaznajomiłam się z kociakami. Sporo ich było. Cholernie dużo. Za opiekę nad niektórymi wujek Tex dostawał kasę, ale większość futrzaków należała do niego.

– Prawo nie zabrania trzymania takiej liczby zwierząt? – spytałam, prowadząc czerwoną kropkę laserowego wskaźnika po ścianie i obserwując, jak rudo-biała kotka imieniem Petunia próbuje ją złapać.

– Nie. – Wujek Tex stał obok kanapy, na której zasiadałam niby Kocia Królowa, która jak nikt inny umie operować laserem.

Bawiłam się świetnie, nawet z całym tym majdanem na mojej głowie. Wymieniliśmy tak wiele listów przez te wszystkie lata i teraz miło było się dowiedzieć, że Tex żywił do mnie takie same uczucia jak ja do niego.

– Hank i Eddie to gliniarze, nie przymkną cię za te koty? – drążyłam.

– Mają poważniejsze sprawy na głowie. Do Indycji bez przerwy ktoś strzela lub jest porwana, a Jet użera się z jakimś ściągaczem długów, co to nóż za pazuchą nosi. Albo ucieka przed gwałcicielem.

Czerwona kropka zatrzymała się na ścianie.

– Petunia chce się bawić, młoda, no dalej, zasuwasz tym laserkiem! – Tex patrzył na ścianę niewzruszony.

– Strzela, porwana, gwałciciel! – wydukałam.

Wujek odwrócił się do mnie.

– To długa historia.

– Chyba mamy czas, prawda?

– W zasadzie dwie długie historie – poprawił się.

– Mamy bardzo dużo czasu.

Usiadł obok mnie, odbierając mi wskaźnik, którym dla odmiany próbował zainteresować kocura o imieniu Rocky.

– Ten spaślak jest za leniwy... – mruknął pod nosem.

– Wujku!

Westchnął.

I opowiedział mi te dwie długie historie.

– Może zadzwonimy do mamy? – spytałam.

Musiałam łyknąć kieliszeczek bimbru domowej produkcji, no, może nawet dwa, żeby ochłonąć po tych rewelacjach. Morderstwa, giwery, farmy trawy, jakiś koszmar z klubem go-go, facetem z nożem, porwaniem i pobiciem, to wymagało wysokoprocentowego kurażu.

– Nie jestem jeszcze gotowy – odpowiedział Tex.

Musiałam dać mu jeszcze trochę czasu. Liczyłam na to, że będziemy mieć go mnóstwo, gdy już uporządkuję własne życie uczuciowe. Pozwolił mi przytulić się i złożyć głowę na swoim ramieniu.

– Powiesz mi w końcu, po co przyjechałaś? – szepnął tym dudniącym głosem.

Spięłam się.

– Nie jestem jeszcze gotowa. Niedługo – odrzekłam.

Czułam, że skinął głową, po czym oparł ją na mojej.

– Ale jedno musisz mi powiedzieć. Skończyłaś z nim?

Miał na myśli Billy'ego.
– Pracuję nad tym. – Zamrugalam.
Przytaknął, czułam to.
– To dobrze.

Wujek podwiózł mnie do auta, a potem udałam się do hotelu, żeby wyszykować się na imprezę. Gdy wysiadałam, stwierdził z przekąsem, że w Denver nosi się jeansy.

– Daj mi swój numer, chcę być w kontakcie. – Zajrzałam przez odkręconą szybę do jego auta.
– Nie mam komórki.

I odjechał.

Gapiałam się za brązowym chevroletem el camino, który z głośników kasetowego ośmiościeżkowca wyrzucał *Low Rider* na cały Broadway. Najwyraźniej Tex ciągle żył w latach siedemdziesiątych, po prostu nie zauważył, że już dawno minęły.

W recepcji hotelu dowiedziałam się, że najbliższe centrum handlowe znajdowało się w Cherry Creek i tam się właśnie udałam. Kupiłam wujkowi telefon, bo wprawdzie mógł ciągle słuchać muzyki ze starych kaset, ale przy okazji musiał nauczyć się korzystać z komórki. Brak telefonu w dzisiejszych czasach to jakieś wariactwo! Tex był takim trochę wariatem, podobnie jak Billy.

Wróciłam do hotelu i zrzuciłam kostiumik „poznaj Wujcia” i przebrałam się w szarozielone sztruksy. Może i w Denver noszono jeansy, ale ja nie zamierzałam się dostosowywać, a już na pewno nie podczas imprezy! Nie podczas takiej, na której miał się najprawdopodobniej pojawić Whisky. Udawałam, że nie zrobił na mnie wrażenia, ale przecież to było samooszukiwanie. Bardzo liczyłam na to, że tam będzie. Stwierdziłam, że golf i buty pasują, więc tylko dodałam nieco blasku cekinowym paskiem.

Włączyłam telefon.

Dziewięć nieodebranych połączeń i dziewięć wiadomości na sekretarce, wszystkie od Billy'ego, każda kolejna wyszczana coraz bardziej wściekłym głosem: „Znajdę cię, Roxie!”.

No pewnie, że znajdzie, właśnie na to liczyłam. To miał być ostatni raz. A potem się uwolnię.

Wręczyłam wujkowi komórkę, gdy po mnie podjechał.

– Naładowana. Wpisałam mój numer, a jak puścisz ją w tłum na imprezie, to każdy wpisze ci swój.

– Niepotrzebnie wydane pieniądze. Nie będę tego używał.

– Wujku...

– Nie będę!

– Wujku!

– Dziewuszko, to bardzo miłe z twojej strony, ale nie będę tego używał!

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Dobra, w takim razie ja te numery pozbięram.

– Daj spokój.

W listach nie wydawał się taki uparty.

– Założę się, że Nancy ma komórkę! – zagałam.

Ja również potrafiłam być uparta. Wujek nie odpowiedział. W półmroku dojrzałam, jak się rumieni.

– Ona ci się podoba! – zawołałam radośnie.

– Choleeera... – mruknął.

– Zakochana paaara, Teeex i...! – zaśpiewałam.

– Ile ty masz lat? – burknął zażenowany.

– Trzydzieści jeden! – Przecież dobrze wiedział ile.

– To weź się zachowuj jak dorosła!
To naprawdę było zabawne!

Podjechaliśmy pod jakiś bliźniak, ale tylko w jednej części paliło się światło. W odsłoniętych oknach było widać cały tabun ludzi, upchniętych w środku jak sardynki.

Przyszli wszyscy, których poznałam w Fortnum, i jeszcze sąsiedzi Indy, papużki nierozłączki Stevie i Tod. Była jeszcze piersiasta blondynka, która wyglądała jak sobowtór Dolly Parton. Miała na imię Daisy.

W tłumie kręcili się też ojciec Indy, Tom, rodzice Hanka – Malcolm i Kitty Sue – i jakieś koleżanki mamy Jet: Trixie i Ada. Dojrzałam jeszcze Duke’a, o którym Tex również wspominał w listach, siwego harleyowca z warkoczem i bandaną na głowie. Gdzieś na uboczu snuł się ćpunek zwany Kevsterem, który w ogóle nie pracował, i psiapsiółki Indy i Ally: Andrea oraz Marianne. Do tego stado facetów, jacyś policjanci i pracownicy Lee. Potem się dowiedziałam, że Mace, Vance i Matt również byli zatrudnieni w jego agencji detektywistycznej.

I faktycznie, wszyscy mieli na sobie jeansy, nawet obszyta cyrkoniami spódniczka Daisy była jeansowa! Jednak wkopałam się z tym strojem...

Mimo to bawiłam się świetnie. Ta impreza okazała się znakomitym pomysłem, bo wujek miał fajnych przyjaciół i dobrze się wśród nich czułam. Wyluzowałam się, nawet za bardzo, szczególnie wtedy, gdy dziewczyny opowiedziały mi o tym, jak goniły z pistoletami jakieś laski w barze, a ja zgięta wpół o mało nie posikałam się ze śmiechu. Tod pochwalił się, jak Indy śpiewała razem z nim z playbacku podczas występu drag queen. Darłam się „No przestań!” tak głośno, że wszyscy się gapili. Ten tłum oznaczał, że mogłam skutecznie unikać Hanka, choć przestrzeń była dość ograniczona.

Przez jakiś czas mi się udawało.

Ale nie chciałam się na tym skupiać, bo to była naprawdę udana biba! Istne wariatkowo! Ludzie gawędzili, pogryzając nerkowce, a tam, gdzie nerkowce, tam świetna impreza, to każdy wie. Zapijaliśmy je mocnym wytrawnym martini, które Indy mieszała w shakerze; było tak diabło dobre, że wypilałam trzy, zanim się zorientowałam, że przeginam.

Moim największym błędem było jednakże skuszenie się na wafle czekoladowo-karmelowe, gdy Hank był tuż obok. Nikt mnie nie ostrzegł, jakie to dobre. Zamknęłam oczy i jęknęłam głośno, nie mogłam się powstrzymać.

Gdy je otworzyłam, wszyscy ci przystojniacy gapili się na mnie i w ogóle już nie wyglądali na groźnych. Lee, Eddie, Mace, Vance i oczywiście Hank, który patrzył na mnie tak, jakby to on dla odmiany chciał zjeść mnie.

W głowie mi szumiało, puls przyspieszył.

– No co? – zapytałam niewinnie. – Pyszne to jest!

Wujek położył mi rękę na głowie.

– Widać, że to rodzinka, co?

Ally podeszła akurat w chwili, w której Indy wymieniała mi kieliszek na pełny. „Martini dla niegrzecznych dziewczyn”, tak wszyscy mówili na te drinki.

– Podobno kupiłaś Texowi komórkę? – zagała.

– Ano! – odpowiedziałam z entuzjazmem godnym lepszej sprawy i wyciągnęłam telefon z kieszeni. – Wpisuję mu kontakty. Dasz swój numer? – Otworzyłam klapkę i wstukałam imię w książkę adresową.

– Nie będę tego używał! – powtórzył Tex.

– Owszem, będziesz! – ofuknęłam go.

– Głupia strata kasy! – odparował.

Spojrzałam na niego z niesmakiem.

– A właśnie, że będziesz! – rozkazałam mu bardziej, niż oznajmiłam.

– Ależ ty się pięknie złościysz! – rzucił mi uśmiezek.

– Ależ ty jesteś upierdliwym uparciuchem! – odrzekłam, sącząc... nie, biorąc potężny łyk martini.

Prawie odleciałam do jakiejś krainy niegrzecznych dziewczynek! Wujek pokręcił głową, jakby to było zabawne.

– A co, jeśli Nancy będzie potrzebowała oprzeć się na twoim silnym ramieniu, a ty akurat będziesz turlał się po mieście w swoim chevroletcie? Hm? Co wtedy?

Wujek poczerwieniał, nie tylko z gniewu. Gdybym zachowała czujność, co oczywiście było niemożliwe z powodu nabzdryngolenia, zauważyłabym, że wszystkie dziewczyny wokół mnie nagle zaczęły się uśmiechać, a faceci wokół stali się jakby spięci.

– Roxie... – usłyszałam za sobą głęboki głos.

Nie rozpoznałam go od razu, ale wydał mi się dziwnie znajomy... To był Hank.

– No więc? – Zignorowałam Hanka i wzięłam się pod boki, wciąż patrząc na wujka.

– Roxanne Giselle, grabisz sobie! – zamruczał złowrogo.

– Ha! – krzyknęłam dumnie, a czując Hanka za sobą, nie mogłam wymyślić nic sensownego.

Gdy Tex pochylił się groźnie nade mną, poczułam, jak Hank chwyta mnie za ramię i odciąga spoza jego zasięgu. Przyciągnął mnie do siebie, a ja byłam zbyt pijana, żeby się opierać, a zresztą podobało mi się to. Wujek spojrzał na niego ponad moją głowę.

– Nightingale, może powinienś ją stąd wyprowadzić i wstukać swój numer w mój cholerny nowy telefon?

– Niezła opcja – rzekł Hank za mną.

W przebłysku świadomości pomyślałam, że to kiepska, bardzo kiepska opcja. Nie było jak się wywinąć. Hank już manewrował moim bezwładnym ciałem poprzez tłum. Zgarnął z krzesła swoją kurtkę i wyprowadził mnie przez kuchnię tylnymi drzwiami.

Tak to się właśnie zaczęło.

Początek końca.

Uderzenie chłodnego nocnego powietrza odczułam jak policzek. Gdybym nie odfrunęła do krainy niegrzecznych dziewczynek, to od razu bym wytrzeźwiała. Niestety, już odleciałam, byłam kompletnie nieprzytomna. Wetknęłam telefon do tylnej kieszeni i spojrzałam na Hanka.

– Wujek jest uparty – rzekłam butnie.

Włączył światło na tylnym ganku, dodatkowo oświetlała nas latarnia stojąca za domem. Hank podszedł do mnie i zarzucił mi kurtkę na plecy. Objął mnie, gdy okrywał moje ramiona, poprawił kołnierz z przodu i jego dłonie zatrzymały się tuż przy mojej szyi. Drżałam, ale jednocześnie zrobiło mi się bardzo gorąco.

– To chyba u was rodzinne – zauważył.

– Nie jestem uparta! – zaprzeczyłam, choć było to ewidentne kłamstwo.

– Ta, jasne – odparł, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Powinniśmy wrócić do środka i pokazać Texowi, jak się tego używa. Jeśli choć część z tych mrozących krew w żyłach historyjek, których się dzisiaj nasłuchiwałam, jest prawdziwa, to przyda mu się telefon. Na wszelki wypadek.

– Tu muszę ci przyznać rację – rzekł, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Podejrzewam, Whisky, że sporo jeszcze w tej kwestii zostało niedopowiedziane.

Zacisnął dłonie na materiale, przysunął się jeszcze bliżej.

– Whisky...? – Głos mu złagodniał, a spojrzenie złotych oczu zrobiło się jakby senne.

Serce skoczyło mi w piersi. Nie zamierzałam mu tego tłumaczyć, usiłowałam się odsunąć. Nie byłam aż tak ubzdryngolona, żeby całkowicie stracić czujność. Brnęłam dalej w tę rozmowę.

– Z tego, co Tex mi pisał, wnioskuje, że bardzo cię szanuje, więc jeśli to ty każesz mu używać

telefonu, z pewnością posłucha.

– Może skończymy już gadkę o telefonie, co?

Przechyliłam głowę i patrzyłam na niego przez przymknięte powieki.

– Że niby ty nie jesteś uparta? – zapytał.

– Nie – skłamałam gorliwie.

– Jasne. – Wyszczrzył się w uśmiechu.

– Przestań się ze mnie śmiać, nie jestem uparta!

– I może jeszcze powiesz, że nie jesteś wymagająca?

– Nie! – zachnęłam się.

To była bzdura, byłam cholernie wymagająca. Przyglądał mi się uważnie.

– Gdyby wczoraj ktoś mi powiedział, że siostrzenica Texa jest taką laską, w życiu bym nie uwierzył! Że ma taki charakter, pewnie, ale nie, że tak wygląda!

– Co to niby ma znaczyć? – warknęłam.

– To znaczy uparta, pewna siebie, lekko stuknięta.

– Nie jestem stuknięta! – wypaliłam, choć oczywiście byłam walnięta, może nie tak jak wujek Tex, ale zawsze.

– Jasne... – Hank parsknął znowu.

– Ile my się znamy, dziesięć sekund? I już ci się zdaje, że tak dobrze mnie znasz?

– Kochanie, rozgryzłem cię już w chwili, w której przekroczyłaś próg Fortnum.

Zatkało mnie.

Odetchnęłam z trudem i postanowiłam podrażnić temat. Głupie to było, wiem, a poza tym byłam już nieźle napruta, więc co mi zależało?

– I uważasz, że jestem uparta i wymagająca?

– Tak stwierdził Eddie i myślę, że ma sto procent racji.

Cholera, gadali o mnie!

– To dlatego za mną nie przepada – skonkludowałam.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, opuścił ręce i się odsunął. Gdy był tak blisko, czułam się ciepło i bezpiecznie. Nie podobało mi się to, że się odsunął.

– Eddie nie ma cierpliwości do wymagających lasek – poinformował mnie Hank.

– Eddie wcale mnie nie zna i ty też nie! Nie macie prawa mnie oceniać!

– Eddie wkrótce przekona się, że miał rację, i się z tym pogodzi. Ja już się pogodziłem.

Nie chciałam, by się z czymkolwiek godził. W ogóle go w tamtym momencie nie chciałam. To nie była do końca prawda, ale przekonywałam samą siebie, dość mało skutecznie, w końcu byłam nieźle zawiana.

Hank patrzył na mnie tak, jakby mógł odczytać moje myśli.

– Jak długo zostajesz w Denver? – zapytał neutralnie.

– Przez jakiś czas – odparłam.

– Ile to jest „jakiś czas”? – drążył.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Wystarczająco długo, by zjeść ze mną kolację?

A niech mnie! Wujek pisał o tym w listach i proszę, zaczynało się. Ci chłopcy z Denver nie certolili się, jeśli czegoś chcieli.

– Że co proszę? – Zamrugalam, bo chyba się przesłyszałam.

– Dobrze słyszałaś.

– To nie jest najlepszy pomysł – odpowiedziałam, wyciągając przed siebie dłoń dla podkreślenia sprzeciwu.

Zapomniałam, że wciąż miałam w ręku kieliszek z martini, i teraz rozchlapało się po chodniku. I po kurtce Hanka.

– Cholera, przepraszam! – Odwróciłam się, żeby odstawić kieliszek na pobliski stolik, i pomyślałam, że to świetna okazja do ucieczki. – Pójdę po ręcznik!

Zatrzymał mnie, chwytając za ramię. Cóż, nici z ucieczki.

– Nic się nie stało...

– Obląłam cię drinkiem!

– Zaraz wyparuje.

Gapiałam się na niego bezmyślnie.

– Wcale nie, to zamsz. Cholera, całkiem przemoknięte... Odkupię ci.

– Niczego mi nie odkupisz!

– Odkupię, zniszczyłam ci kurtkę. Idę po ręcznik.

– Nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie. – Hank nie zamierzał się poddać.

– Nie chcesz osuszyć tej plamy?

Oczywiście, że nie chciałam mu odpowiadać, za wszelką cenę usiłowałam się wywinąć! Przyciągnął mnie bliżej.

– Wróćmy do tej wspólnej kolacji. Jutro wieczorem. Podjadę po ciebie o szóstej trzydzieści.

Gdzie się zatrzymałaś?

Pokręciłam przecząco głową.

– Akurat o tej porze będę zabawiać koty wujka Texa. – To było słabe, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

– Czy jest jakiś powód, dla którego odrzucasz moje zaproszenie?

Był, i to niejeden, miałam milion powodów, a najważniejszy miał na imię Billy. Oczywiście nie zamierzałam żadnego z nich zdradzić Hankowi.

– Nie – skłamałam.

– Więc gdzie się zatrzymałaś? – Hank również potrafił być uparty.

– Posłuchaj, przyjechałam tylko w odwiedziny do wujka, zaraz mnie tu nie będzie.

Zdawać by się mogło, że nie był w stanie przyciągnąć mnie już bliżej bez nieuniknionego zetknięcia się naszych ciał. Spojrzał na mnie z góry z uśmiechem. Mój umysł opustoszał na widok tego uśmiechu; był zniewalający, hollywoodzki.

– Kochanie – szepnął niskim, zmysłowym głosem – może tylko to miałaś w planach, dopóki nie przekroczyłaś progu Fortnum. Wówczas mnie zobaczyłaś, a ja ujrzałem ciebie i twoje plany uległy zmianie. Oboje to wiemy, ale widzę, że muszę cię przekonać.

A niech mnie! Poczułam motyle w brzuchu i dziwne napięcie w biuście, który aż rwał się do tego, by przyłgnąć do piersi Hanka. Aż dziw brał, że nie wyskoczył mi z biustonosza z tej tęsknoty.

Tak, chciałam, żeby mnie przekonał. Pragnęłam tego. Czy dlatego wypaliłam taką głupotę?

– Nie masz pojęcia, po co tu jestem.

Jego twarz była tuż przy mojej. Nie mogłam się ruszyć, choć wiedziałam, że powinnam.

– Nie mam póki co, ale powiesz mi podczas jutrzejszej kolacji – rzekł, patrząc mi prosto w oczy.

– Raczej nie.

– Raczej tak.

Poczułam narastającą panikę, gdy uświadomiłam sobie, że za moment mnie pocałuje, jeśli się nie wycofam. Spróbowałam wyswobodzić rękę.

– Wracam do środka.

Poczułam jego drugą dłoń na biodrze, palce wbijające się w moje ciało delikatnie, ale stanowczo.

– Gdzie się zatrzymałaś? – powtórzył.

Serce mi waliło.

– Puszczaj! – syknęłam.

– A więc jednak muszę cię przekonać – powiedział takim tonem, jakby mój protest działał na jego korzyść i sprawiał mu frajdę.

Właśnie zamierzałam ostro zaprotestować, gdy przygniótł mnie do swojego ciała i pocałował.

Dobry Boże! No tak, chłopcy z Denver się nie opieprzali. To nie był delikatny pocałunek, musnięcie warg, subtelny dotyk ust. To był drapieżny atak; jego wargi objęły moje, język uporczywie usiłował wślizgnąć się do środka, aż się poddałam, opór trwał jedynie chwilę.

Nie wbijał już palców w moje biodra, bo po prostu prawie się na nim położyłam. Objęłam dłońmi jego kark, powędrowały w górę, przegarniając jego włosy. Przechyliłam głowę na bok, odwzajemniając pocałunek. Nic nie mogłam na to poradzić, nigdy w życiu nikt mnie tak nie całował! Nawet oralne talenty Billy'ego chowały się przy tym!

Gdy oderwał usta od moich, przez moment nie otwierałam oczu, tylko szepnęłam:

– A niech mnie...

– Gdzie się zatrzymałaś? – szepnął w moje usta.

– Hotel Marriott w dzielnicy Speer.

– Dawny budynek Hirschfelda?

Skinęłam tylko, ciągle półprzytomna od tego cholernego pocałunku. Było mi tak dobrze i ciepłutko tuż przy nim, mimo że poplamiona kurtka dawno zjechała mi z ramion.

– Słoneczko, otwórz oczy! – szepnął.

Spojrzałam na niego, znowu się szeroko uśmiechał.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zagał.

Cholercia!

Tak jakbym jeszcze nie miała dość!

Usiłowałam wyrwać się ze szponów nabzdryngolenia, czułam wciąż jego dłoń na biodrze, teraz przesuwająca się w górę, aż objął mnie w talii. Drugą ręką przytrzymał moją głowę. Na nic było to moje wrywanie się.

– Za co podziękowałaś Indy, wychodząc z lokalu?

Chwilę zajęło mi przypomnienie sobie, co miał na myśli. A że nie było to jakieś specjalnie podchwytliwe pytanie, odrzekłam:

– Doprowadziła do mojego spotkania z wujkiem Texem.

Objął mnie mocniej, kciukiem kreśląc zarys mojej brody.

– Przecież jesteście ze sobą tak blisko...

Pokręciłam przecząco głową.

– Dziś po raz pierwszy się spotkaliśmy.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Serio?

Złożyłam dłonie na jego piersi i usiłowałam go odepchnąć, ale nawet nie drgnął. Poddałam się i po prostu rozkoszowałam faktem, że go dotykam.

– Serio. Pisywałaś do niego od dziecka, ale nigdy się nie spotkaliśmy. Odciał się od rodziny po powrocie z wojny. Odpisywał tylko mnie.

– Jezu... – mruknął Hank.

– Przez wiele miesięcy czytałam o was. Wiem, że Indy w zasadzie pozbierała go z ulicy i dała mu robotę. Zdecydowałam, że skoro wrócił do żywych, to może pora go odwiedzić i spróbować sprowadzić na łono rodziny.

– I tylko po to przyjechałaś? – Hank patrzył mi prosto w oczy.

No, nie tylko po to, ale sprawa była zbyt poważna, by go okłamywać, więc po prostu nie odpowiedziałam.

– Czy on już wie, co knujesz?

Skinęłam lekko.

– Domyśla się, ale chyba nie jest na to gotowy.

– I pewnie łatwo nie dasz za wygraną?

Tym razem pokręciłam głową przecząco.

– Grzeczna dziewczynka – szepnął.

Jego aprobata była jak ciepłe okrycie na plecach.

– Puścisz mnie w końcu? – zażądałam.

Poczułam jego dłoń na karku.

– Tylko jeśli obiecasz, że będziesz w swoim hotelowym pokoju jutro o wpół do siódmej, gdy po ciebie przyjadę.

– Obiecuję – szepnęłam, żeby w końcu go spławić.

Nie zamierzałam być nawet w pobliżu hotelu, choć w głębi duszy tego pragnęłam.

– Ale wiesz, że jestem gliniarzem?

Potaknęłam.

– I wiesz też, że Lee ma agencję detektywistyczną?

Ściągnęłam brwi i ponownie skinęłam głową.

– I masz świadomość tego, że wszyscy jego pracownicy to doświadczeni łowcy głów?

Nie, tego nie wiedziałam. Moje oczy musiały się zrobić wielkie jak spodki.

– Naprawdę? – spytałam bez sensu.

– Ta – rzucił tylko.

– Po co mi to wszystko mówisz?

– Bo jeśli nie będzie cię jutro w hotelu, to i tak cię znajdę. Ja albo jeden z chłopaków.

I przyprowadzi cię do mnie.

O rety. Poczułam w gardle skurcz strachu.

– Chyba sobie jaja robisz.

– Nie.

No to wpadłam.

– Dlaczego niby?

– Dobrze wiesz, dlaczego.

Wiedziałam aż za dobrze. Fatalne zauroczenie.

– Whisky...

– Słoneczko, teraz obiecaj mi jeszcze raz, ale tym razem nie kłam.

Przecież mogłam zjeść z nim kolację. I mieć to z głowy. Potem wtajemniczę wujka w moje plany, zostawię ślady dla Billy'ego tak, by mnie odnalazł i zabrał do Chicago. A następnie wezmę od Annette forsy i ciuchy i z pomocą Texa zniknę na wystarczająco długo, by Billy o mnie zapomniał i poszedł w swoją stronę. Przy okazji mogłam dorzucić miłe wspomnienie do swojej kolekcji: kolację z przystojniakiem.

– Dobrze – westchnęłam. – Będę czekać w hotelu.

Myślałam, że skoro to w końcu ustaliliśmy, to puści mnie i odejdzie, ale zamiast tego pochylił się nade mną i wciąż podtrzymując moją głowę, znów mnie pocałował. Było jeszcze przyjemniej niż za pierwszym razem, o ile to w ogóle możliwe.

Ocknęłam się z ramionami obejmującymi jego szyję.

– Przystań w końcu mnie całować – zbeształam go, ale wcale nie zabrzmiało to przekonująco.

Uśmiechnął się.

– Przystanę na dziś, ale jutro to powtórzemy! – Jego dłoń wciąż błędziła w mych włosach i wyszeptał, muskając wargami moje ucho: – I gdy tylko będę miał okazję, posmakuję nie tylko twoich ust!

Mój Boże! Myślałam, że zemdleję, wszystko, co mogło we mnie zeszywnieć, właśnie to zrobiło, ale kolana dla odmiany ugięły się pode mną i musiałam przytrzymać się Hanka.

– Nie za szybko to idzie? – wydyszałam.

Ucałował mnie w szyję, po czym znów spojrzął mi w oczy.

– Kochanie, poczekaj, aż nabiorę rozpędu, wtedy naprawdę zakręci ci się w głowie! – obiecał.

Ale w mojej głowie już szalała karuzela.

Rozdział czwarty

Oczy szeroko otwarte

Leżałam na kanapie w Fortnum, ze stopami złożonymi na oparciu i przedramieniem skrywającym oczy. Nie obchodziło mnie, czy klienci wezmą mnie za wariatkę.

Z odtwarzacza mp3 sączyło się w moje uszy *Thunder Road* Springsteena. Czekałam, aż wujek skończy pracę, i na próżno usiłowałam nie wspominać wydarzeń z wczorajszej imprezy.

Gdy wróciliśmy do środka, postanowiłam wypić piątą martini – Martini Zidiocenia – i z tego, co pamiętałam, spędziłam resztę wieczoru, stojąc obok Hanka i chichocząc; chyba nawet przez większość tego czasu trzymałam go za rękę. Dobry Boże! Na szczęście, zanim zdążyłam wypić szóstą martini – Martini Wymiotne – wujek Tex odwiózł mnie do hotelu. Leżałam w łóżku, czekając, aż pokój przestanie wirować, i w końcu zasnąłam.

Po przebudzeniu czułam się tak, jakby przejechała mnie ciężarówka. Stałam długo pod prysznicem, nie byłam w stanie otworzyć oczu bez poczucia, że zamieniają się w płonące dziury w mojej głowie. Ułożyłam jednak włosy i zrobiłam makijaż. Zdecydowałam się włożyć jeansy, bo wszystko do nich pasowało, a naprawdę nie byłam w stanie przemyślnie kompletować stroju. W końcu mieliśmy poniedziałek, więc Hank z pewnością pracował, nie było szans na spotkanie go w ciągu dnia. Nie musiałam wyglądać jak Kosztowna Szprycha aż do wpół do siódmej wieczorem.

Założyłam białą koszulę, która zamiast kołnierza miała uroczy żabocik. Okrągłe kolczyki i obróżka to nie był zbyt ekstrawagancki dodatek do srebrnych baletek.

Wtoczyłam się do Fortnum po przejechaniu czterech przecznic. Tex, Duke i Indy spojrzeli na mnie ponad kolejką klientów.

– Cholera, dziewczyno! – zawołał wujek, gdy już przepchnęłam się na początek kolejki, ignorując wszystkich dookoła.

– Kawusię...! – wydyszałam.

– Halo, teraz moja kolej! – zawołał facet, stojący tuż przy ladzie.

Odwróciłam się w jego stronę.

– Wczoraj golnęłam pięć martini, a potem całowałam się z nieznajomym przystojniakiem. *Dwa razy* – powiedziałam mu.

– Dobra, zasłużyłaś na pierwszeństwo! – zgodził się.

Usłyszałam śmiech Indy.

Spojrzałam na udekorowaną pianę na szczycie kubka z karmelową latte i zrozumiałam, dlaczego zatrudniła Texa.

– Wujku, to jest śliczniutkie! I przepyszne!

– Masz piankę na ustach – odpowiedział.

Zlizałam ją, zauważając, że Duke się na mnie gapi.

– Czy moglibyśmy mieć, powiedzmy, tydzień przerwy, zanim następna taka wtoczy się tymi drzwiami? – zapytał, przenosząc wzrok na wujka.

– Bierz, co dają! – Tex wzruszył ramionami.

– O czym oni mówią? – spytałam Indy, pociągając kolejny łyk.

Pogrzebała w torebce i wydobyła fiolkę ibuprofenu, podała mi dwie tabletki.

– Czy Tex ci mówił o kłopotach Jet? – spytała.

Popiłam tabletki kawą.

– Chodzi o gwałciiciela, pożyczkę i tatusia, którego wyrzucono z pędzącego samochodu?

Stojący najbliżej mnie facet wybałuszył oczy, ale obie go zignorowałyśmy.

– No wiesz, załatwiliśmy to w piątek, a już w niedzielę zjawiłaś się ty. Widząc cię z Hankiem, no wiesz...

– Co wiem?

– Chyba Duke nieco się martwi.

– Nieco, akurat! Hank ma przesrane! – Spojrzał na mnie. – Bez urazy, ale podejrzewam, że przejedziesz go jak walec. I z pewnością wszystkim dookoła też się dostanie!

Zamrugalam.

– Zostanę w mieście tylko kilka dni.

– Co nie zmienia faktu – odparł Duke.

– Alleluja! – zagrział Tex. – Nie ma co się obijać, złociutka, już ty im pokażesz!

– Chyba się porzygam... – Spojrzałam na Indy.

– Czyżby kacunio? – spytała.

– To też – odrzekłam, a ona się zaśmiała, choć nie widziałam w moim żalonym stanie niczego zabawnego.

W tym momencie do środka wkroczyła Daisy, ubrana w obcisły różowutki welurowy dresik, z zamkiem bluzy rozchylonym tak, by jej „dolina śmierci” była wyraźnie widoczna. Pleciona opaska frotté upodabniała ją do młodszej wersji jakiejś upiornej mieszanki Dolly Parton z Jackie Stallone.

– Hey, Roxie! Wpadłam zapytać, czy nie masz ochoty na energiczny spacer, póki Tex pracuje – zawołała.

Zaburczało mi w brzuchu.

– Chyba że po cheesburgera! – wypaliłam, bo było to moje jedyne skuteczne lekarstwo na kaca. Po ostatnim kęsie i popchnięciu fryteczkami miałabym kwadrans nirwanicznego ukojenia.

– Złotko, cheesburger kłóci się z ideą rażnego spacerku! – zrugła mnie Daisy.

Jak oni wszyscy unikali kaca? Przecież łośliśmy równo, wszyscy razem, jednym tempem! To niemożliwe! To chyba kwestia szerokości geograficznej.

– No to szoruj energicznym spacerkiem do burgerowni i z powrotem! – zasugerowała Indy.

– Albo na Syberię i tam zostań – wtrącił Duke.

Rzuciłam mu morderczy grymas.

– Kuuuurna, Hank ma przejebane!

– Hank będzie jebany, jeśli ktoś chce znać moje zdanie! – zaświergotała Daisy.

– To jest dom wariatów! – rzuciłam w stronę stojącej obok zdezorientowanej klientki.

– Tutaj jest tak zawsze – odparła. – Dlatego tu przychodzę. To jak wejście do wysokobudżetowego sitcomu!

Zaczynałam nabierać złych przeczuć. Daisy chwyciła mnie za ramię i poprowadziła różnym krokiem do burgerowni na rogu Broadway i Alamedy. Gdy czekałyśmy w kolejce na odbiór największego cheesburgera i góry frytek, zagadnęła:

– No dobra, a teraz wypowiedaj się ładnie Daisy!

– Z czego? – spytałam.

– Z tego, co cię trapi.

Nie sądziłam, że tak łatwo mnie przejrzeć.

– Nic mnie nie trapi – skłamałam.

Przez moment uważnie mi się przyglądała, gdy odbierałam od obsługującego mnie chłopaka torbę z zamówieniem.

– Jak będziesz w końcu chciała się komuś zwierzyć, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Skinęłam głową. Polubiłam ją jeszcze bardziej przez to, że nie naciskała. Nie za wiele miałam do wyznania, ale to i tak mnie uwierało.

Wracałyśmy już spokojnym tempem, głównie dlatego, że pochłaniałam wielkiego cheesburgera, a Daisy w tym czasie wbijała kontakty do mojej komórki, tak „na zaś”, jak sama to określiła.

W Fortnum dopiłam dietetyczną colę (wiecie, jest taka niepisana dziewczyńska zasada, która mówi, że nawet jeśli się nażresz jak świnia, to popij czymś niskokalorycznym!) i zamówiłam na deser kolejną karmelową latte.

Klienci już się przerzedzili. Daisy i Indy gawędziły przy regałach z książkami, Duke się ulotnił, a wujek obsługiwał ekspres.

– A tamten twój chłopak patałach jest już ekschłopakiem, jak mniemam? Tak się wczoraj z Hankiem za rączki trzymaliście... – zauważył.

– Czy możemy teraz o tym nie mówić? – westchnęłam.

– Szanuję Hanka, to dobry facet – ciągnął Tex. – Powiedz, że skończyłaś z tamtym śliskim skurwysynem!

– Skończyłam z Billym, i to dawno temu. Po prostu on nie może się z tym pogodzić. Idę na kolację z Hankiem, ale tylko dlatego, że nalegał.

– Ta, jasne!

– To tylko kolacja! Nic więcej. Przynajmniej do czasu, aż pozamiatam za Billym.

– Może w Chicago kolacja nic nie znaczy. Ale tutaj to jest coś. Mówię ci, tutejsi faceci się nie certolą! – perorował Tex.

Już się o tym przekonałam.

– Indy zamieszkała z Lee po jednym dniu bycia razem. Jet zahaczyła się na poważnie z Eddiem po mniej niż tygodniu. I powiem ci, że sądząc po sposobie, w jaki Hank pożera cię wzrokiem, urobienie cię zajmie mu mniej niż dwie doby – kontynuował Tex.

A niech mnie!

– Jako twój wujek dodam jeszcze, że lubię tego gościa, i jeśli wam wyjdzie, będę fikał koziółki ze szczęścia!

No to wpadłam.

– Później o tym pogadamy, dobra? – Uniosłam brwi.

– Posiedź tu jeszcze trochę, potem pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać. Nie chcę, żebyś się włóczyła, narażając się na porwanie czy atak bombowy – zaczął, a widząc, że oczy mi się powiększają ze zgrozy, dodał: – To też już się zdarzało.

W mordę.

Ułożyłam się na kanapie, włączyłam Springsteena i choć kac powrócił ze zdwojoną siłą, przesłuchałam *Candy's Room*, *Incident on 57th Street* i znowu rozległo się moje ulubione *Thunder Road*. Właśnie wtedy poczułam, że ktoś mości się jak gdyby nigdy nic obok mnie. Otworzyłam oczy. Hank siedział tuż obok, nasze biodra się stykały. Cholera.

– Co ty tu robisz? – spytałam.

Uśmiechnął się, a ja poczułam przyjemny skurcz w żołądku. Odebrał mi odtwarzacz i zerknął na wyświetlacz. Spojrzenie mu złagodniało, lecz niezależnie od tego ściszył rockowy hałas do cichego mruczenia. Pochylił się nade mną, jego palce odszukały kabel słuchawek, który spoczywał na mojej piersi. Pociągnął za niego i słuchawka wyskoczyła z mojego prawego ucha w tej samej chwili, w której zbliżyły się do niego jego usta.

– Krzyczysz – wyszeptał.

Niech to diabli. Byłam beznadziejna.

– Ale Springsteen jest tego wart – dokończył.

– Nie powinienes być w pracy? – zapytałam, gdy się odsunął.

Przesunął rękę i oparł się o kanapę w taki sposób, że nasze ciała przylgnęły do siebie. Usiłowałam nie myśleć o tym, że już kilkakrotnie zrobiłam z siebie idiotkę, właśnie tutaj, w antykwariacie w Denver, a dopiero dochodziło południe.

– Wpadłem na kawę – odrzekł Hank.

– Aha.

– Skoczmy na lunch?

– Miałam zjeść z wujkiem.

Zerknął w stronę ekspresu, podażyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Czteroosobowa kolejka do złożenia zamówienia i jeszcze dwie osoby czekające przy ladzie na odbiór kawy. Wujek uwijał się przy ekspresie, waląc utensyliami, jakby każdą z tych kaw musiał wyrzeźbić przy użyciu nadludzkiej siły.

– Nie wiem, czy da radę się wyrwać. – Hank przeniósł wzrok na mnie.

– Przed chwilą wciągnęłam cheeseburgera kingsize – powiedziałam mu. – Nie jestem głodna. Zmierzył mnie wzrokiem. Miałam wrażenie, że zarumieniłam się po raz pierwszy od bardzo dawna.

– To może po prostu dotrzymasz mi towarzystwa?

– Mam potwornego kaca. Jeśli choć spojrzę na jedzenie, to na pewno mnie zemdli. I podejrzewam, że będzie mnie trzymać do kolacji. Nie narąbałam się tak od czasu rozgrywek futbolowych w maturalnej klasie.

– A więc w nocy też nie poszalejemy.

Czy on miał na wszystko gotową odpowiedź? Zanim zdążyłam zripostować, zapytał:

– Kibicowałaś czy byłaś cheerleaderką?

– Kibicka z urodzenia, cheerleaderka z nadania.

Powiedziałam to zupełnie naturalnie, bo powtarzałam to jakoś tak od trzeciego roku życia. Nie miało zabrzmieć słodko, zaczepnie ani zalotnie.

Spojrzenie Hanka powiedziało mi jednak, że odebrał to na wszystkie trzy powyższe sposoby. Uniosłam się i wyprostowałam, więc siedziałam z nim teraz twarzą w twarz.

– Nie nakręcaj się za bardzo, Whisky. Jestem jeszcze nieco zmulona. Ta kolacja to chyba nie najlepszy pomysł.

– Dobrze wiesz, że najlepszy.

– Nie, nie wiem! Jestem tu prywatnie, mam sprawę do wujka. Naprawdę nie potrzebuję, żebyś wszystko komplikował.

– Co to za prywatne sprawy? – dociekał.

– Prywatne to znaczy prywatne – odpowiedziałam.

– Może odprowadzisz mnie do auta, żebym miał jeszcze chwilę na przekonanie cię do tego, byś jednak wygoszparowała dla mnie kilka chwil swojego cennego czasu? – naciskał.

– Wystarczy tego przekonywania! – krzyknęłam i wszystkie głowy odwróciły się w naszym kierunku, syknęłam więc ciszej: – Obiecałeś, że dasz mi spokój do wieczora.

– A więc zaczekam do wieczora.

Sama dawałam mu przyzwolenie.

– Arogancki z ciebie sukinsyn! – warknęłam.

Co miałam mu niby powiedzieć? Miałam kaca, a gdzieś tam, w poprzednim życiu, jeszcze nie ostygło łóżko po moim byłym. No dobra, Billy pewnie już się z niego wygramolił i wyruszył na poszukiwania. No i nie bzykaliśmy się w tym łóżku od niemal roku, choć próbował się do mnie dobierać, a odmowy tylko go wkurzały. Musiałam jednak wykreślić przeszłość z Billym, zanim Hank wkroczy do mojej przyszłości. I teraźniejszości.

– Słoneczko, jesteś powalająca nawet wtedy, gdy zgrywasz sukę!

Żachnęłam się i zmrużyłam oczy.

– Nie waż się nazywać mnie suką!

– Wyjaśnij mi coś: możesz nazywać mnie sukinsynem, ale mnie nie wolno się odgryźć?

– Tak właśnie.

Znowu się uśmiechnął. Chyba wpadłam w kłopoty. Nie było na niego sposobu. Może dlatego, że tak naprawdę nie chciałam go zdenerwować. Musiałam spoważnieć.

– Nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

Znowu pochylił się nade mną, jego twarz zawisła kilka centymetrów nad moją.

– Posłuchaj mnie uważnie, Roxanne. Wiedziałem, że kłopoty to twoje drugie imię, gdy tylko cię zobaczyłem. Liczę na to, że sama mi o nich opowiesz. Ale jeśli nie, to i tak pojawię się, gdy cię w końcu dopadną. Na razie mam cię na oku dla Texa. I z ciekawości. Ale po dzisiejszej nocy, jak mniemam, dojdą jeszcze inne powody.

A niech mnie. Zamurowało mnie, więc choć raz zrobiłam coś mądrego dla odmiany: milczałam.

– Rozumiem, że dbasz o własne bezpieczeństwo – ciągnął. – Ale mnie chronić nie musisz. Mam oczy szeroko otwarte...

Brakowało mi tchu.

– Hank... – zaczęłam, ale nie pozwolił sobie przerwać.

– ...i podoba mi się to, co widzę.

Rety.

– Mam kłopoty – powiedziałam.

– To już wiem.

– O ciebie mi chodzi.

– Dobrze wiedzieć, że i ty masz oczy szeroko otwarte.

Zanim te słowa wyrzmiały, ucałował mnie w czubek nosa, po czym wstał, zgarpnął ze stołu kubek z kawą i już go nie było.

– A niech mnie...

– Słodziutka, lepiej powiedz to jeszcze raz! – rzekła Daisy, która podsłuchiwała od strony stoiska z książkami.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, wertując magazyn. Niby przewracała kartki, ale wzrokiem podążyła za Hankiem.

– A niech mnie! – powtórzyłam.

– No i wszyscy mamy przesrane... – doszedł mnie grobowy głos Duke'a gdzieś spomiędzy książek.

Nie mylił się, byłam tego pewna.

Wujek urwał się w końcu z pracy i zabrał mnie do arabskiej restauracji Jerusalem, na University Boulevard. Zamówiliśmy wielkie talerze pełne ryżu, kebabu, gyrosu, hummusu i innych wschodnich specjałów.

– A niech mnie, przecież nie wepchnę w siebie tego wszystkiego! – rzekłam, gapiąc się w talerz.

– Nie gadaj, tylko wcinaj, co z tobą? – zapytał wujek.

Skubnęłam z talerza.

– Roxanne Giselle – zaczął.

– Rety, wujku, zabrzmiałeś zupełnie jak moja matka!

Przez jego twarz przemknął jakiś złośliwy grymas, aż pożałowałam, że ją wspomniałam.

– Opowiem ci wszystko – rzuciłam szybko, żeby odwrócić jego uwagę od jakiegoś bolesnego wspomnienia.

Opowiedziałam mu o Billym. Gdzieś w połowie, zdaje się, że przy akcji z młotem, wujek aż się opluł, wołając:

– Zabiję tego skurwysyna!

Obejrzałam się na sąsiednie stoliki.

– Wujku, wyluzuj!

– Mów, co było dalej! – zażądał, machając mi przed twarzą widelcem.

No to dokończyłam.

– Nie będziesz uciekać przed tym draniem. Wystarczy szepnąć słówko, a Lee go już załatwi na dobre!

Nie, w życiu!

– O nie, nikt nie może się o tym dowiedzieć! Ani Lee, ani Hank, ani Eddie, ani Indy! Nikt!

– Lee to twardziel. Przy nim Hitler trząsłby się ze strachu w swoich wypolerowanych oficerkach, nawet z całą niemiecką armią za plecami!

– Powiedziałam nie!

– Roxie, kochanie, nie gniewaj się, ale twój plan jest do kitu!

– Przez lata go opracowywałam!

– Co nie zmienia faktu, że jest gówniany!

Spojrzałam na niego kwaśno.

– Sama się w to wpakowałam, więc sama się wyplączę.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie ma mowy. Pogadam z chłopakami – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Uderzyłam dłonią w stół, żeby wiedział, że nie żartuję.

– Doceniam, że się martwisz i chcesz pomóc, i skorzystam z tej pomocy, gdy nadejdzie pora.

Póki co jednak sama to załatwię.

– Roxie...

– Nie! – Opuściłam głowę, po czym znowu uniosłam na niego wzrok. – Wujku, codziennie rano patrzę sobie w twarz i myślę, że pozwoliłam komuś spieprzyć siedem lat mojego życia. Czy myślisz, że pozwolę, by jacyś w zasadzie obcy kolesie załatwiali sprawy za mnie? Po czymś takim nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy!

Gapił się na mnie przez chwilę.

– Nie da się zaprzeczyć, że jesteś z MacMillanów.

– A pewnie, że jestem! – odrzekłam butnie.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę.

– Niech ci będzie – powiedział w końcu.

Poczułam, że schodzi ze mnie napięcie.

– Dzięki – mruknęłam.

– Ale wiedz jedno, młoda. Jeśli tylko zauważę, że coś ci tam nie idzie w tym twoim misternym planie, a jestem pewien, że coś się spieprzy, to od razu dzwonię po chłopaków!

Znowu się spięłam.

– Nie.

– Po Hanka też.

– Nie! – krzyknęłam, mając gdzieś, że wszyscy słyszą.

– Powiem to głośno i wyraźnie: do Hanka zadzwonię najpierw! – powtórzył wujek.

– Jeśli to zrobisz, natychmiast znikam! – zagroziłam.

– A tylko spróbuj, to napuszczę na ciebie Lee. Spuści ze smyczy Vance’a albo Mace’a, wytropią cię, zanim dotrzesz do granicy z Kolorado.

No niech to jasna dupa, naprawdę byłam w tarapatach!

– Wujku!

Złożył swoją wielką jak bochen dłoń na mojej.

– Dopiero co weszłaś do mojego życia. Nie pozwolę jakiemuś cwannemu skurwysynowi cię z niego wyciągnąć. Musiałby najpierw rozwalić mi łeb tym swoim młotem!

Poczułam w gardle gulę strachu, bo Billy był niewątpliwie zdolny do czegoś takiego.

– Wujku Tex...

– Nie martw się, mała. Zanim doszedłby do mnie, musiałby powalić pół tuzina innych. A wierz mi, widziałem ich przy robocie. Nie przeszedłby nawet przez pierwszą linię!

– Nie znam tych facetów, ty przecież też ledwie ich poznałeś! – przypomniałam mu.

– Nie trzeba ich dogłębnie poznawać, by wiedzieć, z jakiej gliny są ulepieni. Naoglądałem się tego trochę przez te kilka miesięcy. – Ścisnął moją dłoń. – Jesteś we właściwym miejscu. – Odchylił się na oparcie kanapy. – Dawać go tu! – huknął.

Niech to cholera.

Bez wątplenia siedziałam oficjalnie, nieodwracalnie po uszy w szambie.

Rozdział piąty

Telefony

Wujek podprowadził mnie do samochodu; pojechałam za nim, a w domu pomogłam sprzątnąć kuwety. Zrobiliśmy zakupy w lokalnym sklepiku na rogu, gdzie poznałam pana Kumara. Po drodze dowiedziałam się, że Tex ma randkę z Nancy, więc cały czas podśpiewywałam: „Zakochaaaanaa paaaraaa!”. Chyba się wkurzył, bo zaniósł mnie do mojego auta, porzucił na ulicy i odwróciwszy się na pięcie, poszedł do domu.

Ależ ja jestem dowcipna!

W hotelu przetrząsnęłam obie walizki. W końcu byłam wymagająca, a takie laski nigdzie się nie ruszają bez przynajmniej dwóch walizek.

Musiałam wystroić się na randkę. Gapiłam się bezradnie na rozbebeszone walizki i choć miałam w nich więcej fatalaszków niż większość ludzi w całym swoim życiu, to nie widziałam odpowiedniego stroju na spotkanie z Whisky.

Zadzwoiła moja komórka. Spojrzałam na torebkę jak na łaknącego mojej krwi potwora, przekonana, że gdy spojrzę na wyświetlacz, zobaczę imię Billy’ego.

To była Daisy.

– Halo? – Byłam nieźle zaskoczona.

– Cześć, słodziutka, w co się ubierasz na randkę?

Przysiadłam na skraju łóżka. Poznałyśmy się dobę temu, a ona już zachowywała się tak, jakby znała mnie dwadzieścia cztery lata, a nie dwadzieścia cztery godziny!

– No nie wiem właśnie! – odpowiedziałam.

– Dzwon do Indy, ona jest niezła w te klocki. A jak długo zostaniesz w mieście?

O co jej znowu chodziło?

– Nie wiem – rzekłam asekuracyjnie.

– Bo wiesz, urządzamy z Marcusem imprezkę, w czwartek, nie ten, ale kolejny. Byłoby super, gdybyś wpadła!

Słodka była, punkt dla niej.

– Nie wiem, czy jeszcze tu będę, ale jeśli tak, to na pewno zajrzę.

– To impreza charytatywna, więc będą tylko przekąski. Goście to ludzie, którzy rządzą połową miasta, więc mogą się napchać w domach, zanim wpadną do Zamku.

Zamek...?

– Stroje wieczorowe. Masz cekinową kieckę?

– Eee... – Nie miałam. Z Billym nie chodziliśmy na formalne rauty.

– Nie bój nic, Tod ci coś pożyczy. Nie ma to jak szafa drag queen! O! Muszę lecieć, masażystka przyszła. Nara!

– Nara! – rzuciłam w pustkę, bo już się rozłączyła.

Odłożyłam telefon i spróbowałam wyłączyć również wewnętrzny przycisk, który sprawiał, że czułam się tu niemal widziana, jak w domu. Nie zadziało.

Gdy myślałam twarz, przygotowując ją pod wieczorowy makijaż, znowu usłyszałam dzwonek. Telefon leżał na toalecie, znów byłam pewna, że to Billy. Ale tym razem był to rzeczony przed chwilą Tod, sąsiad Indy.

No bez jaj. Wiedziałam, że Daisy wpisała mi wspólny numer Toda i Steviego, ale jak w telefonie znalazł się ten pierwszy solo?

– Halo?

– Cześć, dziewczynko! Tu Tod. Daisy mi doniosła, że potrzebujesz wybuchowej kreacji na jej wybuchową imprezkę. Wpadnij do mnie, pobuszujemy w szafie!

O rety, on także był słodziakiem!

– Nie wiem, czy w ogóle będę jeszcze w mieście... – zaczęłam.

– Musisz przyjść, bo to będzie wydarzenie dekady! – zaskrzeczał Tod, jakbym co najmniej oznajmiła mu, że odrzuciłam oświadczyzny księcia Williama.

– Ale...

– Wpadnij do mnie tak czy inaczej. Wypijemy jakieś bąbelki i pogramy w scrabble!

– Ale właśnie się wybieram na randkę z Hankiem.

Cisza.

– Cholera, ci chłopcy się nie opierdzielają.

No co ty nie powiesz? Potrzebowałam pomocy, więc zniżyłam głos do konfidencjonalnego szeptu:

– Nie wiem, w co się ubrać...

– Mów, co tam masz! – podchwycił Tod.

Opisałam zawartość walizek, a Tod tylko pomrukiwał w słuchawkę. Gdy doszłam do topu z dużym okrągłym dekoltem, krzyknął: „To! Do tego jeansy, szpile i jakaś rockandrollowa apaszka. Pasek masz? Nieważne, przyniosę moje. I apaszki też. Będę za dziesięć minut!”.

Rozłączył się.

Gapiałam się na telefon. Czy to jakiś żart? Niech mnie. Nie mógł mówić poważnie. A zresztą, nie miałam na to czasu, bo ten uciekał, a ja dopiero zaczęłam się szykować!

Zanim skończyłam aplikować podkład, telefon znów się rozdzwonił. Nawet się nie zdziwiłam, gdy na wyświetlaczu migąło imię Ally. Jakoś przestały mnie dziwić te telefony.

– Cześć – przywitałam się.

– Cześć, laseczko! Daisy dała mi twój numer. Masz już szmaty na randkę z Hankiem?

No przestańcie!

– Nie, ale Tod zaraz tu będzie z paskami i apaszkami.

– Dobrze to słyszeć, już on cię wyszykuje. Długo zostajesz?

– Nie wiem – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– Bo wiesz, październik się zaczął i właśnie otwierają halloweenowe atrakcje. Wybieramy się z dziewczynami, wszystkie: Indy, Jet, Daisy i ja. Musisz iść z nami, to jest przezabawne!

– Strachliwa jestem – zwierzyłam się, licząc, że zrozumie.

Nie rozumiała.

– Świetnie! Nic się nie martw, Facet z piłą mechaniczną nawet nie ma na niej łańcucha! Dam znać. Lecę, papatki!

Facet z piłą?? Zanim dopytałam, rozłączyła się.

Jeszcze nie odłożyłam milczącej w końcu komórki, a już zadzwonił telefon hotelowy. Podniosłam słuchawkę z drżącym sercem, bojąc się, że to Billy znalazł mnie zbyt prędko. Albo gorzej: Hank przyszedł za wcześnie.

– Halo...?

– Tu Tod. W którym jesteś pokoju?

Zamurowało mnie. On nie żartował. Chyba nie chciałam wiedzieć, jak u diabła dowiedział się, gdzie się zatrzymałam!

– Trzy trójki – rzuciłam.

Klik.

Święci pańscy!

Zrozumiałam, dlaczego wujek Tex tak szybko się wpasował. Ci ludzie byli szybsi od błyskawic! Rozległo się pukanie i otworzyłam. Tod wtańcował do pokoju, niosąc ilość akcesoriów wystarczającą do przyozdobienia całej drużyny cheerleaderek. Rzucił wszystko na łóżko.

– Tod, ale on tu będzie za... – Spojrzałam na zegarek i zapiszczałam.

– Spokojniusio. – Tod zamachał dłońmi, jakby w ten sposób mógł zdusić moje zdenerwowanie.

– Szykuj się, ja to ogarnę!

I zanurkowałem do moich walizek.

Musiałam pozwolić prawie obcemu facetowi przewalać moje ciuchy, bo Hank miał tu być za dwadzieścia minut, a ja tak na dobrą sprawę nawet nie zaczęłam się malować!

Konturowałam twarz, gdy Tod bez pukania wkroczył do łazienki.

– Zestawik masz na łóżku. Rozpakowałam cię, bo te prze-pię-kne bluzki zaczynały się gnieść. Rozwiesiłem je, a majtusię i piżamki załadowałem do szuflady. Pasek i szalik oddasz Indy. A jeśli będziesz jeszcze w mieście w weekend, to pożyczam na występ te lakierki od Manolo, bo pasują jak ulał!

– Pewnie – zgodziłam się łaskawie, choć przecież wcale nie pytał.

Ucałował powietrze koło moich uszu i wyszedł.

Skończyłam makijaż, poprawiłam włosy i włożyłam przygotowany przez Toda „zestawik”. Szyję okręciłam szaliczkiem, który nawet nie był szaliczkiem, a cienką plecionką ze srebrnych koralików. Założyłam upatrzone przez Toda lakierki, designerski zegarek, szeroką srebrną bransoletę na drugi nadgarstek, a w uszy duże koła. Minutę przed czasem spryskiwałam się jeszcze perfumami i na próżno usiłowałam uspokoić nerwy, a wtedy po raz kolejny rozległ się sygnał komórki.

Tym razem Jet.

– Halo?

– Cześć, Roxie, Daisy dała mi numer.

Mała, sprytna i obrotna!

– Jak tata? – zapytałam.

Kilka dni wcześniej ojca Jet, pobitego, postrzelonego i dźgniętego nożem wyrzucono z jadącego auta przed Fortnum. Rano przenieśli go z oddziału intensywnej terapii i Jet spędziła cały dzień w szpitalu.

– Dużo lepiej. Oddycha samodzielnie, mówi, no i jest przytomny.

Uśmiechnęłam się, choć nie mogła tego zobaczyć.

– Cieszę się.

– Słyszałam, że zaraz wychodzisz z Hankiem. Masz się w co ubrać?

Rany, miałam cztery nowe psiapsioly, a znałam je tylko jeden dzień! Czy za moment zadzwoni Indy i zaprosi mnie na piżama party??

Zanim odpowiedziałam, znowu zadzwonił wewnętrzny. Znowu zapiszczałam. Jet się zaśmiała.

– Czyżby o wilku była mowa?

– Oboziuoboziu! – zagęgałam.

– Oddychaj! – poradziła Jet.

– Oboziuoboziu! – powtórzyłam bezradnie.

– Może lepiej odbierz ten telefon? – Niemal słyszałam, jak uśmiecha się gdzieś po drugiej stronie.

– Czekaj chwilę – rzuciłam do telefonu.

Przyłożyłam hotelową słuchawkę do drugiego ucha.

– Halo?

– No cześć.

To rzeczywiście był Hank, bo któż by inny?

Musiałam przysiąść na łóżku.

– No cześć – odpowiedziałam.

– Jestem przy recepcji. Który pokój?

Nie chciałam, żeby wchodził, nie chciałam, żeby w ogóle się zbliżał do mojego pokoju, a był już zdecydowanie bliżej, niż kiedykolwiek zamierzałam go dopuścić.

– Zaraz zejść.

Udawał, że nie usłyszał.

– Który pokój? – powtórzył pytanie.

– Zaraz będę na dole.

Głos mu się obniżył:

– Słoneczko, czy naprawdę muszę pytać trzeci raz? W którym jesteś pokoju?

To było jak przeszywająca elektryczna iskra.

– Trzy trójki.

Rozłączył się. Przyłożyłam do ucha komórkę.

– Oboziuoboziu!! – szepnęłam znowu do Jet.

Śmiała się.

– Mogę ci coś doradzić? – spytała.

– Jak najszybciej.

– Nie walcz z tym.

Cholera!

– Jet, są pewne sprawy... ja nie mogę tak po prostu...

– Ja też nie mogę – przerwała mi. – Ale to nie ma żadnego znaczenia, bo Eddie może. To trochę przerażające! – dokończyła.

– Eddie cię uwielbia, to widać na pierwszy rzut oka. Tex to potwierdził – upewniłam ją.

– Powoli zaczynam w to wierzyć, co nie zmienia faktu, że jest to totalnie porąbane!

Rozległo się pukanie do drzwi. Gapiłam się na nie bezmyślnie.

– Oboziuoboziu!

Znowu śmiech Jet z telefonu.

– No otwórz!

Przytaknęłam, wstałam i rzuciłam jeszcze, żeby przez moment nie skupiać się na tym, że on naprawdę stoi za tymi drzwiami:

– Wujek zabiera twoją mamę na randkę.

– Wiem – odrzekła. – Ani się obejrzymy, a będziemy skoligacone!

Ta perspektywa od razu mi się spodobała. Otworzyłam. Hank uśmiechnął się do mnie. Czułam, że miękną mi kolana.

– Muszę kończyć – rzuciłam do telefonu.

– Powiedz mu cześć ode mnie!

– Pewnie.

Połączenie zostało zerwane. Spojrzał na telefon.

– To Jet – powiedziałam.

Postąpił krok do przodu, choć stałam mu na drodze. Był potężniejszy, niż zapamiętałam. Wyższy, szerszy w ramionach. Zdawał się wypełniać sobą cały pokój. Miał na sobie szary golf, jeansy i potężne czarne buty. Do tego czarna skóra przerzucona przez ramię. Wyglądał fantastycznie. Usunęłam mu się z drogi, wyminął mnie, a ja zostałam w progu. Odwrócił się w moją stronę.

– Jet pozdrawia – bąknęłam.

Chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie, zatraskując drzwi, a ja ledwie powstrzymałam się, by znowu nie zapisać.

– Tex zabiera jej mamę na randkę – kontynuowałam.

Bez słowa przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

– Jeśli to wypali, Jet i ja zostaniemy kuzynkami, czy jakoś tak... – Nie mogłam przestać nawijać bez sensu, bo przecież wcale go to nie obchodziło. – Będziemy jedną wielką, szczęśliwą rodziną...

Jego twarz była już bardzo blisko. Oczy mu się śmiały, choć z ust zniknął uśmiešek. Mnie wcale nie było do śmiechu. Miałam wrażenie, że dostanę zapaści.

– A może zostanę jej siostrzenicą? Kuzynką? Kim dla siebie będziemy? – zapytałam, desperacko usiłując uniknąć nieuniknionego.

– Słoneczko... – wyszeptał w moje usta.

– Tak...?

– Zamknij się!

Zamknęłam się.

I wtedy mnie pocałował.

Było tak jak zeszłego wieczoru: na poważnie, na gorąco, a ja znowu poczułam, że za moment odpłynę. Gdy w końcu odsunął się nieco, a ja odzyskałam jako taką jasność umysłu, upomniałam go:

– To się robi dopiero po randce!

– Po randce też od tego zaczniemy – odrzekł, wciąż trzymając mnie w ramionach. Jego dłoń spoczywała na mojej szyi.

Niech mnie!

– Przepraszam, że to powiem, ale wy tutaj, w Denver, jesteście kompletnie porąbani! Znamy się jeden dzień, a wszyscy do mnie wydzwiająją: Daisy, Ally, Jet. Tod wpadł z połową asortymentu lokalnych butików, by pomóc mi się odstrzelić. Cały ten pobyt w Denver jest dziwaczny. Denver to jakaś strefa mroku!

– Jesteśmy po prostu przyjacielscy!

– Co ty nie powiesz?

Zignorował mój komentarz.

– Jesteś głodna? – zapytał po chwili.

Nie byłam. Zjadłam Kilimandżaro zrobione z kebabu kilka godzin wcześniej. Nie wiedziałam, czy mogę mu to powiedzieć. W końcu staliśmy w pokoju pełnym mebli, na których mogłam zostać złożona i... no właśnie. Dla bezpieczeństwa skłamałam:

– Umieram z głodu!

Uśmiech z oczu spłynął mu na usta. A niech mnie! Zadzwoił mój telefon.

– Cholera! – krzyknęłam, uwalniając się z jego uścisku i zerkając na wyświetlacz. – A to kto znowu? Tym razem to pewnie Indy!

Hank odebrał mi telefon i przyłożył go do ucha.

Czy on naprawdę to zrobił?

– Ta? – rzucił.

– Nie możesz ot tak odbierać mojego telefonu! – warknęłam, zdając sobie sprawę, że zabrzmiałam zupełnie jak Jet szcękająca do Eddiego.

Sięgnęłam po telefon, ale odwrócił się tak, bym nie mogła go dosięgnąć.

– Halo? – Tym razem zabrzmiało to poważnie.

Zamarłam, a serce chyba mi stanęło. Billy. Niedobrze. To mógł być każdy: Indy, Duke, Stevie, Lee, Eddie albo i pół tuzina innych osób, które w jakiś magiczny sposób nagle się ze mną zaprzyjaźniły. Ale nie, tym razem musiał to być Billy.

Hank się rozłączył.

– Kto dzwonił? – spytałam, rozważając jednocześnie wezwanie pogotowia na wypadek, gdyby Hank po raz kolejny zdecydował się mnie pocałować, co doprowadziłoby mnie ponownie prawie do ataku serca.

– Nikt się nie odezwał.

Znowu dzwonek. Musiałam odebrać, w końcu wiedziałam, kto dzwonił, i ta świadomość rozlała się falą fizycznie odczuwanej paniki po moim ciele. Nie zdążyłam, Hank ponownie odebrał.

– Halo?

Podeszłam do niego.

– Hank... – szepnęłam.

– Kto tam? – rzekł Hank do telefonu.

Zamknęłam oczy. To się nie działo! Gdy uchyliłam powieki, patrzył na mnie, odsuwając telefon od ucha.

– Znowu nikt się nie odezwał – poinformował mnie, po czym zaczął przeglądać listę odebranych połączeń.

Powinłam chyba się wkurzyć, ale byłam zbyt zaangażowana w panikowanie z powodu tego, co może znaleźć.

– Oddaj mi telefon, Hank.

Znalazł to, czego szukał.

– Nieznany numer – mruknął.

Cholera. Billy już tutaj jechał i dzwonił do mnie z zarezerwowanego numeru.

– Oddaj mi telefon!

Dryń, dryń! Zanim zdążyłam zareagować, Hank już odebrał i niby to w żartach chwycił mnie w tali, przyciągnął do siebie i wyszczerzył do telefonu:

– Mówi detektyw Hank Nightingale, kto dzwoni? – zażądał informacji autorytarnym głosem.

Gdybym ja usłyszała coś takiego, od razu bym odpowiedziała! Billy dostanie udaru albo uwiadu! Jakiś facet odbiera mój telefon. Facet o głębokim, seksownym, nieznoszącym sprzeciwu głosie, przedstawiający się jako gliniarz.

– Nazwisko! – zażądał Hank.

Czekał, ja również. Wyglądał na coraz bardziej wkurzonego. Wstrzymałam oddech.

– Nikt się nie odezwał? – spytałam.

Pokiwał głową. Zamknęłam oczy, czując, że jego ramiona zacieśniają uścisk.

– Czyżby to były te kłopoty, o których wspominałaś?

Przygryzłam wargę.

– Może...

– Może czas mi o tym opowiedzieć, nie uważasz?

– Nie! – odparłam natychmiast.

Wkurzył się jeszcze bardziej. Nie była na to pora, jednak pomyślałam, że gdy się wściekał, był jeszcze przystojniejszy.

– Jesteś jeszcze przystojniejszy, gdy się wściekasz.

Dlaczego to zwerbalizowałam?? Spojrzał na mnie tak, jakby nie dosłyszał, na moje szczęście. A potem nagle zaczął się zwierzać:

– Przez całe liceum chodziłem z pewną dziewczyną. Była ładna, ale nikt oprócz mnie zdawał się tego nie zauważać. Ubierała się skromnie, a nie w ciuchy jakby wycięte z magazynów mody. Nigdy się nie wyklócała. Nigdy się nie upiła, nie słuchała za głośno muzyki, nie włóczyła się po nocach. Nawet gdyby jakiś problem ugryzł ją w tyłek, to nie bardzo wiedziałyby, co z tym zrobić. I nie potrafiłyby utrzymać tajemnicy.

Serce mi zamarło, trzeba było jednak zadzwonić po tę karetkę!

– Trzeba było się z nią ożenić – rzekłam wyniośle.

Puścił mnie, po czym potarł czoło dłonią i przyznał mi rację.

– Tak właśnie powinienem być zrobić.

No pięknie!

– Przypomnę ci tylko, że wykręcałam się od tej kolacji na wszystkie sposoby!

Opuścił rękę i spojrzał mi w oczy.

– Słoneczko, ale ty łakniesz tej kolacji, pragniesz, bym cię całował, a jeszcze tej nocy będziesz mnie błagała, bym robił i inne rzeczy.

Podparłam się pod biodra, czując, że właśnie w tej okolicy krew zaczyna szybciej krążyć.

– Nie wydaje mi się, Hanku Nightingale! To była najkrótsza randka w historii świata. Zachciało ci się szarej myszki z liceum? Możesz jej zacząć szukać właśnie w tej chwili!

Złapał mnie nagle, przyciągnął do siebie.

– Chcesz udawać, że między nami nie iskrzy? – Zbliżył twarz do mojej. – Zaraz to poczujesz...

– Nic nie poczuje – skłamałam.

Ściągnął brwi.

– Szczerze?

Nie byłam w stanie powtórzyć tego kłamstwa.

– Nie powinienes być odbierać mojego telefonu – powiedziałam.

– Byłem przekonany, że to upierdliwa Indy dzwoni. Nie sądziłem, że jakieś morowe powietrze

wedrze się pomiędzy nas tak szybko. Myślałam, że choć trochę obniżysz gardę, ale widzę, że po prostu muszę wszystko przyspieszyć.

Przyspieszyć...? Pogrywał ze mną, a ja nie znałam reguł.

– Kto dzwonił? – zapytał.

Zrobiłam naburmuszoną minę i nie odpowiedziałam.

– Powiedz mi chociaż, czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo.

Poczułam, że mięknę. Cholera. Martwił się o mnie! Ten incydent z młotem i przyciśnięciem mnie do ściany był jednorazowy. Mimo że uciekałam i nie wpuściłam Billy'ego przez rok do łóżka, nic drastycznego się nie powtórzyło. Wściekał się, owszem, ale za każdym razem odnajdywał mnie i namawiał do powrotu, a przynajmniej tak pozwalałam mu sądzić.

Nie byłam w niebezpieczeństwie. Po prostu nie mogłam się od niego uwolnić.

– Nic mi nie grozi. Mam... sprawy do zamknięcia. Pracuję nad tym – odpowiedziałam.

– Nie pora teraz na kłamstwa – rzekł autorytarnym tonem.

– Nie kłamię.

To znaczy, wydawało mi się, że nie kłamię, miałam taką nadzieję.

Przez moment tylko na mnie patrzył, po czym odebrał mi telefon, rzucił go na łóżko i pociągnął mnie za rękę w stronę drzwi.

– Skoro tak, to chodźmy coś zjeść!

Proste rozumowanie. Zaufał mi.

Oparłam mu się, ciągnąc w drugą stronę, ale tylko po to, by chwycić torebkę.

Rozdział szósty

Hank nabiera rozpędu

Podprowadził mnie do swojej toyoty, wciąż trzymając za rękę, i usadził na przednim siedzeniu. Prowadził tak naturalnie, jakby był zrośnięty z tym samochodem. Chyba naprawdę coś było ze mną nie tak, bo zaczęło mnie to podniecać. No dobra, wszystko mnie w nim kręciło!

– Jesteś wegetarianką? – spytał, wrywając mnie z fantazji erotycznych.

– Zjadłam chyba pół prosiaka na lunch w Jerusaleem – odpowiedziałam.

– Po trochu wszystkiego? – zgadł.

– Ta.

– Dobry wybór – rzekł z uznaniem.

Jechaliśmy przez jakieś szemrane dzielnice, choć bywałam w gorszych. Zaparkował, a gdy wysiadaliśmy, gdzieś obok przemknął tramwaj. Budynek, do którego mnie prowadził, wyglądał jak wyjęty ze scenografii starego westernu z Johnem Wayne'em.

– Co to za miejsce? – spytałam.

– Buckhorn Exchange, najstarsza restauracja w mieście. Dają tu świetne steki!

Przepuścił mnie w drzwiach i od progu zorientowałam się, że wystrój stanowiły głównie wypchane głowy zwierząt, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób to miejsce zdało mi się przytulne, romantyczne i jednocześnie eleganckie. Usiedliśmy przy stoliku dla dwojga na uboczu, w wygodnych fotelach z wysokimi oparciami. Przerzucałam menu, a Hank w międzyczasie zamówił butelkę wina. W karcie był grzechotnik, smażony ogon aligatora, ostrygi i łosina.

– Czy za moment wkroczy tu duch Wyatta Earpa? – spytałam znad menu.

– Mądralińska! – Uśmiechnął się do mnie.

– Serio pytam!

Uśmiech robił się niebezpiecznie sarkastyczny, więc się zamknęłam.

– Pozwól, że ja złożę zamówienie. – Zaskoczył mnie tym kompletnie; nigdy żaden facet za mnie nie zamawiał, nie miałam pojęcia, że to się jeszcze praktykuje. No cóż, jeśli wejdiesz między wrony...

– Tylko nie ostrygi – poprosiłam.

Skinął z uśmiechem.

– I żadnego aligatora! One są słodzakami, a ja nie jadam uroczych zwierząt, choć wegetarianką nie jestem. Takich jagniątek na przykład. Owieczki są urocze. Ale grzechotnika chętnie spróbuję. Chyba zjadłabym węża, pewnie dlatego, że się ich boję.

Spoważniał.

– Naprawdę myślisz, że aligatory są słodkie?

– No pewnie, wyglądają, jakby bez przerwy się uśmiechały. Ludzie w ogóle ich nie rozumieją. One chcą tylko się wylegiwać w słońcu i pływać, a ludzie zmuszają je do jakichś głupot, siłują się z nimi, niepotrzebnie wchodzą im w drogę. To nefajne.

Wciąż się na mnie gapił.

– A krówki jadasz?

– Nie myślę o nich „krówki”, no wiesz, takie słodkie jak z reklamy czekolady. Myślę „byki”, a byki są straszne.

– A świnki?

– Gdzieś słyszałam, że świnię są wredne. No wiesz, nie jak Babe, świnka z klasą.

Ledwie powstrzymywał się od wybuchnięcia śmiechem.

– Ta sama krew co Tex – zauważył.

– No ba! – odrzekłam.

Złożył zamówienie. Siorbaliśmy wino, czekając na nie, a gdy na stół wjechały talerze, rozpoczęliśmy posiłek; jak się okazało, nie było czego się bać.

Wszystko było przepyszne i objadałam się, choć moje ciało jeszcze nie zapomniało o ogromnym lunchu. Hank zamówił potężny stek, który postawiono przed nami przecięty na pół; na każdej porcji rozpuszczało się ziołowe masło. Pyszności!

Rozmowa płynęła naturalnie, choć przecież tego obawiałam się przede wszystkim. Dowiedziałam się, że już drugie pokolenie rodziny Hanka mieszkało w Kolorado, a on był gliniarzem w trzecim. Jego dziadek zginął na służbie w Nowym Jorku i po tej tragedii babcia przeniosła się do Denver, do siostry. Hank zrobił licencjat z prawa na Uniwersytecie Kolorado, a potem zdał do akademii policyjnej. Trochę wbrew woli ojca, który widział w nim prawnika, a nie gliniarza. Niestety, wola syna była silniejsza. Nie zamierzał siedzieć w biurze ani włączyć się po sądach. Z tego, co mówił, wynikało, że dostawał wszystko to, co chciał. Z rodziną był blisko, a Indy znał przez całe życie. Ich rodzice się przyjaźnili i gdy matka Indy zmarła, mama Hanka obiecała, że zajmie się jej wychowaniem. Indy i Lee durzyli się w sobie od zarania dziejów, ale dopiero niedawno się zeszli. Eddie, jako najlepszy kumpel Lee od dzieciaka, też w zasadzie należał do rodziny. Hank zimą szusował na nartach, latem grywał w softball, uwielbiał Springsteena i trzy razy był na jego koncercie. Nie miał ulubionej piosenki czy płyty, uwielbiał wszystko. To wiele o nim mówiło. Był również fanem lokalnych drużyn, oddanym miastu i swojej robocie.

Ja opowiedziałam o sobie: o moim życiu w Chicago i internetowym projektowaniu stron, a także o tym, że urodziłam się i wychowałam w Brownsburgu, piętnaście mil na południe od Indianapolis. Moi rodzice wciąż tam mieszkali; brat był strażnikiem w parku narodowym w Indianie, a siostra pracowała w szpitalu w Louisville. Nigdy nie oglądałam sławnych lokalnych wyścigów samochodowych, ale serie próbne z milion razy. Jak cała rodzina kibicowałam Cubsom, ale wspieraliśmy też inne drużyny. Jak wszyscy z mojej okolicy słuchałam REO Speedwagon, ale nie tych łomotliwych kawałków, raczej *Roll with the Changes* czy *Ridin' the Storm Out*, te klimaty. Springsteena też uwielbiałam, ale na koncercie nigdy nie byłam. Rozpędziłam się w zachwytach nad jego poetyckim i gawędziarskim rozmachem, ale nie przyznałam się do tego, że marzyłam o tym, by całować jego wyrzeźbioną przez bóstwa dolną wargę. Aż tyle Hank wiedzieć nie musiał. No i Mellencamp, on to dopiero śpiewał! Urodziłam się w małym miasteczku, a o takich właśnie traktowały jego ballady: o przemijaniu, zmianie chwil we wspomnienia, weryfikowaniu planów przez prawdziwe życie. Moje życie, a on o tym wszystkim śpiewał. Dziewczyna z Indiany rozumiała to wszystko. Springsteen trafiał do mojego serca, ale to John Mallencamp potrafił zajrzeć wprost do mojej duszy.

Mówiłam i mówiłam, a Hank przyglądał mi się coraz bardziej tkliwie. Gdy dostrzegłam to spojrzenie, przebiegł mnie dreszcz. O Billym oczywiście nie wspomniałam. Podziękowałam za deser, bo jeansy zaczynały mi się nieelegancko wpijać. Hank zapłacił rachunek i poczułam ulgę, że spotkanie dobiegało końca. Gdyby potrwało dłużej, nie oparłabym mu się. Pragnęłam tego.

W końcu nie było wcale źle, prawda? Było bardzo miło. Mogłam udawać, że to zwykła randka, a nie krótki przerywnik ucieczki przed zaborczym chłopakiem kryminalistą, który lubił machać młotem.

Wyszliśmy z lokalu i już nie mogłam się doczekać zwieńczenia wieczoru: Hank zabierze mnie do hotelu, pocałuje na do widzenia, a ja zmienię to w piękne wspomnienie. I już. Kicha. Żałowałabym tego do końca życia, ale wiedziałam, że tak trzeba. Zamiast w stronę auta Hank poprowadził mnie na przystanek. Przyglądałam się, jak kupuje bilety w automacie.

– Co ty robisz? – spytałam.

– Zabieram cię do miasta.

– Myślałam, że już po randce...

Chwyć mnie za rękę i poprowadził do torowiska.

– Chyba żartujesz, to absolutnie nie koniec!

Cholera. Uwolniłam dłoń.

– Najadłam się jak smok, jestem zmęczona. Dzięki za kolację, ale to za dużo, do tego wino uderzyło mi do głowy. Muszę iść spać.

Musiałam wyskoczyć z jeansów i uciec od niego, to znaczy w odwrotnej kolejności.

Patrzył na torowisko, jakby mnie nie słyszał.

– Zaraz się obudzisz – rzucił.

– Zimno mi, nie wzięłam płaszcza – spróbowałam z innej strony.

Zdjął kurtkę i mnie opatulił, jego ręce znów znalazły się niebezpiecznie blisko mojego biustu.

– Lepiej? – zapytał.

Lepiej, też coś! Zajebicie! To by pasowało. Nie było sposobu, żeby się od niego uwolnić.

– Stoisz za blisko – zauważyłam.

– Wiem. – Przysunął się jeszcze bliżej.

– Odsuń się! – zażądałam.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Roxie, daj spokój! Pojedziemy do miasta i rozchodzimy tę kolację, to wszystko.

Westchnęłam, albo raczej jęknęłam. Chyba mogłam pojechać do miasta, trochę pozwiedzać, rozruszać się. Prawda?

– No dobra – poddałam się.

Przysunął się jeszcze i – wierście lub nie – potarł nosem o mój nos, a potem spojrział mi prosto w oczy:

– Martwić się o bliskość będziesz potem.

Cholera. Doigrałam się.

Pojechaliśmy tramwajem do miasta i spacerowaliśmy. Początkowo trzymał mnie za rękę, lecz w miarę upływu czasu objął mnie ramieniem.

Pozwalałam na to wszystko, ponieważ postanowiłam tego wieczoru poudawać kogoś innego. Zdecydowałam, że będę sobą z czasów przed poznaniem Billy'ego, przed podjęciem głupich decyzji, które spieprzyły mi życie. Byłam tą Roxie Giselle Logan, która zasłużyła na świetną randkę z przystojnym Hankiem Nightingale'em. Należało mi się.

– Jak możesz w ogóle chodzić w takich butach? – zapytał Hank.

– W koszykówkę potrafię w nich grać – odparłam bez zająknięcia.

Nie żartowałam. Nosiłam szpile od piątego roku życia, od czasu, kiedy mama kupiła mi takie różowe dziecięce obcasiki.

– Daj znać, jeśli jednak rozbolą cię nogi.

No weźcie! Czy on musiał być taki troskliwy i dobry?

Chociaż był poniedziałkowy wieczór, ulice roily się od spacerowiczów. Pełne, hałaśliwe bary, restauracje, krzykliwe światła, wszystko tętniło życiem w rozkoszonym rozkwicie. Przeszliśmy przez Writer Square i zatrzymaliśmy się na drinka w klubie Wazee Supper.

Wróciliśmy tą samą trasą i było mi cholernie szkoda, że randka dobiegała końca. Robiło się późno; Hank musiał jutro iść do pracy i ścigać przestępców, a ja... musiałam uporządkować swoje życie.

Dostrzegłam stojący nieopodal powóz. Uwielbiałam konie! W zasadzie uwielbiałam wszystkie stworzenia porośnięte sierścią.

– Zaczekaj chwileczkę! – Wyswobodziłam się z objęcia Hanka i podeszłam do woźnicy. – Czy mogę pogłaskać konia? – zapytałam.

– Pewnie! – odrzekł.

Położyłam dłoń na miękkim pysku zwierzęcia.

– Cześć, olbrzymie... – wyszeptalam do niego.

Szarpnął łbem i posmyrał mnie mięsistymi wargami po szyi. Zachichotałam, bo to strasznie łaskotało.

– Lubi cię – stwierdził woźnica.

– Pachnę jedzeniem, pewnie dlatego.

– No, jeść to on zdecydowanie lubi!

Nagle Hank odciągnął mnie, więc odwróciłam się i pomachałam w stronę konia, który patrzył za mną, aż zdałam sobie sprawę, że jestem prowadzona do powozu.

– Co ty wy...

– Wsiadaj, przejedziemy się.

Spojrzałam na niego, on na woźnicę.

– Nie.

To było za wiele. Najpierw pyszna kolacja, wino, miła rozmowa, potem spacer uliczkami, a teraz przejażdżka bryczką. To było za wiele. Nie zniosłabym tego. Jeszcze nigdy nie jechałam powozem. Chyba nigdy wcześniej nie spotkało mnie nic romantycznego, nie licząc akcji w stylu Bonnie i Clyde'a, które kończyły się świsem kul i kryminalnym smrodem Billy'ego osiadłym na mojej skórze.

Billy nigdy nie wziął mnie na przejażdżkę. Obiecywał milion romantycznych pierdół, ale nawet nie kupił mi kwiatów. Nigdy. Żaden z moich byłych tego nie zrobił.

– Co się dzieje? – zapytał Hank, gdy cała zeszywniałam.

Już to czułam. Nienawidziłam tego, ale to już się działo wbrew mojej woli: poczułam kręcenie w nosie i wiedziałam, że za moment się rozpłaczę.

Obrócił mnie do siebie i spojrzał na moją drgającą brodę. Cholera! To było upokarzające... Opuściłam głowę. Hank złożył dłoń na mojej szyi, pochylił się, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Jezu, Roxie, co się dzieje?

– Chodźmy stąd... – szepnęłam.

– Wszystko dobrze? – zapytał woźnica.

– Słoneczko... – Poczułam, że Hank mnie obejmuje.

– Po prostu już chodźmy! – powtórzyłam, ale nie dosłyszała, bo byłam wtulona w jego pierś.

– Chcesz chusteczkę? – zapytał woźnica.

Hank uniósł moją głowę, co było dość niefortunne, bo już beczałam na całego. Odwróciłam wzrok, bo jak było powszechnie wiadomo, osoba, która zastała cię w krępującej sytuacji, po prostu zniknęła, jeśli się jej nie widziało, no nie? Bez słowa otarł moją twarz błękitną bandaną.

– Nie przejmuj się. – Siorbnęłam nosem. – Ciągle mi się to zdarza.

Wciąż nic nie mówił.

– Nawet na reklamach płaczę.

Milczał.

– Płaczę za każdym razem, oglądając *Czule słówka*, a widziałam to już z dziesięć razy – ciągnęłam.

Hank wciąż nie wydał z siebie ani dźwięku. Wstrząsnął mną mimowolny szloch.

– Za każdym razem, gdy Shirley MacLaine robi tę aferę pielęgniarce o leki dla Debry Winger... – Gardło zawiązało mi się w supeł. – Zawsze mnie to wzrusza.

– I teraz płaczesz, bo przypomniłaś sobie o tym filmie? – zapytał w końcu Hank.

Pokręciłam przecząco głową.

– No to dlaczego płaczesz?

W końcu odważyłam się unieść na niego wzrok i powiedziałam to głośno, choć przecież wcale nie chciałam:

– Bo jesteś dla mnie taki miły...

Przez jego twarz przemknął grymas, którego nie zdołał ukryć. Po chwili jego oczy stały się zupełnie puste. To, co zdążyłam wyczytać, nieźle mnie wystraszyło.

– A czy ktoś inny był dla ciebie niemiły? – zapytał i słysząc było, że usilnie się kontroluje.

– Wracajmy.

Postąpiłam krok i pozwolił mi odejść, ale gdy już myślałam, że się uwolniłam, niespodziewanie wsunął rękę pod moje kolana i uniósł mnie.

– Co ty wyrabiasz? – prawie krzyknęłam, przytrzymując się jego szyi.

– Przejedziemy się – usłyszałam.

To było jednocześnie pretensjonalne i szarmanckie. Wujek Tex mógł mnie sobie nosić, ale to? Hank lekko wrzucił mnie do powozu i usadowił się obok. Woźnica wskoczył na kozioł i ruszyliśmy.

– Musi być po twojemu, co? – zapytałam, osuszony łyż.

Czułam się jak... sama nie wiedziałam...

– Musi. – Przyciągnął mnie do siebie.

Usiłowałam udawać, że wcale nie czułam tego, co faktycznie czułam. Nie mogłam dać się temu ponieść, choć było to takie przyjemne... Miałam zbyt wiele do stracenia.

Spojrzałam na Hanka.

– Makijaż mi spłynął...?

– No tak jakby – rzucił z uśmiechem.

Cholera!

Zrobiłam porządek z twarzą na tyle, na ile pozwalał mi warsztat złożony z bandany i podręcznego lusterka.

Gdy tak jechaliśmy przez Denver, po chwili zrelaksowałam się i usadowiłam wygodnie u boku Hanka. To było silniejsze ode mnie: był jak ciepła, niewzruszona opoka. Denver wyglądało niczym pokaz pięknych slajdów, a powóz kołysał uspokajająco. Nawet najbardziej spięta neurotyczka by się wyluzowała.

Ani się obejrzałam, a dłoń Hanka uniosła moją głowę i zaczęliśmy się całować. Poddałam mu się natychmiast, oddając pocałunki.

Świetnie całował. Poczułam go w sercu i w duszy.

– Ale się wpakowałam... – szepnęłam, patrząc na jego usta.

Pogładził mnie po policzku.

– No – potwierdził krótko.

Cholera.

Wyglądałam przez okienko toyoty, gdy Hank odwoził mnie do hotelu. Randka się kończyła, a ja usiłowałam nie rozplakać się ponownie. To była moja najlepsza randka. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że była najlepszą randką w historii ludzkości, a już na pewno plasowała się w pierwszej dziesiątce. Łaknęłam kolejnej. Następnym dziesięciu właśnie takich. W zasadzie chciałam, żeby moje życie stało się jedną nieustającą randką z Hankiem. A musiały mi pozostać tylko wspomnienia tej jednej. Powinnam myśleć o sobie jako o szczęściarce, bo niektóre kobiety nigdy nie były na takiej randce. Wcale nie czułam się jednak szczęściarą.

Zatrzymaliśmy się na poboczu. Rozejrzałam się. Nie stanęliśmy pod hotelem, tylko w jakiejś bardzo przyjemnej dzielnicy.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam, zerkając na Hanka.

– Pod moim domem.

– Co?? – zapiszczałam.

Zignorował to i wysiadł, ale ja przyrosłam do siedzenia.

To się nie dzieje naprawdę, to się nie dzieje!, powtarzałam w głowie.

Drzwiczki po mojej stronie otworzyły się.

– Zabierz mnie do hotelu – zażądałam, patrząc na Hanka.

Sięgnął do środka, odpiął mój pas i wyciągnął mnie za rękę z samochodu.

– Muszę najpierw wyprowadzić psa – poinformował mnie.

Uszłam kilka kroków, ale zatrzymałam się gwałtownie.

– Ty masz psa?

Również przystanął i odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

– No mam.

Uwielbiałam psy!

– A jakiego?

– Czekoladowego labradora.

Cholercia, moje ulubione!

– Zaczekam w aucie – powiedziałam.

Pociągnął mnie za rękę w stronę domu.

– Whisky, naprawdę powinnam wracać.

Bezskutecznie usiłowałam wyswobodzić dłoń z jego uścisku. Ciągnął mnie w stronę domu: jednopiętrowego, z cegły, z ładnie utrzymanym podwórkiem, ale widać było, że kobiecej ręki do niego nie przyłożono. Żadnych donic z kwiatami czy jesiennych dekoracji. Ja bym ustroiła cały dom, gdybym oczywiście w takim mieszkała. Odganiałam inne wizje wspólnej sielanki z Hankiem.

Uwolnił moją dłoń i otworzył drzwi.

– Whisky...

Wyskoczył na nas czekoladowy labrador.

Słodziutki był. Przeuroczy!

– Siad! – zakomenderował Hank, gdy pies skoczył na niego.

Pies się uspokoił, otarł łbem o jego nogi i podszedł do mnie. Upadłam na tyłek pod jego ciężarem, a potem on zabrał się za oblizywanie mojej twarzy.

– Mam nadzieję, że nie pełni tu funkcji stróża? – rzekłam, usiłując podrapać go za uchem, gdy się na mnie uwaliał.

– Zmył ci resztki makijażu – zauważył Hank.

Roześmiałam się. Hank wszedł do domu po smycz, a ja wstałam i bawiłam się z psem.

– Jak się wabi? – zapytałam.

– Shamus[1].

Poklepałam się po udach. Pies usadowił się przy moich nogach, a Hank zapiął mu smycz. Gdy tylko Shamus usłyszał klik karabińczyka, wiedział, co go czeka, i rozszalał się na dobre. Po chwili podążył wzdłuż krawężnika, z nosem przy ziemi.

Hank złapał mnie za rękę i poszliśmy za zwierzakiem. Po kilku krokach zrozumiałam, co tu się działo.

– To nie fair – powiedziałam.

– Co? – zapytał Hank.

– Nie zgrywaj niewiniątka, Hanku Nightingale. O psie mówię.

Objął mnie. Hank, nie pies.

Zatrzymaliśmy się, choć Shamus nie miał na to ochoty, a jego spojrzenie mówiło: „No weźcie, idziemy dalej!”.

Poczułam usta Hanka na skroni, w chwilę potem na uchu.

– Usiłujesz zgrywać niedostępną twardzielkę, ale ja przecież wiem, że jesteś miękka i chętna... – szepnął.

Odsunęłam się gwałtownie.

– Nie jestem miękka! – wypaliłam.

– Płaczesz na reklamach – przypomniał mi.

No tak, w końcu sama jak ostatnia idiotka przyznałam mu się do tego.

– Ale na pewno nie jestem chętna! – upierałam się.

– To się za moment okaże.

Cholera.

Przespacerowaliśmy się z Shamusem przez dwie ulice i zawróciliśmy do domu.

Stałam przed drzwiami, usiłując wyglądać jak ktoś, kto wcale nie ma ochoty wchodzić do

środku. Weszliśmy jednak i Hank zapalił kilka lamp.

Cały parter zajmowała otwarta przestrzeń, na którą składał się salon, strefa jadalniana i kuchnia z barkiem. Musiał niedawno zrobić remont, wszystko było nowe i schludne. Wyfroterowany parkiet, w kuchni dębowe szafki i chromowane sprzęty, wyglądające na wygodne, tapicerowane karmelową tkaniną meble i stary, sfatygowany stół, który musiał niejedno przeżyć.

Wszystko było tak bardzo w stylu Kolorado. W przedpokoju ścianę zdobiły stare tablice rejestracyjne. Przestrzeń asekuracyjnie udekorowana kilkoma indiańskimi figurkami, a na ścianie nad kanapą oprawione plakaty reklamowe browarów.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o wystrój. Mimo braku miękkich poduszek i świec zapachowych czuło się domową atmosferę i rys osobowości właściciela. Mieszkał tu i to lubił, był dumny z tego, jak dom wyglądał, to dało się wyczuć od razu.

Dodałabym jednak kute, żelazne kandelabry i świece o zapachu morwy, i może jakieś zasłony, żeby nieco ukryć żaluzje...

Przestań dekorować mu chałupę!, zbeształam się w myślach, krzyżując ręce na piersi, jakbym w ten sposób mogła powstrzymać designerskie zapędy.

– Napijesz się czegoś? – Hank odpiął psu smycz i podążył do kuchni.

Przez szczelinę między blatem i górnymi szafkami mogłam dostrzec tylko jego talię i kratę na brzuchu...

Bardzo przyjemny widok.

Przytoczył się Shamus i znowu usiadł na moich stopach. Potarosiłam jego uszy.

– Chciałabym już wrócić do hotelu.

– Spędzisz noc tutaj – poinformował mnie Hank, opierając się o barek.

Chyba kopara mi opadła.

– Nie mam najmniejszego zamiaru!

Spojrzenie mu złagodniało, a mnie skoczyło ciśnienie.

– Podejdź no tu do mnie...

– Nie, zabierz mnie do hotelu!

– Zbliź się, a przekonam cię, że nie chcesz tam wracać.

Dobry Boże! Wcale nie musiał mnie przekonywać, bo przecież tak naprawdę nie chciałam donikąd wracać. Ale musiałam, dla jego dobra i dla swojego własnego.

– Whisky, naprawdę muszę się wyspać. Mam jutro sporo do zrobienia.

Kłamałam jak z nut, niczego na jutro nie zaplanowałam.

– Co niby?

Niczego nie wymyśliłam na poczekaniu.

– Możesz tam sobie stać, ale wówczas ja podejść do ciebie i wierz mi, lepiej będzie, jak sama się zbliżysz.

Mierzyliśmy się spojrzeniami. Moje serce waliło już w piersi jak młot pneumatyczny. Słyszałam, jak uderza raz za razem, gdy na niego patrzyłam. Ruszył w moją stronę, a Shamus, widząc właściciela, porzucił mnie niecznie. Wycofywałam się, aż uderzyłam plecami o zamknięte drzwi. Uniosłam ręce, by się osłonić.

– Whisky... – zaczęłam, ale zanurkował pod moimi wyciągniętymi ramionami i zarzucił mnie sobie na plecy.

O matulu!!

– Hank! – krzyknęłam w jego plecy, ale nie reagował, tylko szedł do jadalni. – Postaw mnie!

– Odpychałam się od niego nadaremnie, przeszedł przez kuchnię do jakiegoś ciemnego pokoju.

– Do diabła, postaw mnie!

Pochylił się, żeby zapalić jakąś lampę, po czym postawił mnie na podłodze. Uciekłabym, ale tarasował wyjście. Za moimi plecami znajdowało się ogromne łóżko z zagłówkiem z surowego drewna. Tuż za mną.

– Zejdź mi z drogi! – zażądałam. – Wzywam taksówkę!

Oplótł mnie ramionami.

– Żadnych taksówek. – Jedna z jego dłoni zawędrowała po plecach na tył mojej głowy. – Żadnego hotelu. – Druga ręka oplatająca mnie, przyciągająca do jego ciała. – Dziś w nocy śpisz w moim łóżku, ze mną.

Spojrzałam w jego twarz, czując, że w jego objęciach cała chęć oporu wyparowuje.

– Proszę... – jęknęłam błagalnie.

– Jeszcze nie raz poprosisz tej nocy... – wyszeptał w moje usta.

Poczułam motyle w brzuchu. A potem mój umysł opustoszał.

Pocałował mnie. Głęboko. Nie opierałam się, odwzajemniłam pocałunek. Przecież tak naprawdę nie chciałam z tym walczyć. Historia zatoczyła koło: poddałam się Billy’emu, teraz poddawałam się Hankowi.

Objęłam jego szyję, wplotłam dłonie we włosy, które były wspaniałe, miękkie i gęste, wiły się wokół moich palców.

– Świetne masz włosy... – szepnęłam do jego ucha, gdy on moje pieścił wargami.

– Walnięta jesteś... – odrzekł, a zabrzmiało to jak komplement.

Poczułam jego usta tuż za uchem, zadrżałam.

– Wcale nie... – szepnęłam, przykładając usta do jego szyi; posmakowałam skórę językiem.

Poczułam jego dłoń wślizgującą się pod moją bluzkę, wędrującą po boku ciała. Wzdrygnęłam się, miałam łaskotki.

– Zamierzasz cały czas gadać? – zapytał, odsuwając się nieco, by na mnie spojrzeć.

– Może...

Pokręcił przecząco głową i zamknął mi usta pocałunkiem. I dopiero teraz zaczął całować nie na żarty. Jeśli wcześniej od pieszczoty jego ust zakręciło mi się w głowie, to teraz prawie straciłam przytomność.

Badałam dłońmi jego plecy i barki, moje ręce tańczyły pod swetrem. A on nie przestawał mnie całować, może dlatego, że bym już się nie odzywała. Czułam, że się zatracam, choć przecież tak naprawdę to stało się już dawno.

Rzuciliśmy się na siebie już bez hamulców: dłonie pod ubraniami, języki walczące w ustach. Zdarłam z niego ten cholerny golf. Pchnął mnie na łóżko i ułożył się obok, jego dłoń buszowała pod moją bluzką, gładził mnie po brzuchu, w końcu uchwycił pierś. Całował mnie niestrudzenie, aż poczułam, jak ta pewna, gorąca dłoń odsuwa mój biustonosz i dotyka obnażonego ciała. Cofnęłam się nieco, ale jego palce jakby żyły własnym życiem.

– Zdejmę bluzkę... – szepnęłam.

– Nie marudź, bawię się... – rzekł, a jego dotyk doprowadzał mnie do szału, ale w pozytywnym sensie.

Przytuliłam się mocniej.

– Whisky, pozwól mi się rozebrać...

Spojrzał na mnie, nie przestając się bawić moją pierś. To było przyjemne.

– Dlaczego „Whisky”? – zapytał.

– Co?

– Dlaczego nazywasz mnie „Whisky”?

Usiłowałam się odsunąć, żeby mieć pole manewru do rozebrania się, ale jego zręczne palce wiedziały, co robią. Poczułam spazm w dole ciała.

– A niech mnie... – wydyszałam.

– Dlaczego „Whisky”? – powtórzył.

– To przez twoje oczy – szepnęłam. – Mają kolor whisky.

Uśmiechnął się. A ja poczułam kolejny spazm w dole brzucha. Pocałował mnie znowu, po czym odsunął się i w końcu ściągnął ze mnie bluzkę. Był już na mnie, a jego niestrudzone usta i zręczne palce penetrowały każdy zakamarek ciała. Odebrało mi mowę. Mój stanik odfrunął. Hank sięgnął w dół, zdejmując mi buty, potem zabrał się za zsuwanie jeansów. Bez ostrzeżenia zanurkował

między moje nogi, poczułam jego gorący oddech przez majtki. To było preludium do tego, co zaczął wyczyniać ustami. To było przyjemne, bardzo przyjemne, i poczułam, że za moment będzie po wszystkim. Napięcie narastało aż do spektakularnego finału.

– Haaank... – jęknęłam.

Oderwał ode mnie usta i uniósł się nade mną. Usiłowałam zepchnąć go w dół, bo przecież nie skończył, byłam na granicy spełnienia. Nie poruszył się, zamiast tego zawędrował ustami na moją szyję.

– Byłam już tak blisko...! – poskarżyłam się.

– Wiem – odrzekł, nie poddając się mojej sugestii. – Nie pozwolę ci tak szybko skończyć.

Nie pozwolił. Doprowadzał mnie do szaleństwa i przerywał, raz za razem, a mnie udało się jedynie rozpiąć mu pasek i jeden guzik jeansów. Wsunęłam dłoń za spodnie, podczas gdy jego palce tańczyły wewnątrz mojego ciała i gdy już, już miałam kończyć, znowu się wycofał.

Otworzyłam oczy.

– Whisky...! – jęknęłam bezradnie, usiłując obalić go na plecy, żeby zyskać jakąś przewagę.

Byłam już tak rozgrzana, że moje ciało niemal skwierczało. Nigdy w życiu nie byłam jeszcze tak napalona!

Uśmiechnął się.

– Nie nabijaj się ze mnie, tylko dokończ, co zaczęłeś! – zażądałam.

Pocałował mnie delikatnie.

– Poproś ładnie...

Z moich ust dobyło się stłumione warknięcie. Zaatakowałam i wszystko wyrwało się spod kontroli. Przepychaliśmy się, ale przecież był o wiele silniejszy. Obalił mnie na plecy i unieruchomił nadgarstki nad głową, jego druga dłoń pracowała niestrudzenie między moimi udami. Znowu byłam tak blisko, wiedział to.

– Puść moje ręce, chcę cię dotknąć!

Oczywiście nie zareagował, wędrował językiem po mojej szyi.

– Hank...!

To zabrzmiało jak błaganie. Żałosne.

Wycofał dłoń.

– Błagam...! – powiedziałam niskim głosem.

Wisiał nade mną, patrząc mi w oczy, jego spojrzenie parzyło jak lawa. Wstrzymałam oddech. Położył się na mnie, wpasowując się biodrami między moje uda. Uwolnił moje nadgarstki. Rozpiął rozporek, a ja nerwowo zsunęłam jego jeansy, aż w końcu moja dłoń znalazła to, czego szukała.

– Rany, Słonko! – szepnął, patrząc mi głęboko w oczy.

Usiłowałam naprowadzić go, ale się opierał.

– Chcę cię poczuć w sobie, teraz!

Odsunął moją dłoń i chwycił moje biodra, unosząc je. Przez chwilę przyglądał się, odwlekając nieuniknione.

– Błagam! – jęknęłam.

Wślizgnął się do środka. Pasował idealnie. Oplotłam go ramionami, odrzucając głowę do tyłu.

– Kochanie, spójrz na mnie! – szepnął.

Spojrzałam, a on wciąż się we mnie poruszał.

– To właśnie teraz się zaczyna – rzekł enigmatycznie.

Dostosowałam do jego rytmu ruchy bioder. Nie mogłam skupić się na jego słowach, znowu byłam na granicy spełnienia.

– Co się zaczyna...?

– My się zaczynamy.

– Whisky... Nie nadażam za tobą!

Nadażałam, ale nie za tym, co mówił. Przyłgnęłam do niego, chcąc poczuć go jeszcze głębiej.

– Niech to, pasujemy idealnie! – wyszeptałam.

– Słoneczko, skup się jeszcze przez moment – powtórzył i miałam wrażenie, że jest rozbawiony tym, co się dzieje.

Nie przerywał swojego tańca wewnątrz mnie, a ja byłam już tuż-tuż.

– Zwariowałaś? – W tej chwili było mi wszystko jedno, mógł być kompletnym wariatem.

– Od teraz jesteśmy razem.

Moje ramiona się zacisnęły i inne części ciała również zacisnęły się wokół niego.

Jego spojrzenie znowu złagodniało.

– Teraz to czuję, jest miło... – szepnął.

– Hank!

Wszedł jeszcze głębiej.

– Nic nie mów.

– Hank...!

Przykrył moje usta swoimi.

– Cicho... – mruknął.

Znowu mnie całował, a ja nie pozostawałam dłużna. Poruszaliśmy się w jednym rytmie, a ja szeptałam wciąż jego imię, aż przeszło w jęk i w końcu odczułam wszechogarniające spełnienie.

Było spektakularnie.

Rozdział siódmy

Koniec

Gdy emocje opadły, Hank na moment wyszedł z łóżka, ściągnął spodnie, po czym zgasił światło i opatuliwszy mnie kołdrą, wślizgnął się w ciepłe pielesze. Położył się na plecach i przyciągnął mnie blisko. Nie odzywałam się, głównie dlatego, że byłam pochłonięta zastanawianiem się, na ilu poziomach osiągnęłam mistrzostwo w byciu idiotką. Byłam przy dwudziestym siódmym, gdy Hank się odezwał:

- Chyba już wolę, jak gadasz...
 - Spać mi się chce – skłamałam.
 - Akurat. Coś tam myślisz w głowie, a znając twój tok myślenia, nic dobrego nie wymyślisz.
 - Nie znasz mojego toku myślenia.
 - Wmówiłaś sobie, że aligatory to słodziaki.
 - Niczego sobie nie wmówiłam! Czy ty widziałeś kiedyś aligatora? One są słodkie!
- wykłócałam się.

Wstrząsnął nim spazm śmiechu.

– Sowy też są słodkie – ciągnęłam, ignorując jego wybuch wesołości, a może właśnie dlatego, że go to bawiło. – Zawsze chciałam mieć sowę. Jak Florence Nightingale. Nosiła jedną w kieszeni.

Ciągle się śmiał, a jego ciało rezonowało obok mnie. Nagle coś sobie uświadomiłam; uniosłam się na łokciach.

– Czy ty jesteś z nią spokrewniony...?

Miałam wrażenie, że na mnie patrzy, choć nie mogłam tego dostrzec w ciemności.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Osunęłam się na jego ciało, opierając głowę na jego ramieniu.

Przeturlał mnie na plecy i położył się na mnie. Poglądził mnie po policzku, wplótł palce we włosy.

– Naprawdę jesteś śpiąca? – zapytał.

Nie byłam. Byłam aż nazbyt przytomna i przerażona tą sytuacją.

– Mhm... – mruknęłam tylko.

– Bo jeśli chcesz porozmawiać, to coś mi się zdaje, że mamy mnóstwo do obgadania.

– Jestem śpiąca – oświadczyłam zbyt szybko.

Przesunął dłoń na moją szyję i niżej, między piersi, potem oplótł mnie ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

– Więc jutro pogadamy – zdecydował.

Przywarłam do niego całym ciałem. Nie zamierzałam teraz o tym myśleć. Ani kiedy indziej. Może w ogóle. Trwaliśmy tak, przytuleni.

– Hank...? – wyszeptałam w końcu.

– Tak?

– Dzięki za ten wieczór... – wyszeptałam w jego szyję.

Poczułam, że jego uścisk się zacieśnia.

Obudziłam się przywalona jakimś trudnym do udźwignięcia ciężarem. Przez chwilę leżałam w ciemności, usiłując przypomnieć sobie, gdzie się znajdowałam. I z kim.

Leżałam na plecach, a Hank spał, pochrapując w moją skroń. Jego mocarne ramię spoczywało na mojej klatce piersiowej, dłonią obejmował pierś. Do tego przygniatał mnie nogą, a z drugiej strony, z łbem złożonym wygodnie na moim brzuchu, drzemał Shamus.

Chłopcy Nightingale, pan i pies, uwięzili mnie na dobre. Ale nie czułam się zniewolona, raczej bezpieczna. I wówczas powrócił rozsądek. Nie tak to miało być. Ten obrót spraw najprawdopodobniej

zakończy się katastrofą. Nie chodziło nawet o Billy'ego, bo miałam wrażenie, że Hank, jako ten dobry i wyrozumiały facet, któremu na mnie najwidoczniej zależało, ogarnąłby jakoś tę sytuację. Nie zamierzałam go jednak sprawdzać. Chodziło raczej o to, że wskoczyłam mu do łóżka na pierwszej randce.

Jestem puszczańska!

Co on sobie o mnie pomyślał?

Moglibyśmy porozmawiać o Billym, gdybym nie weszła Hankowi do łóżka. Teraz skupi się raczej na tym, że jestem łatwa. Puszczańska żdzira z Indiany, która przeskakuje z łóżka kryminalisty do łóżka policjanta. Sama go prosiłam, żeby mnie przeleciał. Zostawało mi tylko jedno wyjście. Musiałam się zwijać. Natychmiast. Nie tylko z domu Hanka, ale i z Denver.

Cały mój plan porzucenia Billy'ego wziął w łeb. Musiałam zacząć od początku.

Poruszyłam się, a Shamus wyczuł to natychmiast i usiadł. Zamarłam, nasłuchując, ale Hank się nie obudził.

– No, mały, spadaj! – wyszeptałam do Shamusa, usiłując go odepchnąć.

Pies niechętnie zszedł z łóżka.

Wydostałam się spod Hanka i ponownie wsłuchałam w jego oddech. Wciąż spał, więc ostrożnie wygramoliłam się z łóżka. Shamus odebrał to jako zachętę do zabawy i zaczął ganiać od drzwi do łóżka i z powrotem, merdając ogonem.

– Ciii! – syknęłam. – Chodź tu! Siad!

Posłuchał, siadając przy mnie, ale słyszałam, że ogonem wciąż zamiata podłogę. Co za stuknięty pies! Myślał pewnie, że wybieramy się na spacer po parku, pograć we frisbee. O północy.

Podrapałam go za uchem i pomyślałam z żalem, że chętnie porzuciłabym mu frisbee. Nie teraz, oczywiście, ale kiedyś, gdzieś... Ta myśl odbiła się bolesnym ukłuciem za mostkiem, bo wiedziałam, że nigdy do tego nie dojdzie. Polizał mnie po dłoni. Tak bardzo go polubiłam.

– Jesteś takim grzecznym pieskiem, co? – powiedziałam, żałując, że Hank w ogóle ma psa. To czyniło z niego jeszcze większy ideał, o ile to w ogóle było możliwe.

– Zostań! – rozkazałam, a pies posłuchał.

Po omacku szukałam ubrań, w końcu potknęłam się o jeden z butów.

– Cholera! – zakląłam, zerkając w stronę łóżka.

Zero ruchu. Dzięki Bogu!

Odnalazłam bieliznę i jeansy, ale potknęłam się o but Hanka, poszukując bluzki.

– Kurwa! – wymknęło mi się, bo czułam się już jak kompletna idiotka błądząca w ciemności.

Włożyłam bieliznę, a Shamus znudził się bezczynnym siedzeniem i podszedł do mnie. Oparł swoje cielsko o moje nogi, czułam, jak chwije się od ciągłego merdania ogonem.

– Siad, Shamus! Bądź greczny! – mruknęłam, dotykając jego łba, ale za nic miał moje upomnienia i uwalił się przy moich stopach.

Gdy prostowałam się, ciągle dzierząc spodnie w dłoni, zapaliło się światło. Spojrzałam na łóżko. Hank opierał się na łokciu, patrzył na mnie. Zaspany, rozczochrany, nagi. Zwykle wyglądał super, a jeszcze lepiej, gdy się złościł. Gdy patrzyłam na niego podczas prowadzenia auta, czułam, że ślinka mi cieknie. Ale ten widok to był nokaut!

– Co ty wyrabiasz? – zapytał.

– Obudziłeś się – zauważyłam.

– Pobudzisz sąsiadów tym tłuczeniem się. Co się dzieje?

– Wychodzę.

Oj, niedobrze... Przeszedł w tryb wkurzony w ciągu sekundy.

– Coś ty powiedziała?

Spuściłam wzrok, nie mogłam teraz na niego patrzeć. Wyciągnęłam stopy spod Shamusa.

– Zamówię taksówkę i spadam.

Shamus najwidoczniej również nie zamierzał mnie wypuścić, bo skutecznie przeszkadzał mi w próbach wciągnięcia jeansów. Podskakiwałam z jedną nogą w nogawce, usiłując mu umknąć.

Niewiele w tym było gracji, ale co mi tam.

Nie powinnam była odwracać wzroku od łóżka, bo nagle Hank znalazł się tuż przy mnie. Puściłam spodnie i wszyscy troje się zderzyliśmy.

Hank stał tuż przy mnie zupełnie nagi. Wcześniej nie miałam okazji mu się przyjrzeć, bo zaślepiło mnie pożądanie. To, że miał świetną klatkę, zauważyłam już wcześniej, ale teraz okazało się, że wszystko inne było równie wspaniałe.

Zignorowałam te wspaniałości i spróbowałam wyrwać się z jego uścisku. Chwycił mnie za ramiona.

– Wracaj do łóżka – rozkazał, patrząc na mnie z góry.

– Wychodzę.

– Nie wychodzisz.

Wciąż usiłowałam się wyswobodzić i wciąż było to mało skuteczne.

– Właśnie że tak!

– Dlaczego? – zapytał bezradnie.

– Czy to ważne dlaczego?

– Powiedz, dlaczego wychodzisz.

Jezu, czy on nie mógł się odczepić?

– Puść mnie! – zabrzmiało to dość desperacko.

Oparłam ręce o jego pierś i spróbowałam go odepchnąć. Delikatnie mną potrząsnął, domagając się uwagi. Skutecznie.

– Powiedz, dlaczego wymykasz się z mojego łóżka w środku nocy – zażądał.

– Hank!

– Odpowiadaj, do cholery!

Oż ty...

Nie był już rozdrażniony, był wściekły. Widziałam to nie tylko w jego twarzy, czułam ten gniew emanujący z całego ciała. Nie przestraszyłam się jednak, bo było widać, że nad nim panuje. Miał wszystko pod kontrolą i byłam tego tak samo pewna jak faktu, że Lucky szyje najlepsze jeansy na świecie.

No dobra, nie chciałam, żeby się na mnie gniewał, więc powiedziałam to:

– Nie jestem puszczalska!

Poczułam, że dłonie na moich ramionach nieco się rozluźniają, ale nie puścił mnie.

– Co proszę? – zapytał.

– Nie jestem puszczalska!

Boże, brzmiałam jak idiotka, musiałam się jakoś wytłumaczyć.

– Nie jestem zdzirą. Nigdy wcześniej nie przespałam się z facetem na pierwszej randce, nigdy, przenigdy!

– Roxanne... – zaczął, ale weszłam mu w słowo.

– Bil... z ostatnim moim facetem bujaliśmy się trzy tygodnie, zanim doszliśmy do trzeciej bazy, a przespaliśmy się ze sobą po miesiącu albo i później.

– Roxie! – spróbował znów, ale miałam słowotok.

– Przed nim był Derek i chyba całą wieczność randkowaliśmy, zanim to zrobiliśmy, a tak w ogóle to było strasznie kiepsko, bo marnie sobie radził. Był jeszcze Kenny, ale nawet nie pamiętam, jak długo to wszystko trwało. Był palantem. Jak tylko mnie przeleciał, to zaraz mnie rzucił.

– Roxie! – Hank przytulił mnie mocno, ale przecież ja jak idiotka wciąż wyliczałam na palcach swoich byłych.

– Jeszcze Troy. Nieźle całował, prawie tak dobrze jak ty, ale chyba ze dwa tygodnie trzymałam go w niepewności, zanim pozwoliłam włożyć sobie ręce pod bluzkę. Czekał! On się nie liczy, bo ostatecznie nawet tego nie zrobiliśmy. Przyłapałam go z Kim, moją przyjaciółką, która okazała się wredną suką. Prawie o tym zapomniałam...

Nie czułam ramion Hanka wokół mnie ani Shamusy opartego o nasze nogi, trajkotałam jak

nakręcona.

– No i Scott, mój pierwszy. Rok trwało, zanim do czegokolwiek doszło, ale ostatecznie ożenił się z królową balu i mają chyba szóstkę dzieci, nie żartuję!

Przerwałam i spojrzałam w górę. Patrzył na mnie, a na jego twarzy nie było już żadnych negatywnych emocji. Znowu uśmiechał się do mnie wzrokiem, jak tylko on potrafił. Czy ja mu właśnie wyrecytowałam wszystkich moich poprzednich kochanków...?? Właśnie tak. Cholera!

– Skończyłaś? – spytał.

– Jestem idiotką.

Pochylił się i znowu posmyrał mnie nosem. Czy on miał jakichś Eskimosów w rodzinie? Ucałował mnie lekko. To wszystko było bardzo miłe, ale i tak czułam się jak kretyńka na trzydziestu różnych płaszczyznach.

– Jestem puszczalską idiotką.

– Nie jesteś puszczalską. I nie jesteś idiotką – rzekł autorytarnym tonem.

Dobrze, że choć on w to wierzył.

Poczułam, że rozpina mi biustonosz.

– Nie! – zaprotestowałam. – Przestań! Muszę iść!

Oczywiście zignorował mnie, zsunął ramiączka i odrzucił biustonosz. Znowu się pochylił, uchwycił mnie pewnie i położył na łóżku, po czym przykrył mnie swoim ciałem. Co za rozkoszny ciężar!

– Zejdź ze mnie, muszę iść!

Jego dłonie znowu błądziły po moim ciele, zręczne palce zaplątały się w koronkę majtek i zaczęły je zsuwać.

Wyszeptał w moją szyję:

– Teraz zerżnę cię ponownie, a jeśli po tym dalej będziesz chciała wyjść, odwiozę cię do hotelu...

Tego było już za wiele. Poczułam rozkoszny skurcz w dole brzucha, ale musiałam to przezwyciężyć, przynajmniej spróbować.

– Nie, żadnego więcej rżnięcia! Mam sprawy, które muszę ogarnąć. Jeśli wciąż będziesz zainteresowany, gdy skończę, to wrócimy do tematu. Ale najpierw się lepiej poznamy, nie będziemy się spieszyć. Tak nie może być...

Po sposobie, w jaki na mnie spojrzał, poznałam, że wydało mu się to zabawne.

– Słoneczko, wiem już, że jesteś walnięta, i przyznaję, że to dość urocze, ale doprawdy jesteś prawdziwą wariatką, jeśli wierzysz, że będę czekał na to, żeby ponownie w ciebie wejść!

No niech mnie. Ciche skwierczenie we mnie przerodziło się w piekielny ogień.

– Hank...

Włożył rękę w moje majtki i pocałował mnie. Cholera. Czułam, że ta resztkę oporu we mnie pada pod naporem jego języka, gdy znowu mnie pocałował.

– Nogi szerzej... – wymruczał w moje usta.

– Muszę ci coś wytłumaczyć – zaczęłam, przekonana, że on nagle powinien wszystko wiedzieć.

– Jutro mi wyjaśnisz, teraz nogi szerzej, mówię!

Nie uległam, zacisnęłam uda.

– A jeśli jutro nie zrozumiesz moich wyjaśnień?

W odpowiedzi znowu pocałował mnie głęboko, aż zakręciło mi się w głowie. Jego usta wędrowały po moim policzku aż do ucha.

– Roxanne, kochanie, rozsuń dla mnie uda...

Same się rozsunały. Może i byłam słaba, ale serio, w takiej chwili zrobiłabym dla niego wszystko. Docenił to. A potem ja doceniłam jego. Moje myśli o odejściu uleciały. Leżałam na plecach, na jego piersi, oplatał mnie ramionami, nasze palce również były splecione.

Wymruczał przez sen:

– Cokolwiek to jest, zrozumieć...

Przytuliłam się mocniej, modląc się o to, żeby rzeczywiście tak się stało.

Ktoś odgarniał mi włosy z twarzy, gładził po szyi. Dłoń zjechała niżej, aż do biodra.

– Obudź się, Słoneczko...

Przewróciłam się na plecy. Na zewnątrz wciąż było ciemno, choć poblask świtu wsączał się nieśmiało przez żaluzje; również pod drzwiami pojawił się jasny pasek światła z sąsiedniego pomieszczenia. Hank był ubrany w markowy T-shirt i dresy z lampasem.

– Ubrałeś się... – wymamrotałam.

– Idziemy z Shamusem pobiegać. Jak wrócimy, to wskoczę pod prysznic, a potem zabiorę cię na śniadanie.

– Pobiegać? – zamrugałam.

– No tak.

– To znaczy, taki trening jakby?

Uśmiechnął się.

– Ale po co? – zapytałam.

– Wnioskuje, że ty nie biegasz...?

– Tylko gdy goni mnie koleś z piłą mechaniczną.

– A to się często zdarza? – zapytał, uśmiechając się szerzej.

– Nieczęsto, ale Ally opowiadała mi o takim jednym w nawiedzonym domu, do którego chce mnie zabrać.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, zmarszczył brwi.

– Chryste, nie idź tam z nimi! Kilka lat temu Indy wpadła w histerię i wybiegła, roztrzając bele słomy, z których zbudowany był labirynt. Poleciała w pole kukurydzy i wszyscy pracownicy ją gonili, ale przecież byli poprzebierani za potwory, więc dostała jeszcze większego jobla. Musieli wezwać gliny, żeby ją uspokoić.

Zawiesiłam się na polu kukurydzy.

– ...kukurydzy?

– No.

– Budują nawiedzone szlaki wśród pól kukurydzy?

– Tak, w Thornton. Najstraszniejsza atrakcja w Denver. Indy i Ally jeżdżą tam co roku. Czemu pytasz?

– Takie pola są straszne.

Zamilkł.

– Jesteś z Indiany – rzekł po chwili. – Jak, do cholery, możesz się bać kukurydzy?

– Nie chodzi o kukurydzę, tylko o pola w nocy. A nuż jakieś nawiedzone?

– A łąziłaś już kiedyś po nawiedzonym polu?

– Kolo – obniżyłam głos. – Wszystkie pola kukurydzy są nawiedzone, to powszechnie znany fakt. – Uniosłam się na łokciach. – Szepty się tam rozchodzą... – Zadrżałam, bo wspomnienie szepczących pól mnie rozwalalo. Każdy powinien bać się czegoś takiego.

Uniósł mnie z łóżka i przycisnął do swojego ciała. Czułam, że się śmieje, choć tego nie słyszałam.

– Czy ty przed chwilą zwróciłaś się do mnie per kolo?

– Tak. No i?

Przegarnął dłonią moje włosy.

– A co jest w tym złego? – zapytałam, ale nie odpowiedział od razu.

– Czasu by nam zabrakło, żeby omówić wszystkie wady słowa „kolo”. A mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Jeśli jednak zostaną przy tobie chwilę dłużej, nabiorę ochoty na zupełnie inne ćwiczenia, one jednak nie pomogą Shamusowi utrzymać formy.

Musnął wargami moje usta, zamrowiły jeszcze przyjemniej niż skóra głowy pod jego dotykiem.

– Kawa jest w lodówce, młynek w szafie nad ekspresem. Często się, ale nic nie jedz, bo zabieram cię na śniadanie do Dozen.

– Dobra. – Zapatrzyłam się w jego usta.

– Roxie?

– Hm? – Czy on coś mówił? Nie uważałam, jego dolna warga była taka piękna!

– Przyglądaj mi się tak dalej, a wezmę cię po raz kolejny. Ale skoro to ja odwalam większość łózkowej roboty, będziesz potem musiała zabrać Shamusa na przebieżkę!

Zmrużyłam oczy.

– Ty odwalasz większość roboty?

Uśmiechnął się.

– Czy mam ci przypomnieć, Hanku Nightingale, jak za pierwszym razem nie pozwoliłeś się dotknąć, a za drugim, gdy spróbowałam cię dotknąć, przewróciłeś mnie na plecy?

Znowu mnie pocałował.

– Niczego nie musisz mi przypominać – szepnął, na moment odrywając usta od moich.

– Pamiętam każdą sekundę!

Zamilkłam, bo wspomnienie i mnie odebrało oddech.

– Wracam za trzy kwadranse, za godzinkę może. Zaczekaj na mnie, razem się wykapiemy.

Pokiwałam głową. Gdzieś po niej kołatało się przeświadczenie, że strasznie się rzadził, ale nie przeszkadzało mi to.

– Chyba się jeszcze chwilę zdrzemnę – powiedziałam mu. – Obudź mnie, jak wrócisz.

Przytulił mnie mocniej, gdy to usłyszał, zapadłam się w niego. Chyba tracił motywację do biegania. Spojrzałam w stronę łózka, przy którym Shamus siedział zniecierpliwiony, z wywalonym językiem, merdając ogonem.

– Pies czeka – poinformowałam Hanka, jakby nie było to dość oczywiste.

Hank nie odrywał ode mnie wzroku. Patrzył intensywnie, prosto w moje oczy, i czułam, że mój oddech staje się coraz płytszy.

– Co jest? – spytałam.

– Ta myśl – rzekł cicho, gładząc mnie po boku – że śpisz w moim łóżku, jest bardzo przyjemna.

Gardło ścisnęła mi przedziwna mieszanka niepokoju i wzruszenia, przerażająca i jednocześnie bardzo podniecająca. Przełknęłam, usiłując pozbyć się tego napięcia, a potem wtuliłam twarz w jego szyję.

– Hank – szepnęłam. – Nie spodoba ci się to, co usłyszysz przy śniadaniu. Proszę cię w imieniu osoby, którą wydaje ci się, że jestem, nie...

– Jesteś jakąś inną osobą? – przerwał mi.

Pokręciłam głową, spojrzałam mu w oczy.

– Nie, ale gdy usłyszysz, co mam do powiedzenia, możesz tak pomyśleć.

Przez moment tylko na mnie patrzył, a potem nagle wyciągnął mnie spod kołdry i usadził na swoich kolanach. Okrył moje nagie ciało kołdrą, żebym nie zmarzła, po czym ujął moją twarz w dłoń.

– Kochanie, mam trzydzieści pięć lat i zaliczyłem o wiele więcej kobiet niż ty facetów. Jestem już na tym etapie, że potrafię określić, czego pragnę. Wiem, że czegoś chcę, gdy tylko to zobaczę. I wierz mi, jesteś najciekawszą osobą, jaką wypatrzyłem od bardzo długiego czasu.

A niech to. Próbowałam przyswoić znaczenie tych słów.

– Co więcej, w pracy stykam się codziennie z rdzą, która przeżera krawędzie cywilizacji, i jakoś muszę sobie z tym radzić. Potrafię rozpoznać dobrego człowieka. Potrafię również rozpoznać złego. Znam dobrych ludzi, których życie zmusiło do złych czynów, i złoczyńców robiących dobre uczynki.

Patrząc na niego zauroczona tym, co mówił.

– Wiem, którym typem osoby jesteś, i nic, co mi powiesz przy śniadaniu, tego nie zmieni. A gdy teraz będę biegał, w głowie będę mieć tylko jedną myśl: że twoje fantastyczne, nagie ciało spoczywa w moim łóżku.

Przebiegł mnie dreszcz.

– Wow... – szepnęłam.

– Więc przestań się zamartwiać – dokończył.

Pokiwałam głową. Poczułam jego dłoń zjeżdżającą wzdłuż moich pleców.

– Jeszcze jedno, Roxanne...

Przytaknęłam ponownie, ale jego słowa tłukły się w mojej głowie i nie byłam pewna, czy jestem gotowa na „jeszcze jedno”.

– Mówiłem poważnie, gdy w nocy wspomniałem o nas. Wiem, że się boisz...

– Nie boję się! – skłamałam odruchowo.

– Cicho! – Objął mnie mocniej.

Umilkłam.

– Uważasz, że za bardzo się spieszymy.

– Tu się zgadzamy – wtrąciłam się znów.

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

– To już się stało, zrozum to. W chwili, w której wślizgnąłem się w ciebie, stało się.

Poczułam przyjemny skurcz w dole brzucha.

– Już to mówiłeś.

– Muszę wiedzieć, że jesteś tego świadoma.

– Dlaczego?

– Bo cokolwiek mi powiesz za kilka godzin, to sprawi, że się zaangażuję.

– To chyba nie o to chodzi – sprzeciwiłam się.

– Właśnie o to.

– Whisky...

– Już się zaangażowałem.

– Nie wydaje mi się.

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiesz.

– Musisz mi pozwolić zająć się moimi sprawami. Samodzielnie.

– Już to przeżyłem – wtrącił. – Stałem obok, bezczynnie się przyglądając. Nie pozwolę, by taka sytuacja się powtórzyła.

Mówił o Indy i Jet, o ich problemach.

– Bardzo to miłe, że chcesz pomóc, ale muszę to rozwiązać po swojemu – zapewniłam go.

– To nie jest miłe. Po prostu chronię to, co moje.

Spięłam się, odsunęłam nieco. Zamrugłam i wyprostowałam się.

– Nie jestem twoja.

– Może tak ci się tylko wydaje, co nie zmienia faktu, że jesteś.

Zbyt znajomo to zabrzmiało, niepokojąco znajomo. Faceci!

– Nie należę do ciebie! – krzyknęłam na tyle głośno, że Shamus szczerknął.

– Wiem, Roxie, usiłujesz być niezależna i silna...

No pięknie, teraz traktował mnie protekcyjnie! Nie cierpiałam tego.

– Nie waż się patrzeć na mnie z góry, Hanku Nightingale! Jestem niezależna! – Nie wspomniałam o byciu silną, bo to byłoby bezczelne kłamstwo. – Dostyc mam facetów, którym się wydaje, że...

Zamilkłam. Prawie się zagalopowałam.

– Że co? – spytał, a gdy nie odpowiedziałam, drążył: – Facetów, którym co się wydaje?

Wybuchnęłam mu prosto w twarz:

– Facetów, którym się wydaje, że mogą mnie mieć na własność, uwięzić, zmuszać do bycia tam, gdzie nie chcę być, wmawiać, że czuję coś, czego wcale nie czuję!

Gdy tylko to powiedziałam, rzucił mnie na łóżko i pochylił się nade mną. W jego spojrzeniu był ogień.

– To, że do mnie należysz, nie znaczy wcale, że będę cię do czegokolwiek przymuszał. To znaczy tylko tyle, że póki to, co jest między nami, trwa, będę cię uważał za moją. To znaczy, że będę cię chronił. Będę się o ciebie troszczył. Może inni faceci rozumieją to inaczej.

Jego spojrzenie się zmieniło, poweselało, stało się hipnotyzujące. W końcu poprosił:

– Nie porównuj mnie z innymi facetami.

Te słowa zniszczyły całą moją linię obrony. Musiałam jakoś utrzymać ten kruszący się mur oddzielający mnie od niego; rzuciłam więc filozoficzną bzdurę z książki dla dzieci:

– Mówią, że jeśli coś kochasz, musisz to uwolnić, a jeśli wróci do ciebie, to znaczy, że tak miało być.

– Pierdoły!

No cóż, polegałam w kwestii filozofowania. Postanowiłam przejść w tryb wkurzony.

– Hank! – wystrzeliłam.

Uśmiechnął się, dał mi całusa i rzucił:

– Pogadamy o tym przy śniadaniu. Ja wysłucham ciebie, ty wysłuchasz mnie. Jakoś to wszystko poskładamy.

Gdybym mogła podeprzeć się pod boki, zrobiłabym to.

– Jesteś uparty jak wujek Tex!

Jego uśmiech się poszerzył.

– Więc chyba wpadłaś na dobre!

– Już to wiem... – skonkludowałam.

Przygniótł mnie do materaca, odbierając mi oddech.

– W chwili, w której przekroczyłaś próg Fortnum, wiedziałem, że zrobię wszystko, żebyś znalazła się właśnie tu, gdzie teraz jesteś. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię tu zatrzymać do momentu, w którym stwierdzisz, że to dobre dla nas obojga.

Przygryzłam wargę, no bo co mogłam odpowiedzieć na taką deklarację? Przecież już dawno mnie przekonał. Nie mogłam jednak mu tego powiedzieć.

– I to *ja* niby jestem wariatką? – spytałam.

– Tak właśnie, skoro ciągle usiłujesz przekonać samą siebie, że nie chcesz tu być. To wariactwo i samooszukiwanie. – Cmoknął mnie w nos. – Ale spokojnie, jestem cierpliwy.

Cholera!

Podniósł się, po czym ułożył mnie wygodnie i ucałował w skroń.

Zanim zdążyłam wymyślić kolejną wymówkę, wyszedł.

Słyszałam, jak wychodził. Oczywiście, że nie zasnęłam, nie byłam w stanie. W głowie miałam mętlik. Było mi słabo, a przecież nawet nie było go w domu! Próbowałam schować się za moją mentalną tarczą, ale na nic się to zdało. A co mi tam! Musiałam zaadaptować Hankę do mojego planu. To nie było trudne, bo coś mi się zdawało, że Hank sam się do niego wkręci i na dodatek rozwiąże wszystko po swojemu. Mogło być gorzej, prawda?

Usłyszałam pukanie, gdy wtulałam się w jego poduszkę. Tak szybko wrócił? Biedny Shamus! Musiałam zabrać go na to frisbee, choć przecież nawet nie wiedziałam, czy umie aportować. Wyglądał jednakże na mądrego psiaka, na pewno byłam w stanie go nauczyć.

Pewnie Hank nie wziął ze sobą kluczy, bo zostałam w środku i mogłam mu otworzyć.

Wygramoliłam się z łóżka, odnalazłam na podłodze majtki i zarzuciłam jeszcze na siebie jego golf. Wyszłam z sypialni do głównego salonu, w którym pod ścianami stały kanapy. W kącie majaczył piec na drewno i kominek. Podreptałam przez kuchnię do frontowych drzwi. Nawet nie sprawdziłam, kto za nimi stał, tylko otworzyłam z uśmiechem.

Ale po sekundzie zniknął z moich ust.

W progu stał Billy.

Rozdział ósmy

Billy i dzika jazda

I to by było na tyle, jeśli chodziło o Hanka i o mnie.

Choć jeszcze chwilę wcześniej miałam nadzieję na nowy początek, to, co wydarzyło się później, miało odrzucić Hanka dalej niż jakakolwiek mentalna tarcza.

No i siedzę pod umywalką w obskurnym hotelu, zakneblowana i przykuta do rury odpływowej. Wszystko mnie boli. Nigdy wcześniej nie czułam takiego bólu. Boli mnie całe ciało. I twarz. Boli mnie serce.

Byłam obolała, ale nie bałam się.

Billy'ego już nie ma. Zabrali go jacyś faceci. Nie mam pojęcia, kim byli. Nie wiem też, dokąd poszli, i mam to gdzieś. Ktoś na pewno mnie znajdzie, może pokojówka, o ile w ogóle jakieś pracowały w tej norze, albo kierownik, gdy przyjdzie czas się wymeldować, a my nie oddamy klucza. Nie zamierzałam umrzeć przykuta do umywalki.

Czułam jednak, że już coś we mnie umarło: coś niezmiernie ważnego, gdzieś głęboko.

Billy mnie porwał. Inaczej się tego nie dało nazwać. Nie ułatwiałam mu tego, walczyłam jak opętana. Było brutalnie, okropnie i wyniszczająco.

Otworzyłam mu z uśmiechem i nie minęła sekunda, gdy położył na mnie łapska i wtargnął do salonu Hanka.

Wycofywałam się. Moja głowa gruchnęła o ścianę, a jeden z oprawionych plakatów spadł, szkło pękło, rozbryzgując się na wszystkie strony.

– Pierdolony Hank Nightingale! – Billy wypluł mi to nazwisko w twarz.

Musiał go sprawdzić. Cholera. Nie mogłam mówić, bo dłoń Billy'ego zaciskała się na moim gardle.

– Widziałem, jak odbiega ze swoim pieprzonym psem. Jebany gliniarz! Śledczy Hank, kurwa, Nightingale! – warknął.

Odepchnęłam go, kopnęłam z całej siły, ale odsunął się tylko odrobinę. Przepychaliśmy się i zdołałam się jakoś wyrwać, usiłowałam odbiec. Pochwycił mnie bez trudu, przyciągnął do siebie. Przewróciliśmy lampę, potem stół, gdy upadaliśmy, szarpiąc się. Usiadł na mnie, nasze twarze prawie się zetknęły.

– Pieprzycie się? – syknął.

Bałam się odezwać. Usiłowałam się wyrwać, w duchu modliłam się, żeby Hank zaraz wrócił. Ile go już nie było? Powiedział trzy kwadransy do godziny, a od jego wyjścia minęło jakieś dwadzieścia minut, góra dwadzieścia pięć.

– Pytałem, czy pozwoliłaś mu się zerznąć! – wykrzyczał mi w twarz Billy, a gdy milczałam, wykonał jakiś gwałtowny ruch.

Usłyszałam szcęk sprężynowca; Billy stoczył się ze mnie i wbił ostrze w tkaninę, rozcinając na mnie sweter. Rozdarł go, tak że byłam okryta jedynie strzępami. Wyrwałam się i usiłowałam odbiec, ale chwycił mnie za kostkę i szarpnął; wylądowałam boleśnie na kolanach. Odwróciłam się i usiłowałam walczyć, gdy ciągnął mnie za nogę, ale przecież był o wiele silniejszy. Uderzył mnie w twarz; jeden z jego pierścieni rozciął skórę na moim policzku. Zamroczyło mnie. Poczułam, że podnosi mnie z podłogi i wlecze do sypialni.

– Tutaj cię zerznął? – zapytał, stawiając mnie na nogi i przygniatając swoim ciałem do ściany.

– Przeleciał cię? – Przekrzywił moją twarz na bok, dociskając krwawiący policzek do ściany. – Zrobił ci dobrze? Ile razy cię przeleciał? – Odciągnął mnie od ściany i raz jeszcze do niej przygniótł. – Ile

razy cię zerznął, pytam?? – wrzasnął.

Nie miałam szans, by teraz go przegadać, by załagodzić sprawę. Wpadł w szal.

– Billy... – szepnęłam.

Wymierzył mi kolejny cios, aż upadłam na podłogę, lądując na czworakach. Kopnął mnie w żebra tak silnie, że jego bucior aż uniósł mnie z podłogi. Powalił mnie na plecy, kolanem roztrzącił moje nogi i położył się na mnie. Zerwał resztki swetra, napierając na mnie krocem.

– Powinienem teraz cię tu przelecieć w jego łóżku! Zostawić mu prezencik na prześcieradle...

Boże, tylko nie to, błagam!, pomyślałam.

Znowu zaczęłam się wrywać. Żebra mnie paliły, twarz bolała; czułam krew płynącą po policzku. Zdawał się nie odczuwać mojej szarpaniny.

– Zrobiłbym to, ale nie mamy czasu – powiedział i dorzucił, zanim zdążyłam podziękować Bogu: – Ubieraj się!

Wstał, pociągając mnie za sobą.

– Ubieraj się!! – wrzasnął.

Roztrzęsiona i przerażona wykonałam jego polecenie.

Próbowałam uciekać.

Billy wepchnął mnie do samochodu, który zaparkował tuż za autem Hanka. Prowadził jak wariat, nie odzywał się. Nawet nie próbowałam go zagadywać. Skupiłam się na strategii przetrwania, potem mogłam zacząć planować ucieczkę. Uspokoił się nieco, gdy wyjechaliśmy poza granice miasta. To był dobry moment, żeby zagadać, spróbować przemówić mu do rozumu, jakoś go przegadać.

– Billy, muszę do łazienki – spróbowałam.

– Zamknij, kurwa, mordę!

No dobra, najwyraźniej jeszcze się nie uspokoił.

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej przy granicy między Kolorado a Nebraską.

– Billy, muszę do łazienki, już zęby zaciskam – podjęłam znowu.

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Nie wyglądał jak mój przystojny, słodki, rozmarzony Billy, którego nigdy poznałam. To był jakiś obcy brutal.

– Jeśli spróbujesz zwiac, dopadnę cię, nie miej złudzeń.

Pokiwałam głową. Wierzyłam mu, ale i tak postanowiłam spróbować. Przyniósł mi klucz i poszłam do łazienki. Na parkingu stało kilka samochodów; ludzie zerkali na nas, ale nikt się nie wtrącał.

Obejrzałam swoją twarz w niedużym, zmatowiałym i liszajowatym lusterku. Lewy policzek pokryty był rozmazaną krwią. Rana nie była duża, ale wciąż krwawiła, do tego pojawiła się opuchlizna i zasinienie.

Poczułam pieczenie w nosie i łyzy wypełniające oczy. Odetchnęłam głęboko, próbując powstrzymać szloch. Nie chciałam tracić energii na płacz, musiałam się skupić. Przemyślałam twarz i czekałam, mając nadzieję, że ktoś, kto widział mnie na parkingu, wezwie gliny, że za moment usłyszę syreny.

Zamiast tego pięść załomotała w drzwi.

– Rusz dupę! – wrzasnął Billy.

Odchyliłam głowę do tyłu, biorąc głęboki wdech. Zamknęłam oczy. Popchnęłam drzwi z całej siły i przebiegłam obok niego, wrzeszcząc z całych sił. Chciałam, by ktoś mnie zauważył, zainteresował się moim marnym losem.

Ludzie patrzyli, zdziwieni, w końcu zszokowani, widząc goniącego mnie Billy'ego. Zanim ktokolwiek zareagował, Billy pochwyił mnie i wierzgającą wrzucił na siedzenie pasażera. Zdołał nadebrać na gaz i odjechać, choć okładałam go pięściami.

Ktoś biegł za samochodem, ale było za późno. Billy przyspieszył, odtrącając moje ręce. Miałam gdzieś to, że mogliśmy wypaść z drogi i się rozbić. Wołałam zostać pokiereszowana w wypadku, niż

dać się jeszcze bardziej pokiereszować Billy'emu.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie, domagając się uwagi.

Znowu mnie uderzył, tak mocno, że prawie straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, strąsając ciemność, która chciała mnie pochłoniąć, Billy wiązał mi nadgarstki nylonową linką.

Gdy skończył, pociągnął mnie w swoją stronę ponad drążkiem ręcznego hamulca tak, że jego twarz znalazła się już tylko kilka centymetrów od mojej.

– Naucz się w końcu, Roxie, kiedy ty się nauczysz?

Nie obchodziło mnie, co przez to rozumiał, miałam to gdzieś.

– Nauczysz się – dodał, wrzucił bieg i ruszyliśmy.

Kluczył, pozornie bez celu. Początkowo myślałam, że zmierzamy na wschód, do Chicago, ale potem zawrócił na południe. Znowu zatrzymaliśmy się na stacji, tym razem przy granicy z Kansas. Była zupełnie wyludniona. Żadnych aut, tylko ktoś z obsługi. Przywiązał moje ręce do kierownicy i poszedł zapłacić. Przyniósł mi serowe chrupki i puszkę dietetycznego napoju; jadłam ze związanymi rękami. Portfel miał wypchany banknotami, ale byłam zbyt przerażona swoim położeniem, żeby zastanawiać się, skąd ma tyle forsy.

Staralam się nie myśleć. Oczyszczałam umysł, usiłując zasnąć i nabrać sił do walki, ale sen nie nadchodził.

Wjechaliśmy na terytorium Kansas, długo jechaliśmy na zachód, aż w środku nocy zatrzymaliśmy się przy jakimś motelu. Zostałam w aucie, przywiązana do kierownicy, a Billy poszedł się zameldować. Nie rozwiązał mi rąk; stał nade mną nawet wówczas, gdy korzystałam z toalety.

Gdy przyszła pora na sen, przygniótł mnie swoim ciałem. Leżałam na plecach, a jego ciężar odbierał mi oddech. Żebra mnie bolały, a jego ręka przerzucona przeze mnie jeszcze wzmagala ten ból.

– Nie możesz mnie zostawić, Roxie... – szepnęła. – Jesteś jedynym dobrem, jakie mnie w życiu spotkało. Jedynym dobrem, jakie mam. Nie mogę cię stracić. Rozumiesz?

Nie rozumiałam.

– Billy, musisz mi powiedzieć, przed czym uciekasz. Musisz ze mną porozmawiać.

– Musimy się przycząić jeszcze przez kilka dni. Tym razem mi się udało, Roxie, rozumiesz? Tuż przed twoim odejściem dałem w końcu radę. Teraz mogę cię zabrać do Francji. Możemy jechać dokądkolwiek. Do Włoch albo na Bermudy. Do końca życia będziesz paradować tylko w bikini.

– Billy – szepnęłam. – Coś ty nawywijał?

– Wszystko, co trzeba, dla ciebie. Wszystko robię dla ciebie.

Czułam wzbierającą w gardle gulę, ale zwalczyłam łyzy. Leżałam przytomna całą noc, a Billy drzemał obok mnie.

Jak sobie pościeliłam, tak teraz miałam.

Kolejny dzień wyglądał w zasadzie podobnie. Jedyna różnica była taka, że nie uciekałam z łazienki, a mój posiłek składał się z chipsów.

Miotaliśmy się to na wschód, potem na północ, w tył zwrot, na południe i znów na północ. Nie rozmawialiśmy. Nie dało się z Billym teraz rozmawiać. Wiedział, że nie zdołałby mnie przekonać do powrotu żadną gładką gadką. O północy zatrzymaliśmy się w jakimś obskurnym motelu gdzieś na granicy Nebraski i Iowa.

Kierownik zerkał na mnie: pasażerkę przywiązaną do kierownicy, gdy Billy nas meldował. Nie dawałam mu żadnych znaków, nie dałam po sobie poznać, że cokolwiek było nie w porządku. Myśli o ucieczce uleciały, przynajmniej na chwilę. Jak mawia mama, muszę być sprytna. Potrzebowałam ludzi do pomocy w ucieczce. Musiałam uciec w jakieś sensowne miejsce: na posterunek, do remizy, szpitala, całodobowej kawiarni. Gdziekolwiek. Musiałam być cierpliwa. W bezpośredniej walce nie miałam szans. Billy musiał sądzić, że się poddałam. Na pewno powinie mu się noga, coś spieprzy,

a wówczas ruszę do akcji. Zwieję, odnajdę drogę do domu, zabiorę graty od Annette i zniknę. Będę musiała opuścić kraj, wyjechać do Kanady albo Meksyku, rozplątać się w powietrzu i nie wracać przez długi czas. Może nawet zniknąć na zawsze.

Stałam się wujkiem Texem mojego pokolenia. Musiałam się odciąć od wszystkich. Teraz go rozumiałam. Wiedziałam, jak to jest czuć się zbrukany, choć nie wskoczyło się w błoto samowolnie. Nieważne, że zostało się wepchniętym – brud przywarł.

Od trzech dni się nie myłam. Włosy miałam tłuste, a twarz i całe ciało bolały, szczególnie zebra. Bałam się, że Billy połamane je tamtym kopniakiem. Byłam obolała od garbienia się w aucie, a nadgarstki paliły od linki, która się w nie wrzynała. Znowu leżałam w obcym łóżku, obok Billy'ego, a moje myśli dryfowały w kierunku Hanka.

Do tej pory udawało mi się o nim nie myśleć, ale byłam już tak wykończona, że nie potrafiłam odepchnąć wspomnień.

Co sobie pomyślał, gdy wrócił z przebieżki pewny, że zastanie mnie śpiącą spokojnie w jego łóżku? Miał mnie obudzić, wciągnąć pod prysznic, a potem planowaliśmy iść na śniadanie jak normalni ludzie, jak para, która dopiero się docierała. Zamiast tego wrócił do pustego, zdemolowanego domu.

Po jednej randce zaczął mówić o nas my. Taki był tego pewien. I ta jego cholerna pewność przekonała i mnie. Przez dwadzieścia minut po jego wyjściu czułam się szczęśliwa, czysta i *wolna*. Mój Boże, tak bardzo chciałam, by to trwało! Ale nie przetrwało, bo nie mogło.

I teraz byłam tu: brudna i śmierdząca, w jakiejś norze, jechałam z kryminalistą nie wiadomo dokąd w zszarganych markowych ciuchach, które przestały stanowić jakkolwiek zbroję. Gdyby Hank teraz mnie zobaczył, chyba puknąłby się w głowę. Nie byłam tym, za kogo mnie brał. Ja sama również nie wiedziałam już, kim jestem.

Poczułam, że po mojej skroni toczy się samotna łza, i wówczas drzwi rozleciały się w drzazgi.

Billy się ocknął i wyskoczył z łóżka. Stoczyłam się z drugiej strony, gdy ktoś zapalił światło.

– Kurwa, Roxie, uciekaj! – krzyknął Billy, ale dokąd niby miałam uciekać i jak?

Stali w progu, blokując jedyne wyjście. Dwóch gości z giwerami. Zamurowało mnie. Nigdy wcześniej nie widziałam z bliska broni, no może zabezpieczoną w kaburze u boku umundurowanego policjanta.

Billy zaatakował. Starł się z napastnikiem. Otrząsnęłam się i usiłowałam uskoczyć, ale straciłam go z oczu, bo drugi z mężczyzn mnie obezwładnił.

Przez tego głaba nie miałam jak się bronić, bo wciąż miałam związane ręce, po dwóch dniach otarte już do krwi. Mimo to próbowałam.

Bez trudu wepchnął mnie do łazienki i przykuł do rury odpływowej pod umywalką, a że darłam się wniebogłosy, wepchnął mi do ust kawał jakiejś szmaty, mocując ją dla pewności sznurem, który wyrwał z lampki nocnej. Nie zajęło mu to nawet minuty. Najwidoczniej miał już sporą wprawę.

I tak po prostu mnie tam zostawił, dołączając do walki, której odgłosy dobiegały z pokoju. Nikt nie usłyszał mojego krzyku, a teraz byłam zakneblowana. A może po prostu w tym miejscu nikt nie zwracał uwagi na krzyki... Łomot w sąsiednim pomieszczeniu ucichł, w sypialni zrobiło się kompletnie cicho.

Siedziałam pod zlewem cała spięta, ale mijały kolejne minuty i nikt po mnie nie wrócił.

No i proszę. Wypełniły się moje najgorsze lęki. Smród Billy'ego osiadł na mnie. Czułam go aż nazbyt wyraźnie...

Część druga

Rozdział dziewiąty

Wysoka cena

Usłyszałam jakiś ruch w sąsiednim pomieszczeniu, szelest nieledwie. Ktoś tam był; może ktoś, kto w ogóle nie powinien wchodzić. Wstrzymałam oddech, siedząc w kompletnej ciszy; nie wiedziałam, co robić. Bałam się, że to porywacze Billy'ego wrócili w końcu po mnie. Przecież nie byli to posłańcy dobrej nowiny, którzy przybyli, żeby oznajmić Billy'emu, że wygrał milion w jakiejś loterii, i po prostu dali się ponieść entuzjazmowi.

Cień sylwetki zaległ w progu, a ja skuliłam się pod zlewem.

– Kurwa... – doleciało mnie mruknięcie.

Zapaliło się światło w łazience.

To był Vance, jeden z łowców nagród zatrudnianych przez Lee.

Zamrugłam, patrząc na niego, oczy zabołały mnie od światła.

Vance był zupełnie inny niż Hank. Nie miał kontroli nad swoimi odruchami, a może wcale nie chciał ich ukrywać. Zaciśnął usta, jego ciemne oczy ciskały pioruny. Wyciągnął z kieszeni jakieś klucze, kucnął przy mnie i nie spuszczać wzroku z mojej twarzy, zaczął majstrować przy kajdankach. Rozpiął je, a potem zabrał się do rozwiązywania kabła, wciąż uważnie obserwując moją twarz. Dopiero gdy wyciągnął knebel z moich ust i zaczął luzować linkę wokół nadgarstków, zapytał cicho:

– Jesteś cała?

Miałam ochotę roześmiać mu się w twarz i zapytać, ile kobiet, które znajdował pobite, zakneblowane i przykute do jakichś rur, odpowiedziało: „Jasne, wszystko super!”. To jednak wcale nie było zabawne i oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Zamiast tego odpowiedziałam:

– Chyba złamał mi kilka żeber.

Oczy znowu rozbłysły mu wściekłością i znów nie próbował tego ukrywać. Pomógł mi się podnieść, po czym wyprowadził mnie z hotelu i usadził w swoim potężnym fordzie. Gdy już siedziałam bezpiecznie, przeskoczył przez maskę i wsiał za kierownicę, zapuszczając silnik. Wstukał w nawigację koordynaty i włączył zestaw głośnomówiący; sygnał połączenia rozległ się z jakiegoś ukrytego w podsufitce głośniczka:

– I co? – rozległo się po sekundzie.

– Mam ją. Widzisz moją pozycję? – spytał Vance, wciąż gmerając w nawigacji.

– Tak. Wszystko z nią w porządku? – dociekał zniekształcony głos.

– Podaj mi adres najbliższego szpitala.

Cisza, po chwili krótkie „Kurwa!”. Vance przestał stukać w nawigację i wycofał.

– Gdy poda kod, wprowadź go do urządzenia, dasz radę? – zapytał mnie.

– Tak... – odpowiedziałam ledwie słyszalnym głosem, odchrząknęłam i powtórzyłam: – Tak.

Męski głos z głośniczka podał kod, wstukałam go w urządzenie. System pokazał trasę, a Vance wziął ostry zakręt i wyjechaliśmy na główną drogę.

Głos znowu zapytał:

– Co mam powiedzieć Hankowi i Texowi?

– Że jest bezpieczna. Zaczekam, aż ją przebadają. Gdy będę znał wyniki, powiadomię Lee i niech on zdecyduje – odpowiedział Vance.

– Słyszę cię – rozległ się drugi głos i rozpoznałam Lee.

Zamknęłam oczy i oparłam czoło o szybę; jakieś irracjonalne poczucie upokorzenia jątrzyło moje i tak rozognione mentalne rany. Nie wiedziałam, która mogła być godzina, ale ledwie świtało, więc może trzecia albo czwarta nad ranem. Tymczasem cała ekipa Lee była zaangażowana w poszukiwania, nawet o tej niedorzecznej porze.

– Jest tam Hank? – spytał Vance.

Skamieniałam.

– Siedzi w biurze obok, Bobby po niego poszedł.

Odetchnęłam.

– A Tex?

– Tex roznosi siłownię w piwnicy, żeby wyładować agresję.

Prawie się uśmiechnęłam, słysząc to. Naprawdę niewiele brakowało.

Vance zaczął zdawać raport:

– Roxie została pobita, ale nie wygląda to bardzo źle. Chyba ma złamane żebra. Sprawdzimy to i ruszymy do domu.

Oplotłam się ramionami, nie odrywając głowy od okna. Chciałam, żeby Vance się rozłączył, zanim Bobby sprowadzi Hanka. Ile czasu mogło zająć przejście z biura Lee do pokoju przesłuchań, czy gdzie tam oni wszyscy siedzieli?

– Dorwałś Flynna? – Głos Lee wdarł się w moje pełne niepokoju myśli.

– W pokoju nie było nikogo innego. Siedziała przykuta kajdankami pod umywalką w łazience. Pokój zdemolowany. Nie pytałem, po prostu zabrałem ją stamtąd. – Przeniósł na mnie spojrzenie. – To wy się tak szarpaliście?

Pokręciłam przecząco głową.

– Ktoś przyszedł i zabrał Billy’ego. Mnie przykuli w łazience.

– Słyszycie to? – spytał Vance w przestrzeń.

– Każę Ike’owi to sprawdzić – zdecydował Lee.

Zamknęłam oczy. To by było na tyle, jeśli chodziło o nieangażowanie chłopaków z agencji.

– Roxie? – rozległo się z głośnika.

To był Lee.

Nie odpowiedziałam. Byłam już bezpieczna, a przecież czułam się gorzej niż podczas tego koszmarnego rajdu z Billym.

– Roxie... – powtórzył Lee łagodnie, a Vance złożył dłoń na moim kolanie, gestem neutralnym, bez podtekstów, by dodać mi otuchy. – Pogadaj z Vance’em, opowiedz mu, co się stało. Wszystko, co pamiętasz, dobrze?

– Dobrze – odrzekłam.

– Vance, melduj się regularnie – kontynuował Lee.

– Zrozumiano – odpowiedział Vance.

– Przywieź ją do domu. – Lee wydał ostatni rozkaz i się rozłączył.

Odetchnęłam z ulgą, że oszczędzono mi konfrontacji z Hankiem.

– Nie chcę o tym mówić – uprzedziłam pytania Vance’a, patrząc, jak klika coś w telefonie.

– Nie musisz – odrzekł, nie patrząc na mnie. – Przynajmniej nie teraz. Mamy przed sobą całe połacie Nebraski! Jeszcze przyjdzie pora.

Po sekundzie wyszeptałam:

– Dziękuję...

Chodziło mi o to, że mnie uratował, a nie o to, że pozwolił mi dojść do siebie i nic nie mówić, przynajmniej przez jakiś czas.

Zrozumiał, a przynajmniej takie miałam wrażenie.

Na prześwietleniu było widać trzy pęknięte żebra. Mogli tylko owinąć mnie bandażem elastycznym, ale chyba było to placebo, by mnie uspokoić. Na szczęście rozcięcie na twarzy miało zagoić się samo, nie trzeba było szyc.

Nie podobał im się mój stan i pytali dyskretnie, czy nie wezwać policji. Odmówiłam. Nie wiedziałam, co mam dalej ze sobą zrobić.

Vance pomógł mi wsiąść do auta i ruszyliśmy w drogę. Zatrzymał się przy outlecie odzieżowym, choć wcale go o to nie prosiłam.

Miałam ochotę go wyciąłować, bo czego jak czego, ale potrzebowałam teraz właśnie nowych

ciuchów.

Kupiliśmy levisy, ciemnobrązowy pasek i torebkę w kolorze brudnego rózu. Nowa bielizna w Gapie, a potem tenisówki, więc w końcu mogłam zdjąć te przekłete lakierki od Manolo.

Zajechaliśmy pod hotel i byłam tak wdzięczna za możliwość wzięcia prysznicza i wyszorowania się, nawet przy użyciu taniego szamponu i mydła, że gotowa byłam urodzić Vance'owi pierworodnego! Oczywiście nie powiedziałam mu tego.

Choć wyszłam spod prysznicza wypucowana, psychiczny brud pozostał. Wyrzuciłam zszargane ciuchy do śmieci, w życiu bym ich więcej nie włożyła! Wszystko, oprócz butów, bo przecież nic nie było w stanie zszargać świętości szpilek od Manola Blahnika!

Vance siedział na łóżku.

– Gotowa do drogi? – zapytał, wstając, choć podejrzewałam, że nie spał równie długo co ja.

Albo i wcale przez ostatnie dni.

Hank i wujek Tex musieli wysłać go na poszukiwania w kilka chwil po moim zniknięciu.

– Musisz mi pomóc obwiązać żebra. – Wyciągnęłam bandaż w stronę Vance'a.

Podszedł do mnie. Uniosłam T-shirt tak, by za bardzo się nie obnażyć. Wystarczyło mi, że znalazł mnie brudną, przykutą do umywalki. Pojęcie wstydu już chyba pomiędzy nami nie istniało. Obandażował mnie szybko i profesjonalnie, jakby całe życie nie robił nic innego.

– Teraz jestem gotowa – powiedziałam, gdy skończył.

Nie poruszyłam się. Przez moment przyglądał mi się bez słowa; stał zdecydowanie za blisko. Miał przymknięte oczy, jakby unikał mojego wzroku.

– Potrzebujesz czasu? – spytał. – Lee chce cię widzieć w domu, ale jeśli potrzebujesz wypoczynku, nie ma sprawy. Wskakuj do łóżka, sen to najlepsze lekarstwo.

Cholera. Kolejny rycerz na białym koniu! Te wzruszenia mnie dobijały. Znowu poczułam wzbierające łzy.

– Mój dom jest w Chicago – odpowiedziałam.

Wolałam się skupić na tej myśli niż na świadomości, że i sto lat snu mnie nie uleczy.

Patrzył na mnie w milczeniu.

– Zabierzesz mnie do Chicago? – zapytałam.

Kolejne długie, milczące spojrzenie.

– Chciałbym przytaknąć, ale muszę odmówić. – Poczułam, że chwyta mnie delikatnie za ramiona. – Gdybym wrócił do domu i stwierdził, że porwano moją kobietę, a potem usłyszał, że facet, którego po nią wysłałem, wywiózł ją jeszcze dalej, to nie wiem, co bym zrobił. Wiesz, to takie męskie myślenie. Szanuję Hanka i nie chcę się przekonać, co by zrobił w takiej sytuacji...

Obejrzałam się dokładnie w łazienkowym lustrze: na policzku widniał strup, krew zniknęła pod prysznicem, ale opuchlizna twarzy i oka była przeokropna. Sińce miałam również na szyi, ramionach, żebrach, biodrach i nadgarstkach. Byłam w rozsypce. Wyglądałam odrażająco, zarówno na zewnątrz, jak i w środku.

– Spójrz na mnie, Vance, nie mogę pokazać się Hankowi w tym stanie! – szepnęłam błagalnym tonem, bo w istocie była to desperacka prośba.

Hank Nightingale uosabiał dobro i prawdę. Ja dla odmiany sekrety i kłamstwa. Nic nas nie łączyło.

Vance przez chwilę rozważał moje słowa, po czym rzekł:

– Dobra, w takim razie zabiorę cię do Teksas.

Poczułam tak niewymowną ulgę, że nie wytrzymałam i objęłam go. Poczułam, że oplata mnie ramionami, oparłam zdrowy policzek o jego pierś.

– Dziękuję...! – wymruczałam.

Przez chwilę trwaliśmy w tym uścisku, ale gdy poczuł, że drgnęłam, odsunął się, wziął mnie za rękę i poprowadził do samochodu.

Zatrzymaliśmy się tylko na posiłki i tankowanie. Nie bardzo mogłam jeść. Vance to zauważył i pilnował tylko, żebym się nie odwodniła, co chwilę wręczając mi butelkę wody i namawiając mnie do picia.

Próbowałam drzemać, ale sen nie nadchodził.

Gdy tak przemierzaliśmy Nebraskę, która do niedawna wydawała mi się jedynie pasmem niekończącej się prostej drogi (teraz wiedziałam, że mieli i centra handlowe, i szpital pełen przyjaznego personelu), zaczęłam opowiadać Vance'owi, co się wydarzyło.

Miałam wrażenie, że gdy tak brnęłam w tę historię, zaczynałam odczuwać wręcz wibrowanie kabiny od gniewu, który w nim narastał. Mówiłam i mówiłam.

Gdy zamilkłam, zadzwonił do Lee i przekazał mu najważniejsze informacje.

W ciemności majaczyły jasne światła Denver.

Zanim się zorientowałam, zjechaliśmy z międzystanowej dwudziestki piątki w Speer Boulevard i byliśmy w mieście. Vance wybrał numer; sygnał wypełnił ciszę w kabinie.

– Ta?

– Jesteśmy w Denver.

– Mam was na monitorze – rzekł głos. – Jedźcie w złą stronę.

– Zabieram ją do Texa – odparł Vance.

Cisza.

– Hank chce ją widzieć tutaj – powiedział znowu anonimowy głos.

– A ona chce jechać do wuja i tam ją zabieram – odpowiedział Vance niewzruszony.

– Twój wybór – padła po chwili odpowiedź.

Vance się rozłączył.

– Będziesz mieć przez to kłopoty? – spytałam.

– Nie.

– Nie ściemniasz?

– Ściemniałbym, gdybym musiał – rzekł, a na jego przystojnej twarzy zagościł uśmiech. – Ale nie tym razem.

Znowu prawie mnie rozbawił. Prawie.

Zanim zatrzymaliśmy się przed domem wujka, drzwi się otworzyły i sylwetka Texa wybiegła w noc. Zapaliło się światło na ganku i zobaczyłam Nancy w progu.

Otworzyłam drzwi i wpadłam prosto w ramiona wujka. Na jego twarzy oświetlonej blaskiem latarni malowały się ulga i furia. Ulga wygrała i otoczył mnie ramionami.

– Ostrożnie, ma trzy złamane żebra! – ostrzegł Vance gdzieś za mną.

Tex poluzował uścisk.

– Nic mi nie jest – powiedziałam w jego pierś.

Nic na to nie odrzekł.

– Naprawdę nic mi nie jest, wujku – powtórzyłam.

Cisza.

– Musi odpocząć. Chyba nie spała od kilku dni – poinformował go Vance.

Trochę to było wkurzające, że rozmawiali o mnie, jakbym nie stała tuż obok, byłam jednak tak wykończona, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, że nie dałam rady ich za to obsztorcować. Odsunęłam się nieco od wujka.

– Nie wiem, jak ci dziękować – rzekł, oczywiście nie do mnie.

– Potem o tym pogadamy.

Tex puścił mnie i spojrzał na Vance'a. Gapili się na siebie w jakimś dziwnym napięciu, co sprawiało, że aura zgęstniała.

– Wiesz, czego chcesz w zamian? – zapytał wujek wprost i miałam nadzieję, że usłyszy to, co chce usłyszeć.

– Wiem – odpowiedział Vance.

– Forsy? – spytał Tex.

Twarz Vance'a stężała i zorientowałam się, że wujek palnął głupstwo.

On też się zorientował i zmienił strategię.

– Roxie? – rzekł i wcale nie zwracał się do mnie, pytał Vance'a.

Czułam, że oczy mi się rozszerzają, patrzyłam na Vance'a w napięciu. Może i byłam wykończona, dopiero co odbita porywaczowi, no i oczywiście moja wdzięczność była bezdyskusyjna, a Vance był słodki (no przesłodka, choć może to nieodpowiednie słowo, raczej... cholernie atrakcyjny), ale, do diabła, chyba nie oczekiwał, że z tej wdzięczności za ocalenie mi skóry padnę mu w ramiona? Poza tym tylko ja mogłam rozporządzać sobą, a facetów miałam na tę chwilę dość. Zapatrywałam się raczej na egzystencję kociary. Zamierzałam adoptować tuzin kotów. A potem kupić sobie wibrator, jakiś wypasiony i modny.

Głos Vance'a wdarł się w moje plany na przyszłość.

– Lee wynagrodzi mój trud.

– Kasą – skonkludował Tex, ale dlaczego jego głos pobrzmiwał rozczarowaniem?

Vance przenosił spojrzenie ze mnie na Texa, usiłując zdecydować, co powinien na to powiedzieć.

– Chcę pięciu minut z Billym Flynnem w izolatce, zanim przekażą go policji.

Nie trzeba było geniusza, by się domyślić, do czego służyły takie izolatki. Cholera. Wstrzymałam oddech.

Wujek uśmiechnął się i gęsta atmosfera się ulotniła.

– No to musisz ustawić się w kolejce – rzekł.

– Myślę, że zasłużyłem, żeby spuścić mu łomot jako jeden z pierwszych.

Niech to diabli! Cholera! W mordę!

– Vance – zaczęłam, ale jego spojrzenie odebrało mi głos.

Czytałam w nim jak w otwartej księdze. To było coś więcej niż złość. Chyba jednak wcześniej się nieco powstrzymywał, a teraz wszedł na jakiś wyższy poziom wściekłości. To było przerażające.

– Facet, który podnosi rękę na kobietę, potrzebuje naprostowania – powiedział.

Szukałam jakiejś riposty, ale przecież miał całkowitą rację.

Podszedł do mnie i położył dłoń na moim ramieniu. Jeśli faktycznie zamierzałam coś powiedzieć, wszystko uleciało mi z głowy. Coś zmieniło się w jego spojrzeniu, ale nie mogłam się zorientować, jaka emocja usiłowała zwyciężyć gniew.

– Porozmawiaj z Eddiem – nakazał, ale łagodnie. – Wnieś zarzuty. Porwano cię w Kolorado, z domu policjanta. Billy Flynn ma przejebane.

Nie czekał, aż odpowiem, zamiast tego uniósł mój podbródek i złożył delikatny pocałunek dokładnie tam, gdzie znajdowała się rana. Odwrócił się, obszedł maskę samochodu i zniknął w fotelu kierowcy.

– Zaprowadźmy ją do domu! – To Nancy się odezwała, kładąc na moim ramieniu zdrową dłoń, zadziwiająco silną.

Poprowadziła mnie do domu, minę miała stroskaną. Wujek objął mnie z drugiej strony, ale zanim weszliśmy na ganek, w świetle latarni dostrzegłam wyjeżdżający zza rogu samochód. Zamarłam, bo rozpoznałam toyotę Hanka.

– Nie... – szepnęłam, czując narastającą panikę.

– Roxie? – Tex się zatrzymał, Nancy również.

– Nie mogę się teraz z nim widzieć!

Tex zerknął na nadjeżdżający samochód; widziałam, że nie zgadza się ze mną.

– Kochanie, posłuchaj...

– Nie! Nie chcę go widzieć! On nie może zobaczyć *mnie* w tym stanie! Proszę, proszę, proszę!

SUV się zbliżał. Nie było czasu. Strząsnęłam podtrzymujące mnie ramiona i rzuciłam się biegiem do ucieczki.

Wbiegłam do domu, przemierzyłam go i zabarykadowałam się w ostatnim pokoju, który okazał się sypialnią wujka Texa. Koty rozbiegły się na wszystkie strony, gdy dopadłam do okna, zasłaniając je; wyczuły moją panikę. Niestety, gdy po omacku dotarłam z powrotem do drzwi i pomacałam gałkę, okazało się, że nie ma w niej zamka. Oparłam się o drzwi plecami, zjechałam w dół, opierając się o nie całym ciężarem.

Słyszałam ich głosy: dudniący bas wujka, opanowany, głęboki głos Hanka i Nancy wcinającą się od czasu do czasu. Bas robił się coraz głośniejszy i choć nie mogłam rozróżnić słów, słyszałam, że Hank traci nad sobą panowanie. Zasłoniłam uszy dłońmi, złożyłam czoło na zgiętych kolanach, ale wciąż ich słyszałam. Hank był coraz bardziej zniecierpliwiony, a Tex najwyraźniej próbował mnie chronić.

Zaczęłam coś nucić.

Boże, byłam taka zmęczona! Tak cholernie zmęczona!

Nie mogłam się temu poddać.

Nuciłam, odcinając się od głosów, i snułam nowe plany.

Zabrać ciuchy z hotelu. Odzyskać auto. Pojechać do Chicago. Odwiedzić Annette.

Odzyskać swoje rzeczy i uciec.

Do moich uszu dobiegło pukanie. Zamarłam.

– Roxie, kochana, to ja, Nancy.

Podniosłam się powoli i wyjrzałam przez szczelinę w drzwiach. Była sama. Głosy umilkły.

– Gdzie Hank? – spytałam.

– Przyjechali Lee i Eddie, wyprowadzili go z domu. Wpuść mnie, lalczko – powiedziała łagodnie.

Uchyliłam drzwi na tyle, żeby mogła wejść, i zaraz je zatrzasnęłam.

Zapaliła światło i odwróciła się do mnie.

– Eddie i Jet byli w twoim pokoju hotelowym. Dobrze mieć glinę w rodzinie! – Serce skurczyło mi się na widok jej usatysfakcjonowanego, matczynego uśmiechu.

Moja mama nigdy się tak nie uśmiechała, mówiąc o Billym i o mnie. Nigdy.

– Eddie dogadał się z kierownictwem i wymeldowali cię – kontynuowała Nancy. – Twoje auto stoi przed domem. Jet i Indy spakowały twoje rzeczy. Właśnie szykują dla ciebie pokój gościnny.

Opierałam się o drzwi, usiłując dosłyszeć, co dzieje się za nimi, ale jednocześnie wcale nie chciałam wiedzieć.

– Wszyscy uważamy, że powinnaś wrócić do domu z Hankiem – rzekła Nancy łagodnie. – Nawet Tex.

Pokręciłam głową, spojrzałam w podłogę.

– Troszkę się tutaj zdrzemnę i odjeżdżam.

Podeszła do mnie. Oparła się o drzwi obok mnie, chyba po to, żeby fizycznie mnie podtrzymać, a nie tylko wesprzeć moralnie. Chwyciła mnie za rękę.

– No i dokąd pojedziesz?

– Nie wiem. – Nie podnosiłam wzroku. – Byle dalej.

– Musisz wiedzieć, że Hank sam chciał cię szukać. Jet mi powiedziała. Lee i Eddie odwiedzili go od tego. Gdy wrócił do pustego domu i zastał to pobojuwisko... – Przerwała na moment. – Lalczko, spójrz na mnie.

Zrobiłam to. Miała takie łagodne zielone oczy. Czulałam wzbierające łzy i pieczenie w nosie zwiastujące nieuchronny płacz.

Nancy mówiła dalej:

– Zniknęłaś, a Tex od razu się domyślił, co się stało, i opowiedział Hankowi o Billym. Lee wiedział, że gdyby Hank was dogonił, gdyby zastał przy tobie Billy'ego... Lee i jego psy gończe mogą zrobić o wiele więcej niż glińiarze, Eddie i Hank. Ale i tak nieźle się namęczyli, żeby przekonać

Hanka, żeby was nie gonił.

Nancy wydawało się, że byłam zła na to, iż to Vance mnie odnalazł, nie Hank.

– Nie o to chodzi – powiedziałam.

– Więc o co?

Znowu spojrzałam pod nogi, przełknęłam ślinę.

– O co więc chodzi, kochanie? – Jej głos był tak cichy, że prawie nie dosłyszałam.

Oczy mnie piekły, łzy wzbierały niebezpiecznie.

– Jestem zbrukana... – wyszeptałam niskim, chropawym głosem. – Hank jest dobry, nieskazitelny i wspaniały. Zasluguje na kogoś lepszego.

– Och, laleczko! – Nancy odsunęła się od drzwi, objęła mnie. – Przecież to jakieś bzdury, chyba to wiesz!

Stałam bez ruchu, pozwalając jej obejmować mnie zdrowym ramieniem. Choć była niższa i po udarze, zdawała się silniejsza. Tak jak Jet. Jak Indy. I Ally.

Wszystkie były ode mnie silniejsze.

Hank właśnie takiej kobiety potrzebował. Takiej, która potrafi odróżnić dobro od zła i iść za tym pierwszym.

John Mellencamp wyśpiewywał: „Musisz wiedzieć, za kim stoisz, by nie pójść za byle kim”. Miał rację.

Jakimś cudem się nie rozplakałam i powiedziałam, że muszę się przespać. Odsunęła się nieco i spojrzała na mnie krytycznie; widać było, że nie bardzo podoba jej się ten widok. Westchnęła tylko i zostawiła mnie samą.

– Zobaczę, jak dziewczyny sobie radzą z gościnną sypialnią. Czy mam je po ciebie przysłać?

– Nie! – krzyknęłam o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Lubiłam tych ludzi, a przebywanie w ich towarzystwie sprawiało, że myśl o wyjeździe stawała się coraz cięższa do zniesienia. – Nie, chcę zostać sama. Od trzech dni nie miałam chwili dla siebie.

Pokiwała głową, ale widać było, że toczy ze sobą walkę.

– Zapukam, gdy droga będzie wolna.

Uścisnęłam jej dłoń i wyszeptałam podziękowania. Cmoknęła mnie w policzek i wymknęła się z pokoju przez szczelinę w drzwiach. Znowu pomyślałam, że byłoby super, gdyby jej i Texowi się ułożyło.

Zgasiłam światło i znów usiadłam pod drzwiami. Usłyszałam szelest głosów Nancy, Indy i Jet, ale nie byłam w stanie rozróżnić słów. Zapadła cisza. Czekałam. Po dłuższej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Roxie? – To był głos wujka Texa.

– Tak?

– Zostaliśmy sami, wszyscy wyszli.

Nie odpowiedziałam. Zamknęłam oczy i oparłam czoło o kolana, ale nie był to gest ulgi, tylko rozpacz.

Trwałam tak jeszcze przez moment, zanim zebrałam się do wyjścia z pokoju.

Wujek wmusił we mnie połowę mrożonej pizzy i trzy kolejki samogonu. Przez cały czas przyglądał mi się w milczeniu. Widziałam, że język go świerzbi, ale się powstrzymywał. Zostawiłam go przed wielkim telewizorem starego typu i ukryłam się w sypialni na tyłach domu.

Podwójne łóżko zostało przykryte świeżą pościelą i starym miętowym, wełnianym kocem. Moje walizki postawiono pod ścianą. Moja piżama, uprana i złożona, spoczywała na poduszce.

Przebrałam się w nią, po raz kolejny przełykając łzy, i wślizgnęłam się do łóżka. Wciąż zamierzałam powrócić do swojego planu. Jutro. Nie myślałam o Billym. Nie obchodziło mnie, czy w ogóle jeszcze żył. Nie obchodziło mnie również, gdzie jest Hank, a przynajmniej tak sobie wmawiałam. On wciąż był dla mnie ważny, choć uważałam, że między nami koniec.

Po chwili zasnęłam.

Obudziłam się, gdy kołdra się poruszyła. Ale to nie ja ją poruszyłam. Może to któryś z kotów wujka? Łóżko ugięło się tak, że musiałby to być największy kot w historii świata. Albo człowiek. Poczułam silne ramię oplatające mnie i zostałam wciągnięta na ciepłe, twarde ciało. Zamarłam, po czym spróbowałam się wyrwać.

– Przestań – usłyszałam głos Hanka za sobą.

Cholera. Przestałam się szarpać, ale wciąż byłam spięta.

– Jak się tu dostałeś? – spytałam szeptem.

– Tex mnie wpuścił.

Zamknęłam oczy. Mój własny krewny tak mnie zdradził!

– Nie zaproszę go za to na kolejne urodziny! – stwierdziłam.

Cisza.

– Nic mi nie jest, Hank, możesz sobie iść – powiedziałam mu, czy raczej skłamałam.

W odpowiedzi cisza i bezruch.

– Wolałabym, żebyś wyszedł – ciągnęłam. – Czuję neodpartą potrzebę bycia samą.

– No to szkoda, bo ja nie czuję takiej potrzeby.

Boszzz, ależ był uparty!

– O ile dobrze pamiętam, to mnie niedawno pobito. Twoje potrzeby teraz się nie liczą.

– Zabrzmiało to tak pretensjonalnie, że niemal wrednie.

Poczułam, że jego ciało również tężeje. To było jak ostrzeżenie.

Wyszeptał wprost do mojego ucha:

– Jesteś zabandażowana. – Poczułam jego dłoń delikatnie sunącą wzdłuż moich żeber.

– I wiem, w jakim stanie znalazł cię Vance. Jest mi niezmiernie przykro, że przeszłaś przez coś takiego, Słoneczko.

Nie przerywałam mu, bo czułam, że nie skończył wywodu. Nie myliłam się.

– Wróciłem do domu po przebieżce, po najlepszej randce, na jakiej kiedykolwiek byłem. Po randce z dziewczyną, która gadała o świnkach w peruczkach, cytowała Springsteena, rozmawiała z końmi i mimo że dorastała w Indianie, boi się pól kukurydzy. Biegłem do domu, marząc o tym, by za chwilę się z nią pokochać, potem zaciągnąć ją pod prysznic, postawić jej śniadanie i sprawić, by mi zaufała. I lepiej ją poznać. Zamiast tego wróciłem do zdewastowanego domu, a w sypialni znalazłem tylko jej krew na ścianie.

O Boże, jakim cudem moja krew znalazła się na ścianie...? Hank pewnie odchodził od zmysłów. Tak samo wujek Tex. Przymknęłam oczy i westchnęłam.

– Czy to była twoja krew?

– Choć próbowałam mu oddać, to jednak tylko ja zostałam poraniona do krwi w tamtym starciu.

Nie powinnam była mu tego mówić, a już na pewno nie tak nonszalancko. Nagle atmosfera zgęstniała tak bardzo, że poczułam, iż trudno mi oddychać, i nie powodowała tego bynajmniej jego ręka zaciskająca się wokół mojego ciała.

– Hank, moje żebra...! – wyszeptałam.

Poluzował uścisk, odsunął usta od mojego ucha. Czułam, jak próbuje zapanować nad wściekłością. Atmosfera przestała gęstnieć.

– Chyba próbuję powiedzieć, że moje uczucia też się liczą – dokończył.

– Przepraszam. Zapłacę za wszystkie szkody, za sprzątanie – powiedziałam.

Zignorował ten idiotyczny komentarz.

– Powiedziałaś, że nic ci nie grozi – zaczął znowu.

Do diabła. Tak właśnie mu powiedziałam.

– Nie zostawiłbym cię samej, gdybym wiedział, że grozi ci jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Mój Boże, Hank myślał, że to jego wina!

– Nie zawiniłeś tutaj Hank. Nie sądziłam, że cokolwiek mi grozi – próbowałam go uspokoić.

To była najszczerza prawda, nie podejrzewałam, że coś takiego się zdarzy. Przecież sądziłam, że Billy mnie kocha. Był zaborczy i szalony, owszem, ale nie przypuszczałam, że jest zdolny mnie pobić czy grozić, że zgwałci mnie w łóżku innego mężczyzny. Nie sądziłam, że będzie woził mnie po całym kraju, uciekając przed jakimiś złoczyńcami, narażając mnie na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż to, jakim był on sam.

To był jakiś dziki fart, że mnie również nie zabrali albo nie zastrzelili tam, w motelu. To był jakiś niewytłumaczalny fart, że zostawili mnie przykutą do umywalki.

Moje śmiałe sny o byciu korporacyjną boginią posiadającą dwie garderoby ciuchów i jeszcze trzecią tylko na buty, nie zawierały takich obrazków. Czułam, że zaczynam drżeć na całym ciele.

– Do diabła! – wymamrotałam.

Wiedział, co się szykuje, i obrócił mnie, choć się opierałam.

– Kurde! – szepnęłam. – Kurde, kurde, kurde!

Leżałam z nim twarzą w twarz; poczułam, że obejmuje mnie mocno, gdy pojawiły się pierwsze łzy.

Nie cierpiałam płakać! Byłam taka słaba, a teraz jeszcze przy tym szlochaniu piekielnie bolały mnie żebra. Ukryłam twarz w dłoniach i po prostu płakałam, choć szarpał mną ból.

– Jestem tak głu-głu-głupia! – jękałam się pomiędzy zachłyśnięciami płaczem. – Billy mnie przestraszył, w końcu wpadł do domu, rozwalając drzwi młotem, a ja, idiotka, myślałam, że mogę sobie z nim pogrywać!

– Młotem? – zapytał Hank, ale udawałam, że nie słyszę.

– Myślałam, że go przechytrzę. A przecież Tex mówił, że ten plan nie wypali! I nie wypalił, jest większym niewypałem niż jakieś wojenne bomby lotnicze! – krzyknęłam.

– Wróćmy do tego młota... – zasugerował Hank.

Wyswobodziłam się i zaczęłam nieudolnie gramolić się z łóżka, ale Hank chwycił mnie za piżamę i delikatnie pociągnął z powrotem.

– Puść! – zawołałam.

– Roxanne, uspokój się!

Szarpałam się z nim.

– Hank, puszczaj!

O dziwo, posłuchał. Przecież nie zamierzał siłować się z laską z połamanymi żebrami! Wyskoczyłam z łóżka i dopadłam walizek, dysząc ciężko, choć wysiłek był niewielki.

– Muszę wyjechać teraz – oznajmiłam, choć przecież byłam zbyt słaba, nawet żeby wyjść z pokoju.

Hank wstał i podszedł do mnie.

– Wracaj do łóżka – rozkazał.

– Nie, muszę wyjechać!

Usiłowałam go wyminąć, ale zaganiał mnie do łóżka jak jakiegoś kurczaka.

– Zejdź mi z drogi! – krzyknęłam.

– No i dokąd niby pojedziesz?

Namyśliłam się w ułamku sekundy.

– Do Meksyku!

– Do Meksyku...?

– Tam też będę mogła pracować zdalnie. Założę filię jakiegoś lokalnego biznesu albo sklep wysyłkowy. Zostanę królową *gringa* w mojej wiosce!

Wciąż usiłowałam się z nim minąć, więc w końcu uchwycił mnie za biodra i przytrzymał w miejscu.

– Nie mów Texowi, że chcesz pomagać rozkręcać lokalny biznes, strasznie się wkurzy!
– poradził mi Hank.

O czym on, do cholery, mówił?

– A co jest złego w sklepach licencjonowanych? – spytałam.

– Takie biznesy wykańczają Amerykę! – zahuczał wujek z sąsiedniego pokoju, a my oboje zamarliśmy. – Czy wy się w końcu zamkniecie? Ściany są z kartonu, straszycie koty!

Przez moment trwaliliśmy bez ruchu, a potem wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać, rechotałam tak bardzo, że bałam się, iż kolejne żebro mi pęknie. Zgięłam się wpół, oparłam czoło o obojczyk Hanka, ale wciąż nie przestawałam się śmiać. Hank, co zauważyłam mimochodem, był w grobowym nastroju. Znowu mnie objął, a mój śmiech jakoś tak automatycznie przeszedł w płacz. Również go objęłam, trochę wbrew sobie, ale ledwie trzymałam się na nogach.

W końcu, gdy trochę się opanowałam, szepnęłam:

– Byłam przekonana, że on mnie kocha...

Gdy moje ramiona oplotły Hanka, rozluźnił się, ale na dźwięk tych słów jego ciało znów stężało.

– Przysięgam, nie sądziłam, że cokolwiek mi grozi z jego strony – ciągnęłam.

Jedną ręką gładził moje plecy, ale coś się zmieniło w jego dotyku. Byłam zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

– Wierzę ci – szepnął.

Mówił prawdę, a to dla mnie wiele znaczyło.

– Dziękuję – rzekłam cicho, po raz chyba setny tego dnia.

– A czy ty go kochasz? – spytał Hank.

Przytaknęłam i znowu coś się wokół nas zmieniło, a ja znowu nie zwróciłam na to uwagi. Nie chodziło mi o to, że w tym momencie kochałam Billy'ego. Kiedyś owszem, kochałam go, kiedy miałam jeszcze nadzieję na to, że zmieni moje życie w bajkę. To uczucie było martwe, choć nie przerodziło się w nienawiść. Po prostu chciałam, by zniknął z mojego życia i z moich myśli.

Stałam tak podtrzymywana przez Hanka, pozwalając zmęczeniu, by mną owładnęło. Wyczuł to, byliśmy tak idealnie zestrojeni, i poprowadził mnie do łóżka. Nie opierałam się.

Położyliśmy się oboje i znowu mnie objął. Nie protestowałam.

W półśnie, żeby zapomnieć o czarnych myślach albo dać sobie nauczkę, zaczęłam cytować piosenkę Mellencampa *Minutes to Memories*.

– Mellencamp – rozpoznał Hank.

– Tak, ale nie pamiętam dokładnie.

Hank pocałował mnie w szyję i znieruchomiał.

Czekałam, aż jego oddech się wyrówna. Gdy usnął, wyszeptałam słowa piosenki, w których była mowa o wizji mądrego starca. O tym, że ciężko podążać wyznaczoną przez niego drogą. I o tym, że młodzieniec, który robił wszystko po swojemu, zapłacił za to wysoką cenę. W końcu o tym, że po latach przekonał się, że stary mędrzec miał rację.

I to jak!

Zamilkłam.

Po chwili zaczęłam podśpiewywać coś innego. To była moja sekretna piosenka. W innym życiu, w tym, w którym Hank wrócił do domu, zanim dopadł mnie Billy, mogłaby być naszą wspólną piosenką. Słowa Springsteena. Mruczałam cichutko, to był w zasadzie szept, i zmieniałam tylko dwa słowa. Pierwszy wers *Because the Night*.

Zaczęłam podśpiewywać drugi wers i usnęłam w ramionach Hanka. A ponieważ ja odpłynęłam, nie mogłam wiedzieć, że Hank wcale nie spał.

Miałam wrażenie, że spałam tydzień.

Gdy się obudziłam, Hanka nie było.

Rozdział dziesiąty

Muzyczne tortury

Wytoczyłam się z łóżka w środku dnia. Byłam obolała, i zanosiło się na to, że to szybko nie minie. Nie wiedziałam, dokąd udał się Hank, ale założyłam, że do pracy, w końcu dochodziło południe. W łazience któraś z dziewczyn położyła moją kosmetyczkę na umywalce. Znowu zaatakowała mnie myśl, że już za chwilę ci dobrzy ludzie pozostaną ledwie ciepłym wspomnieniem. Spłukałam te myśli, myjąc zęby i twarz.

Obejrzałam się dokładnie w lustrze. Opuchlizna zeszała, a siniec zrobił się fioletowy, z zielonożółtą obwódką. Słaba kombinacja kolorów. Calvin Klein na pewno nie użyłby jej w swojej wiosennej kolekcji.

Weszłam do salonu, w którym wujek Tex oglądał film z Bruce'em Lee. Siedział na sofie z nogami opartymi na stoliku kawowym, a na jego brzuchu spoczywała wielka micha popcornu.

– Jak się czujesz, kochana? – zapytał, zerkając na mnie.

– Kawy! – poprosiłam błagalnym tonem.

Wyszczерzył się.

– Na kawie to ja się znam!

Usiadłam na kiczowatym, obitym winylem w stokrotki krzesło przy stoliku. Postawił przede mną kubek i usiadł obok.

– Hank jeszcze śpi? – spytał.

– Hank zniknął – odparłam.

Spojrzał na mnie jakby rozbawiony.

– Jak to zniknął?

– Pewnie poszedł do pracy.

Gapił się na mnie osłupiały.

– Nie słyszałem, żeby wychodził.

Wzruszyłam ramionami i wyrzałam przez okno.

– Gniewasz się, że go wpuściłem? – spytał wujek.

– Trochę tak – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Chcesz pogadać?

Pokręciłam głową.

– Dobra, dziewczyno, dziś ci odpuszczę, ale jutro porozmawiamy.

– Wyjeżdżam z miasta, tylko jeszcze wezmę prysznic.

– A co na to Hank?

– Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. – Drugie zdanie było już kłamstwem.

Cisza. Spojrzałam na wujka, on też mnie obserwował. Chyba z trudem się powstrzymywał przed komentowaniem.

– Niech ci będzie – powiedział tylko.

Zdziwiłam się, że tak łatwo dał za wygraną. Jednocześnie mi ulżyło i trochę się zasmuciłam. Wstałam od stołu, pocałowałam go w czubek głowy, chwyciłam kubek z kawą i ruszyłam w stronę łazienki.

Stałam na chodniku, wujek tuż obok; walizy leżały przy jego nogach.

– No niech mnie! – powiedział cicho. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Spojrzałam na niego; nie odrywał wzroku od mojego auta.

– To dość szemrana dzielnica, ale żeby *cztery* przecięte opony...? To chyba jakiś rekord.

– Wujku...

– No cóż! – zahuczał i schylił się, by podnieść walizki. – Coś mi się widzi, że dzisiaj nigdzie

nie pojedziesz!

Coś mi się wydawało, że te opony to wcale nie była wina szemranej dzielnicy. Wujek wniósł moje walizy do domu, nawet się nie obejrzał.

Ale ja się obejrzałam na mój nieszczęsny samochodzik...

Gapiłam się z kanapy w ekran telewizora, na którym Will Smith kopał tyłki kosmitom w Dzień Niepodległości. Wujek prowadził chyba jakąś telekonferencję. Zadzwoiła Jet. Potem Indy. Nancy. I Daisy. Eddie. Znowu Eddie. Eddie po raz trzeci. I tak od godziny. Za każdym razem wujek przykrywał słuchawkę, jakby był jakimś tajnym agentem.

A ja za każdym razem się spinałam, podejrzewając, że dzwoni Hank. Bałam się, że to Hank. *Pragnęłam*, żeby to był on. I za każdym razem, gdy wujek znad aparatu wokalizował inne imię, kręciłam głową, a on wymyślał jakąś głupią wymówkę, że nie mogę podejść, i się rozłączał.

Rozległ się kolejny dzwonek, tym razem komórka z mojej torebki. Wujek usiadł koło mnie i tylko mi się przyglądał, gdy ignorowałam bzyczenie dobiegające z torby leżącej obok kanapy. W końcu nie wytrzymał, wstał i chwycił moją torebkę, pogmerał w niej i wydobyl komórkę w chwili, w której umilkła.

Pokręciłam przecząco głową.

– Może tym razem to był Hank?

Cholera. Wiedział, że czekam na telefon od niego.

Znowu pokręciłam głową.

Odblokował telefon i przez długi czas majstrował przy nim, i gdy w końcu aparat zaczął wydawać jakieś podejrzane dźwięki, wyrwałam mu go z ręki.

– Przestań! – szczerknęłam.

– Chciałem tylko dowiedzieć się, kto dzwonił. Może Hank próbuje cię złapać.

– Zna twój domowy numer – przypomniałam mu.

Tex wstał, zbliżył się do stolika, na którym spoczywały moje stopy, i napał na nie gołeniami, zmuszając mnie, bym zabrała nogi i usiadła prosto. Rozsiadł się na stoliku, przysłaniając ekran, i przez chwilę bałam się, że mebelek załamie się pod jego ciężarem.

– Zastaniasz mi!

– Spójrz na mnie, dziewczyno!

Wychylałam się, usiłując dojrzeć telewizor.

– Roxanne Giselle Logan, spójrz na mnie!

Spojrzałam. Przez lata tresowano mnie, że jak ktoś starszy zwracał się do mnie pełnym nazwiskiem, to miałam uważać.

– Co? – zapytałam niegrzecznie.

Może i uważałam, ale to nie znaczyło, że nie mogłam strzelić focha.

Pochylił się, a w jego jasnych, rozgorączkowanych oczach było coś, co mnie przeraziło. Wstrzymałam oddech, nie wiedząc, co za moment się wydarzy.

– Jesteś na rozdrożu, kochanie. Masz dwie drogi do wyboru – poinformował mnie. – Kiedyś stałem przed podobnym wyborem. I wybrałem złą ścieżkę. A gdy się na takiej zapędzisz, to powrót jest w zasadzie niemożliwy.

Ciężko mi się oddychało. Złożył na moich kolanach potężne dłonie i rzekł:

– Gdy byłem już w połowie drogi do piekła, dostałem list od sześciolatki.

O cholera. O cholera!

Nie! Chciałam szepnąć, ale żaden dźwięk się nie wydostał. Wiedziałam, że ta intensywna emocja, która się we mnie rodziła, mogła znowu doprowadzić mnie do płaczu. Wzięłam głęboki wdech, powstrzymując łzy.

– Nie zawróciła mnie ze złej drogi, ale przynajmniej sprawiła, że się na niej nie zatraciłem.

– Nie mów już nic! – Tym razem udało mi się wydobyć głos, ale wujek mnie zignorował.

– Teraz moja kolej, by się odwdzińczyć.

– Wujku, proszę, przestań!

Zadrżały mi nozdrza.

– Życie jest pełne skrzyżowań i co chwilę musisz wybierać drogę. Kilka miesięcy temu w końcu skręciłem we właściwą. Przyjąłem kulkę przeznaczoną dla Indy. Przez ostatnie trzy dni Lee mi za to odpłacał.

Zamknęłam oczy.

– Spójrz na mnie, kochanie.

Posłuchałam.

– Lee również wystawiłby się na strzał, gdyby chodziło o jego brata. Hank wychodził z siebie, gdy wrócił do domu i zobaczył, co się stało. Przekopał całe Denver, szukając cię. Lee prawie przykuł go do ściany, żeby go powstrzymać przed ruszeniem w pogoń.

– Przestań, proszę!

– Źle skręciłaś, Roxie. Otwórz serce i pozwól, by Hank sprowadził cię na właściwą drogę.

Patrzyliśmy na siebie i jakimś cudem się nie rozplakałam. Spojrzałam na telefon. Odczytałam ostatnie nieodebrane połączenie, ale to nie był Hank. To była Annette, moja przyjaciółka z Chicago, o czym poinformowałam Texa.

– A więc nie Hank dzwonił? – zapytał, zabierając dłonie z moich kolan, ewidentnie zdziwiony.

Pokręciłam głową. Przesiadł się obok mnie.

– Zadzwoń – powiedział pewnie.

Leżałam w sypialni, gapiąc się w sufit i słuchając Joni Mitchell.

Dzień Niepodległości się skończył. Znowu zadzwonił Eddie, potem Stevie. Nie rozmawiałam z żadnym z nich.

Hank milczał.

Wujek poszedł do sklepu pana Kumara, żeby kupić coś na kolację. Zamierzał zrobić kielbaski w cieście i makaron z serem.

Wyłączyłam Joni wyśpiewującą o upijaniu się na smutno, żeby przestać się torturować, i zadzwoniłam do Annette.

Porzuciła projektowanie stron internetowych i otworzyła japiszoński sklep dla palaczy o nazwie „Głowa”. Sprzedawała lufki, fajki wodne, kadzidełka, jakieś celtyckie chusty i bandany z Hendrixem, psychodeliczne plakaty, ręcznie farbowane T-shirty i ciuchy z surowego lnu.

Sama się zdziwiła, gdy odniosła komercyjny sukces, pewnie dlatego, że była taką samą natchnioną wariatką co Tex, przez co jej sklepik był świetnym miejscem do przesiadywania, zupełnie tak samo jak Fortnum. Gdy wpadła w swój biznesik po uszy i nie miała czasu zajmować się designem, przekazała mi zarządzanie stroną internetową. A sama zajęła się rozprowadzaniem lufek po pięciu kontynentach.

Annette była wyższą ode mnie, popielatą blondynką o jasnozielonych oczach i słodkich loczkach. To była moja najlepsza przyjaciółka. Udawała przed Billym, żeby nie zorientował się, co knujemy. A przecież tak się wkurzyła, gdy opowiedziałam jej o incydencie z młotem, że rzuciła szklanką o ścianę.

– Cześć, suczko! – odezwała się po drugim dzwonku.

Annette zawsze tak odpowiadała, nie było w tym nic dziwnego.

– Cześć... – powiedziałam cicho.

...A potem wybuchnęłam płaczem. Opowiedziałam jej wszystko, ze szczegółami.

– Jezuniu, kurwa, Chrystuniu! – podsumowała moją opowieść.

– Tak, wiem.

– I nie zadzwonił?

– Annette! – krzyknęłam. – Billy mnie porwał i pobił! W tej historii nie chodzi o Hanka!

– Bezwartościowe truchło Billy’ego jest teraz najprawdopodobniej pożerane przez mrówki na jakiejś bezimiennej górze piachu w Utah, módlmy się, żeby faktycznie tak było. Billy to przeszłość. Ten cholerny Hank jest twoją przyszłością, mała!

Annette była walnięta. Serio.

– Jak tylko zmienię opony, to wracam do domu – powiedziałam, ignorując jej niezdrowe podniecenie osobą Hanka.

– Czyli kiedy?

– Jakiś kumpel wujka jutro odholuje samochód. Wymiana czterech kół chyba nie zajmie długo? Jutro wieczorem powinnam ruszyć w drogę. Wpadnę do ciebie po rzeczy i chciałabym, żebyście z Jasonem skoczyli do mojego mieszkania. Upewnimy się, że jest bezpiecznie, i wszystko pozamykam. A potem spadam do Meksyku.

– W dupę z tym! – rzuciła Annette. – I tak planowaliśmy z Jasonem wypad na długi weekend. Możemy jeszcze go przedłużyć i wpaść do ciebie do Kolorado. Jutro ruszymy. Co ci przywieźć z mieszkania?

– Annette – przerwałam jej – już wszystko zaplanowałam!

– To sobie teraz odplanuj! – Zignorowała mój ostrzegawczy ton.

– Nie możecie ot tak przyjechać do Kolorado! Co z twoim sklepikiem?

– Zmuszam pracowników, żeby w ogóle stamtąd wychodzili! To się w zasadzie samo prowadzi. Gdybym zniknęła na pół roku, to nikt by się nawet nie zorientował.

To była najprawdziwsza prawda. Załoga ze sklepiku Annette przypominała tę z *Przebojów i podbojów* Nicka Hornby’ego. Ten sklep to było całe ich życie. Gdyby ktoś wrzucił do środka granat, prześcigaliby się w zakryciu go własnym ciałem. To było trochę przerażające.

– Nie namówisz mnie do zmiany planów – poinformowałam ją.

– Oczywiście, że namówię! Od tego właśnie są przyjaciele. Od odwodzenia od durnowatych, nieprzemyślanych decyzji na wygnaniu – odpaliła, po czym wrzasnęła: – Jutro ruszamy w trasę! – I rozłączyła się.

Odłożyłam telefon i znów spojrzałam w sufit. Czy byłam jedyną normalną osobą wśród wariatów? Właśnie zamierzałam pomęczyć się jeszcze smętnymi piosenkami, może Van Morrisonem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak? – spytałam.

– Kolacja na stole! – zahuczał Tex.

Odłożyłam odtwarzacz mp3, wytoczyłam się z łóżka i podążyłam do salonu.

Było późno. Zjedliśmy wszystko, a na deser wciągnęliśmy jeszcze ciasteczka i lody śmietankowe. Zapiliśmy samogonem wujka. Obejrzeliśmy show Davida Lettermana. Podniosłam się z kanapy i oznajmiłam, że idę spać. Spojrzałam na wujka. Trzymał na kolanach stacjonarny telefon i wpatrywał się w niego tak intensywnie, iż obawiałam się, że za moment z jego oczu wystrzelą laserowe promienie.

– Dobranoc – powiedziałam, gdy nie zareagował.

– Zadzwoń – odparł, spoglądając na mnie.

Uśmiechnęłam się smutno. Ucięłam sobie pogawędkę z Nancy, która miała wkrótce wejść do rodziny, więc była bezpiecznym wyborem, ale połączeń od Indy i Eddiego nie przyjąłam.

Hank nie zadzwonił.

Wiedziałam, co to znaczy. Przewidziałam to przecież jeszcze przed naszą randką. W moim pokoju było ciemno. Zeszłego wieczoru nie mógł mi się przyjrzeć i choć nie widział posiniaczonej twarzy, domyślał się, jak to wyglądało. Byłam przesiąknięta smrodem Billy’ego. Codziennie miał do czynienia z tak zepsutymi ludźmi. A ja byłam dziewczyną Billy’ego, nawet jeśli tylko w zamierzczłej przeszłości. Hank nie chciał takiego towaru w swoim łóżku.

Pochyliłam się, by pocałować wujka w głowę.

– Zadzwoń, do cholery! – zaburczał Tex.

Dotknęłam jego ramienia i odeszłam.

Położyłam się do łóżka i przez długi czas leżałam bez ruchu. Odszukałam w odtwarzaczu piosenkę. *Because the Night* z płyty z największymi przebojami Springsteena wykonanymi na żywo w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć – osiemdziesiąt pięć...

Włączyłam autoodtwarzanie.

Gdy wstęp rozbrzmiał trzeci raz, zaczęłam płakać. Łzy płynęły po cichu, więc nawet przez te śmiesznie cienkie ściany wujek nie mógł mnie usłyszeć.

Wyłączyłam muzykę, otarłam oczy poduszką i zasnęłam.

Rozdział jedenasty

Zmyślony słodziutki świat

O poranku czułam się już o wiele lepiej i wstałam z łóżka, nie odczuwając tak dotkliwie bólu. Sińce na mojej twarzy wciąż wyglądały jak malowidło abstrakcyjne. Otarcia na szyi, ramionach i nadgarstkach również mniej rzucały się w oczy.

Zawędrowałam do kuchni, nalałam sobie kawy i przeczytałam notkę od wujka, w której informował mnie, że wróci z pracy około pierwszej.

Wracałam do sypialni, gdzie zamierzałam przeleżeć cały poranek, torturując się rzewnymi piosenkami, gdy ujrzałam niepokojący obrazek za oknem w salonie. Zatrzymałam kubek w połowie drogi do ust.

Ogromna ciężarówka zaparkowana na środku ulicy unosiła pasami przyczepionymi do dźwigu na pace mój samochódzik.

Choć miałam na sobie tylko ulubioną czerwoną piżamę w gwiazdki, a top na cieniutkich ramiączkach wykończony koronką był mało odpowiednim strojem, by się w nim komukolwiek pokazać, wybiegłam na ulicę.

– Hej, to mój samochód! – krzyknęłam do operatora dźwigu odzianego w brudny niebieski kombinezon.

– Zabieram go na zmianę opon – odparł, nie przestając manewrować dźwigniami; moje auto uniosło się nad lawetę.

– A tutaj nie można tego zrobić? – darłam się, usiłując przekrzyczeć maszynę.

– Tex chce, żebym przy okazji zrobił przegląd i trochę go podrasował.

Zabiję wujka Texa!

– Nie potrzebuję żadnego podrasowania! Sprawdzono go w warsztacie kilka dni temu!

Wzruszył ramionami i zignorował moją groźną minę, w końcu byłam tylko bosą laską w piżamie.

Nadjechał inny samochód i rozpoznałam toyotę Hanka. W ciągu sekundy zapomniałam o tym, że moje własne auto fruwa właśnie nad ulicą. Cholera. Cholera, cholera, cholera, cholera, cholera!

Hank wysiadł, zerkając na latający samochód, po czym podszedł do mnie.

– Co się dzieje? – zapytał jak gdyby nigdy nic.

Nagle jakby dotarło do mnie, że jest piękny słoneczny dzień. Co nie usprawiedliwiało faktu, że wyleciałam z domu w samej piżamie. Do diabła!

– To moje auto – stwierdziłam.

Hank w końcu na mnie spojrział, poczułam motyle w brzuchu.

– Ale co się z nim stało?

– Wujek przeciął mi wszystkie opony – wyjaśniłam.

Hank zlustrował mnie uważnie i widziałam, że przygląda się wszystkim moim obrażeniom. Powstrzymałam się, żeby nie zagryźć ust pod tym inwigilującym wzrokiem.

– Musimy pogadać – powiedział w końcu.

No co ty nie powiesz? Ruszył w stronę ganku, podążyłam za nim. Zatrzymał się przed drzwiami, ja również.

– Wejdiesz na kawę? – zapytałam.

– Nie mam czasu.

Zamrugłam zbita z tropu. I nagle zrozumiałam. Nie patrzył na mnie pożądliwie, z rozleniwieniem ani uważnie. Jego spojrzenie było zimne i zdystansowane. Poczułam, że brakuje mi tchu, jakbym przed chwilą biegła. I na to właśnie miałam ochotę: uciec, biec najszybciej, jak potrafię, zwać jak najdalej stąd.

– Co jest? – Usiłowałam brzmieć nonszalancko, aby nie zorientował się, że pragnę wpełznąć pod jakiś kamień i tam umrzeć.

– Unikasz Eddiego – rzekł.

Nie bardzo rozumiałam, do czego zmierza.

– Nie próbuj chronić Flynną, Roxanne. Już to zgłosiłem. Włamał się do mojego domu i go zdemolował.

– Chronić? – spytałam tylko niezdolna do wypowiedzenia pełnego zdania.

– Eddie zaraz przyjedzie, żeby cię zabrać na posterunek. Złożysz zeznania, jeśli chcesz, to wniesiesz zarzuty. Twój wybór. Ale nawet jeśli wrócisz do domu, dalej będziemy go ścigać. Jest poszukiwany w Bostonie, Charlestonie i Pensacoli, więc jak już rozprawimy się z nim tutaj, to czeka go jeszcze sporo.

Odebrało mi mowę. Choć nie spodziewałam się, że Billy był poszukiwany już w czterech miastach, to jednak specjalnie mnie to nie zdziwiło. Odebrało mi mowę, ponieważ Hank sądził, że chcę chronić Billy'ego.

– Hank...

– Znalazłem w domu twoją apaszkę, Indy ją ma – przerwał mi.

– Należy do Toda – odrzekłam automatycznie.

– Można ją odebrać u Indy – powtórzył, odwracając wzrok.

Spojrzał na mój samochód postawiony na lawecie, a potem na mnie: pustym, obojętnym wzrokiem, jak Eddie, gdy jego oczy po raz pierwszy spotkały moje.

– Muszę wracać do roboty – rzucił. – Trzymaj się.

Gdy usłyszałam te zimne słowa, odrzuciło mnie, jakby uderzył mnie w żołądek. Automatycznie chwycił mnie za ramię na wypadek, gdybym miała upaść.

– W porządku? – zapytał.

Gapiałam się na niego tępo i tylko skinęłam głową.

– Tak – skłamałam.

Przez chwilę na mnie patrzył, jakby czekał, aż coś jeszcze powiem, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Porozmawiaj z Eddiem – dodał, po czym jego spojrzenie stało się jeszcze zimniejsze. – Dbaj o siebie.

I odszedł.

Patrzyłam za nim, potem za odjeżdżającą lawetą, a gdy ulica zupełnie opustoszała, wróciłam do domu. Wciąż miałam w ręku kubek z kawą, odstawiłam go na stolik i przez chwilę nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Petunia, rudo-biała kotka, otarła się o moje nogi. Usiadłam na podłodze, pogłaskałam ją. Po chwili zwinęłam się na dywanie w pozycji embrionalnej. Petunia wdrapała się na mnie i przysiadła na moim biodrze, po czym zabrała się za lizanie swojej łapki.

Właśnie w tej pozycji zastał mnie Eddie.

– Jezu! – mruknął.

Przeturlałam się na plecy, zrzucając kota.

– Cześć – powitałam go, wciąż leżąc.

– W porządku?

Nie, nic nie było w porządku. Wszystko było nie w porządku. Unosiłam się w jakimś innym wymiarze, w którym słowo „porządek” nie istniało.

– Cudnie – powiedziałam.

– Dlaczego leżysz na podłodze? – spytał.

Pewnie dlatego, że najwspanialszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznałam, uważa mnie za idiotkę próbującą chronić bandytę, który ją porwał, pobił i targał po trzech stanach. Pewnie dlatego, że ten mężczyzna jest dobry i prawy i nie chce mieć do czynienia z kimś takim jak ja. Pewnie dlatego, że jestem z tego powodu załamana i wkurwiona i nie mogę się zdecydować, które uczucie dominuje.

– Chciałam chwilkę odpocząć – odpowiedziałam.

Chwilę mielił to, co powiedziałam, po czym zapytał:

– Rozmawiałaś z Hankiem?

Pokiwałam głową.

– Przyjechałem zabrać cię na posterunek, trzeba oskarżyć Flynna.

– W porządziu – odrzekłam, przeturlałam się po podłodze i wstałam, obejmując żebra.

Wstałam i spojrzałam na niego, przyglądał mi się jakby zdziwiony.

– Co proszę? – zapytał.

– Powiedziałam „w porządziu”, ale muszę mieć chwilę, żeby się przygotować do wyjścia.

Patrzył na mnie jeszcze przez moment, po czym potaknął.

– Chwilę mi to zajmie, więc może przyjedziesz później?

Nie stracił czujności.

– Zaczekam.

– No to nalej sobie kawy, jest w kuchni – poinstruowałam go i udałam się pod prysznic.

Nigdy wcześniej nikogo o nic nie oskarżałam. Nigdy nie byłam na posterunku, a nie, zaraz, na wycieczce w szóstej klasie. Nie miałam pojęcia, jak się ubrać na wizytę w komisariacie.

Wzięłam prysznic. Wysuszyłam włosy, zrobiłam przedziałek z boku głowy i związałam je w kucyk na karku. Zrobiłam mocny makijaż, usiłując zatuszować sińce, ale niewiele to pomogło. Założyłam ołówkową karmelową spódnicę z rozcięciem z tyłu, czerwony obcisły T-shirt i pasujące do niego szpilki bez pięt. Wokół szyi zamotałam krzykliwy szaliczek.

Trochę jak Faye Dunaway w *Bonnie i Clyde*, brakowało mi tylko berecika i strzelby.

Eddie siedział na sofie, popijał kawę i oglądał mecz.

– Jestem gotowa. – Podeszłam do telewizora. – Może ja to wyłączę? – spytałam, bo telewizor Texa miał chyba ze trzydzieści lat i pilot dawno przepadł.

W pewnych kręgach miłośników staroci byłby pewnie uważany za bezcenny rarytas. Faktycznie, nadawał się raczej do muzeum.

Odwrociłam się i zernęłam na Eddiego, którego spojrzenie się jakby zeszkliło. Obrzucał mnie wzrokiem od góry do dołu.

– Eddie? – zagadnęłam, gdy nie zareagował.

– Jedziemy – rzekł, wstając.

Ledwie dałam radę wsiąść do jego czerwonej półciężarówki przez tę obcisłą spódnicę. Jechaliśmy na posterunek w kompletnej ciszy. Zatrzymaliśmy się i gdy odwróciłam się od Eddiego, żeby rozpiąć pas i wysiąść, położył mi rękę na ramieniu.

– Powinnaś wiedzieć, co się teraz stanie z twoim chłopakiem – rzekł, patrząc mi w oczy.

– Moim chłopakiem?

– Z Flynnem.

Wyprostowałam się.

– Z moim ekschłopakiem, chciałeś powiedzieć.

Zignorował moje słowa.

– Jeśli powtórzysz choć jedno moje słowo na komendzie, zaprzeczę.

Teraz ja gapiłam się na niego osłupiała.

– Lee wypuścił za nim jednego ze swoich pracowników. Wyzaczył za niego nagrodę, więc nie tylko Ike i gliniarze go szukają, ale najprawdopodobniej również każdy łowca nagród w jakichś ośmiu stanach. Lee pewnie dopadnie go pierwszy. Hank to z nim ustalił, Tex się zgodził. Rozumiesz, co to znaczy? – rzekł po chwilowej pauzie.

Nie rozumiałam, więc pokręciłam głową.

– Zamkniemy Flynna w pokoju przesłuchań, zanim trafi na policję. Vance odmówił zainkasowania zapłaty. Chce znaleźć się z nim sam na sam, tuż po Teksie. Hank się wycofał, ale to już pewnie wiesz.

Wiedziałałam, był aż nadto sugestywny tego ranka. I tak, teraz rozumiałam. Zamierzali spuścić Billy’emu niezły łomot. Trochę mu współczułam, ale w końcu co siejesz, to zbierasz.

– Czy to jest jasne? – spytał Eddie.

Pokiwałam głową.

– Jeśli masz co do tego planu jakieś uwagi, to powiedz to teraz. Z niechęcią, ale przekażę twoje słowa dalej, więc Tex i Vance zdecydują, czy wziąć twoje zdanie pod uwagę.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że w razie czego powiem Lee, żeby przekazał Flynną od razu glinom, choć wątpię, żeby posłuchał. Nie było mu łatwo patrzeć na to, jak jego brat i Tex się szamoczą.

No, biedny Lee!, pomyślałam. Nieładnie z mojej strony, ale ja też miałam dość marny dzień. I tydzień również marny.

– Czekaj, czy dobrze cię rozumiem? – zaczęłam. – Myślisz, że poproszę cię, żebyś się wstawił za Billym?

– Tak właśnie myślę.

Odwrociłam się do niego, choć to cholernie bolało, ale chciałam, by uważnie wysłuchał, co mam do powiedzenia.

– Po pierwsze, drań próbował mnie udusić. Pociął ciuchy, które na sobie miałam. Potem mnie uderzył. I rzucał mną po całym domu Hanka.

Jego wzrok się zmienił na te słowa, ale nie zwróciłam na to uwagi.

– Skopał mnie po żebrach, zagroził, że zgwałci w łóżku Hanka, a jakby tego było mało, związał mnie i woził jak szalenciec przez dwa dni. Za każdym razem, gdy wychodził z auta, przykuwał mnie do kierownicy. I kazał mi sikać ze związanymi rękami, podczas gdy on się przyglądał.

Niema złość zniknęła ze spojrzenia Eddiego już całkowicie. Oczy mu błyszczały.

– Dość chamskie, nie sądzisz? – ciągnęłam. – Och, zapomniałam jeszcze o tych dwóch koleśkach z giwerami i o tym, że zostawiono mnie pod umywalką w śmierdzącym, zapalonym motelu. Przez trzy dni nie pozwolił mi się wykapać! Przez tego koleśka musiałam wywalić najfajniejsze jeansy!

Podnosiłam głos coraz bardziej, ale miałam to gdzieś. Spojrzałam na podsufitkę, wyrzuciłam bezradnie w górę ręce, na ile pozwalała mi ograniczona przestrzeń kabiny auta.

– Jezu, zerwałam z tym dupkiem lata temu! Wystawiłam jego walizkę na korytarz, ale chyba nie załapał!

Teraz to już naprawdę się darłam.

– Roxanne – próbował wciąć się Eddie.

– I teraz wujek Tex jest cały wkurzony, a Hank... mniejsza o niego. Chłopaki Lee uganiają się za Billym po wszystkich południowych stanach! – Przerwałam, spoglądając na rozmówcę. – Nebraska i Kansas też się do nich zaliczają? – spytałam bez sensu, ale nie czekałam na odpowiedź. – Nieważne. Nie wiem, co to jest ten pokój przesłuchań, i nie chcę wiedzieć. Zróbcie z nim, co chcecie, Billy jest tylko złym wspomnieniem! Mam go gdzieś!

Wysłałam z samochodu, czy może raczej prawie z niego wypadłam, chwając się na obcasach. Nie zamierzałam czekać na Eddiego, ale i tak mnie dogonił.

– Czekaj, *chica!* – zawołał, wsuwając palec za pasek od spódnicy, żeby mnie zatrzymać. Nie wiem, jak mu się to udało, w końcu była bardzo obcisła, pewnie miał wprawę.

– Czego? – zapytałam, gapiąc się na niego.

Patrzył na mnie tym płonącym wzrokiem i widać było, że na coś się szykuje.

– Chyba muszę pogadać z Hankiem.

– Nie rób mi żadnych przysług! – wypaliłam. – Hank też jest już tylko wspomnieniem. Złożę te zeznania, wniosę o oskarżenie, odbieram auto z warsztatu i spadam stąd. Denver to dom wariatów! Niby październik, a góry widać codziennie na horyzoncie jak podczas lipcowej pogody. To miejsce nie jest normalne, a jeśli mówi to ktoś z klanu MacMillanów, to z pewnością ma rację!

Skończyłam tyradę i przestąpiłam próg posterunku. Mama byłaby ze mnie dumna.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było nie tylko zawałone biurkami, krzesłami i kanapami,

ale też roilo się od ludzi. Większość z nich po prostu beczelnie się na mnie gapiła, ale nie przejęłam się tym, podążyłam za Eddiem. Wokół mnie było jak w ulu: ludzie rozmawiali, odbierali telefony, truchtali z miejsca na miejsce, trzaskały drzwi.

Eddie posadził mnie przy biurku, gdzie miałam porozmawiać z miłym starszym policjantem Jimmym Markerem. Opowiedziałam wszystko, a Eddie stał w tym czasie z boku i tylko się przyglądał. Zerkalam na niego i rzucałam mu jakieś grymasy, jakbym chciała uniesieniem brwi zapytać, czy nie ma nic lepszego do roboty. Gdy nieświadomie uniosłam je po raz trzeci, uśmiechnął się, jakby to było w jakikolwiek sposób zabawne. Wariat z Denver.

Kiedy kończyłam składać zeznania, zauważyłam, że Eddie się spał, nie było to jednak spowodowane tym, co mówiłam; patrzył w stronę drzwi.

Podążyłam za jego wzrokiem i zamarłam. Hank, Lee i Vance stali w progu, wszyscy patrzyli na mnie. Hank miał puste spojrzenie, tak samo Lee. Vance się uśmiechnął. Jakimś cudem zdołałam zignorować Hanka i Lee i odpowiedziałam uśmiechem.

– Przepraszam na chwilę – mruknął Eddie i odszedł.

– Czy ma pan już wszystko, co trzeba? – zwróciłam się do detektywa Markera.

– Tak – odrzekł, zerkając w stronę Hanka z uśmiechem, jakby z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów wypatrzył coś niesłychanie zabawnego.

Miałam rację co do Denver, wszyscy tutaj byli szurnięci.

– Ma pani moją wizytówkę? – zapytał policjant, ponownie przenosząc wzrok na mnie.

– Mam. Ale zaraz wyruszam w drogę. Proszę dzwonić na komórkę, jeśli będzie pan jeszcze czegoś potrzebował.

– Wróci pani złożyć zeznania? – spytał, a gdy dziwnie na niego spojrzałam, stwierdził: – Wróci pani złożyć zeznania.

Wstałam, uściśniłam wyciągniętą dłoń, po czym przerzuciłam torebkę przez ramię i ruszyłam przez posterunek. Czulałam odprowadzające mnie spojrzenia.

Hank, Lee, Eddie i Vance stali w grupie. Vance się odłączył i podszedł do mnie, pozostali tylko się przyglądali.

– Hej, dziewczyno – rzekł, tarasując mi drogę.

Nie cofnęłam się.

– No hej. Potrzebuję podwózki do Texa, zawieszysz mnie? – spytałam.

– Najpierw skoczmy na lunch – odrzekł.

Nie miałam ochoty na lunch. Nie wypiałam nawet kawy, o śniadaniu nie wspominając, ale teraz jedzenie było ostatnim, co chodziło mi po głowie. Nie w chwili, w której spoczywał na mnie wzrok Hanka. Wahałam się, czy rzucić mu się do stóp i błagać, by zrozumiał moje postępowanie, czy raczej wydrapać mu oczy.

Zamiast tego spojrzałam na Vance'a i rzekłam butnie:

– Dobry plan.

Vance odwrócił się w stronę swojej watahy.

– Kluczyki – zażądał od Lee, po czym chwycił w powietrzu rzucony pęk.

Unikałam spojrzenia Hanka. Vance wyprowadził mnie za rękę.

Byłam tak bardzo skupiona na tym, by nie wywalić się na szpilkach albo nie zrobić czegoś głupiego, że nie zauważyłam, jak bardzo zmieniła się aura, gdy Vance wziął mnie za rękę. Dobrze, że nie widziałam spojrzenia Hanka, bo wówczas na pewno bym się wywaliła.

Vance zabrał mnie do baru motocyklowego na poboczu międzystanowej dwudziestki piątki, Lincoln's Road House.

Usadził mnie na wysokim stołku przy stoliku. Denver było jeansowe, a w tym barze było to widać aż nazbyt wyraźnie. No, chyba że miało się skórzane spodnie. Vance kupił mi piwo, a sobie napój gazowany. Przyniósł menu i usiadł naprzeciwko mnie.

– Jak sobie radzisz? – zaczął, przyglądając mi się.
– Moje życie jest w rozsypce, wszystko mnie boli i jestem prawie pewna, że zostanie mi blizna, która codziennie będzie przypominać mi o tym radosnym okresie w moim życiu – odpowiedziałam.
– A co u ciebie?
– Lepiej niż u ciebie.
– Wiesz co, to mi za wiele nie mówi, Vance.
Uśmiechnął się.
Założyłam nogę na nogę, zajrzałam do menu i zauważyłam, że Vance się poruszył. Spoglądał ponad moim ramieniem na Mace’a, który właśnie wchodził do baru tylnymi drzwiami. Ten skinął głową Vance’owi, zamówił piwo w barze i przysiadł się do nas. Zlustrował mnie od góry do dołu i rzucił:
– Niezła stylówka.
– Dzięki – odrzekłam.
– Myślałem, że się na kogoś zasadzasz – zauważył Vance.
– Matt mnie zmienił. Nie cierpię siedzieć na czatach. Cholerne nudy. Ike się odezwał?
Obaj spojrzeli na mnie.
Brałam właśnie łyk piwa, więc tylko machnęłam dłonią.
– Wiem, że chcecie go przetrzymywać i spuścić mu łomot – rzekłam, odstawiając szklanekę.
– To dobry pomysł.
Mace spojrzął na Vance’a.
– Lubię ją.
– Ustaw się w kolejce – odpalił Vance.
No niech mnie!
– Ktoś kupi mi żarcie? – spytałam, żeby zatuszować zmieszanie.
Vance zaśmiał się i machnął na kelnerkę, żeby złożyć zamówienie.
Telefon w mojej torebce zadzwonił, na wyświetlaczu pojawiło się imię Annette. Odebrałam.
– Cześć! – rzuciłam.
– Cześć – odpowiedziała i to mnie mocno zaniepokoiło, bo nie była osobą, która się normalnie wita.
Zesztywniałam, moi towarzysze również stali się czujni.
– Co się stało? – spytałam.
– Jesteśmy w drodze i teraz rozbijamy się po bezdrożach Iowy – poinformowała mnie i zrobiła efektowną pauzę, jakby zabrakło jej słów na opisanie tego stanu.
– No i?
– Byliśmy w twoim mieszkaniu. Doszczętna w nim rozpierducha.
Spięłam się jeszcze bardziej; Vance i Mace wciąż uważnie mnie obserwowali.
– Rozpierducha...? – spytałam słabo.
– No. Zgarnęliśmy twój laptop i chyba nic nie zginęło, ale wszystko było porozwalane. Tapicerka pocięta. Nie znam się, ale chyba ktoś czegoś szukał. Zabrałam większość twoich ciuchów i drobiazgi, które mogą się przydać.
Zamknęłam oczy, złożyłam głowę na oparciu na stoliku ręce.
– Dzięki, Nettie.
– Spróbujemy pokonać resztę trasy bez przystanków. Odpoczniemy w hotelu na miejscu.
Zadzwoń jutro.
– Dobra. Jedźcie ostrożnie i... dzięki.
– Nara! – Rozłączyła się.
– Rozpierducha? – spytał Vance.
– Mój loft. Przyjaciółka zajęchała po moje rzeczy. Powiedziała, że wyglądał na dokładnie przeszukany, ale chyba ostatecznie nic nie zabrano. Odnalazła w bałaganie mój laptop, więc to nie był nalot rabunkowy – zrelacjonowałam mu.

Spojrzał na Mace'a, a ten wstał leniwie, informując nas pod nosem, że musi zadzwonić.

– Powinam się martwić? – spytałam Vance'a.

Chwycił moją złożoną na stole dłoń.

– To pewnie ludzie, którzy szukali Flynn'a. Nie są tobą zainteresowani, to już wiemy, więc raczej nie masz się o co martwić.

Nieco przstraszyło mnie użycie słowa „raczej”. Vance znowu spojrzał gdzieś za mnie. Puścił moją dłoń, ale mimo że opuścił głowę, widziałam, że znów się uśmiecha, jakby do mojej dzwoniącej ponownie komórki. Na wyświetlaczu migąło imię Indy. Odetchnęłam głęboko i odebrałam.

– Gdzie się podziewasz, do cholery? – usłyszałam buczenie Texa. – Dzwoniłem do domu z milion razy!

– Przepraszam, wujku, powinam była dać ci znać. Pojechałam na komendę z Eddiem, żeby oskarżyć Billy'ego o napaść. Jesteśmy na lunchu w Lincoln's z Vance'em i Mace'em.

Poczułam na karku coś jakby oddech i odwróciłam się. Mace stał przy tylnym wejściu, gawędząc z Lee, Eddiem i pieprzonym Hankiem.

– Kurwa... – szepnęłam, odwracając wzrok.

Vance bawił się świetnie.

– Daruj sobie te podśmiejuchki! – syknęłam, ale to tylko sprawiło, że się wyszczerzył bardziej.

– Co ty tam gadasz, do diabła? – zabuczał Tex prosto w moje ucho.

– Nic. – Poczułam, że mam gęsią skórkę, jakby to nie spojrzenie, a dłonie Hanka po mnie pełzły. – Gdzie jesteś?

– W Fortnum. Od rana wysłuchuję jęczenia dziewczyn o tym, jak to wciąż robisz maślane oczy na myśl o tym gnoju, który cię tak urządził. Powiedziałem im, że chyba powariowały! Bo nie robisz, prawda?

Spojrzałam na talerz, który postawiła przede mną kelnerka.

– O czym ty mówisz? – spytałam.

– Najwyraźniej Hank wygadał się Lee, a on wypaplał Indy, a Indy rozgadała, komu się dało, że wciąż jesteś zakochana w tym cholernym dupku!

Zamarłam. Powoli odwróciłam się i spojrzałam na Hanka. To był wzrok bazyliuszka. Hank uniósł pytająco brwi, a moje oczy zwęziły się do szparek.

– Nie... jestem... zakochana... w pieprzonym... Billym... Flynnie! – wycedziłam przez zęby, akcentując każde słowo.

Vance odrzucił głowę w tył i zaniósł się śmiechem, więc rzuciłam mu karcące spojrzenie.

– No tak coś mi się zdawało! – usłyszałam Texa z telefonu.

– Przywieź mój samochód, wujku. Wyjeżdżam, jak tylko wrócę – zażądałam.

– Tak ci się tylko wydaje, kochaniutka. Najpierw musicie sobie kilka rzeczy wyjaśnić z Hankiem.

– Ni chuja!

Tex zaniemówił.

– Na pewno? – spytał po chwili.

– Nigdy w życiu niczego nie byłam bardziej pewna.

Znowu cisza, a potem wścibskie pytanie:

– A może to Vance ci się podoba?

Noż zlituj się, Boże, nade mną!

– Do widzenia!

Już, już się miałam rozłączyć, ale Tex przywalił z grubej rury:

– Zostań jeszcze do jutra, to zadzwonimy do twojej mamy.

Zatkało mnie.

– Zadzwonimy?

Wrócił Mace i usiadł obok, spojrzał na Vance'a i zabrał się do pałaszowania.

– No tak, ty i ja – usłyszałam przy uchu.

– Porozmawiasz z nią? – zapytałam szeptem.

Chwila ciszy, a potem zdawkowe:

– Ta.

– Zostanę jeszcze jedną noc – zgodziłam się natychmiast, miałam ochotę fikać koziołki ze szczęścia!

– Baw się dobrze z chłopakami. Aha, i robisz dziś kolację!

– Spoko, przygotuję coś super, w końcu jest co świętować!

– No i git. Soczyste steki z ryżem albo z tym cieniutkim makaronikiem, przepis z telewizji.

Specjał z San Francisco!

Vance jadł właśnie frytkę, zapadła niezręczna cisza.

– Specjał z San Francisco...? – spytałam, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

– No! – rzekł. – Skoczę do sklepu i kupię, co trzeba!

– A może coś bardziej eleganckiego? Myślałam o beef wellington. Nie będziesz jadł steków w dniu, w którym zamierzasz porozmawiać z siostrą pierwszy raz od jakichś stu lat!

– W dupie tam! Za chwilę powiesz, że nie pijemy bimberku, a szampana! Ja kupuję, ty gotujesz to, co kupię! I oblukaj tam sobie dobrze chłopaków. Jeśli Vance nie jest w twoim typie, to zostaje jeszcze Mace. Nie znam go za dobrze, ale też wydaje się w porządku.

– Jaja sobie robisz? – spytałam z niedowierzaniem.

– No pewnie. Oni wszyscy są do kitu, tylko Hank jest w porządku, no ale twierdzisz, że się nie nadaje. Matt i Bobby są zajęci. Ike wyjechał, ale to straszny skurwysyn. Skoro nie podoba ci się ani Mace, ani Vance, przedstawię cię Luke'owi. Lee mówi, że to niezły zabijaka, ale niedawno zarobił kulkę, więc nie widziałem go w akcji. No, ale Indy twierdzi, że to przystojniak, po prostu będziesz musiała troszkę na niego chuchać i dmuchać, dopóki nie dojdzie do siebie.

Wujek Tex swatką?

– Odbiło ci! – stwierdziłam.

– Nie ty pierwsza mi to mówisz.

Rozłączył się. Przez chwilę gapiłam się na telefon. Zamknęłam go w dłoni i triumfalnie wyrzuciłam w górę ręce, krzycząc z radości. Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, w tym spojrzenia Lee, Eddiego i Hanka, którzy przenieśli się w międzyczasie do baru. No cóż. Nic nie było w stanie zagłuszyć mojej radości, nawet Hank.

Uśmiechnęłam się do Vance'a.

– Czyżby zła passa się odmieniła? – zapytał.

– Stary, wujek porozmawia w końcu z moją mamą, pierwszy raz od czasu powrotu z Wietnamu!

Jego spojrzenie złagodniało. Założył mi kosmyk włosów za ucho.

– To dobra nowina – szepnął.

– No ba! – zgodziłam się.

Usłyszałam, że ktoś z hukiem odstawia na bar butelkę piwa, a gdy spojrzałam w tamtym kierunku, dojrzałam tylko plecy wychodzącego Hanka.

O dziwo, Eddie uśmiechał się do mnie, a Lee cały promieniał. Udawałam, że nic mnie to nie obchodzi, odwracając się do nich plecami. Ale obchodziło mnie. Jednak w tamtej chwili, po usłyszeniu tej radosnej nowiny, zamierzałam żyć w zmyślonym, słodziutkim świecie.

No, przynajmniej do granicy Kolorado. Potem zamierzałam wysłuchiwać smętów Joni Mitchell i Vana Morrisona, jadąc przez Nebraskę.

Rozdział dwunasty

Hank i dzika jazda

– Cześć, mamó! – rzuciłam do słuchawki stacjonarnego telefonu Texa.

Wujek siedział po drugiej stronie stołu w salonie; kolana mu podrygiwały, pocierał nerwowo uda, spojrzenie miał spanikowane.

Zjedliśmy te nieszczęsne kotlety à la San Francisco, które Tex zapił dwoma piwami, a potem dla kurażu machnął jeszcze trzy setki bimbru. Niby był gotowy na tę rozmowę, ale wyglądał, jakby za moment miał samoistnie stanąć w płomieniach.

– Cześć, kochanie, co tam u ciebie? – usłyszałam mamę.

Uśmiechnęłam się do Texa, żeby dodać mu odwagi.

– Mam dla ciebie dwie świetne wiadomości – poinformowałam ją.

– Tak? To dawaj, zawsze miło usłyszeć coś pozytywnego.

– No więc... Między mną i Billym to już definitywnie koniec. Odszedł. Zniknął na zawsze.

Mama się nie odzywała.

– Słodki Jezu... – szepnęła po chwili, a potem usłyszałam, jak krzyczy, odsunawszy słuchawkę od twarzy: – Herb! Herb, chodź tutaj! Roxie zerwała z Billym! O Jezusie najmilejszy, moje modlitwy zostały wysłuchane!

Przez chwilę jeszcze gadała podobne bzdury, a ja cierpliwie czekałam, bo byłam już przyzwyczajona do takiego słowotoku. Była katoliczką tylko w niedziele i przywoływała słodkiego Jezusa tylko przy specjalnych okazjach, które wymagały odrobiny dramatyzmu. Ta najwidoczniej była jedną z nich.

– Roxie? – Tata musiał wyrwać jej słuchawkę.

– Cześć, tato.

– Czy to prawda? Pozbyłaś się w końcu drania?

– Ta.

Nie miałam zamiaru opowiadać im, jak to się dokładnie odbyło. Musieliby być zaprawieni kilkoma kolejczkami bimberku, żeby wytrzymać taką opowieść. No i nie chciałam, żeby mroczne szczegóły naszego rozstania przyćmiły radość z pojednania.

– Dzięki Bogu! Od początku nienawidziłem tego drania! – ucieszył się tata.

– Wiem, bo to było aż nazbyt widoczne.

– Twój brat też – kontynuował.

– Wiem.

– Siostra również.

– Wiem – podkreśliłam tę świadomość.

– I matka.

– Rety, tato, no wiem przecież! – Przewróciłam oczami.

– I jeszcze pani Montgomery z końca ulicy. Powiedziała mi, że jak tylko go zobaczyła, to od razu wiedziała, że to diabelskie nasienie.

No miejcie litość!

Billy był oczywiście „diabelskim nasieniem”, ale akurat pani Montgomery każdego miała za zbrojnego, nawet biedną Holly Newburry, która teraz była zakonnicą i uczyła w podstawówce św. Malachiasza.

– Tato! – ukróciłam jego wywód.

– To dobrze, Roxie, to świetna wiadomość!

Przyszła pora zmienić temat, bo Tex naprawdę już prawie eksplodował i bałam się, że za moment się rozmyśli.

– Mama tam jest? – spytałam.

– Tak, chcesz z nią rozmawiać?

– A siedzi?

Chwila ciszy, potem zaprzeczenie.

– To niech usiądzie, bo, tato, ja jestem teraz w Denver.

Cisza.

– Siedzę naprzeciwko wujka Texa i on chce z nią porozmawiać.

Poczułam, że się waha, po czym musiał zasłonić mikrofon, bo usłyszałam stłumione:

– Trish, usiądź sobie lepiej.

– Co się dzieje...? – dobiegł mnie głos mamy, a brzmiało to jak: „Co ona znów nawywijała!?”.

– Roxie jest w Denver, z Texem.

Krzyknęła w tle.

– On chce z tobą rozmawiać – dokończył tata, gdy mama ucichła.

– O Jezusie, Jezusie najśłodszy!

Uśmiechnęłam się do wujka. Wstał gwałtownie, jakby jednak zamierzał zwiać, więc ja również się podniosłam, zastąpiłam mu drogę, patrząc w rozszerzone oczy.

– Wujku, wdech i wydech! – poradziłam.

– Przekazuję telefon mamie! – usłyszałam tatę przy uchu. – Już można?

– Tak – rzuciłam do słuchawki, a do Texa: – Można?

Pokręcił głową.

– Tex...? – zapytała mama niepewnie.

– Nie, mamó, to ciągle ja. Już ci go daję!

Tex wyczytniał jakieś ćwiczenia oddechowe jak rodząca kobieta i gapił się na telefon, jakby ten miał ożyć w jego dłoni. Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i przyłożył słuchawkę do ucha, po czym wymruczał:

– Trish...?

Poczułam ciepło w okolicy serca. Podeszłam do wujka i objęłam go, oparłam czoło o jego mocarną pierś. Nie potrzebował tego zapewne, ale za to ja potrzebowałam.

– Tak, to ja. Co tam słyszać? – zapytał.

Nie mogłam zrozumieć piskliwego głosu mamy, ale gdy wujek przez chwilę jej posłuchał, poczułam, że się odpręży. Jego dłoń dotknęła mojej szyi.

– Zjedliśmy sobie kolację, steki i ryż. Spędziliśmy razem kilka dni, poznaliśmy się lepiej. To dobra dziewczyna, Trish. Dobrze ją wychowałaś. Co u Herba?

Gdy mama odpowiadała, rozległo się pukanie do drzwi. Cmoknęłam wujka w policzek i na paluszkach poszłam otworzyć.

Przestało mi być do śmiechu, gdy zobaczyłam, kto przyszedł. Hank. W jeansach i skórzanej kurtce, wysokich butach i podkoszulku bordo. W całej swojej gliniarskiej krasie.

– Co tu robisz? – spytałam, a on po prostu wszedł, jakbym w ogóle nie stała w progu i nie musiała umykać mu z drogi.

Rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś szukając.

Wujek wciąż stał z telefonem przy uchu, patrzył na Hankę, jakby jego przybycie w ogóle go nie zdziwiło. Whisky tymczasem zgarnął ze stołu moją torebkę, chwycił mnie za rękę i wyprowadził na zewnątrz, zatraskując za nami drzwi. Zanim się zamknęły, dosłyszałam jeszcze śmiech wujka. No niech mnie! Co tu się działo, do diabła?

– Hank! – krzyknęłam, usiłując wyswobodzić rękę, ale ciągnął mnie do swojego samochodu.

– Hank, przestań! Co ty wyprawiasz?

Otworzył drzwi od strony kierowcy, wsadził mnie do środka i zaczął się gramolić za mną, więc musiałam przepełznąć na fotel pasażera i zanim zdążyłam choćby odruchowo zapiąć pas, rzucił mi torebkę na kolana, odpalił silnik i ruszył.

– Chcę wracać do Texa! – zażądałam, a gdy nie zareagował, dorzuciłam: – Co ty wyrabiasz? Zawróć do Texa!

Wciąż nic nie mówił.

– Dobra. – Wyjęłam telefon z torebki, choć nie bardzo wiedziałam, do kogo mogłabym w tej sytuacji zadzwonić.

Hank wyrwał mi telefon i rzucił go na deskę rozdzielczą po swojej stronie. Bezradnie gapiłam się, jak komórka ześlizguje się w stronę szyby.

– Co, do... – zaczęłam, ale co w sumie miałam powiedzieć? Serce mi waliło, nie mogłam zebrać myśli. Tylko jedno mogłam powiedzieć. – Odbiło ci. To jest wariactwo. Denver jest popieprzone. Chyba cofnęliście się z chłopakami o stulecie albo i lepiej, aż do epoki kamienia łupanego. Zachowujecie się jak jaskiniowcy! – trajkotałam. – Wierzyć mi się nie chce, że wywlokłeś mnie z domu wujka. Rozmawiał z moją mamą!

– Cicho – rzekł w końcu Hank.

– Pierdol się! Czemu, na Boga, nie wskoczyłam do auta i nie odjechałam stąd, gdy miałam okazję?

– Dobre pytanie – rzucił Hank.

Zamknęłam się, bo naprawdę nie miałam ochoty na tę rozmowę. Zapięłam pas, skrzyżowałam ręce na piersiach i zaczęłam kombinować. Nie byłam ubrana stosownie do ucieczki, wciąż na obcasach i w obcisłej spódnicy. Zresztą, i tak nie byłam w stanie biegać z trzema pękniętymi żebrami. Bić się z nim również nie mogłam i nie chciałam. Po prawdzie uciekać od niego również nie miałam ochoty. O czym to ja...? Chyba lepiej, żebym w ogóle przestała myśleć.

Zaparkował pod swoim domem. Siedziałam bez ruchu, patrząc, jak obchodzi maskę. Otworzył drzwiczki po mojej stronie, odpiął pas, wyciągnął mnie z auta i pociągnął w stronę domu.

– Chcę wracać do Texa! – poskarżyłam się.

– Nie wrócisz do Texa – ogłosił autorytarnym tonem, otwierając drzwi.

Zanim zdążyłam zaprotestować, napadł nas Shamus i zaczął radośnie obskakiwać.

– Cześć, kolego, no już, już! – zagadałam do psa, głaszcząc go po łbie.

Byłam wkurzona na Hankę, że dla odmiany to on mnie teraz porwał, ale przecież Shamus nie musiał z tego powodu cierpieć.

To były ekspresowe pieszczoty, bo Hank po zatrzaśnięciu drzwi i zamknięciu ich na zamek powlókł mnie dalej, wprost do sypialni. Tego było za wiele, zaczęłam się szarpać.

– Przestań, dokąd mnie ciągniesz? Puszczaj! – krzyczałam.

Nie przestał.

– Hank, do diabła!

Zatrzymał się dopiero w sypialni i puścił moją rękę. Gdy odwrócił się, żeby włączyć lampkę przy łóżku, próbowałam uciec, ale chwycił mnie w pasie i przyciągnął do siebie, opierając o łóżko. Zrzucił kurtkę i zręcznym ruchem zdjął T-shirt. Jego nagość sprawiła, że oczy mi wyszły z orbit. Dobry Boże...

– Co ty...? – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Z uwagi na twoje żebra będziesz tym razem na górze.

Szczeka mi opadła.

Zmrużyłam oczy.

– No nie wydaje mi się – rzuciłam.

Chwycił mnie za biodra, przyciągnął do siebie i pocałował.

Opierałam się, pewnie, w końcu nie byłam taka ła... No dobra, opierałam się tylko przez moment.

– Palant... – szepnęłam, gdy zawędrował ustami na moją szyję.

Odsunął się tylko na sekundę, żeby wyciągnąć ze spódnicy moją bluzkę i zdjąć mi ją przez głowę. Spojrzał mi w oczy. Walące serce nagle zamarło, gdy dostrzegłam w jego spojrzeniu coś, czego jeszcze nigdy u nikogo nie widziałam, coś, co było odwrotnością obojętności.

– Tak, jestem palantem – zgodził się i znowu mnie pocałował.

Czy mogłam w tamtej chwili nie oszaleć? W końcu to był Hank. I nagle rzuciliśmy się na siebie, dotykając, pieszcząc, smakując skórę. Podciągnął moją spódnicę do góry, pociągnął mnie

delikatnie na łóżko, posadził na nim, zdjął mi majtki i rzucił je na podłogę. Zanurkował twarzą między moimi udami.

– O Boże... – szepnęłam, wplatając palce w jego włosy.

Gdy byłam na granicy spełnienia, oderwał ode mnie usta, choć przyciskałam do siebie jego głowę, oddychając ciężko. Natychmiast poderwałam się w górę, pchnęłam go na łóżko, rzuciłam się do klamry paska. Rozpięłam guziki rozporka, zsunęłam mu jeansy z bioder i dosiadłam go. Poczułam, że podrzuca biodrami, żeby mnie wypełnić, wygięłam plecy w łuk, a on nie przestawał. No i miałam swoją dziką jazdę o wiele bardziej satysfakcjonującą niż ucieczka. Nie musiałam nic robić. Potężnymi pchnięciami wsuwał się we mnie, a ja po prostu siedziałam na nim, oparłszy ręce na jego ramionach. Było rozkosznie!

Poczułam jego dłonie na plecach i pochylił mnie ku sobie, gdy szczytowałam, żeby chwycić mój krzyk rozkoszy w swoje usta. Kilka minut później odpłaciłam mu pięknym za nadobne.

Leżałam z twarzą wtuloną w jego szyję.

– Chcę usłyszeć, jak wymawiasz moje imię – szepnął ochryplym od rozkoszy głosem.

Zawahałam się. Nie wiedział, kim jest, czy może bał się, że wyobrażałam sobie Billy'ego?

– Hank... – szepnęłam, odczuwając dziwny niepokój.

– Nie tak mnie nazywasz.

Poczułam motyle w brzuchu, ale nie odezwałam się. Jego ramiona oplótły mnie ciaśniej, czułam, jak mięśnie się napinają, gdy uniósł nas oboje. Wciąż siedziałam na nim okrakiem, przytrzymując się jego szyi.

– Rozmawiałem z Eddiem.

– Domyśliłam się.

Wtulił głowę w moją szyję i wciąż w tej pozycji wyszeptał:

– Roxie, tak bardzo przepraszam.

Objęłam go mocniej, jakby odruchowo, ale nie odezwałam się. Co mogłam powiedzieć? Ostatnie dwadzieścia minut wystarczyło za najlepsze przeprosiny.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Musisz zadzwonić do Texa i powiedzieć mu, że spędzasz noc tutaj.

Pokręciłam głową. Dobrze, że nie myślał już, iż jestem jakąś wariatką zakochaną w swoim porywaczu, ale nie byłam gotowa tak po prostu do niego wrócić.

– Musisz mnie odwieźć.

Wystarczyło jedno spojrzenie w jego oczy, żebym wiedziała, że postawi na swoim. Nie miałam siły walczyć o powrót do wujka, wcale tego tak naprawdę nie chciałam.

Spojrzenie mu złagodniało.

– Nie pojedziesz do żadnego Texa – wymruczał.

Wiedziała, że ma rację. Naprawdę nie było o co walczyć.

Położył mnie na łóżku, a potem sięgnął po swój telefon i wybrał numer mojego wujka. Czekałam na połączenie, a on naciągał jeansy.

Przyłożyłam aparat do ucha.

– Yo! – zabuczał wujek gdzieś po drugiej stronie.

– Wujku, to ja. Jestem z Hankiem.

Usłyszałam, że tłumi śmiech.

– No widziałem przecież. Ci chłopcy się nie opierdzielają! – odpowiedział.

Westchnęłam.

– Nie wrócę na noc.

– No ja myślę. Niech Hank przywiezie cię jutro do Fortnum. Klucz będzie pod wycieraczką, jeśli zechcesz zabrać coś z domu.

– Pogadałeś z mamą? – spytałam.

– Tak. Przyjedzie z Herbem za kilka tygodni.

Uśmiechnęłam się trochę do siebie, a trochę do Hanka, który leżał obok mnie i opierał się na

łokciu. Patrzył łagodnie, gładząc mnie po szyi, potem po policzku. Zagryzłam usta. Wiedział, że dzielę się bez słów czymś bardzo ważnym, i cieszył się moją radością.

– To świetna wiadomość – szepnęłam.

– Kończę. Obiecałem Nancy, że zadzwonię. Nie uwierzy w te rewelacje, ty znowu z Hankiem, a ja rozmawiałem z siostrą. Tu się nie można nudzić, to pewne!

– Kocham cię, wujaszku! – wypaliłam z zamkniętymi oczami, zanim się rozłączył, mówiąc mi jeszcze na do widzenia „Kochana dziewczuszko!”. To chyba było dla niego nieco za wiele jak na raz.

Uchyliłam powieki.

Hank odebrał ode mnie telefon i odłożył go na nocny stolik.

– Jadłaś już coś? – zapytał.

Pokiwałam głową.

– A deser?

Pokręciłam przecząco głową.

Podniósł się i wyciągnął mnie z łóżka.

Hank zabrał mnie do Gunther Toody's. Ciekawie zaprojektowane miejsce dla rodzin, wystylizowane na wnętrze z lat pięćdziesiątych. Neony, chromowane poręcze, wszechobecny winyl i kelnerki w białych mundurkach udekorowanych przypinkami, umalowane jak pin-up girls dopełniały atmosfery.

Zamówił burgera z frytkami, a ja koktajl czekoladowy. W życiu nie piłam pysniejszego!

Wyglądałam przez okno, wciąż ze słomką w ustach, usiłowałam zebrać myśli. Wszystko działało się tak szybko, nie mogłam nadażyć. Co miałam dalej robić? Dokąd pojechać? Co o tym wszystkim myśleć? Musiałam zwolnić, zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie moje rany się zagoją i nabiorę dystansu. Denver nie było takim miejscem, przynajmniej jeśli chodziło o nabieranie dystansu. Podobnie Chicago.

Poczułam, że stopa Hanka dotyka mojej pod stołem, oderwałam wzrok od widoku za szybą i spojrzałam na niego. Ależ ty jesteś przystojny!, pomyślałam. Westchnęłam, gdy przypominałam sobie, że przecież moje kłopoty wcale nie zniknęły.

Hank tymczasem dokończył posiłek i odsunął od siebie pusty talerz.

– Musimy sobie kilka rzeczy wyjaśnić – zaczął złowieszczo.

Pewnie tak było, ale nie miałam ochoty ani na mówienie, ani na słuchanie, z tym że chyba nie bardzo miałam w tych kwestiach jakikolwiek wybór.

– Powiedziałaś, że kochasz tego kolesia.

Zamrugłam.

– Kochałam, kochałam, łam, łam, czas przeszły!

Przechylił się przez stolik i ujął moją dłoń.

– Słoneczko, zapytałem „Czy ty go kochasz?” i potaknęłaś, nie w czasie przeszłym bynajmniej!

Oj. No tak, pamiętałam ten niezręczny moment. Cholera. Również się pochyliłam.

– To było chwilę po uratowaniu mnie z rąk wariata. Nie spałam od wielu dni i byłam tak zmęczona, że nie bardzo kontrolowałam to, co mówię i robię.

Uścisnął moją dłoń bez słowa, jakby chciał dać mi znać, że rozumie i raz jeszcze przeprasza. Facet jego pokroju z pewnością nie był nawykły do przepraszania, a dowód skruchy już mi dał jakiś czas wcześniej.

Znowu wyjrzałam przez okno.

– Cieszę się, że to już mamy wyjaśnione – rzuciłam w przestrzeń, pragnąc, żeby ten temat już okrzepł i nie zostawiał za sobą nieprzyjemnej aury.

Poczułam jego palce zaciskające się mocniej.

– Wróćmy do chwili, w której tak brutalnie nam przerwano – rzekł. – Flynnem będziemy się przejmować, gdy już go znajdziemy.

Pokręciłam głową.

– Nie. Moja przyjaciółka Annette za moment przywiezie moje rzeczy i gdy tylko odnajdzie się mój samochód, odjeżdżam.

– Słoneczko...

– Nie, Hank! Nie ma powrotu! Nie gniewam się na ciebie za to, że uważasz mnie za idiotkę, bo, powiedzmy sobie szczerze, jestem nią. Ale nie w tej kwestii. Muszę uporządkować moje życie, a to chwilę potrwa. A ty musisz iść dalej.

W jego oczach zatańczył złowróżbny błysk.

– Iść dalej...? – powtórzył wolno.

Przytaknęłam.

– Tak. I dobrze, że rozstaniemy się w przyjacielskiej atmosferze, bez nieporozumień.

– Roxie, my się nie rozstajemy.

– Owszem. Ty jesteś dobrym facetem... – Zatrzymałam się, wiedząc, że chwila nadeszła.

On był dobrym facetem. A ja byłam świruską, której zdemolowano mieszkanie, a jej byłego, który przepadł nie wiadomo gdzie, poszukiwano w czterech stanach. Żadne z nas nie powiedziało głośno tego, że jestem zbrukana. I chociaż Hank wiedział, że już nie Kocham Billy'ego, to sam fakt, że choć przez sekundę tak pomyślał, wyjaśniał mi wszystko na temat tego, co o mnie naprawdę sądził.

– To koniec – zamknęłam temat.

– Przepraszam, że to powiem, ale czy nie posuwałam cię rozkosznie jeszcze godzinę temu?

Rzuciłam mu nieprzyjemny grymas.

– To nie jest żaden koniec – zapewnił.

– Jest, bo jutro wyjeżdżam.

Puścił moją dłoń, wstał i wydobył z portfela kilka banknotów, a następnie pociągnął mnie za rękę do wyjścia, skinąwszy na pożegnanie kelnerce.

Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, objął mnie i tak doszliśmy do samochodu. No cóż, dobrze to zniósł, i choć powinnam odczuć ulgę, to nieco się wkurzyłam.

Gdy otwierał mi drzwiczki samochodu, odwróciłam się w jego stronę, usiłując podtrzymać pozytywną atmosferę.

– Dzięki za zrozumienie.

Spojrzał na mnie.

– Tu nie ma nic do rozumienia – rzucił nonszalancko.

– Słucham?

– Roxie, nigdzie nie wyjeżdżasz. Muszę tylko przekonać cię, żebyś została.

– A właśnie że jutro wyjeżdżam – powtórzyłam po raz chyba setny.

Przysunął się tak blisko, że prawie przygniótł mnie do drzwiczek.

– No więc mam czas do jutra, żeby cię przekonać.

– Nie dasz rady, bo już zdecydowałam. – Próbowałam odepchnąć go, ale oczywiście bezskutecznie.

– Kilka dni temu nie dawałaś się namówić nawet na kolację, ale już kilka godzin później miałem cię pod sobą. Ja nie dam rady?

No cóż, był pewny swego, to nie ulegało wątpliwości.

– Odwieź mnie do Texa – zażądałam.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie pojedziesz do żadnego Texa, zostaniesz u mnie.

Prychnęłam.

Chyba jednak niezbyt dobrze zniósł informację o rozstaniu. W ogóle nie przyjął jej do wiadomości.

Pocałował mnie. Nie potrafiłam mu się oprzeć i pozwoliłam zabrać się do domu. Do jego domu.

Leżałam na plecach. Hank opierał ciężar ciała na moich ugiętych nogach i wślizgiwał się głęboko we mnie, głębiej, niż był ktokolwiek inny. Zamknęłam oczy i skupiłam się na tym odczuciu, spłotłam palce na jego szyi. Pozwoliłam mu się uwieść, co wcale nie było trudne, i teraz starałam się zapamiętać wszystko: zapach, dotyk jego skóry, jego smak, siłę i zdecydowanie, z jakimi mnie brał. Chciałam zachować te wspomnienia, jak długo się da.

Zatrzymał się i wycofał, wybijając nas z rytmu.

– Hank? – Otworzyłam oczy.

Pochylił się do mojego ucha.

– Zostań ze mną – mruknął.

Czułam nadchodzący spazm, nie mógł mnie tak zostawić!

– Nie teraz!

– Obiecuj, że zostaniesz! – szepnął.

Poruszyłam się, oplatając go wszystkimi kończynami.

– Whisky...!

Gdy to usłyszał, znowu ruszył do akcji i po chwili byłam w niebie.

To postkoitalne rozleniwienie nie było najlepszym momentem, ale Hank przytulił mnie mocno i zażądał, żebym opowiedziała mu przebieg wydarzeń z Billym od momentu, gdy wyszedł pobiegać.

Nie musiał nic mówić, czułam, że coraz bardziej się spina. Jego dłoń, która co chwilę zatrzymywała się na moich plecach, albo palce wbijające się w moje ciało mówiły więcej niż tysiąc słów.

Potem musiałam powtórzyć historię z młotem.

– Zabiję tego skurwysyna – powiedział Hank w pewnej chwili.

– To samo powiedział Tex – zauważyłam.

Następnie wypytał mnie o mój nieudany plan pozbycia się Billy'ego. To była właśnie ta rozmowa, która miała odbyć się pięć dni wcześniej przy śniadaniu.

– Kiepski miałas plan – oświecił mnie.

– Teraz to widzę... – odrzekłam.

Wiedział również, że moje mieszkanie zostało zdemolowane, Mace powiedział mu to w Lincoln's.

– Nie możesz tam wrócić, to niebezpieczne.

– Muszę.

– Zobaczymy.

Nie było na niego sposobu.

– Pamiętasz, że w konstytucji jest dziewiętnasta poprawka, która przyznaje kobietom prawo głosu? – spytałam.

– Coś mi się obilo... – rzekł, tłumiąc uśmiech.

– I jeszcze jedno, taki ruch zwany fe-mi-nizm? – przesyłabizowałam, jakbym mówiła do małego dziecka. – Kobiety zaczęły pracować, domagając się równej płacy, wypowiadają się na tematy bieżące i takie tam. Dzwoni?

Przeturlał mnie na plecy.

– Coś tam dzwoni... – mruknął.

– Może masz encyklopedię, to sprawdzimy? Mogę ci przeczytać i wyjaśnić, jeśli masz problem ze zrozumieniem – zaoferowałam się.

– Tylko jeśli będziesz czytać nago! – Uniósł się na łokciu.

Klepnęłam go pieszczotliwie po ramieniu. Nawet tego nie poczuł; przerzucił nogę i unieruchomił mnie.

Do łóżka wpakował się Shamus, ugniatając sobie miejsce za mną i kładąc się z typowo psim, rozkosznym sapnięciem.

- Ciężko się was pozbyć, chłopaki! – westchnęłam.
- Zapamiętaj to sobie... – mruknął Hank i przytulił mnie mocniej, żeby podkreślić wagę tych słów.

Rozdział trzynasty

Będzie fajnie

Obudziły mnie pieszczoty Hanka, który zachowywał się tak, jakby chciał scałować ze mnie wszystkie blednące sińce, uleczyć ustami i delikatnymi palcami ślady po sznurze, zetrzeć koszarne wspomnienia pocałunkami.

Chyba wpadłam już na dobre!

Znowu się kochaliśmy, a gdy leżeliśmy wyczerpani i dyszący, pojawił się Shamus i popiskiwaniami i maślanymi oczami domagał się od pana porannego spaceru.

– Muszę go wypuścić. – Hank pocałował mnie delikatnie i wyszedł z łóżka.

Pozwoliłam mu wyjść, tęsknie przytulając poduszkę.

Obserwowałam, jak Hank się ubiera i bosy wychodzi z pokoju. Drzwi się otworzyły i zatrzasnęły.

A potem stało się coś dziwnego.

Zamknęłam oczy, wciąż rozleniwiona miłością, a gdy je otworzyłam, twarz Billy'ego była tuż przy mojej.

Zerwałam się na łóżku, wciąż przyciskając do siebie kurczowo poduszkę i zawołałam Hanka, a mój głos był przenikliwy i zdawało się, że rozbrzmiał w całym domu jak wystrzał. Cofnęłam się, uderzając plecami o zagłówek, i w tym momencie Hank wbiegł do pokoju.

– Jezu, Roxie! – Patrzył na mnie, a ja nawet nie wiedziałam, że jestem blada jak ściana, a w moich oczach czai się szaleństwo, jak w oczach wujka zeszłego wieczoru.

Nikogo tu nie było. Nie było tu Billy'ego.

Napotkałam spojrzenie Hanka, który przysiadł na krawędzi łóżka i powoli wyciągał do mnie rękę; odebrał mi poduszkę i przygarnął mnie do swojego ciepłego, twardego ciała.

– O ja pierdole, niech to szlag, szlag, szlag! Mam omamy! To był Billy, jak żywy! – Czułam, jak moje ciało drży w jego objęciach.

Zaklął pod nosem, wciągnął mnie na swoje kolana, okrył prześcieradłem. Wtuliłam twarz w jego szyję.

– Chyba zwariowałam, jestem bardziej szurnięta niż zwykle. Przysięgam, on tu był! Tuż przede mną! – szeptałam w jego ciało, zaciskając wokół niego ramiona.

– To tylko koszarne wspomnienie, ofiary przemocy już tak mają.

Drżałam na całym ciele, przetykałam łzy.

– Niech to diabli! – Zakrzusiałam się i przytuliłam tak mocno, jakbym chciała stopić się z jego ciałem, a może wchłonąć w siebie odrobinę jego siły. Moczyłam łzami jego skórę. – Jestem tak cholernie słaba...

– Nie powinienem był cię tu sprowadzać. Mogłem się tego spodziewać.

Pokręciłam przecząco głową.

– To moja wina, jestem słabeuszem.

– Przestań, to mogło się przytrafić każdemu.

Nie każdemu, nie Indy, Ally czy Daisy, bo one były zrobione ze szlachetniejszego kruszcu.

– Przepraszam... – szepnęłam.

– Za co?

– Jestem idiotką...

– Chryste, Słonko! Odpuść!

Przytaknęłam, ale w głębi duszy wiedziałam, że to prawda.

Począł, aż się uspokoję, i wstał, stawiając mnie na nogi. Schylił się po moje majtki i wręczył mi je bez słowa. Wygrzebał z szuflady wielką oliwkową bluzę z emblematem czaszki na plecach i pomógł mi ją założyć, sięgała mi do bioder.

– Zawołajmy Shamusa z ogrodu – oznajmił.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do tylnych drzwi, przez które pies wpadł do domu, gdy tylko Hank je uchylił. Przeszliśmy do kuchni. Hank wziął się do parzenia kawy.

– Nakarmisz psa? – zapytał, wskazując mi, gdzie stoi karma.

Otarłam łzy przydługim rękawem bluzy, po czym podwinęłam je i rozejrzałam się po salonie. Wszystko zostało uprzątnięte, a nad kanapą wisiał już tylko jeden plakat. Brakowało również rozbitej lampy, jednak na jej miejscu nie stała nowa. Wszystko wyglądało tak, jakby nic złego się tu nie wydarzyło. Jakbym była tu znowu po raz pierwszy, po naszej pierwszej randce.

Powstrzymałam się od kolejnej zmiany wystroju w myślach i podałam Shamusowi śniadanie. Obskakiwał mnie radośnie w oczekiwaniu na posiłek. Wpakował pysk w karmę, a jego ciało kiwało się od radosnych machnięć ogonem.

– Szczęściarz z niego – rzekłam do Hanka, marząc o tym, żeby moje życie było równie proste, złożone z jedzenia, spacerów i Hanka.

A może faktycznie mogło składać się właśnie z tego? Odpędziłam kuszącą myśl.

Hank zastąpił mi drogę i stanął tak blisko, że cofnęłam się i oparłam o bar. Ujął moją twarz w dłonie i zapytał:

– Jak sobie radzisz?

– Lepiej, przepraszam za...

– Jeśli w tej chwili nie przestaniesz przeproszać...!

– Przepraszam, to znaczy nie, przepro... – Nie mogłam przestać!

– Cicho już! – rozkazał, uśmiechając się. – Obejmij mnie.

Wykonałam rozkaz bez szemrania.

– A ja jak sobie radzę? – zapytał, pocierając mój nos swoim.

Nie cierpiałam, gdy to robił, to było zagranie poniżej pasa, bo uwielbiałam tę infantylną pieszczotę!

– W jakiej kwestii...? – zapytałam.

– W kwestii przekonania cię, abyś została.

Cholera!

– Wyjeżdżam, Hank, jeszcze dziś.

Spojrzenie mu złagodniało i tego również nie cierpiałam, to znaczy uwielbiałam!

Tupnęłam nogą jak dziewczynka na fochu, żeby go przekonać, a może siebie?

– Myślisz, że zostanę?

– Wiem, że tak będzie – odparł.

Przewróciłam oczami.

– Wypiję kawę, przygotuję na śniadanie francuskie tosty, a potem zawieziesz mnie do Texa. Odbiorę samochód z warsztatu, spotkam się z Annette i wracam.

– Francuskie... To brzmi dobrze...

Chyba wychwycił z mojej wypowiedzi jedyne interesujące go słowo. No cóż.

– Masz chleb, jajka, syrop klonowy? – spytałam, gdy muskał ustami moją szyję.

– Może i mam...

– Jeszcze cukier puder i jakiś kremowy serek? – kontynuowałam.

– A tego to chyba nie mam... – wymruczał w moją szyję.

– Odsuń się, jak mam gotować?

Odsunął się niechętnie, ale z uśmiechem.

Znalazłam kubki w szafce nad ekspresem.

– Mleko? Cukier? – zapytałam, czując, że tym razem obejmuje mnie od tyłu i znowu całuje w szyję.

– Czarna – mruknął i poczułam, że jego dłonie wędrują pod bluzę, jedna w górę, druga w dół.

– Hank! – Usiłowałam się uwolnić, ale był stanowczy. – No puść mnie!

– Nazwij mnie Whisky, to sobie pójdę... – wyszeptał w moją szyję.

Na bogów!

– Puść – upomniałam go i w tej samej chwili poczułam jego dłoń w majtkach, drugą objął moją pierś.

Do diabła!

Dziesięć minut później wciąż pracował dłońmi niestrudzenie, a ja zaciskałam palce na krawędzi blatu, napierając na niego całym ciałem, jęcząc w ekstazie.

– Powiedz to...

– Whisky...! – szepnęłam i doszłam spektakularnie, po raz drugi tego dnia, a przecież dopiero co się obudziłam!

Podtrzymał mnie, gdy nogi ugięły się pod mną w ekstazie.

– Czy już oswoiłaś się z moim domem? – zapytał, gdy mój oddech się uspokoił.

Wiedziałam, co robił. Usiłował zatrzeć koszmarnie wspomnienia, dając mi nowe, niezmiernie przyjemne. Był takim dobrym facetem! To znaczy dobrym, ale w cholernie seksowny sposób!

– To co, zostaniesz? – zapytał, całując mnie w szyję.

Rety! Co za uparciuch!

Pokręciłam głową. I to on nazwał mnie uparciuchą!

– Uparciuch – wymamrotałam.

Poczułam jego uśmiech.

– Będzie fajnie! – rzucił beztrzesko.

Szczerze w to wątpiłam.

Zjedliśmy tosty. Wzięliśmy prysznic. Hank zawiózł mnie do Texa, żebym mogła się przebrać. Wujek był już w pracy, więc zadzwoniłam do niego. Podał mi adres warsztatu.

Zadzwoniłam również do Annette. Powitała mnie radosnym „Cze, sunia!”. Odsypiali podróż w hotelu w Denver i umówiliśmy się na popołudnie w Fortnum.

Wydało mi się podejrzanym, że Hank tak ochoczo zabrał mnie do mechanika, bo przecież zamierzałam wsiąść do mojego autka i odjechać w siną dal. Nie zamierzałam jednak drążyć tematu.

Facet w brudnym niebieskim kombinezonie wertował księgę napraw.

– Przyjechałam odebrać auto – oznajmiłam, gdy podniósł na mnie wzrok.

Spojrzał na Hankę, potem znowu na mnie.

– Sorry, nie mogę go wydać.

– Jak to? – zapytałam.

– Jacyś gliniarze zabrali je na policyjny parking, powiedzieli, że to dowód w sprawie.

Zesztywniałam.

– W jakiej znowu sprawie?

Wzruszył ramionami.

Odwrociłam głowę i spojrzałam na Hankę, który wyglądał na w pełni ukontentowanego.

– Wiesz coś o tym? – spytałam.

– Coś mi świta – rzekł, powstrzymując uśmiech.

Znowu strzeliłam focha, zaciskając dłonie w pięści i tupiąc. Hank uśmiechnął się szeroko, przyciągając mnie do siebie.

– Mówiłem, że zostajesz!

– Ja nie... Ty...! – wydałam z siebie zduszony jęk.

Przegarnął dłonią moje włosy.

– Ależ jesteś śliczna! – mruknął.

– A ty jesteś palantem!

W odpowiedzi pocałował mnie głęboko.

– Mówiłem, że będzie fajnie! – rzucił.

W Fortnum zebrali się wszyscy, jakby tylko czekali na nasze przybycie i jakiś kabaret.

Duke chciał się odezwać, jak tylko weszłam, ale uciszyłam go gestem.

– Nie będę tego słuchać! Tak, przyznaję się, wmieszałam was wszystkich w moje gierki, ale przecież nie chciałam zostać porwana i pobita! – rzuciłam w jego stronę.

– Chciałem tylko powiedzieć, że dobrze widzieć cię całą i zdrową – odrzekł.

– Ach... – Uszła ze mnie buta. – Dziękuję.

Spojrzał na mnie tak, jakby zastanawiał się nad moją poczytalnością. Ja również poważnie w nią powątpiewałam.

– Nie ma za co – dodał.

Hank stanął tuż obok.

– Nie masz nic do roboty? – zapytałam, zerkając na niego. – Nie czekają jacyś podejrzeni, których musisz przesłuchać? Jakies raporty do wypełnienia? Może do sądu powinieneś iść? No wiesz, taka policyjna robota?

Objął mnie i uśmiechnął się, po czym wyszeptał wprost do mojego ucha:

– Dziś niedziela. Przesłuchuję tylko w tygodniu.

– Serio? Niedziela?

– Ta.

Cholera, spędziłam tu już tydzień!

– Moje życie to szambo... – mruknęłam.

Uścisnął mnie, żeby dodać mi otuchy.

Nie miałam czasu się tym porozkoszować, bo pojawiła się Daisy i spojrzała na Hanka wyzywająco.

– Odsuń się, wielkoludzie! Już się nią nacieszyłeś. My, dziewczyny, mamy do pogadania.

Chwyliła mnie za rękę i pociągnęła między regały z książkami, zatrzymałyśmy się przy półce „P-Q-R-S”. Ally, Indy i Jet podążyły za nami.

– Więc ty i Hank razem... – zagaiła Indy z uśmiechem.

– Wyjeżdżam, gdy tylko odzyskam samochód.

Jej uśmiech zgasł.

– A gdzie jest ten samochód? – spytała Jet.

– Hank zlecił odholowanie go na policyjny parking – odrzekłam.

Indy znowu się uśmiechnęła.

– Nie chce, żebym wyjeżdżała – wyjaśniłam, jakby nie było to dość oczywiste.

– Nie wyjedziesz. – Ally również się uśmiechała.

– Wyjadę – odparłam.

Naprawdę miałam taki zamiar.

– Jeszcze się przekonamy – dodała Ally.

– Opowiem ci anegdotkę, Roxie. – Indy podeszła do mnie. – Kiedyś Hank zapragnął mieć motocykl, więc ojciec zgodził się pod warunkiem, że kupi go za własne pieniądze. Hank pracował dorywczo chyba w dziesięciu różnych miejscach. Zaharowywał się, wstawał bladym świtem, pracował po nocy. Mimo to nie przerwał treningów futbolowych. W końcu kupił ten motocykl.

– Hank jeździ na motocyklu?

Ally zbyła to pytanie milczeniem i dorzuciła od siebie:

– Pamiętam, jak Hank zdecydował się kupić dom w Bonnie Brae. Chciał zamieszkać bliżej dzielnicy, w której się wychował, i uczyć dzieciaki jeździć na rowerach na spokojnych uliczkach, bez ryzyka przejechania przez rozpędzony samochód. Ceny domów były kosmiczne, o wiele wyższe niż zarobki gliniarza. Myśleliśmy, że sobie odpuści. Znalazł totalną ruderę, której nikt nie chciał kupić. Można było najwyżej rozebrać ją i postawić coś nowego. Hank przepłacił, a potem wyremontował dom samodzielnie.

Myślałam rozmarzona o Hanku uczącym dzieci jazdy na rowerze, gdy usłyszałam głos Daisy.

– Ziemia do Roxie!

- Co...? – spytałam tępo.
 - Dlaczego chcesz wyjechać?
 - To strasznie skomplikowane i trudne do wyjaśnienia.
- Dziewczyny popatrzyły po sobie.
- Tak właśnie jest! – upierałam się.
 - Niech ci będzie – zbyła mnie Ally. – Wybierasz się jutro z nami na Strachowisko?
- Dobry Boże!
- Strachowisko...? – spytałam niepewnie.
 - No, nawiedzony dom w Thornton. Zajebisty! – podkreśliła Ally.
 - Jestem dość strachliwa – wyjaśniłam.
- Ostatnimi czasy byłam wystarczająco przerażona, dziękuję bardzo za więcej.
- No coś ty, to tylko zabawa! – kuszyła Indy.
 - Tak? Hank opowiadał mi, jak było zabawnie, gdy wpadłaś w histerię i gliniarze cię gonili.

Nie brzmi to zbyt wesoło.

Ally i Indy spojrzały po sobie i wybuchnęły szaleńczym śmiechem, aż się skręcały.

– O boszzz, pamiętam! – Ally uspokoiła się i otarła łzę. – To była jazda!

– Wszystkie jesteście walnięte – zauważyłam.

– Racja, siostró! – potwierdziła Jet.

– Ja tam się wybieram. Brzmi jak frajda, a tobie przyda się trochę zabawy, racja, słonko?

– Daisy spojrzała na mnie.

Miała rację, aż za bardzo.

– No dobra – poddałam się. – Przyjechali moi przyjaciele, Annette i Jason. Zabierzemy ich?

– Im nas więcej, tym weselej! – rzekła Ally, najwyraźniej najbardziej nakręcona na tę wyprawę.

Czułam, że wpakuję się w jakieś nowe tarapaty.

Jakaś wysoka, bardzo chuda kobieta, niosąca kilka książek przystanęła gwałtownie obok nas, jakby nagle wyrwana ze swojego świata.

– Cześć! – rzuciła, jakby pierwszy raz w życiu natknęła się na innych ludzi.

– Cześć! – odpowiedziałyśmy chórem.

– Cieszę się, że nic ci nie jest! – rzuciła w moją stronę tajemnicza kobieta, po czym odłożyła jedną z książek na półkę i odeszła.

Nie miałam pojęcia, kto to jest.

– A to kto? – zapytałam Indy.

– To Jane. Pracuje tu od lat, ale jest dość... specyficzna.

Tex wspominał coś o jakiejś Jane, dziwaczce uzależnionej od romansów i powieści detektywistycznych. Jej życie oscylowało wokół Fortnum, czytania powieści i pisania własnych, których nikt nigdy nie opublikował.

Daisy szturchnęła mnie i natychmiast zapomniałam o Jane.

– A jak ty sobie radzisz?

Jej oczy koloru bławatków były przenikliwe i wiedziałam, że nic jej nie umknie.

Opowiedziałam o wizji, którą miałam rano w sypialni Hanka, który twierdził, że to tylko retrospekcja.

Dziewczyny spojrzały na mnie zatroskane, a Daisy uściśniła moją dłoń i wyznała:

– Znam ten ból, miałam tak samo po gwałcie.

– Zostałaś zgwałcona? – szepnęłam.

– Dawno temu. Koszmarne wspomnienia wracały, ale zbladły z czasem. Umysł goi się, tak samo jak ciało, ale to zajmuje sporo czasu. Dobrze, że masz porządnego faceta, który pomoże ci przez to przejść. Ja poznałam Marcusa w tych najcięższych chwilach.

Westchnęłam.

Nikt nie wierzył w mój wyjazd, więc gdybym teraz oznajmiła im, że nie uważałam Hanka za swojego faceta, też by pewnie nie uwierzyły.

Nagle od strony wejścia dobiegł nas krzyk:

– O ja pierdziele, ale zajebiste miejsce!

Annette, nie do pomylenia.

Dziewczyny zamarły.

– To moja kumpela, Annette – oznajmiłam i pobiegłam ją powitać.

Stali niedaleko wejścia, rozglądając się. Byli tego samego wzrostu; Jason, szatyn o ciemnych oczach, uśmiechał się tak, jakby nigdy nie bywał w złym humorze.

Oboje na mnie spojrzeli i nagle uśmiech Jasona znikł, a więc potrafił stracić swój humor w niesprzyjających okolicznościach. Annette odwróciła się na pięcie i wyszła. Dogoniłam ją na zewnątrz, gdy dawała upust emocjom, młóćąc powietrze pięściami i kopiąc w kurzu ulicy jak wściekły byk na rodeo i mrużąc niezrozumiale.

Zerknęłam w stronę wejścia; ludzie ze środka gapili się na nas i nikt nie zareagował na moje przepraszające spojrzenie, które mówiło, że mamy do czynienia z osobą nieźrównoważoną.

Annette ruszyła do wejścia.

– Zabiję tego skurwysyna! – oznajmiła.

– W tej kwestii wszyscy mamy to samo zdanie.

– No nie wiem. Urwę mu fiuta, wetknę do nosa i pogonię na golasa ulicami, dopiero potem utnę łeb!

Zapadła krępująca cisza.

– Annette, kochanie, czy ty nie jesteś przypadkiem pacyfistką? – przypomniałam jej uspokajającym tonem.

– A czy ty widziałaś swoją twarz? – odparowała.

– No tak. Jest już o wiele lepiej.

Oczy jej się rozszerzyły, jakby nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogło być gorzej.

Nie powinnam była tego mówić.

– Chodźcie, przedstawię was! – spróbowałam odwrócić jej uwagę.

Przedstawiłam wszystkich, a gdy doszliśmy do Hanka, Annette zlustrowała go od góry do dołu, a jej usta ułożyły się w bezgłośnie: „Nieźle!”. A gdy Hank objął mnie i przytulił, dodała: „Całkiem nieźle!”. Najwyraźniej Whisky świetnie się bawił. Jason wyzwolił mnie z jego uścisku, chwytając za rękę i rzucając wymowne: „Można?”, przytulił mnie z całej siły, dość poufale.

Sala ponownie zamarła.

Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

– Jason, nic mi nie jest – szepnęłam. – To już za mną, skończyło się. Jestem tu cała i zdrowa.

Nie puścił mnie. Usłyszałam, że Annette, beksa nie gorsza ode mnie, łka tuż obok i po chwili objęła nas oboje.

– Jason, Roxie ma trzy złamane żebra. – Głos Hanka rozległ się gdzieś nad nami.

Puścili mnie natychmiast, a Hank tylko na to czekał, przygarnął mnie na powrót do swego boku.

– Annette powiedziała mi, że jesteś gliniarzem – odparł Jason, a Hank tylko przytaknął.

– Dorwiesz drania?

Znowu lekkie skinienie.

Poczułam, że z Jasona schodzi napięcie.

– No dobra! – zawołała Indy, żeby przerwać niezręczną ciszę. – To może machniemy jakiś lanczyk?

– Super, zjadłabym konia z kopytami, ale najpierw musimy wyładować graty z auta. Przywieźliśmy mnóstwo twoich rupieci! – rzekła do mnie Annette. – Stare subaru ledwo się wlokło...

– Możecie zrzucić to u mnie – zadeklarował Hank.

Zamarłam.

Nigdy, przenigdy w życiu!

– Nie! – wykrzyknęłam.

– No i super! – Annette udawała, że nie słyszy. – Pojedziemy za tobą.
– No to jedziemy całą paczką! – Nagle wyrosła przy nas Ally. – Razem szybciej to rozładujemy.

– Nie... – spróbowałam ponownie, równie bezskutecznie.
– Do roboty, bo umieram z głodu. Im szybciej się uwiniemy, tym szybciej zjemy! – Tym razem to był Eddie, minęli nas z Jet. Obejmował ją tak, jak Hak obejmował mnie.

– Nie! – Nie poddawałam się.

– Zjemy w Las Delicias? – zaproponowała Indy.

– Wczoraj tam jedliśmy – zauważył Lee.

– Możemy i dziś! – Uśmiechnęła się.

– Nieee! – wykrzyknęłam tym razem i poczułam, jak Daisy odciąga mnie od Hanka.

– Pojedziesz ze mną, słodziutka, mamy mnóstwo rzeczy do obgadania!

Tym razem to Hank stał się czujny.

– Nic się nie martw, cukiereczku, będziemy siedzieć ci na ogonie! – zapewniła Daisy, prowadząc mnie do drzwi.

Zaprowadziła mnie do swojego mercedesa, wszyscy rozeszli się do swoich aut. Gapiłam się przez szybę, patrząc na wszystko i na nic, a Daisy zapuściła silnik.

– Dlaczego jesteś taka przerażona, słodziutka? – zapytała, ale nie ruszyła z miejsca.

– Co za pytanie! Zabrano mi auto i nie mogę wrócić do domu. Nigdzie nie mogę się sama ruszyć, do tego banda ludzi zamierza ulokować mnie w domu faceta, którego poznałam tydzień temu. Dokładnie przed tygodniem.

– Wydaje się, że dłużej.

Też mi się tak wydawało.

– Spokojnie – rzekła. – Jedno wiem na pewno, życie to rodeo i czasem trzeba po prostu dać się ponieść!

Spojrzałam na nią.

– Muszę pomyśleć. Muszę coś zaplanować. Potrzebuję po prostu chwili dla siebie.

– Ale to właśnie wtedy wszystko się pieprzy, gdy masz za dużo czasu na myślenie. W trumnie sobie pomyślisz, całkiem sama, przez wieczność. A teraz ciesz się z towarzystwa przyjaciół i przystojniaka. Gdy będziesz mieć na karku osiemdziesiątkę, nie będziesz musiała pluć sobie w brodę za to, że odciąłeś się od ludzi i zostawiłaś za sobą wszystko to, co najlepsze, kapiszi?

Chciałam coś powiedzieć, ale nie dała mi dojść do słowa.

– Zaufaj mi, słodziutka, ja... – Umilkła i spojrzała jakby przeze mnie, w boczne okno.

Odwróciłam się i spojrzałam w twarz pochylonego mężczyzny, który stukał w okno lufą pistoletu.

To był jeden ze zbirów, którzy porwali Billy'ego.

– Wsiadka – rzucił krótko.

– Powiedz, że mam omamy... – szepnęłam.

– To nie omamy – skwitowała Daisy.

Wrzuciła wsteczny i szarpnęła kierownicą, nawracając. Koleś uskoczył, a kufer naszego auta prawie staranował samochód Eddiego.

Skręciłyśmy w Bayaud i dostrzegłam jeszcze, jak facet wskakuje do auta zaparkowanego nieopodal. Za kółkiem siedział drugi zbir, ten, który przykuł mnie do umywalki. Ruszyli za nami.

– Nienienienienie! Kurwa! – krzyknęłam.

Zauważyłam goniący nas samochód Eddiego.

– Znasz tych koleśki? – spytała Daisy.

– To oni porwali Billy'ego!

Mruknęła coś pod nosem i skręciła w Broadway na czerwonym. Samochody na skrzyżowaniu roztrąbiły się, gdy wcięłyśmy się do ruchu. Przytrzymałam się podsufitki i deski rozdzielczej. Gdy gnałyśmy ulicą, dostrzegłam, że zamachowcy i Eddie również przejechali na czerwonym, co gorsza

udało się to też subaru z rowerami na dachu. Za chwilę do pościgu dołączyła toyota Hanka.

Słyszałam klaksony i wrzaski, ludzie krzywili się w autach i wymachiwali rękami na piratów.

Facet z bronią wychylił się przez okno auta.

– Kurde, zaraz zacznie strzelać! – wrzasnęłam i po sekundzie usłyszałyśmy, jak pociski wbijają się w klapę bagażnika.

– Zastrzelili mnie! Zastrzelili mojego merolka! Pieprzone bydlaki! – piszczała Daisy, skręcając w wąską uliczkę zastawioną ciasno autami.

Ktoś zajechał nam drogę i Daisy oparła się o klakson.

– Z drogi, skurwielu! – wrzasnęła, opierając się o kierownicę, jakby była krótkowidzem.

W ostatniej chwili auto uskoczyło w wolną przestrzeń między zaparkowanymi samochodami i śmignęłyśmy obok niego. Pozostali wciąż siedzieli nam na ogonie.

– Jedź na posterunek! – poinstruowałam Daisy.

– Co? – zapytała, wciąż leżąc na klaksonie.

– Nie trąb jak wariatka, tylko jedź na posterunek!

Gdy umilkł klakson, dosłyszałam telefon w torebce.

– Kurwa! – wypaliłam.

– Pas zapnij, pieprzyć ten telefon! Pasy! – rozkazała Daisy.

Daisy skręciła w lewo, ignorując znak stopu, i za dwie przecznice znowu w lewo, już na zielonym, w dwupasmówkę. Telefon umilkł, a my lawirowałyśmy między samochodami, unikając linii strzału.

Ciągle się oglądałam. Eddie odpadł z kawalkady. Za zbirami jechał chrysler, za nim Hank w toyocie. Daisy wzięła ostro kolejny zakręt i znalazłyśmy się przed znaną mi już komendą.

Bandyci minęli nas, a chrysler zahamował z piskiem opon i wyskoczyła z niego Indy. Gdy Hank śmignął obok, chrysler ponownie dołączył do pościgu.

Nie mogłam na to wszystko patrzeć. Daisy zahamowała tak gwałtownie, że aż zarzuciło nam kufer. SUV Eddiego zatrzymał się, podobnie subaru. Z bocznego parkingu wystrzeliły na sygnale dwa radiowozy i dołączyły do pościgu.

Eddie podbiegł do naszego auta, gdy się z niego gramoliłyśmy, wciąż w szoku.

– Do budynku, szybko! – rozkazał, pewnie ten sam przykaz dostały dziewczyny.

Nie zwlekałyśmy. Daisy rzuciła kluczyki Eddiemu i pognałyśmy do środka, za moment dołączyli do nas Annette i Jason.

– Co to, kurwa, było?? – zapytał.

A więc nie tylko patrząc na obitą twarz przyjaciółki, tracił swój dobry humor.

Oświeciłam ich co do ścigających nas facetów.

– Ci dranie postrzelili mojego mercedesika! – szepnęła Daisy.

– Strasznie mi przykro... – odpowiedziałam, czując, jak jej strach i mnie dopada.

Nadszedł Eddie, rzucił kontrolne spojrzenie Jet, a potem mnie.

– Jesteś cała? – zapytał.

Potaknęłam.

– A Daisy?

Czułam, jak kiwa głową, wciąż przytulona do mnie.

– Zadzwoń do Marcusa – oznajmił Eddie.

Czułam, że coś się święci, widziałam to w ich twarzach.

– Znasz tych drani? – spytał Eddie.

Pokręciłam głową, ale powiedziałam, że to oni zabrali Billy'ego.

– Jak widać, nie ma go już z nimi – zauważył.

Gapiałam się na niego tępo.

– Kurwa – skwitował.

Nic więcej nie dało się powiedzieć w tej sytuacji.

Siedziałam na znanej mi już kanapie w biurze detektywa Markera. Daisy stała u boku przystojnego ciemnowłosego mężczyzny, jak się dowiedziałam, jej męża Marcusa. Wszyscy patrzyli na niego jakoś dziwnie, ale ignorował to. Indy rozmawiała nieopodal z ciemnoskórym policjantem w mundurze, obok stał Jason, wciąż z ponurą miną. Siedziałam między Jet i Annette; trzymały mnie za ręce. Eddie rozmawiał przez telefon, gdy ktoś, również wiszący na słuchawce trochę dalej, zawołał go. Eddie przysłonił mikrofon i spojrzał w kierunku głosu.

– Hank ich dorwał!

Eddie spojrzał na mnie, czułam, że brakuje mi powietrza.

– Dzięki bogom! – szepnęła Annette.

Jeszcze przed chwilą chciałam wyjechać z miasta, żeby chronić własną skórę. Teraz wiedziałam, że muszę odejść, by chronić przyjaciół.

Zdawało mi się, że minęła wieczność, zanim Hank i Ally, która była z nim w aucie, wkroczyli do budynku. Wszystkim wydało się naturalne, że nie wymiękła w kryzysowej sytuacji.

Z daleka widziałam, że Hank aż cały chodził, ścięgną napięły mu się jak postronki. Był wściekły. Wypatrzył mnie i podszedł natychmiast. Wstałam odruchowo. Stał tak blisko, że nasze ciała prawie się zetknęły.

– Nigdzie nie jedziesz! – oznajmił autorytarnym tonem.

I to by było na tyle.

Rozdział czternasty

Ta jedyna

Leżałam na łóżku Hanka, odziana w pudrową koszulkę nocną obszytą czarną koronką. Szlajanie się po sypialni „Faceta, W Którym Wcale Nie Byłam Zaświergolona” w takim stroju było dość ryzykowne, ale ostatnimi czasy wykonałam sporo ryzykownych ruchów.

Shamus drzemał obok mnie, drapałam go leniwie za uchem. Z głośników dolatywało *Born to Run* i właśnie skończyłam pisać list do przyjaciółki z Atlanty, w którym nie opisałam nic z ostatnich wydarzeń. O tym mogłam rozmawiać tylko przez telefon.

Odłożyłam papeterię i gapiąc się w sufit, zaczęłam zastanawiać się nad tym, jak to możliwe, że moje życie stało się takim szaleństwem. Chciałam zachować resztki zdrowego rozsądku, najwyraźniej. Czułam się, jakby lokaj w liberii wręczył mi na srebrnej tacy certyfikat oznajmujący:

„Roxanne Giselle Logan, Zjechałaś Sobie Życie”.

Popołudnie spędziłam na komendzie. Najpierw zebrano pojedynczo nasze zeznania. Daisy i ja zidentyfikowałyśmy zbirów z za weneckiego lustra. Zadrżałam, widząc Pana Umywalkowego z tak bliska. Na szczęście Hank był tuż obok, a jego silna, ciepła dłoń na mojej szyi dodawała mi otuchy. Potem przeszliśmy do gwarne go głównego pomieszczenia. Hank gdzieś zniknął, Vance wyglądał ponuro, a Mace na nieźle wkurzonego. Rozmawiali z Lee i zanim się rozeszli, Vance rzucił mi spojrzenie i szepnął:

– Nie martw się.

Cokolwiek miał na myśli, podchodził do sprawy poważnie. Zaczęliśmy się rozchodzić, ale Lee przytrzymał mnie za rękę.

– Zaczekaj tutaj na Hanka – rozkazał.

Spojrzałam na niego, na stojące obok dziewczyny i Eddiego.

– Muszę... – zaczęłam, ale przerwał mi, powtarzając nakaz. – Nie rozumiesz, wujek Tex...

– Nie chciałam się kłócić, szczególnie że jego ton nie znosił sprzeciwu.

– Pogadamy z nim – rzucił Eddie.

Poczułam czyjąś obecność za plecami. To był Malcolm, którego poznałam na przyjęciu przed tygodniem, ojciec Hanka i Lee, starsza wersja ich obu.

– To jak, Roxie, skoczymy po kawę? – zagaił.

O cholercia, cholercia!

Kawa z niedoszłym teściem w chwilę po pościgu? Może lepiej, żeby mnie postrzelili?

Skinęłam na pożegnanie przyjaciółom i wyszliśmy. Malcolm kupił mi kawę z automatu, choć była nią tylko z nazwy. Po przeżyciu kulinarnego orgazmu przy sączeniu latte w Fortnum byłam ostrożna z szafowaniem tą nazwą.

Wróciliśmy do głównego hallu, gdzie już trochę się przerzedziło.

– Powiem ci, co tu się kroi. – Ojciec Hanka usadził mnie na jednej z kanap.

Patrząc w jego jasne oczy, zrozumiałam dwie rzeczy: po pierwsze, zrobił świetną robotę, wychowując dwóch synów i córkę, a poszło mu tak dobrze, bo sam był dobrym człowiekiem. Po drugie: został wciągnięty w bagno mojego życia tak samo jak pozostali. To pierwsze mnie onieśmielało, a to drugie zawstydzalo.

– Chętnie się dowiem, co się kroi – odrzekłam, pokonując zmieszanie.

Spojrzał na mnie jak wymagający profesor, który właśnie postawił mi piątkę.

– Podejrzeni są teraz przesłuchiwanym – wyjaśnił. – Jimmy Marker i Danny Rose, kompetentni weterani, właśnie się tym zajmują. Hank, przez wzgląd na bliską relację z tobą, nie może brać w tym udziału.

Przytaknęłam, a on kontynuował:

– Hank stoi za lustrem weneckim. Po pierwsze musimy się dowiedzieć, czy Flynn jest jeszcze na wolności. Po drugie, musimy się dowiedzieć, dla kogo pracują i dlaczego cię ścigali.

Sama chciałabym to wiedzieć.

– Hank chce, byś była blisko, w miejscu, w którym na pewno jesteś bezpieczna. Chyba możesz tu zostać, dla niego?

Malcolm chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważne było to pytanie.

Przytaknęłam powoli, a on dotknął mojego uda, jakbym znowu zdała jakiś test.

– To jest sprawa rodzinna, Roxie, wielowymiarowa, i już ci wyjaśniam dlaczego. Nikt nie może porywać dziewczyny gliniarza z jego własnego domu. Nikt nie może mierzyć do niej z broni. Cały wydział się zaangażował, żeby dorwać tych drani i zapewnić ci bezpieczeństwo. Obiecuję, że ja i Lee również zrobimy, co w naszej mocy.

Usiłowałam nie czepiać się kurczowo myśli, że nazwał mnie dziewczyną swojego syna. Zdałam sobie sprawę z przestachem, że bardzo lubię tego człowieka nie tylko za to, że ukształtował Hankę, że uczynił z niego tak wspaniałego mężczyznę. Wspaniałego dla mnie. Nie chciałam, by źle o mnie myślał.

– Przepraszam za to wszystko – zaczęłam się usprawiedliwiać. – Pewnie myśli pan, że...

Poczułam jego dłoń na kolanie.

– Wybacz, kochanie, ale nie masz pojęcia, co myślę.

Zamknęłam się, onieśmielona, bo najwidoczniej miał zamiar perorować dalej. Może i zrobiłam na nim wrażenie, ale sam fakt, że do mnie strzelano, na pewno mnie dyskredytował. To nie była dobra cecha, jeśli chodziło o kobietę dla gliniarza. Czy mogłam stać się dla Hanka tym, kim Billy dla mnie? Malcolm podjął:

– Chcę tylko, by moi najbliżsi odnaleźli szczęście. Powiem dosadnie, że Hank się nie opierdala, jeśli czegoś naprawdę chce.

Machnęłam ręką na tę dosadność, bo to nie forma, a treść mnie przerażała.

– Oczywiście jest, że chce być z tobą, a on nie podejmuje pochopnych wyborów. Jest rzutki, ale umie trzymać emocje na wodzy i wie, czego pragnie. A skoro wybrał ciebie, to musisz być tego warta. I więcej nie muszę wiedzieć.

Dziwnie się poczułam, ale przyjemnie. Czy mogłam sobie na to pozwolić, właśnie teraz? Na pozytywne emocje?

– Przypomina mi pan mojego ojca. On też się nie patyczkuje – powiedziałam.

– No to chybabyśmy się polubili! – powiedział takim tonem, jakby już planował spotkanie.

To dopiero była wizja! Mama i tato nigdy nie poznali rodziców Billy'ego, ja też nie. Zamykał temat, ilekroć ich wspomniano, i nauczyłam się nie naciskać. Za to Malcolma na pewno by polubili! A Hanka? Uwielbialiby go! Matka powtarzałaby swoje „Słodki Jezu!” przez dobę, gdyby dowiedziała się, że poznałam takiego faceta.

– Dzięki, że mi pan mówi to wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie! – Uśmiechnął się i już wiedziałam, po kim Hank odziedziczył tak zniewalający sposób wyrażania zadowolenia.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, rozmawiając o trywialnostkach. Zeszliśmy na sport, powiedział, że jest fanem Metsów. Zgodziliśmy się, że nie ma to jak hot dog na trybunach stadionu Wrigley. Kolejny punkt dla mnie. Zamilkłam, gdy Hank wszedł do pomieszczenia.

Wziął mnie za rękę i pociągnął w górę, Malcolm również wstał.

– Za wiele nie mówią. Zadzwoń do wydziału w Chicago, żeby sprawdzili mieszkanie. Znaleźli ich odciski. To podobno jakaś grubsza sprawa. Czekamy na analizę odcisków z motelu w Nebrasce, ale wątpię, żeby dało się zebrać coś sensownego w tak zapyziałej norze. Mają kilka niewyraźnych odcisków z umywalki. Zeznania Roxie będą tutaj decydujące.

Nie przyszło mi do głowy, że ktoś będzie sprawdzał moje mieszkanie albo wróci do Nebraski po odciski.

– Nie bardzo rozumiem... – zaczęłam.

– Gdy tylko Vance cię przechwycił, Hank i Jimmy uruchomili śledztwo w trzech stanach – wyjaśnił Malcolm.

No niech mnie!

– Hank oficjalnie nie jest zaangażowany w śledztwo – dodał, jakbym miała zamiar nagłośnić ten fakt w ogólnokrajowych wiadomościach.

Hank ścisnął moją dłoń.

– Chodźmy już. – Skinął ojcu, najwyraźniej rozmowa była już skończona.

– Dokąd?

– Do domu – odparł, spoglądając na mnie.

W jakimś irracjonalnym odruchu cmoknęłam Malcolma w policzek. Spojrzenie mu złagodniało, najwidoczniej to również zadziało na moją korzyść.

Wróciłam do Hanka i wyszliśmy, trzymając się za ręce.

– Jak sobie radzisz? – zapytał, gdy już siedzieliśmy w aucie.

– Nie za dobrze – odparłam szczerze. – A ty?

– Jestem wkurzony – odrzekł.

– To widać – westchnęłam ciężko, odwracając głowę do okna i z trudem powstrzymując płacz.

– Roxie! – powiedział miłym głosem.

– Co?

– Przecież nie na ciebie jestem zły!

– Wiem.

Wierzyłam mu, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że sprawiam mu jedynie kłopoty.

– Polubiłam twojego tatę – spróbowałam zmienić temat.

– To dobrze – odparł i chyba po raz pierwszy tego popołudnia w jego głosie nie było wściekłości.

Zaparkował przed swoim domem, pośród aut, które już znałam. Nawet samochód Texa stał przy krawężniku.

Powitały nas zapach czosnku, łomot Led Zeppelin i podekscytowany labrador. Dom roił się od ludzi. Indy, Jet, Ally i Annette grały w karty przy stole. Mama Hanka i Nancy uwijały się w kuchni. Z sąsiedniego pokoju dolatywały odgłosy meczu w telewizji.

– No cześć, sunia! – powitała mnie Annette. – I ty, eee... koleżko! – rzuciła w stronę Hanka.

– Wszystko dobrze? – zapytała matka Hanka, unosząc drewnianą łyżkę pokrytą sosem pomidorowym.

Nancy precyzyjnie się do mnie i objęła zdrową ręką.

– Pewnie zgłodnieliście, co? – zapytała mnie na ucho.

– Niech cię diabli, dziewczyno, nie lubimy nudy, ale czy musisz nam tu odstawiać sceny z *Francuskiego łącznika*? – zahuczał wujek Tex, usiłując obrócić w żart nieciekawą sytuację.

Rzuciłam mu słaby uśmiech.

– Rozlokowałyśmy cię w gościnnym – oznajmiła Ally.

– Spakowałyśmy z Nancy twoje rzeczy zostawione u Texa i również je przywiozłyśmy. – Tym razem odezwała się Kitty Sue, mama Hanka.

Usiłowałam zaprotestować, bo najwidoczniej wszyscy brali udział w jakiejś konspiracji przeciwko mnie, ale Tex zauważył moje otwarte usta i wtrącił się:

– Bez gadania, Roxie. Hank chce cię mieć na oku, więc będzie miał.

No ładnie! Przeprowadziłam się do Hanka, nawet nie kiwnąwszy palcem! Po tygodniu!

Jet patrzyła na mnie z miną sugerującą, że zna ten ból. Wprowadziła się do Eddiego, gdy miała kłopoty i choć one już przeminęły, to nie zmieniła miejsca zamieszkania. Najwidoczniej jednak nie zamierzała stanąć po mojej stronie, podzielała zdanie pozostałych.

Wydałam z siebie bezradny zduszony jęk, patrząc na Texa.

– Czy mam w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia? – spytałam.

– Nie.

– No chyba raczej mam! – Czułam, jak oczy zwązają mi się w szparki.

– Będziesz mogła się wypowiedzieć, gdy przestaną do ciebie strzelać! – dorzucił Tex.

Jason, Lee i Eddie weszli z pokoju telewizyjnego akurat w chwili, gdy zaczynałam klócić się z wujkiem.

– O to właśnie chodzi! Strzelali do mnie, ale Daisy była tuż obok! Mogła stać się jej krzywda! Uszkodzili jej samochód! – trajkotałam. – Mam wrażenie, że wszyscy będą bezpieczniejsi, gdy się stąd wyniosę!

– Masz zaćmienie umysłu! – skwitował Tex. – To zrozumiałe.

Zagotowałam się.

– Nie mam żadnego zaćmienia! Jeśli komuś stanie się przeze mnie krzywda, to nigdy sobie tego nie wybaczę!

– Nic złego więcej się nie stanie. – Hank pojawił się tuż obok.

– Taki jesteś tego pewien? – spytałam, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

– Taki, jestem, kurwa, pewien! – rzucił, patrząc na mnie twardo.

Sposób, w jaki to powiedział, i jak przy tym na mnie spojrzał, sprawiły, że natychmiast mu uwierzyłam.

No, prawie.

– Hank, wyrażaj się! – rzuciła Kitty Sue w sposób, w jaki tylko matka może strofować syna.

Nieźle, biorąc pod uwagę, że ten syn był twardym gliną.

No i po rozmowie. Przegrałam. Nie pozostawili mi żadnego wyboru.

Zjedliśmy, pozmywaliśmy, pograliśmy w rebusy. Wujek Tex zabrał Nancy do domu. Wciągnęliśmy lody z bitą śmietaną i wisienkami, po czym znowu musieliśmy zmywać. Hank i Lee odprowadzili mamę do auta. Indy widziała, jak wrzucił mnie ten obrazek. Spojrzała na mnie ciepło, jak siostra. Potrzebowałam teraz takiej siostrzanej miłości bardziej niż cegokolwiek innego.

Panowie wrócili do domu, a nasze nieme porozumienie z Indy przyszło, ale byłam nim tak wzruszona, że przestałam się odzywać na resztę wieczoru.

Pograliśmy w państwa-miasta. Pozwoliliśmy dziewczynom poopowiadać historyjki z wycieczek do nawiedzonych domów, co wcale mnie nie bawiło. Brzmiały przerażająco i przeszła mi ochota na wyprawę do takiego miejsca. Hank widział, że tracę humor, i delikatnymi sugestiami zarządził koniec spotkania.

– Coś zamilkłaś – zauważył, gdy drzwi zamknęły się za ostatnimi gośćmi.

– No wiesz, dziś do mnie strzelano – odpowiedziałam, choć przecież wcale nie o to chodziło.

– Mnie nie oszukasz. – Podszedł do mnie.

Oczywiście nie byłam w stanie tego zrobić. Miałam wrażenie, że podłączył się jakimś niewidzialnym kablem do mojego umysłu w chwili, w której nasze oczy spotkały się po raz pierwszy. To było jednocześnie przerażające i ekscytujące. Mimo to poczułam się bezpiecznie.

– Nie martw się – zbyłam go. – Muszę zadzwonić do Daisy!

Puścił mnie, oznajmiwszy, że on również musi podzwonić.

Daisy była raczej w bojowym nastroju.

– Zadarli z niewłaściwą dziewczyną, zapamiętaj moje słowa! – odgrażała się.

Zapamiętałam, bo brzmiała poważnie. Może i Daisy wyglądała na słodką idiotkę, ale czułam, że w głębi duszy jest twardzielką.

W domu Hanka, poza salonem i pokojem telewizyjnym, znajdowały się trzy sypialnie. Główna z łazienką *en suite*, tuż obok kuchni, a na tyłach dwie nieużywane, oddzielone kolejną łazienką. Jeden z tych pokoi był rupieciarnio-siłownią zawaloną pudłami i walizami.

Annette i Jason przywieźli wszystko: ciuchy, buty, biżuterię, szkolne albumy pamiątkowe,

zdjęcia w ramach. Załadowali, co się dało, do pudeł i przywieźli do Denver. Najwidoczniej założyli, że spędzę tu trochę czasu.

Drugi pokój na tyłach był biurem Hanka. Kanapa, stolik telewizyjny, biurko i komputer. A w kącie torba załadowana kijami i piłkami do softballu. To tam się ukrył, gdy dzwoniłam do Daisy.

Przyszykowałam się do spania i ulokowałam w głównej sypialni. Włączyłam płytę Springsteena, którą znalazłam w szafce pod telewizorem. Katowałam się właśnie myśleniem o tym, jak bardzo schrzaniłam sobie życie, głaszcząc leniwie psa, gdy z głośników rozległo się *She's the One*.

Hank stanął w drzwiach i przez długą chwilę mi się przyglądał, aż poczułam się nieswojo.

– Co się stało? – spytałam.

– Długo czekałam, żeby w końcu spotkać dziewczynę z tej piosenki.

To dopiero była deklaracja, aż zeszywniałam, słysząc ją. Shamus podobnie, zamarł w oczekiwaniu na to, co zrobi Hank.

To nie był tekst z jakimś ukrytym znaczeniem, za to muzyka była powalająca i to ona opowiadała historię. Zaczynało się klasycznie, napięcie narastało aż do cudownego, natchnionego finału. Każda dziewczyna chciała być „tą jedyną”, prawda? W tym przypadku to mężczyzna opisywał kobietę, której pożądał, którą kochał: gorzką, słodką, uległą i wściekle seksowną. Niezależnie od tego, co o niej akurat myślał, chórki wciąż wyspiewywały, że to ta jedyna.

– Whisky... – szepnęłam, bo co innego mogłam rzec?

Zdjął T-shirt i rzucił go na podłogę, potem zgasił lampę i rozebrał się po ciemku.

Położył się obok, ale mnie nie dotknął. Czekałam, aż coś zrobi, ale nic takiego się nie stało. Shamus ponownie złożył głowę na moim brzuchu.

– O co chodzi z Marcusem, mężem Daisy? – zapytałam, próbując ukryć zmieszanie i rozczarowanie jego biernością.

– To zbir. Handluje bronią, prowadzi burdel, a w wolnych chwilach rozprowadza dragi.

Uniosłam się na łokciu, zastanawiając się, czy nie zaśmiać się po tak kiepskim żarcie.

– Żartujesz chyba? – spytałam z nadzieją.

– Chciałbym – rzekł, dusząc ją w zarodku.

A niech to. Świadomość, że moja nowa psiapsiółka była żoną bandyty, nie należała do przyjemnych. Dlaczego nie mogła znaleźć sobie kogoś takiego jak Hank?

– No i jak to niby działa, żona bandziora w policyjnym gniazdku?

– Pojawiła się niedawno, kręci się przy nas dopiero od kilku tygodni.

No co za nowina! Rewelacja na miarę tego, że jej mąż jest gangsterem.

– Myślałam, że znacie ją od dawna.

– Zajmowała się Jet, gdy ta miała problemy, a potem została w pobliżu. Marcus nie miesza się do naszych układów i jakoś to działa.

Oni wszyscy byli naprawdę popaprani...

– Dlaczego Eddie się na niego boczy?

– Eddie chce go wsadzić, a Marcus ciągle się wywija. I to faktycznie trwa od wieków. Nienawidzą się.

Kiepsko to brzmiało.

– To chyba nie ma szans na przetrwanie – zauważyłam. – Co będzie, gdy Eddie w końcu wsadzi Marcusa do pierdła?

– Daisy wie, z kim ma do czynienia. Póki co to nie jest ani twój problem, ani mój. Będziemy się martwić, gdy to faktycznie się stanie.

Podchodził do tego na pełnym luzie.

– To chyba nie jest takie proste – powiedziałam.

– Roxanne... – Odwrócił się w moją stronę, ale wciąż mnie nie dotknął. – Lubię Daisy, bo ciężko jej nie lubić. Ale dokonała wyboru. Jeśli straci oparcie w Marcusie i wyciągnie do nas rękę po pomoc, to na pewno jej bez niej nie zostawimy.

– Ty też pomożesz? – Potwierdzenie było mi potrzebne jak powietrze.

– Ja też.

Poczułam spokój, nie fizyczny, gdzieś w konkretnej części ciała. Poczułam spokój ducha.

Hank wstał, wyłączył płytę w połowie *Jungleland* i wrócił do łóżka, ale wciąż mnie nie dotknął.

– Whisky?

– Tak?

– Już nic.

Byłam onieśmielona. Chciałam, żeby mnie dotknął. Nigdy nie zrobiłam pierwszego kroku. Leżałam obok przez chwilę, ale postanowiłam zaryzykować.

Wtoczyłam się na niego. Przycisnęłam twarz do jego piersi, ucałowałam w obojczyk, oplótłam ramionami jego ciało. Shamus wyczuł, co się święci, zszedł z łóżka i wytoczył się z pokoju.

– Myślałem, że już się nie zdecydujesz... – mruknął i mogłabym przysiąc, że w jego głosie była ulga.

Nie odpowiadałam, bo moje usta były zajęte czymś innym.

Całowałam jego szyję, smakowałam skórę. Pozwolił mi przejąć inicjatywę, co nieźle mnie zdziwiło. Wędrowałam ustami coraz niżej, pieściłam go dłońmi, a on pozwalał mi na to wszystko, rozkoszując się moim dotykiem. Czułam jego dłonie na plecach, ale nie rozpędzał się. Ja dla odmiany rozkoszowałam się reakcjami jego ciała, niskimi pomrukami rozkoszy, tym, jak jego palce wbijały się w moje ciało.

Poszłam na całość, dotknęłam go, w chwilę później wzięłam głęboko do ust.

Czułam, że podoba mu się to, co robię, moje ciało również reagowało spontanicznie na jego podniecenie. Rozkręcałam się, próbując nowych sztuczek, aż po chwili poczułam, że nie wplata już palców w moje włosy, a wciąga mnie na siebie. Robiło się poważnie. Chciałam usiąść obok i zdjąć to, co miałam na sobie.

– Może się rozbio...

Nie dokończyłam, bo chwycił moje majtki i po prostu zdarł je ze mnie. Byłam wolna, mogłam go dosiąść.

– Whisky...! – szepnęłam, zszokowana jego gwałtownością.

Może faktycznie miał w sobie coś z jaskiniowca, ale był o wiele przystojniejszy i... Nie miałam czasu zastanawiać się nad głupotami, bo chwycił moje biodra, uniósł mnie i już był w środku, przejmując inicjatywę.

To było tak przyjemne, że zapomniałam, co planowałam mu zrobić. Zagryzałam wargi, czułam, jak pochyla się i przywiera do mnie, ale to ja chciałam sprawić mu przyjemność. Nadeszła moja kolej, by dawać rozkosz.

– Hank, pozwól mi... – szeptałam, całując go w szyję.

Poluzował dłonie na moich biodrach i przejęłam kontrolę nad rytmem, poruszając się niespiesznie. Zatrzymałam się, szepcząc mu do ucha:

– Chcę odzyskać samochód...

Perfekcyjny moment na wymuszenie obietnicy.

– Słoneczko...

– Obiecaj!

Już myślałam, że wygrałam, ale przewrócił mnie na łóżko i przejął kontrolę.

– Whisky! Ja miałam być na górze! – krzyknęłam, oplatając go ramionami, wyrzuciłam w górę biodra, dopasowując się.

– Nie pogrywaj ze mną w łóżku! – zagroził.

Usiłowałam dojrzeć go w ciemności.

– Ty cały czas to robisz!

– Bo jestem w tym niezły! – stwierdził, zaczynając się poruszać. Nie mogłam przestać, płynęłam razem z nim. – I robię to tylko w nieistotnych kwestiach.

Pieprzył bzdury, arogant jeden! Jeśli próba wymuszenia tego, bym została, nie była istotna, to nie wiem, co według niego było. Musiałam skupić się na bieżących sprawach.

– Muszę odzyskać samochód... – wydyszałam.

– Cicho...

– Muszę odzys...

Zamknął mi usta pocałunkiem. Nie byłam w stanie nic powiedzieć, a za moment już wcale nie chciałam.

Zbliżał się finał i on też to wyczuł, uniosł moje nogi i wbił się we mnie z impetem. Skończyliśmy jednocześnie, po czym przeturlał się na plecy, wciągając mnie na siebie. Leżałam bez ruchu, dochodząc do siebie, z twarzą wtuloną w jego szyję.

– To nie było fair.

– Uwiodłaś mnie tylko po to, żeby wymusić obietnicę zwrotu auta, którym byś związała. To dopiero jest nie fair.

– Hank...

– Przed chwilą inaczej mnie nazywałaś, gdy usiłowałaś coś na mnie wymusić, robiąc mi loda.

Chyba się wkurzył. Uniosłam się na łokciach.

– Gniewasz się? – spytałam, choć było to ewidentne.

– Jesteś jak ta dziewczyna z piosenki.

– Na pewno taka nie jestem! – zachnęłam się.

– Jesteś dokładnie taka!

– Nieprawda! – krzyknęłam.

– Nie chce mi się wierzyć, że w ogóle o tym gadamy! – Hank miał zmęczony głos.

Wydałam z siebie jakiś nieartykułowany jęk.

Sięgnął przeze mnie, zapalił lampę i pochylił się nade mną. Zanim powiedział cokolwiek, powtórzyłam:

– Chcę odzyskać auto.

– Nie odejdiesz.

– Nie. Po prostu chcę odzyskać mój samochód.

– Nie jest ci do niczego potrzebny. Dostaniesz kluczyki, gdy będę pewien, że niczego nie odstawisz. Na przykład ucieczki.

– Przecież mówię, że tego nie zrobię! – Skrzywiłam się.

– Przykro mi to stwierdzać, Słoneczko, ale ci nie ufam. Uważasz, że aligatory to słodziaki, i masz znajomych, którzy rzucają wszystko, żeby wieźć cały twój dobytek przez pół kraju. A że wydajesz się niemożliwie empatyczna, to wiem, że zechcesz prysnąć. Nie przez to, co przytrafiło się tobie, ale przez to, co przytrafiło się Daisy. Wskoczysz w furę i znikniesz.

Miał cholerną rację.

– Ale to moje auto!

– A ty jesteś moją kobietą i nie będziesz się szlajać samopas, gdy Flynn albo inny zbir gdzieś tam na ciebie dybie!

Zamarłam.

– Billy...?

Był zły na siebie za to, że powiedział zbyt dużo, w końcu rzucił tylko pod nosem „Kurwa!”.

Sparaliżował mnie strach.

– Hank, co się dzieje, powiedz.

– Roxanne, jesteś bezpieczna, już ci to mówiłem. Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

– Mów, co się dzieje! – Tym razem zabrzmiałam historycznie.

– Dowiedziałem się przed chwilą. Jeden z koleś zaczął sypać. Flynn im się wymknął.

O mój Boże! Przeszedł mnie spazm, a Hank objął mnie mocniej.

– Nikt cię nie skrzywdzi! – powtórzył.

– Hank, on wie, gdzie mieszkasz! Muszę stąd uciekać!

– Roxanne, posłuchaj mnie...

Wierciłam się, jakby to Hank miał mnie skrzywdzić, chciałam się uwolnić.

– Roxanne, do cholery!

Przestałam się rzucać dopiero, gdy przygniótł mnie swoim ciałem.

– Skrzywdził mnie! – szepnęłam w jego szyję.

– Wiem.

– Zrobi to znowu!

– Nie robi.

Czułam, że brakuje mi tchu, ale nie po przepychankach, a ze strachu.

– Boję się – przyznałam resztką sił.

Uspokoiliam się po kilku minutach. Hank znowu zgasił światło i leżeliśmy w ciemności, przytuleni. Mój umysł pustoszał ze zmęczenia. Mogłam pomyśleć o tym jutro... albo wcale. Bardziej podobała mi się ta druga opcja.

– Nie jestem twoją kobietą – powiedziałam, prawie drzemiąc.

– Jesteś.

Znowu jego musiało być na wierzchu.

– Odejdę z Billym i pozwolę się zabić, żeby nikogo więcej już nie skrzywdził – zadeklarowałam.

– Na pewno do tego nie dojdzie.

– I chcę moje auto – upierałam się.

– Jutro o tym pogadamy.

– Jutro będę w nawiedzonym domu.

Chyba kręcił głową z niedowierzaniem, mając mnie za kompletną idiotkę.

– Jesteś walnięta.

No tak, dokładnie tak myślał.

– Nieprawda.

Nie klócił się. Czułam, jak jego ciało się rozluźnia, aż w końcu zasnął.

– Nie chciałam manipulować tobą w łóżku. Przejęłam inicjatywę, bo cię pragnę – powiedziałam, choć już tego nie słyszał.

– Dobrze wiedzieć – wymruczał.

– Myślałam, że śpisz! – Uniosłam się na łokciu.

– Nie.

Cholera.

Ułożyłam się na poduszce.

– Naprawdę uważam, że jednak jesteś palantem! – oznajmiłam, choć było to wierutne kłamstwo.

– Bo nie spałem? – Teraz był rozbawiony, choć nadal śpiący.

– Bo... to też.

– Nie spałem też wtedy, gdy śpiewałaś *Because the Night*.

O kurde.

– Powiedz, że żartujesz!

– Nie.

Cholera, cholera, cholera!

Usiłowałam się odsunąć, ale przytulił mnie mocniej.

– Teraz to serio muszę zwiąć – powiedziałam.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie umiem śpiewać!

– Jak dla mnie było znośnie.

– To dlatego, że na mnie lecisz!

Ucałował mnie w szyję, po czym ułożył się wygodniej i dorzucił:

– Pewnie tak.

Rozdział piętnasty

Dzień z chłopakami

Obudził mnie dzwonek komórki Hanka. Zaklął pod nosem i sięgnął ponad mną do nocnego stolika.

– Ta...? – zapytał ochrypłym głosem.

Uchyliłam oczy, wciąż była noc.

– Gdzie? – wychrypiał Hank.

Brzmiał tak, jakby był zmęczony, a nie zdenerwowany, więc nie zanosilo się na to, aby za moment coś znowu miało się spektakularnie zawalić.

– Załatwię jedną sprawę w domu i przyjeżdżam. – A po chwili znów: – Ta.

Rozłączył się.

– Whisky...? – zagałam.

Słyszałam, że wybiera numer w komórce.

– Chwileczkę, słodziutka. Jack? Tu Hank. Muszę wyjść i potrzebuję tu kogoś, kto przypilnuje Roxie.

Uniosłam się, odgarniając włosy z twarzy, na co Shamus, leżący obok mnie, jęknął w proteście.

– Kurwa – mruknął Hank. – Dobra, przywiozę ją. Za dwadzieścia minut najpóźniej.

Sygnał zerwania połączenia.

– Co się dzieje? – zapytałam, usiłując dojrzeć zarys jego sylwetki w ciemności.

Oślepiło mnie światło, gdy włączył lampkę.

Shamus się ożywił, spodziewając się jakiegoś dodatkowego spaceru, wczesnego śniadanka, albo chociaż odrobiny niespodziewanych pieszczot.

– Zabójstwo połączone ze sprawą, którą prowadzę – wyjaśnił Hank. – Muszę jechać na miejsce zbrodni. Zabieram cię do biura Lee, tam będziesz mogła jeszcze trochę pospać. Później po ciebie wpadnę.

Nie bardzo mi się to uśmiechało. Miałam spać w jakimś biurze? W życiu.

– Mogę jechać do wujka – zaproponowałam.

Pokręcił tylko głową, wstając z zamiarem ubrania się.

– Nie wymyślaj, proszę. Muszę być pewien, że jesteś bezpieczna, a tylko chłopakom ufam w tej kwestii. Spakuj się, weź ciuchy na zmianę i co tam jeszcze potrzebujesz. Wychodzimy natychmiast.

Czy on mówił poważnie? W moim słowniku nie było takiego słowa jak „natychmiast”. Musiałam się odpowiednio przygotować, zanim ktokolwiek mógł mnie zobaczyć. Dwadzieścia minut, w tym dojazd? Musiałam zabrać coś do układania włosów, kosmetyki. W dwadzieścia minut to mogłam tylko zdecydować, w co się ubiorę.

– Jak to natychmiast? – zapytałam tępo.

Naciągnął białe bokserki, wrócił do łóżka i po prostu mnie z niego wypchnął, przy okazji kradnąc mi całusa.

– Tak to – rzucił.

Cholera.

Spakowałam się w hankową torbę na siłownię, którą teraz niósł, gdy wchodziliśmy po schodkach do biura. Prowadziłam na smyczy Shamusa, który aż trząsał się z ekscytacji, że zwiedza nowe miejsce. Ja trzęsałam się ze strachu. Najwyraźniej potrzebowałam ochrony dwadzieścia cztery na siedem.

Szłam zrezygowana, nie protestując, bo ostatnimi czasy już dość kłopotów sprawiłam. Nie zamierzałam stroić fochów, gdy Hank musiał iść do pracy. No i miał rację co do moich ochroniarzy. Może Tex był wielki i silny, ale to chłopcy z agencji byli przeszkoleni tak, że ochroniliby samego

papieża. Poza tym Hank ładnie poprosił.

Weszliśmy do ciemnego budynku, ale w głębi paliło się światło, w pomieszczeniu, w którym najprawdopodobniej przyjmowali interesantów. Szliśmy korytarzem, mijając kolejne zamknięte drzwi. Nagle jakieś drzwi się otworzyły i zwałisty facet, wielki jak ciężarówka, oznajmił:

– Przygotowaliśmy schron. – Po czym zniknął.

Też mi powitanie!

Hank zaprowadził mnie do pomieszczenia na końcu korytarza. Surowo umeblowane, przypominało hotelowy pokój: podwójne łóżko, fotel z podnóżkiem, telewizor i półka zastawiona książkami i płytami DVD. Drzwiczki w jednej ze ścian.

Puściłam smycz i pies zaczął obwąchiwać kąty.

Hank rzucił torbę na fotel.

– Połóż się spać. Wrócę, zanim się obudzisz.

– Spoko – odrzekłam, w końcu miał co robić, musiał ścigać przestępców i wymierzać sprawiedliwość. Moje marudzenie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Pożegnał mnie delikatnym pocałunkiem, patrząc na mnie z czułością, po czym wyszedł.

Zdjęłam kurtkę. Zdążyłam naciągnąć jeansy, ale na górze miałam wciąż piżamę. Rozebrałam się i wgramoliłam do łóżka. Shamus wskoczył na kołdrę, udeptał ją, robiąc kilka kółek i uwalnił się przy mnie, grzbietem opierając się o moje ciało.

Zasnęliśmy.

Shamus zerwał się z łóżka i zanim zorientowałam się, co się dzieje, był już przy drzwiach, w których stał jakiś obcy mężczyzna. Gapiłam się na niego półprzytomna, nie bardzo pamiętając, gdzie jestem. Po chwili sobie przypomniałam.

To musiał być kolejny z chłopaków Lee. Odziany w bojówki, obcisły T-shirt i wysokie buty, z trzydniowym, powalającym zarostem i świetnie utrzymanymi meksykańskimi wąsiskami wyglądał jak gorący harleyowiec z jakiegoś kalendarza.

– Cześć – rzuciłam asekurancko.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Trzeba wyprowadzić psa. Hank musiał zostać dłużej. Pośpij jeszcze.

Przytaknęłam, słysząc ten zwięzły komunikat.

Shamus wyszedł z pokoju, drzwi się za nimi zamknęły. Leżałam na łóżku, myśląc, że po takiej pobudce na pewno nie zasnę. Ale po chwili znowu odpłynęłam.

Po ponownym przebudzeniu znowu potrzebowałam chwili, żeby dojść do siebie.

Za drzwiami znalazłam łazienkę i wykonałam poranną toaletę, choć nie było łatwo, bo musiałam użyć mydła, które znalazłam na miejscu, a z produktów do pielęgnacji włosów zabrałam tylko wosk. Włożyłam zielone sztruksy, kaszmirowy kardigan, spięłam go szerokim zamszowym paskiem i wsunęłam stopy w mokasyny.

Spróbowałam wydostać się z pokoju, pójść po kawę, zjeść śniadanie, sprawdzić, co z Shamusem, ale drzwi były zamknięte. Szarpałam się z gałką, ale drzwi ani nie drgnęły. Poczułam narastającą panikę, gdy zdałam sobie sprawę, że zamknięto mnie od zewnątrz.

– Co jest, do cholery...? – szepnęłam.

Usłyszałam moje imię, dolatujące nie wiadomo skąd.

– Roxie.

Rozejrzałam się, szukając źródła dźwięku.

– Tu centrum dowodzenia. Trzymaj się. Właśnie kogoś zatrzymaliśmy.

– Co? – zapytałam bez sensu; czułam się głupio, gadając w przestrzeń.

– Zabezpieczmy go w pokoju przesłuchań. Musisz tu chwilę zostać. Jak tylko się z tym

uporamy, przyjdziemy po ciebie.

– Niech to... – wyszeptalam, panikując już na dobre.

– Czy to jest...

– To nie Flynn – przerwał mi głos.

Odetchnęłam i zdałam sobie sprawę z tego, że ktokolwiek do mnie mówi, zna całą sytuację.

W końcu moje gówniane położenie nie było jakąś tajemnicą państwową.

Usiadłam na oparciu fotela i usiłowałam dosłyszeć, co dzieje się na zewnątrz, ale żaden dźwięk nie docierał.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich ten sam harleyowiec, który wyprowadził Shamusa.

– Cześć. Ponownie – powitałam go.

Znowu uśmiechnął się półgębkiem.

– Głodna? – spytał.

Potaknęłam.

Bez słowa wskazał mi wyjście i ruszył za mną.

– Jestem Roxie – przedstawiłam się, gdy szliśmy obok siebie korytarzem.

– Wiem.

I po grzecznościach.

Spojrzał na mnie ciemnoniebieskimi oczami.

– A ty to...?

– Luke.

– Miło cię poznać, Luke.

Półuśmieszek.

Położył dłoń na klamce drzwi na końcu korytarza.

– Nasza recepcjonistka przyniesie ci posiłek, cokolwiek zechcesz.

Wyobraziłam sobie miłą starszą panią w średnim wieku, uśmiechającą się do mnie ciepło, ale gdy otworzył drzwi, to szczeka mi opadła na widok „recepcjonistki”. Moim oczom ukazała się super szczupła modelka prosto z wybiegu, potrząsająca grzywą blond loków, rasowa piękność z wysokimi kośćmi policzkowymi.

– Cześć, jestem Dawn – powiedziała niby przyjacielsko, ale po obrzuceniu mnie wzrokiem od stóp do głowy jej uśmiešek zmienił się na szyderczy.

Suka!

– A ja Roxie – rzuciłam zimno.

– No wiem przecież – dodała, jakby to był świetny dowcip.

– Śniadanie – wciął się Luke, bo przecież miał na pewno ważniejsze rzeczy do roboty niż bawienie się w jakieś introdukcje i wysłuchiwanie suchych uwag Dawn.

– Co by tu... – Jakoś głupio mi było tak po prostu wyrecytować, na co mam ochotę.

– Może kawa? – odpowiedział Luke.

– Tak, kawa... Karmelowe latte na chudym mleku?

Oboje spojrzeliśmy na Dawn, która zdawała się obrażona tym, że musi biec po moją kawusię.

– Jedzenie? – zapytał Luke.

– Nie wiem... może drożdżówka albo muffinka? Coś takiego. – Czułam się jak na jakimś teście.

Może powinnam była zamówić tylko owoce i niesłodzoną granolę, a potem zapytać, gdzie jest sala do jogi?

– Jasne? – zapytał Luke recepcjonistkę i to oznaczało koniec rozmowy.

Dawn chwyciła torebkę i oddaliła się sprężystym krokiem modelki na wybiegu, kręcąc biodrami opiętymi spódnicą szytej na miarę garsonki.

Suka!, pomyślałam znowu, patrząc za nią.

– Inna liga – rzucił Luke, gdy drzwi się za nią zamknęły.

– Słucham?
– Dawn poluje na facetów nawet podświadomie, ty raczej nie. Gracie w innych drużynach – wyjaśnił.
Nie bardzo wiedziałam, jak to rozumieć.
– Czy to dobrze, czy źle?
Wrócił jego zagadkowy uśmiezek.
– Wiesz, to faceci wolą być myśliwymi.
No niech mnie kule biją! Albo lepiej nie...
– Podobno cię postrzelili – zagadnęłam, niejako w temacie, usiłując nie myśleć o tym, jak mogłoby wyglądać polowanie w jego wykonaniu.
– Ta.
– Wykurowałeś się? – zapytałam głupio, bo przecież wyglądał na okaz zdrowia. I formy!
– Jeszcze żyję, jak widać.
Jakby nie było to jasne.
– Cieszę się – powiedziałam neutralnie i zanim zdążył zareagować, o ile w ogóle zamierzał, drzwi się otworzyły.
Weszli Lee i Marcus.
– Cholercia... – mruknęłam pod nosem.
Czułam, że Luke stoi za blisko, mogłam poczuć na plecach ciepło jego ciała.
– Roxie. – Lee cmoknął mnie w policzek.
No ładnie, to już była jakaś deklaracja.
– Cześć, Lee... – szepnęłam zmieszana.
Spojrzał na Luke'a, śmiejąc się pod nosem.
– Miałaś okazję poznać wczoraj Marcusa? – spytał, przenosząc wzrok na mnie.
Pokręciłam przecząco głową.
– To jest Roxanne Logan – przedstawił mnie Lee.
Zanim Marcus się przywitał, uściśnęłam wyciągniętą dłoń i powiedziałam:
– Bardzo mi przykro, że przeze mnie strzelano do Daisy. Bardzo ją lubię i jest dla mnie naprawdę miła. No i ma oryginalny styl! – Marcus milczał, więc trąkotałam jak ostatnia idiotka. Już chyba nikt nie wątpił, że nią jestem. – To straszne, te dziury po kulach w jej mercedesie. To nie jej wina. Świetnie sobie radziła za kółkiem, cały czas miała kontrolę, no może z wyjątkiem tej chwili, gdy tamten koleś wyjechał nam na czołówkę i... – Oesu, niech ktoś mi zamknie gębę! – Na pewno zwieje, jeśli jeszcze kiedykolwiek będą do niej strzelać!
Luke położył dłoń na mojej szyi. Podziałało. Zamknęłam się.
– Daisy opowiadała, przez co przeszłaś – rzekł Marcus.
Potaknęłam, a dłoń Luke'a jakby się zacisnęła.
Marcus świdrował mnie zimnym spojrzeniem.
– Twoje kłopoty się skończyły – rzekł i zaczęłam drżeć, bo to zabrzmiało jak wyrok.
– Przejdźmy do mojego biura – rzucił Lee.
Dopiero wtedy Marcus puścił moją dłoń, którą trzymał pewnie, jakby dla podkreślenia swoich słów.
Gdy odeszli, Luke mnie puścił.
– Co to znowu za szopka? – zapytałam.
– Ta szopka to Marcus – odpowiedział, jakby to cokolwiek wyjaśniało.
– Co?
– Wypunktuję ci – zaczął, ale nie byłam pewna, czy potrafi się wypowiadać pełnymi zdaniami. Myliłam się. – Są trzy sposoby na zażegnanie twoich kłopotów. Pierwszy: policja je wytropi i po kłopotcie. Drugi: my je wytropimy, przetrzymamy tutaj, damy nauczkę, oddamy policji i po kłopotcie. Trzeci: Marcus je wytropi i zabije. Moim typem jest dwójeczka.
Ale mnie zaniepokoił sposób trzeci.

- Zabije, czyli zamorduje na amen? – spytałam.
- Inaczej się nie da.
- A niech to.

Spojrzał na mnie.

- A co?

Luke chyba wiedział co. Marcus nie obwinał mnie o kłopoty Daisy, tylko Billy’ego i jego przydupasów. Widziałam, jak patrzył na Daisy. Kimkolwiek był: gangsterem, alfonsem, dealerem, to kochał ją. Ktokolwiek naraził jej życie, musiał za to zapłacić.

- Może powinnam z nim porozmawiać... – zasugerowałam.
- To mogłoby być nawet zabawne – rzekł z uśmiechem – ale zapomnij.
- Dlaczego? Może mogłabym go przeko...
- Roxie.
- Tak?
- Zamilcz.

Zasnurowałam usta. Może faktycznie powinnam nauczyć się trzymać buzię na kłódkę.

Objął mnie neutralnie w pasie i poprowadził do centrum dowodzenia, gdzie już czekał Shamus.

- Ale jazda! – wykrzyknęłam, gdy tylko weszliśmy.

Shamus dopadł mnie i musiałam wytargać go za uszy i delikatnie odepchnąć, żeby nie połamiał mi kolejnych żeber.

Jakiś blondyn ostrzyżony po żołniersku podszedł i wyciągnął do mnie rękę.

- Cześć, jestem Monty – przedstawił się i uściśnął moją dłoń zdecydowanie za mocno.

Był starszy niż większość pracowników agencji, ale równie wyżyłowany co młodzi.

– Co to za sprzęty? – zapytałam, rozglądając się po monitorach, przełącznikach, odtwarzaczach, kablach i migających diodkach. Wszystko to wyglądało jak wnętrze promu kosmicznego.

- To centrum nadzorcze. Mamy tu podgląd z kamer ochrony i inne takie – wyjaśnił oględnie.

Przyjrzałam się ekranom.

- Hej, to Fortnum! A tu ujęcie na tyły i...

Monitorowali całą okolicę. Było widać nawet wujka Texa walczącego z ekspresem, w innym ujęciu widać było, że rozmawia z Dukiem.

Monty przełączył coś i usłyszałam jego głos.

– Nie będę słuchał cholernego Hanka Williamsa, młody! Puść Johnny’ego Casha, a jak nie masz, to chociaż Cream!

Monty wyłączył dźwięk.

- O rety...! – wymamrotałam.

– Mamy podgląd na Fortnum non stop – poinformował mnie Monty.

- Ta, to najlepsza część obowiązków, podglądanie innych! – wtrącił się Luke.

No ładnie, nie było chwili w Fortnum, żebym się nie zbłąźniła!

Moi rozmówcy chyba sądzili podobnie, bo obaj uśmiechali się pod nosem.

- Siadaj. Możesz tu zjeść śniadanie – zachęcił Monty. – Pokażę ci, co tu robimy.

– A gdzie jest Hank? – zapytałam, siadając obok Monty’ego, i nagle zauważyłam z niepokojem, że jeden z monitorów ukazywał wnętrze pokoju, w którym spałam.

Shamus usiadł przy moich stopach.

- Hank się spóźni.

Nie słuchałam go, przerażona tym, że ktoś mnie podglądał.

- Czy ta kamera była włączona, gdy spałam...?

Monty przytaknął.

- Rozkaz Hanka. Stały nadzór. Jeśli nie jesteśmy z tobą, to mamy cię na ekranie.

– Ale... Przecież to pokój na końcu korytarza! – Zmroziło mnie na myśl o tym, że ktoś patrzył,

jak ślinię się przez sen.

– Ostrożności nigdy za wiele.

Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, było w tym trochę akcji.

Monty opowiedział mi, czym się tutaj zajmowali, i na moment zapomniałam o całym tym podglądactwie. W chwilę potem Dawn przyniosła mi śniadanie. Kawa była zimna, a zamiast karmelu dodano syrop orzechowy. Muffinka była jakąś tanioczą. Nie skomentowałam tego. Podśluchiwałam komunikaty z policyjnych krótkofalówek i Monty wyjaśniał mi znaczenie niektórych szyfrów, którymi się posługiwali.

Siorbałam kawę i spoglądałam na monitory przez jakieś pół godziny i szybko mi się to znudziło. Nie widziałam już w tym pomieszczeniu niczego fajnego. Jak oni mogli robić to codziennie? Straszne nudy!

Gdy zadzwonił telefon, wykrzyknęłam „Dzięki Bogu!” wdzięczna, że cokolwiek się wydarzyło. Mogli nawet dzwonić z pralni, żeby poinformować Monty’ego, że może odebrać koszule.

Panowie wymienili spojrzenia, ewidentnie naśmiewając się z mojej ekscytacji.

– Tak? – rzucił Monty do telefonu. – Jest tutaj. – Podał mi słuchawkę. – To Hank.

– Cześć! – Przyłożyłam ją do ucha i pochyliłam się, czując się niezręcznie podsłuchiwana.

– Jak sobie radzisz? – Poczułam przyjemny dreszcz na dźwięk jego głosu.

– Siedzimy z Montym i Lukiem w pokoju nadzorczym.

Cisza.

– Hank?

– Myślałem, że obejrzysz sobie jakiś film.

– Nie. Uczę się rozumieć policyjny bełkot z krótkofalówek.

Cisza.

– Dawn przyniosła mi muffinkę i kawę – poinformowałam go, bo nie miałam żadnych innych wieści.

– Pewnie zrobiła to z rozkoszą – rzucił sarkastycznie.

– W ogóle jej to nie ruszyło.

Na dźwięk jego śmiechu przeszedł mnie kolejny przyjemny dreszczyk.

– Nieprędko wrócę. Poradzisz sobie jakoś?

– Jasne – zapewniłam go.

– Wrócę, jak szybko się da – obiecał.

– Okej.

– Czy ja na pewno rozmawiam z Roxanne Logan? – zapytał po chwili.

– No... tak. Coś nie w porządku?

– Nic, kochanie. Do zobaczenia!

Rozłączył się.

Wręczyłam słuchawkę Monty’emu. Odłożył telefon i nacisnął jakiś guzik.

– Brody, wstąp no tu na chwilkę – rzekł i rozparł się w swoim biurowym fotelu.

– Kim jest Brody?

– Naszym informatykiem. Pokaże ci swoją robotę. Zmienisz na chwilę otoczenie.

Uśmiechnęłam się z ulgą.

Rozległo się pukanie i Luke otworzył.

Brody był rozczochranym nerdem w grubych pinglach i był całkowitym przeciwieństwem wyżyłowanego detektywa. Na jego czarnym T-shircie widniał napis „Kij ci w oko!”.

– O rany, to Roxie! Umierałem z ciekawości! – krzyknął na mój widok.

– Cześć! – rzuciłam zdziwiona.

– Jesteś tu, wiesz, tak jakby celebrytką. Gdy cię porwali, to była tu niezła rozpierducha!

Wszyscy zajęli się sprawą, telefony się urywały, aż Dawn się wkurzyła, że nikt nie zwraca na nią uwagi! Zhakowałam trylion komputerów! Zameldowanie, linie lotnicze, wyciągi z kart kredytowych. Nieźle zarobiłem na nadgodzinach! A gdy tylko pojawiła się informacja, że ktoś cię widział na stacji,

to wszyscy dostali istnego pierdolca! Gdy Vance dostał info, że widziano cię przykutą do kierownicy, Hank wywalił pięścią dziurę w ścianie, widziałem na własne oczy! Szaleństwo!

Czułam, że purpurowieję.

– Brody...! – rzucił Monty ostrzegawczo.

– No co? – Brody tak się podniecił, że nie widział w swojej paplaninie nic złego. – Aaa, racja, prawda. Sorry. Mam nadzieję, że już wszystko okej! – zmitygował się.

Niezbyt był zadowolony z tego, że zabawa się skończyła.

– Zabierz Roxie do siebie, pokaż jej, czym się zajmujesz, co? – zasugerował Monty.

– Ale tylko oficjalnie? – upewnił się informatyk.

Monty rzucił mu karcące spojrzenie. Machnęłam chłopakom na pożegnanie i wyszłam za Brodym.

Pokoik informatyków był podzielony na cztery kubiki, wszystkie pełne monitorów i innego sprzętu. Pod ścianami stały szafki z dokumentami.

– Tu pracuję. Sprawdzam billingi, historie kredytowe, takie tam. Robię też inne, bardziej interesujące rzeczy, ale nie mogę o nich nikomu opowiadać nawet dziewczynie Hanka.

Spojrzałam na jego biurko „udekorowane” pustymi puszkami po energetykach, papierkami po cukierkach, opakowaniami po chipsach i dziwacznymi kolekcjonerskimi figurkami.

– Hank naprawdę zrobił dziurę w ścianie...? – zapytałam cicho.

– No! Jeszcze tam jest, chcesz zobaczyć?

Przygryzłam wargę i potrząsnęłam głową.

Ja pierdolę. „Pan Superopanowany” łomotnął pięścią w ścianę z mojego powodu. Cholera.

– Strasznie się wkurzył – zaczął opowiadać Brody. – Twój wujek też, ale on tylko łąził i się wydierał. Sorry, że to powiem, ale to była niezła akcja! Bo wiesz, Dawn zastawiła sidła na Lee, ale skoro jest zajęty, przerzuciła się na Hanka, bo nie mogła nic ugrać z Vance'em, Mace'em czy Lukiem. Od zawsze ich podrywa, mówię ci. Flirciara, choć podobno ma chłopaka. Wpieniła się, gdy doszło do niej, że Hank ma dziewczynę i tak bardzo się o nią troszczy. Oglądało się to jak telenowelę! Dawn myśli, że jest zrobiona z płatków róż, ale tak naprawdę śmierdzi. A tak w ogóle to niezła jest ta robota, tylko szkoda, że nie mogę nikomu o tym poopowiadać. Tylko Dawn sieje ferment. Więc to była dobra wiadomość, że Hank ma dziewczynę. Mogliśmy utrzyć Dawn nosa. I wiesz, to nie było tak, że się ucieszyliśmy z twojego porwania!

No patrzcie go!

Od razu wiedziałam, że Dawn to suka.

Uśmiechnęłam się.

– Dzięki, że mówisz mi to wszystko.

Komputery stały puste, więc zapytałam:

– Mogę sprawdzić pocztę?

– Pewnie, zaraz cię zaloguję.

Odpisałam na kilka maili, wywaliłam spam i sprawdziłam stan stron internetowych, którymi zarządzałam.

Niedługo potem pojawiła się Dawn, niosąc pizzę i napoje, wpadali na zmianę Luke i Monty, żeby oderwać się na chwilę od monitoringu. Ten drugi opowiadał o żonie i dzieciach. Luke przeważnie milczał, ale Brody nawijał za dwóch. Dawn nie jadła z nami, może się obawiała, że ser natychmiast odłoży się w jej udach w postaci cellulitu, za to pojawiła się później, żeby zabrać karton i puszki.

Brody rzucił mi porozumiewawczy uśmiešek. Właśnie miałam się wylogować, gdy zajrzał mi przez ramię.

– Administrujesz strony?

– Bardziej projektuję – wyjaśniłam.

– Ekstra, pokaż jakąś!

Przysunął sobie krzesło i trochę razem poscrollowaliśmy. Potem załadował *Diablo* i trochę pograliśmy, szlajając się po ruinach i ponurych krainach, zbierając złoto i walcząc z potworami.

Świetnie się bawiłam. Połączyliśmy komputery i Brody przeturlał się do swojego kubika. Wybrałam postać zabójczyni, bo była najfajniej ubrana.

Napierdzielaliśmy się z całymi stadami trolli i orków, darliśmy się wniebogłosy, zagrzewając do walki, i tak upływały godziny.

– Brody, skop mu dupę!

– Nie stój tak, zabijają cię!

– Skończyły mi się eliksiry! Dawaj mi swoje eliksiry! – wrzeszczałam.

– Nie mam już! Zwiewaj, paniusiu! – piszczął Brody.

Straciłam życie, goła i wesoła pojawiłam się w obozie startowym.

– Zajebali mnie! Kurwa! Nie żyję! – darłam się, porzucając mysz i odsuwając się wściekła od biurka.

Brody zamilkł. W otwartych drzwiach stali Hank, Lee i Luke i zaśmiewali się z nas.

Cholera!

– No co? – zapytałam dumnym tonem.

– Dobrze się bawicie? – zapytał Hank, tłumiąc śmiech.

– Nie, bo właśnie mnie zabili! Muszę szukać całego swojego dobytku, a orki i trolle będą mnie napieprzać, bo nie mam porządnej zbroi. Ani hełmu, ani porządnego miecza. Do dupy!

Hank gapił się na mnie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– O grze! – wyjaśniłam. – Dobra, nieważne. – Odwróciłam się do Brody'ego. – Da się to zainstalować na laptopie? – spytałam.

– Pewnie, ale tylko jeśli masz dobrą kartę graficzną.

Spojrzałam na Hanka.

– Jedziemy do centrum handlowego po *Diablo*!

– Może jutro, co, Słoneczko? – Hank uniósł brwi.

– Nie jutro, teraz! – zażądałam.

– No ładnie! – Brody zrobił stroskaną minę. – Już to widywałem, zaraz będzie przesiadywać po nocach na łączach!

Odwróciłam się w jego stronę.

– Można grać online?

– Pora się zamknąć, Brody! – ostrzegł Lee.

Hank wkroczył do pokoju i wziął mnie za rękę.

– Chodź, wojownicza księżniczko. Jedziemy na kolację.

– Nie byłam żadną księżniczką, tylko zabójczynią! – poinformowałam go.

Jego uśmiech roztopił mi serce.

– Poza tym przed chwilą jedliśmy lunch.

– To było pięć godzin temu – oświecił mnie Luke.

– Bez jaj? – Opadła mi szczęka.

Luke uśmiechnął się, niezłe rozbawiony.

Miałam wrażenie, że minął kwadrans, a tymczasem gra pożarła mi pięć godzin życia.

– Chyba granie mi nie służy – rzuciłam w stronę Brody'ego.

– Jedni odpowiadają na zew, inni nie... – odrzekł ponuro.

Hank popchnął mnie w stronę drzwi ze śmiechem, mogłabym przysiąc, że śmiał się za moimi plecami.

– To nara! – usłyszałam jeszcze pożegnanie Brody'ego.

Rozdział szesnasty

Modlitwy

Hank poszedł po Shamusa, a ja się pakowałam. Wrzucałam do torby ostatnie drobiazgi, gdy nadbiegł pies.

– Cześć, mały! – Pochyliłam się, żeby pozwolić się oblizać i omerdać, najwidoczniej pięć godzin rozłąki to była dla tego czekoladowego koleżki cała wieczność. – Oj, biedaku, ciocia Roxie zostawiła cię z jakimiś zabijakami w nudnym pokoju?

Poczułam ciepło ciała, po czym Hank objął mnie od tyłu. Zanurzył twarz w moich włosach, a Shamus swoim zwyczajem uwalił się na moich stopach.

– Jak minął dzionek? – zapytał Hank.

Czułam jego oddech na szyi. Obróciłam się w jego ramionach, by spojrzeć mu w twarz. Shamus również się przemieścił.

– Przyjemnie – stwierdziłam zgodnie z prawdą.

– To dobrze. – Było słychać, że odczuł z tego powodu ulgę.

Wyglądał na zmęczonego, w końcu prawie nie spał tej nocy. Nikt mu nie przyniósł jedzenia, nawet zarozumiała suka. Nie spędził popołudnia, ganiając orków po wymyślanym świecie jako gustownie odziany zabójca. Był prawdziwym gliną, który badał prawdziwe miejsce zbrodni.

– A twój dzień? – zapytałam, choć przecież wiedziałam, co robił.

– Gówniany – odrzekł.

Tego się spodziewałam. Poczułam, jak moje ciało przylega do jego ciała, odruchowo. Objął mnie drugą ręką.

– Wizyta na miejscu zbrodni o trzeciej w nocy to żadna frajda – rzekłam łagodnie.

– Żadna. Nieważne, który raz się to robi.

Robił to wiele razy.

Dotknęłam jego twarzy, przejechałam palcem po dolnej wardze. Spojrzałam mu w oczy.

– Przykro mi – szepnęłam.

Coś zmieniło się w jego oczach, złagodniały, i to spojrzenie penetrowało jakieś zapomniane miejsca w głębi mego ciała. Czułam jego zarost pod palcami, gdy pochylił się, żeby mnie pocałować, głęboko, namiętnie. Gdy nasze usta się rozłączyły, przez moment trwaliśmy tak, przytuleni. Szepnęłam wprost do mojego ucha głosem ochryplym z emocji:

– Chciałbym wziąć cię tu i teraz, wślizgnąć się do środka i zapomnieć o tym gównianym dniu.

– Whisky... – Tylko to mogłam powiedzieć, taka deklaracja odbierała mowę.

Czy naprawdę uważał, że seks ze mną był lekiem na całe zło?

Poczułam, że usiłuje wepchnąć mi dłoń w spodnie; przycisnął mnie do siebie i mogłam bez trudu wyczuć, jak bardzo był gotowy, by spełnić tę deklarację. Chyba naprawdę byłam dla niego remedium. To była obezwładniająca myśl.

Na Hanku ciążyła wielka odpowiedzialność. Przy pasku nosił pistolet, zrywał się w środku nocy, żeby oglądać straszne rzeczy i mierzyć się z potwornymi ludźmi. Po takich atrakcjach wracał do pustego domu, no, prawie pustego, bo czekał na niego jedynie pies. Nie miał z kim porozmawiać, nie miał z kim podzielić się tym ciężarem. Nie miał jak zapomnieć.

To, że nikogo nie miał, wydawało się niedorzeczne. Taki facet mógł mieć każdą. Pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale ja sobie zdawałam. Cholera. Siedziałam już głęboko w jego życiu.

Zanim zabrnęłam znów w zastanawianie się, ile mu przysporzyłam dodatkowych kłopotów, poczułam, jak muska językiem moje ucho i obraca się tak, by położyć mnie na łóżku. Shamus odsunął się z drogi i ułożył pod drzwiami.

– Hank – szepnęłam, ale nie zareagował, zamiast tego zaczął rozpinać mój pasek.

Gdy upadł na podłogę, rozchylił mój sweter i przylgnął do moich prawie obnażonych piersi.

I nagle przypomniałam sobie o monitorze w pokoju nadzorczym.

- Hank, tu są kamery!
- Mam to gdzieś – odparł.
- No bez jaj! Czy on mówił serio?
- I mikrofony zdaje się też.
- Nie obchodzi mnie to.

On naprawdę się tym nie przejmował!

Oparłam się o łóżko i poleciałam w tył, a Hank rozchylił mi nogi kolanem. Przetoczyliśmy się po łóżku, po chwili był już na mnie, nie przestając obsypywać pocałunkami mojej szyi. Jego dłoń powędrowała w dół do mojego krocza. Było mi coraz przyjemniej, ale przecież...

- Nie chcę, żeby nas podglądali! – powiedziałam.
- Nie będą, wyłączą kamery – odpowiedział.

Łudził się? Spędziłam trochę czasu w tym pokoju i byłam pewna, że nie przepuściliby takiej okazji.

Uniósł się i rzekł swoim najbardziej autorytarnym tonem:

- Wyłączcie kamery! – Po czym wrócił do pieszczenia mojej szyi, pewien, że to wystarczy.

Nie byłam taka pewna.

- Nie wyłączą – oświeciłam go.

Poczułam jego język na szyi.

- Wyłączą.

- Nie, musisz tam iść i tego dopilnować!

Spojrzał na mnie tak, jakbym zażyczyła sobie co najmniej rosyjskiego kawioru.

- Serio?

- Ta – odrzekłam.

Docisnął mnie do siebie, żebym poczuła, jak bardzo jest gotowy na wszystko, tylko nie na jakieś spacery.

- Słoneczko, to nie jest stan, w którym mam ochotę gdziekolwiek łązić.

No racja.

Trzeba było pójść na kompromis.

– Dobra, ale jeśli faktycznie się beczelnie gapią, to nie będziemy się rozbierać. I będziesz na górze, żeby nie było mnie widać.

Przez moment patrzył na mnie, po czym znów schował twarz w moich włosach i zatrzęsł się od śmiechu. Pocałował mnie znowu, wciąż rozbawiony.

Hank całował na dwa sposoby: albo lekko i delikatnie, albo tak, że prawie traciłam przytomność.

Ale teraz było w pieszczocie jego ust coś zupełnie nieznanego. To było całowanie dla samej przyjemności tej intymnej pieszczoty. Dłonie Hanka wędrowały po moich pośladkach i plecach, nie spieszył się, bo to donikąd nie prowadziło. Chodziło o bliskość, wzajemne rozkoszowanie się sobą.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy przerwał, w ten swój słodki sposób potarł mój nos swoim.

- Chodźmy coś zjeść – rzucił.

Spojrzałam na niego, nie bardzo rozumiejąc.

- Już po akcji? – spytałam.

– Tak. Doceniam twoją chęć poświęcenia, ale jeśli nie czujesz się swobodnie, to nie zamierzam cię przymuszać.

Przytuliłam się, wdzięczna, że nie będę musiała robić tego przy świadkach. Dobry był z niego facet, za dobry.

- Dzięki – szepnęłam.

Ucałował mnie w czubek głowy.

- Wymażę te niemiłe chwile, gdy wrócę z nawiedzzonego domu – obiecałam.

Uniósł moją głowę za podbródek i spojrzał na mnie tym swoim czułym, ciepłym wzrokiem, aż

poczułam motyle w brzuchu.

– Zapamiętam tę obietnicę.

I dobrze, chciałam, żeby zapamiętał.

Odstawiliśmy Shamusa do domu i pojechaliśmy do restauracji Reiver's przy ulicy Gaylord, całkiem niedaleko. Usiedliśmy przy barze, Hank zamówił jakieś pyszności i gdy stanęły przed nami kufle piwa, zadzwonił mój telefon. Przyłożyłam go do ucha i usłyszałam Annette:

– Cze, sunia! Strzelali do ciebie dzisiaj?

Spojrzałam znacząco na Hankę, a on tylko nieznacznie się uśmiechnął.

– Jeszcze nie, ale wszystko przede mną.

– Piękna, ale Jason i ja to się zakochaliśmy! – zaświergotała ni stąd, ni zowąd.

– No to już wiem. – Również się uśmiechnęłam.

– Nie no, zakochaliśmy się w Kolorado! Cały dzień jeździmy rowerami po górach. To jest niesamowite!

– Cieszę się, że dobrze się bawicie.

– Bawicie? To żadna zabawa, to jest ekstaza! Te szlaki są przezajebiste. Wypasione! Sunia, otwieram filię w Denver, nazwę ją Electric Boogaloo. Naprzeciwko Fortnum jest lokal na wynajem. Nie żartuję. Jutro podzwonię w tej sprawie.

A niech mnie!

To chyba nie był dobry pomysł, byłam pewna, że raczej kiepski. Po kiego Annette przeprowadzała się do Denver?

Ja też się miotalam, bo nie mogłam wyjechać, a nie chciałam zostać.

Bez jakiejś katastrofy upłynął mi dopiero jeden dzień. Trochę odpoczęłam, pomyślałam, posprzątałam skrzynkę mailową, nawet przez chwilę popracowałam i odzyskałam choć częściowo kontrolę nad własnym życiem. No i ostateczne decyzje były wciąż przede mną.

Szala przechylała się na korzyść Denver: Lee w końcu mnie polubił, Kitty Sue gotowała dla nas, Indy przyjęła mnie do Kręgu Wiedźm, nawet ojciec Hanki był przyjazny. Ale ja ciągle miałam wątpliwości.

Nie chciałam uwierzyć w to, że ta sielanka z Hankiem miała szansę na przetrwanie. To było pewne tak samo jak fakt, że Gap zaniża rozmiarówkę. Byłam wybrakowana i tylko kwestią czasu było to, by Hank zorientował się, że stać go na więcej. Wolałam być już bardzo daleko, gdy to do niego dotrze. Mój nowy plan był prosty: jechać na fali, jak długo się dało, nie sprawiać już nikomu żadnych problemów, a potem zwiewać.

Hank zawładnął moim sercem i nie miałam w tej kwestii za wiele do powiedzenia, jednak nie zamierzałam pozwolić mu na zagoszczenie w nim na dobre. Nie zamierzałam czekać, aż jego gorące spojrzenia obrócą się w lód.

Po drugiej stronie telefonu wciąż czekała moja rozmówczyni.

– Annette – zaczęłam.

– Nawet nie próbuj. Jason i ja już to ustaliliśmy. No i towarzyscho jest świetne!

– To nie moje towarzyscho, tylko Hanka – zauważyłam, zerkając na niego.

– Teraz już są wspólni – trąkotała Annette, a Hank patrzył na mnie jakby zakłopotany.

– Dobra, zjeżdżamy z góry, wykapiemy się i coś zjemy. Widzimy się u Ally o wpół do dziewiątej. Nara!

Rozłączyła się.

– Annette chce się przenieść do Denver – poinformowałam Hankę.

– To fajnie – rzekł, kładąc dłoń na moim kolanie.

Chyba musiałam mieć nietęgą minę, bo mruknął tylko „Cholera...”.

– Co? – spytałam.

– Nie podoba mi się ta mina.

– Jak znowu mina?

Przesunął dłoń na moje udo, potem na biodro.

– Wróć. Cofnijmy się do Roxie sprzed kwadransa. Do tej, która się nie kłóci i robi, co się jej każe. Taka mi się podobała.

Też mi coś!

– To nie była prawdziwa Roxie! Prawdziwa Roxie strzela fochy, jest krnąbrna i ogólnie rzecz biorąc, jest wrzodem na tyłku. Ta, która tu siedzi, jest Srającą o Własne Życie Roxie. Jeśli nie podoba ci się ta prawdziwa, to oddawaj auto i spadam do Chicago! – wyrecytowałam.

Nie zezłościł się.

– Prawdziwą Roxie też lubię – rzekł.

Spojrzałam na niego przez szczelinki w powiekach.

– Po prostu zasmakowałam w tej słodziutkiej.

Uniósł moją dłoń i przyłożył mój palec do ust, przypominając mi o elektryzującej chwili w bezpiecznym pokoju. Musnął mój palec językiem.

Na Boga, zapomniałam o fochu, gdy patrzyłam na jego usta.

– Dip z czarnej fasoli! – zaanonsował kelner, najwyraźniej nieświadomy naszej gierki wstępnej. Wszystko popsuł, stawiając chipsy kukurydziane i dip pomiędzy naszymi szklankami.

Rzuciłam okiem w stronę pobliskiego stolika, zza którego trzy kobiety otwarcie się na nas gapiły. Czy może raczej na Hanka. Wszystkie trzy promieniały jawną ekscytacją jego widokiem.

Wyrwałam rękę i sięgnęłam po chipsy, a Hank zaśmiał się pod nosem. Pociągnął łyk piwa, patrząc, jak usiłuję okiełznać nerwy.

Cholerny Hank!

Znowu zadzwoniła moja komórka.

Tym razem była to Ally.

– No cześć, dziewczyno! Gdzie jesteś?

– W Reiver's z Hankiem – odpowiedziałam.

– No to super, bo my też lecimy właśnie coś zjeść. A Annette i Jason?

– Na pewno chętnie skoczą z wami. – Podyktowałam jej numer Annette.

– No i super. Zadzwonię niedługo – podsumowała. – Aha, i powiedz Hankowi, żeby o nic się nie martwił. Wiem, że dziś ma nocną zmianę, ale będzie z nami Carl i Jason. Daisy też bierze ochroniarza. Będziemy obstawione giwerami!

Zamarłam.

– Giwerami...? – spytałam niepewnie.

– No ba! – wykrzyknęła, jakby giwera była takim samym elementem stroju jak torebka czy pasek.

– A co to za ochroniarz? – drążyłam.

Zaśmiała się.

– Mówię tylko, że będziemy cię pilnować. Do zobaczenia o wpół do dziewiątej. Ubierz się na cebulkę i załóż tenisówki, bo trzeba będzie trochę pobiegać. Nara!

– Pobiegać?? – zapytałam ciszę po drugiej stronie.

Hank patrzył, jak chowam telefon do torebki.

Zamoczyłam chips w paście z czarnej fasoli i włożyłam go do ust. To był istny smakorgazm!

– Ależ to pyszne! – Przełknęłam i sięgnęłam po jeszcze.

Hank chwycił mnie za nadgarstek, gdy prowadziłam rękę do buzi, zamarłam z otwartymi ustami.

– Giwery i ochroniarze? – zapytał.

Przekazałam mu informacje od Ally.

Oparł się na krzesło i przyłożył dłoń do czoła.

– Chryste... – mruknął.

Jadłam chipsy, ignorując jego rozterki.

– Podejrzewam, że nie przedzierzgniesz się na dzisiejszy wieczór w Słodką Roxie i nie udasz ze mną na posterunek, żeby się po nim powłóczyć, gdy ja będę pracował?

No frajda niemal taka sama jak gapienie się w monitory, na których nic się nie dzieje. Wprawdzie nawiedzony dom średnio do mnie przemawiał, ale na pewno było to lepsze niż oglądanie własnych rosnących paznokci w oczekiwaniu na niego, więc pokręciłam przecząco głową.

– Cholera – rzekł, no bo cóż innego mógł powiedzieć?

– Wracajmy do ciebie, bo muszę się przebrać. I jeszcze zadzwonić do Vance’a.

– Po co do Vance’a?

– Kupił mi ciuchy i buty. To jedyne sportowe szmatki, jakie mam, i właśnie dziś mi się znowu przydadzą. Muszę oddać mu kasę.

– Ja mu oddam – rzucił Hank szybko.

– Nie ma potrzeby, sama mu oddam. – Znowu sięgnęłam po chipsy. – Masz jego numer?

– Wyciągnęłam rękę po komórkę Hanka.

– Nie będziesz do niego dzwonić. – Hank również zabrał się za jedzenie.

– A niby dlaczego?

– Dlatego.

Chyba trochę się wkurzyłam.

– Dlaczego, pytam?

– Bo Vance to śliski typek i chce się wślizgnąć za blisko ciebie.

– No nie wydaje mi się.

– To szczerą prawdą. – Teraz Hank się trochę wkurzył.

– Wymyślasz.

– Na miłość boską, Roxie!

– Nie mieszaj w to Boga, Hanku Nightingale! Vance nie ma na mnie chrapki!

– To co wyrabiałaś w Lincoln’s?

– W Lincoln’s? – Nie bardzo pamiętałam, co się wyrabiało w Lincoln’s.

– Pozwoliłaś, żeby wziął cię za rękę.

Oj.

No tak.

– To była chwila słabości.

Spojrzenie Hanka zlodowaciało, co było zarówno straszne, jak i fascynujące.

– A gdy potem dotknął twojej twarzy?

No tak, jeszcze tamto...

– To była druga chwilka słabości.

Chyba żarty się skończyły. Hank zsunął się ze stołka i skinąwszy głową na barmana, polecił mu pilnować naszych rzeczy leżących na barze, mojej torebki i jedzenia.

Barman potaknął, dostrzegając odznakę i broń przy pasku Hanka, a on tymczasem chwycił mnie za rękę i ściągnął ze stołka. Usiłowałam się wyrwać, ale pociągnął mnie na zewnątrz i przez ulicę aż do rogu, do miejsca, gdzie nikt nas nie widział. Przyparł mnie do ściany i widziałam, że był naprawdę wpieniony. Gdybym była mądra, to nie odezwałabym się, ale ostatnimi czasy udowodniłam sobie już nie raz, że jestem kompletną idiotką.

– Nie wierzę, że wywlokłeś mnie z lokalu! – syknęłam.

Przyparł mnie mocniej.

– Powiedziałem ci, że jesteś moją kobietą i że będę cię chronił i dbał o ciebie, pamiętasz?

– zapytał.

– Tak. – To wciąż był syk.

– To teraz powiem ci, co możesz robić, a czego ci nie wolno. A nie wolno ci rozmawiać z Vance’em i tym bardziej się z nim widywać, jasne?

Święta Mario, Matko Boża!

Teraz to już się na serio wkurwiłam!

- Udam, że tego nie słyszałam!
- Słyszałaś, kurwa, aż nazbyt wyraźnie!
- Nie będę słuchać takich głupot! – krzyknęłam.

Oparł się ręką o mur, górował nade mną i chyba stanął jeszcze bliżej, o ile to w ogóle było możliwe.

- Vance jest dla mnie ważny – wypaliłam.
- Ale przecież nie tak miało to zabrzmieć.
- Nie znasz go.
- Ciebie też nie znam! – odpowiedziałam gniewnie.

Kolejne niewłaściwe zdanie.

- Włożyłem w ciebie fiuta! Znasz mnie bardziej dogłębnie niż Vance’a!

Co za żenada. Spróbowałam go odepchnąć, ale na niewiele się to zdało.

- Nie bądź wulgarny – rzuciłam.

– Roxanne...

– Odkuł mnie od cholernego zlewu! Zabrał do szpitala. Kupił mi ubrania, bo nie mogłam patrzeć na szmaty, które miałam na sobie. Zabrał mnie do miejsca, w którym mogłam się wykapać po trzech dniach w syfie!

– Roxan...

– Nie, Hank!

– Roxanne, przestań!

– Nie!

Chwyił mnie za brodę i pochylił się, przysłaniając świat.

- To ja chciałem cię odkuć od tego pierdolonego zlewu! – wychrypiął groźnym, niskim głosem.

Poczułam w brzuchu coś na kształt strachu, ale tym razem już się nie odezwałam.

– Nie masz pojęcia, jaka to była męka czekać na Vance’a i wysłuchiwać jego raportów, a każdy był gorszy od poprzedniego! Słuchać opowieści o tym, jak to zakrwawiona wybiegłaś z łazienki na jakiejś zapomnianej stacji benzynowej. O tym, że ktoś widział cię przykutą do kierownicy. Jedzącą chipsy związanymi rękami! Boże!

Ostatnie słowo było jak wybuch petardy. Skuliłam się, jakby fizycznie mnie ukłuło.

Odsunął się i zabrał rękę, ale chwyciłam ją.

– Hank, posłuchaj...

Widziałam, że usiłuje się opanować. Na dźwięk swojego imienia spojrzął na mnie, ale w jego oczach wciąż był gniew.

– W chwilę po ocaleniu poprosiłam go, by odwiózł mnie do Chicago.

Ogień w jego oczach.

Pokręciłam głową, musiałam dokończyć:

– Nie zrobił tego. Odmówił i powiedział, że z szacunku do ciebie nie może tego zrobić. Że wysłałeś go na misję. Bał się twojej reakcji, gdyby wrócił sam. Gdyby mnie tobie nie oddał.

Zacisnął szczęki. Nie odrywał ode mnie swoich pięknych bursztynowych oczu.

Łzy, znowu.

– Cieszę się, że to nie ty mnie znalazłeś – szepnęłam. – Nie przeżyłabym, gdybyś zobaczył mnie w takim stanie, w takiej sytuacji.

Objął mnie, najwyraźniej gniew gdzieś uleciał. Odwzajemniłam uścisk. Dotarło do mnie z pełną mocą, że koszmar z Billym będzie wisiał nad nami już na zawsze. Zamknęłam oczy, czułam, że oddech mi się rwie, gdy złożyłam głowę na ramieniu Hanka i modliłam się w duchu o to, by odzyskać spokój, by móc odejść w spokoju i pozbierać skorupy mojego życia.

Modliłam się również o to, by Hank znalazł sobie kogoś godniejszego, mądrzejszego i lepszego. Kogoś, do kogo mógłby wracać i opowiadać o dniu w pracy. Kto by go rozbawił. Kto pokochałby Shamusa. Kogoś, kto porozstawiałby świece zapachowe w jego domu, kto potrafiłby zaopatrzyć lodówkę we wszystkie składniki na francuskie tosty, takie prawdziwe, z serem.

Nie kogoś, do kogo się strzela.
Nie kogoś, kogo się porywa.
Nie kogoś, przez kogo rozwała się ściany.
Nie kogoś, kto przez lata sypiał z bandziorem.
Kogoś lepszego ode mnie.

Uśmiechnęłam się, nie pozwalając mu odczytać moich myśli, nie pozwalając mu usłyszeć moich modlitw.

– To co z tym telefonem do Vance’a? – spytałam.

– Ja mu oddam kasę.

Westchnęłam.

– Jesteś uparciuchem – skwitowałam, dając za wygraną.

Jakiś cień uśmiechu przemknął przez jego twarz, gdy oparł swoje czoło o moje.

– Słoneczko?

– Hm?

– Nie wiem, o czym przed chwilą myślałaś...

Niech to, chyba nie potrafiłam jednak ukryć przed nim nawet myśli. Wstrzymałam oddech.

– Przestań, do cholery, myśleć o tych pierdołach!

– Hank...

– Obiecuj mi!

– Hank!

– Roxanne. – Znowu ten ton nieznoszący sprzeciwu.

– Będziesz mi mówić nawet, co mam myśleć? – Podparłam się pod boki.

Pokręcił głową.

– Ale przecież powiedziałaś, że...

– Dobra, myśl sobie, co chcesz!

– No wielkie dzięki! – naburmuszyłam się.

Uśmiech, w końcu! Jego usta musnęły moje.

– Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. Jeśli jeszcze raz będziesz rozmyślać o głupotach, to będę zmuszony skutecznie odwrócić od nich twoją uwagę!

– Niby jak?

Odpowiedział, całując mnie namiętnie.

No tak, to był najskuteczniejszy sposób, by powstrzymać mnie od myślenia.

Rozdział siedemnasty

Pole strachu

U Hanka zmieniałam buty i mój kardigan na jego bluzę z logo Uniwersytetu Kolorado, którą znalazłam w jednej z szuflad.

– Konfiskuję ją – oznajmiłam, wkraczając do kuchni.

Uniósł wzrok: właśnie zapisywał coś w notesie, opierając się o bar śniadaniowy. Zlustrował bluzę, która na mnie wyglądała nieomal jak sukienka.

– Chodź no tu do mnie... – szepnął, a jego spojrzenie złagodniało.

– Nie ma czasu, spóźnię się!

– Chodź tu do mnie – powtórzył.

– Nie, mówię, masz przecież pracę!

– Chodź tu w tej chwili, bo jak nie, to...

Wiedziałam aż za dobrze, do czego to zmierza.

– No dobrze... – poddałam się.

Poddałam się jego ustom, a potem było już tylko goręcej.

No i oczywiście spóźniliśmy się do Ally.

Byli już wszyscy za wyjątkiem Daisy.

– No cześć, sunia! – zawołała Annette. – I ty tam, kolo!

Hank rzucił jej uśmiezek. Najwyraźniej ją rozbroił, bo zerknęła na mnie z uznaniem, mówiąc bezgłośnie: „Nieźle!”.

Przewróciłam oczami.

– Fajna bluza – zauważyła Ally, po czym przedstawiła mnie swojemu chłopakowi, Carlowi. Jasnowłosa, niebieskooki przystojniak rzucił Hankowi porozumiewawcze spojrzenie. Poczułam się dziwnie, ale przyjemnie.

– Musimy pogadać – zagadnął go Hank.

– No ja myślę – odrzekł Carl.

Hank objął mnie i pocałował, zanim się oddalił.

– Baw się dobrze – szepnął w moje usta.

Wyszli głównymi drzwiami.

– Co to za machlojki? – spytałam, patrząc na drzwi intensywnie, jakbym mogła przeświecić je wzrokiem.

– Pewnie Hank wykłada Carlowi z anatomiczną precyzją, jak to go wykastuje, jeśli przytrafi ci się jakakolwiek krzywda.

– O rety... – mruknęłam.

– Nie martw się, będziemy cię pilnować – obiecała Indy.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Daisy. Daisy zrobiła wejście. Była ubrana w kombinezon ze spranego jeansu. Nogawki zdobiły lampasy z cyrkonii, a przedni zamek był rozpięty tak, że piersi prawie jej wyskakiwały. Klejnociki połyskiwały na wszystkich szwach. Obrazka dopełniały wysokie buty w kolorze indygo, również nabijane cyrkoniami. Platynowe loki natapirowała tak, że tworzyły chmurę wokół jej głowy, podkreślone różowym, szyfonowym szaliczkiem.

– No cześć, sunia! – rzuciła Annette, jakby nie zauważyła tego outfitu à la Las Vegas.

– No cześć, cukiereczku! – odpowiedziała Daisy.

– Miałaś założyć adidas! – upomniała ją Ally, wkurzona, że jej wytyczne zostały zignorowane.

– To są moje adidas, kapiszi? – Daisy skrzywiła się, jakby to było oczywiste.

Taaa...

– To będzie twój strój trumienny... – zawyrokowała Ally, odporna na wzrok Meduzy.

Oj!

Daisy spojrzała na mnie...

– Cześć, moja muffinko z jagódkami! – rzuciła radośnie. – Twój facet wygłasza dość dosadny monolog do jej faceta, wiesz o tym? – Skinęła głową w stronę Ally.

– No wiem – odrzekłam.

– No dobra, to kto ma giwerę? – zapytała, rozglądając się.

Carl, Ally i Indy pojechali pathfinderem.

No i wiercie lub nie, ale Daisy przyjechała limuzyną, z ochroniarzem za kierownicą. Serio. Wpakowałam się na kanapę z Annette, Jasonem i Jet.

– Denver jest zajebiste! – Annette wyglądała przez okno, rozwalona na siedzeniu tak, jakby całe życie jeździła tylko takimi autami.

– Musisz zostać do czwartku, słodziutka, urządzam wyrafinowany wieczorek towarzyski! – oznajmiła Daisy.

– Nie zabraknie nas za cholere! – Annette ochoczo przyjęła zaproszenie.

Jason spojrzał na mnie wymownie, wiedząc, że nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia. Uśmiechnęłam się, dodając mu otuchy.

– Smithie's – rzekłam, patrząc na Jet. – Co to za miejsce?

– Że co? – Chyba nie wiedziała, o co mi chodzi.

– Wspominałaś o Smithiem pierwszego dnia, że tam pracujesz.

– Oficjalnie już tam nie pracuję. – Uśmiechnęła się przebiegle.

– Żeby Eddie myślał, że jego jest na wierzchu? – dodałam.

– Tak właśnie ma myśleć – potwierdziła.

To była dość istotna informacja, w końcu Eddie i Hank byli dość podobni charakterologicznie.

– No więc, co to za miejsce? – dopytywałam.

– Klub ze striptizem. Serwowałam tam drinki.

– Nieźle! – wypaliła Annette.

Jet zaprezentowała taki uśmiech, że na moment wszystkie straciłyśmy wątek.

– Moja siostra zrzuca tam fatalaszki – oznajmiła z dumą. – Jutro prezentuje nowy numer. Jeśli chcecie wpaść, to załatwię wam przepustki dla VIP-ów.

– Gorąca oferta, złociutka! – Daisy aż zapiszczała z ekscytacji. – Jej siostra to Lottie Mac!

– Królowa kalendarza Corvette? – Jason wyraźnie się ożywił.

– Nie inaczej! – potwierdziła Daisy.

O czym oni, do cholery, gadali?

– Wpadniesz? – zapytała Jet.

– Z chęcią! – odrzekłam.

Na moment wzięła mnie za rękę i poczułam coś dziwnego. Nie chodziło o to, że chcę kibicować jej siostrze podczas rozbierania się, a raczej o przekazanie mi mocy, jakby chciała mi przypomnieć, że całkiem niedawno przeszła podobną traumę. Prawie ją zgwałcono, a jej ojciec wciąż leżał w szpitalu. Wiedziałam, że lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała mój ból.

– Widziałam, że wzięłaś sobie do serca moją radę co do Hanka – zaszcebiotała Daisy, wyrrywając mnie z zamyślenia.

– Nie do końca. Jak tylko znajdą Billy'ego i ta sprawa się zakończy, wyjeżdżam. – Spojrzałam na nią.

Zapadła cisza.

– Że co proszę? – Głos Daisy zabrzmiał w niej aż nazbyt wyraźnie.

– Nie zrozumielibyście... – westchnęłam, wyglądając przez okno.

– Chyba nas nie doceniasz – zachęcił łagodnie Jason.

Zrezygnowana wyjaśniłam im moją teorię, która mówiła, że Hank zasługuje na kogoś lepszego

ode mnie. Nikt się nie odezwał, aż w końcu Daisy zapytała ponownie:

– Że co proszę?

– Mówiłam, że tego nie pojmiecie.

– Ja rozumiem – powiedziała Jet. – Hank nie postrzega świata w odcieniach szarości.

Nie bardzo rozumiałam.

– Myślisz, że nie dostrzega niuansów. Wydaje ci się, że dla niego wszystko jest czarne albo białe. Dobrze albo źle. Zbrodnia i kara. Nie dostrzega niczego, co jest pomiędzy. A ty jesteś bardzo pomiędzy – dodała.

Przełknęłam z trudem. Trafniej nie mogła tego ująć.

– Jet, słodziutka, Roxie wcale nie jest pomiędzy – wtrąciła Daisy.

– Jest, jest. Ty także – zauważyła Jet.

Daisy umilkła, bo nagle to do niej dotarło.

Patrzyłam w okno, czując, jak łzy płyną mi po policzkach.

– Roxie pomiędzy? Że niby szara? Sorry, Jet, ale znam ją od lat i wszystko można o niej powiedzieć, ale nie że jest szara! – wtrąciła się Annette.

– Nie chodzi mi o to, że to coś złego. Po prostu rozumiem jej obawę, że Hank może tak pomyśleć. Że lawiruje gdzieś pomiędzy...

– Nigdzie nie lawiruje! – upierała się Annette.

– No wiem przecież, ale boi się, że Hank sobie tak pomyśli! – obstawała przy swoim Jet.

– Nie, kurwa! – Annette trochę się już wkurzyła.

– No ja to wiem, ale...

– To ja z Hankiem sobie to wyjaśnię – rzucił Jason i po jego tonie wnioskowałam, że serio miał zamiar to zrobić.

– Ani mi się waż! – Odwróciłam się w jego stronę.

– Słodziutka, ty płaczesz? – spytała Daisy.

Zaprzeczyłam, choć przecież tak właśnie było.

– O rety, przepraszam! – Jet chwyciła moją dłoń. – Chciałam tylko powiedzieć, że cię rozumiem!

– Nic się nie stało, wiem, że nie chciałaś sprawić mi przykrości. – Otarłam łzy.

– Roxie, spójrz na mnie! – zażądała Jet.

Spróbowałam wykonać polecenie i uśmiechnęłam się słabo.

– W porządku – zapewniłam.

– Wcale nie jestem ładna – wypaliła Jet.

– Co? – Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Przynajmniej tak do niedawna sądziłam – dokończyła.

Co ona wygadywała? Przecież była piękna!

– Lustro nie masz? – zapytałam, usiłując nie zabrzmieć pretensjonalnie.

– Myślałam, że taki przystojniak, gdy już mnie uratuje i zrobi, co miał zrobić, straci zainteresowanie, bo nie jestem dość ładna.

– Ty nie jesteś chyba dość normalna! – skwitowała Annette.

Gapiłam się na Jet bez słowa, a ona wciąż ścisnęła moją dłoń. Czułam gulę w gardle.

– Jet... – szepnęłam ledwie słyszalnym głosem.

– Hank dostrzega niuanse. Może tego nie widzisz, może on zachowuje się, jakby tak nie było, może nawet mówi, że tak nie jest. Ale uwierz mi, potrafi dostrzec wszystkie odcienie szarości.

– I tak wyjadę.

– I to też rozumiem.

– Dzięki.

– Ale nigdzie nie wyjedziesz – rzuciła, jakby cała ta rozmowa nie miała miejsca.

– Wyjeżdżam.

– Tak ci się tylko wydaje.

Gdy próbowałam się kłócić, potrząsnęła tylko głową. Spoglądałam naprzemiennie na nią i Daisy, obie się śmiały.

– Tu w Denver żyją sami wariaci! – podsumowałam.

– No! Fajowo, c’nie? – dodała Annette.

Staliśmy już na samym początku kolejki do nawiedzonego szlaku, przed samą bramą. Po obu jej stronach były zatknięte pochodnie. Odźwierny, zakapturzony i ucharakteryzowany na zombiaka, rzucał nam ponure spojrzenia, ewidentnie wczuł się w rolę.

Było ciemno i zimno i naprawdę prawie robiłam po nogach ze strachu!

Kłopoty zaczęły się od samego przybycia.

Po pierwsze, ten cały nawiedzony dom stał pośrodku nicości, w kompletnych ciemnościach i tylko daleko na horyzoncie widać było lunę Denver. Dostawałam od tego szału!

Limuzyna wywołała sensację na parkingu. Daisy wywołała kolejną, wyłaniając się z niej. To nie było miejsce, w którym się nosiło obcisły, wyszywany klejnotami kombinezonik i buty na platformie. Ludzie gapili się na nią, myśląc pewnie, że jest Dolly Parton albo jej sobowtórem czy inną ważną osobą. Ktoś nawet nieśmiało poprosił ją o autograf.

– No istny słodziak z ciebie! – zaczęła, podpisując się zamasyście na podanym świstku i odciskając na nim różowy całus.

Potem dowiedzieliśmy się, że nie można wносить broni, i chodziło nie tylko o prawdziwą giwerę Carla, ale i o nasze pistolety na strzałki.

Carl usiłował machać odznaką, ale szef ochrony wziął go na stronę i ewidentnie się pokłócili.

Carl wrócił i wygłosił zdanie, którego najbardziej się bałam:

– Idziemy na początek kolejki.

Najwidoczniej wszystko było załatwione. Mieliśmy poczekać, aż grupa przed nami przejdzie szlak, a grupa po nas miała wejść później.

Carl objaśnił mi, jak obsługuje się paralizator. Zatknęłam go za pasek z tyłu pod bluzą. Miło było wiedzieć, że tam jest, ale nie zamierzałam nikogo razić prądem.

Starczyło jeszcze dla Ally, Daisy i Jet, ostatni przechwycił Jason, a Annette udawała, że ma to gdzieś.

– Dobra, formujemy grupę! – krzyknęła Ally.

Karnie zbiliśmy się w stado.

– Każdy ma parę? – zapytała.

Indy wzięła mnie pod rękę.

Spojrzałam spanikowana na Carla. Nie chodziło o to, że bałam się, iż ktoś mnie tutaj napadnie. Kręciły się tu setki ludzi, nikt o zdrowych zmysłach by tego nie zrobił. Bałam się, że Indy wpadnie w histerię, jak w opowieści o poprzednim razie.

Nie zdążyłam zaproponować zmiany, gdy Ally krzyknęła:

– Pamiętajcie, bez względu na wszystko trzymacie się partnera!

O w mordę! W mordę, w mordę, w mordę!

Ally perorowała dalej:

– Trzymamy się razem. Jeśli kogoś złapią albo zagonią w pułapkę, wracamy i go ratujemy. Nie zostawiamy swoich w łapach zakapturzonych zombiaków czy krwawych chirurgów! Jasne?

O w mordę! Wmordęwmordęwmordę!

– Pytam, czy jasne?

Pokiwaliśmy głowami.

– Chcę to usłyszeć!

– Nie zostawiamy swoich – wymruczeliśmy niepewnie.

– Dobra! – Chwyciła za rękę Carla i rzuciła do strażnika: – Jesteśmy gotowi!

Odrzwia zaczęły się otwierać z piekielnym skrzypieniem, a ja poczułam serce walące aż

w skroniach. Annette i Jason weszli jako pierwsi, za nimi Jet i Daisy z cieniem ochroniarza, za nimi Indy i ja, Ally z Carlem zamykali pochód.

No dobra, to było nawet niezłe. Straszne, ale fajne. Musieli włożyć mnóstwo wysiłku w przygotowanie tego wszystkiego. Potwory ze świetną charakterystyką, wspaniałe rekwizyty, supersceneria: mrocznie, niepokojąco, a z cieni wyskakiwały przeróżne stwory i wywoływały dreszcze. Nie było tak strasznie, jak się spodziewałam. Kilka razy wrzasnęłyśmy, rzuciłyśmy się do ucieczki, potem biegłyśmy, chichocząc.

Wyszliśmy na otwartą przestrzeń, gdzie napadł nas kat wywijający wisielczą pętlą jak lassem. Od razu wyczuł, kto jest cykorem, i podszedł do nas, charcząc złowieszczo:

– Ooo, podobają mi się te dziewczuszki!

Zamarłyśmy i zaczęłyśmy się drzeć. Podbiegli Carl i Ally i popchnęli nas do przodu, dziewczyna się zaśmiewała.

Przeszliśmy przez jakieś jaskinie i weszliśmy prosto w labirynt wycięty w polu kukurydzy.

– Ożeż... – szepnęłam, czując, że serce znowu zaczyna szaleć.

Indy wciąż ścisnęła moją rękę, rozglądając się czujnie, oczywiście nadaremnie, w końcu ci ludzie wiedzieli, co robią.

– Co jest? – zapytała.

– Boję się pól kukurydzy.

Zatrzymała się, rzucając mi podejrzliwe spojrzenie.

– No tak, przecież jesteście z Indiany!

Wtem wyskoczył na nas jakiś chochoł, machając łapami zrobionymi z zaschniętych pędów. Obie się wydarłyśmy, odskoczyłyśmy symultanicznie, Indy zawróciła i pociągnęła mnie za sobą. Zderzyłyśmy się z Carlem, przy okazji obalając Ally na tyłek. Indy wciąż się darła, a ja zaczęłam się dziko śmiać z nich obu. Usiłowałam biec dalej, ale zginałam się wpół.

Potwór wrócił, gulgocząc. Wrzasnęłyśmy mu w twarz jak opętane; obróciłam Indy i zwałyśmy w drogę, którą przybiegłyśmy. Znowu wpadłyśmy na Carla i Ally, która się dopiero co pozbierała, znowu upadła na dupę.

Zdażyłam tylko wykrzyczeć przeprosiny, gdy Indy mnie ciągnęła. W końcu się zatrzymałyśmy, ale nie mogłyśmy przestać rechotać. Rozbolały mnie żebra, ale nie przejmowałam się tym. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio tak się naśmiałam. Znowu stałyśmy na otwartej przestrzeni. Para przed nami zniknęła, a Ally i Carl zaraz mieli nas dogonić.

Ale zanim to się stało, usłyszałyśmy piłą łańcuchową. I nieważne, że to tylko zabawa, że to było udawane: dźwięk piły łańcuchowej w ciemnościach, w środku nicości, to najstraszniejszy dźwięk na świecie.

Spojrzałyśmy po sobie i rzuciłyśmy się biegiem, widząc faceta z piłą podążającego za nami.

– W nogi! – krzyknęłam.

Rozdzieliłyśmy się i rozbiegłyśmy w różne strony. Zerkałam w stronę Indy i nagle poczułam, że stąkam po czymś miękkim. Granica pola była oznaczona piankową barierą. Odbiłam się i upadłam na kolana, ledwie łapałam oddech, ze strachu i ze śmiechu. Wstałam i zawróciłam w stronę Indy. Prawie jej się udało, ale kolejny potwór wyskoczył tuż przed nią, również odbiła się od ścianki i wpadła prosto na niego.

Oboje się wywalili i wyglądało to na jakieś zapasy. Indy śmiała się i darła jednocześnie jak wariatka. Potwór pokryty był strzępami materiału, które oczywiście zaraz się zaplątały w ręce i nogi Indy.

Śmiałam się tak bardzo, że aż złapałam się za brzuch, prawie się posikałam. Powinnam była jej pomóc, ale patrzenie na to było tak zabawne, że nic nie zrobiłam.

Nagle ktoś mnie pchnął.

Upadłam i to nie było wcale śmieszne. Rozbolały mnie żebra, a ramiona, które mnie opłotły, były silne i zdecydowane. To chyba nie było dozwolone, na pewno nie takie brutalne popychanie i obłapienie. Może za bardzo się wydurniałyśmy i ktoś zamierzał nas po prostu wyrzucić.

Szarpałam się, aż udało mi się odwrócić.

Trzymał mnie Billy.

Rozdarłam się prawdziwie rozzdzierająco i nie było w tym wrzasku krzty rozbawienia.

– Zamknij się, do kurwy nędzy! – rozkazał Billy i szarpnął mnie w górę.

Nie. Nigdy! Nie zamierzałam znowu mu na to pozwolić. Spieprzył mi życie. Przez niego nie mogłam być z Hankiem, a tego pragnęłam najbardziej na świecie. Pieprzyć Billy’ego.

Cofnęłam się i walnęłam go pięścią w twarz. To mnie bolało chyba bardziej niż jego, ale zanim się pobrałam, rzuciłam się do ucieczki.

Indy nie była już nakryta potworem, ale wciąż była zaplątana w strzępy jego kostiumu. Cała blada warowała na czworakach, patrząc na mnie. Musiała usłyszeć mój wrzask.

– To Billy! – Poderwałam ją na nogi. – Spadamy!

Biegłyśmy, trzymając się za ręce. Wypadłyśmy na jakąś planszę pełną bel siana.

Billy dogonił nas bez trudu i obalił na ziemię. Upadłyśmy w siano, ale nie przestawałyśmy go kopać i walczyć.

– Hej, co ty wyrabiasz? – Jakiś potwór odciągnął go od nas, ale Billy odwrócił się i strzelił go prosto w nos. – Co jest? – Głos był stłumiony przez ręce, którymi zasłonił twarz.

Indy pociągnęła mnie dalej; usłyszałam za nami, jak się przepychają.

Dotarliśmy do domu i niestety tam znów Billy nas dopadł. Szarpnął Indy i odepchnął ją, aż odleciała na bok. Próbował zarzucić mnie sobie na ramię, na wpół niosąc, na wpół popychając po schodach.

Byliśmy na półpiętrze, gdy Indy zaatakowała go od tyłu. Uderzyła go z pełnym impetem. Upuścił mnie i upadłam na schody, uderzając o stopień boleśnie plecami, łokciami walnęłam w tralki.

Billy odwrócił się i zepchnął Indy ze schodów.

– NIE! – wrzasnęłam, usiłując wyminąć go, ale nie pozwolił mi na to, wciąż popychając mnie w górę.

Weszliśmy do upiornego pokoju oświetlonego stroboskopowym światłem, na środku którego stał stół chirurgiczny ochlapany sztuczną krwią. Wszędzie wały się odcięte gumowe dłonie, na hakach wisiały nogi, a przy stole stał facet w zakrwawionym fartuchu. Już miał nas nastraszyć, ale zatrzymał się, gdy z całej siły pchnęłam Billy’ego na ścianę i zaczęłam okładać pięściami.

– Ty...! – Walnęłam go w twarz. – Nie...! – Kolejny cios. – Będziesz...! – Kolejny, w brzuch. – Krzywdził...! – Hak w szczękę. – Moich przyjaciół!

Wpadłam w szal. Billy usiłował się osłaniać, a wtedy chirurg postanowił go ocalić i spróbował mnie odciągnąć.

– Co, do... – zaczął, ale nie dokończył, bo na schodach usłyszeliśmy dudnienie stóp i do pomieszczenia wpadł Carl, a szef ochrony zjawił się w wyjściu awaryjnym.

Billy zerwał się do ucieczki. Przepchnął się obok chirurga i zamiast rzucić się do drzwi czy schodów, wyskoczył przez okno. Carl i ochroniarz rzucili się do drzwi. Ja pobiegłam sprawdzić, co z Indy. Leżała na półpiętrze. Ally była przy niej.

– Nic ci nie jest? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała.

Cała się trzęsłam, ledwie łapałam dech.

– Nic ci nie jest? – ponowiłam pytanie, uważnie na nią patrząc.

Wyciągnęła do mnie ramiona.

– Kochana, nic mi nie jest!

Wciąż się trzęsłam.

– Na pewno? – prawie płakałam, łzy podchodziły mi do gardła.

– Cicho, mała, jesteś bezpieczna – szepnęła Ally.

Zapaliły się światła i zaraz nadeszli pozostali. Annette i Jet dołączyły do grupowego uścisku. Na wąskich schodach.

Nie było tylko Daisy i Jasona.

– Co, do diabła! – usłyszałam go, a zaraz potem Daisy, która wrzeszczała na ochroniarza: – Jaki z ciebie w ogóle pożytek?

Nie zwolniłam uścisku, tuliłam się do przyjaciółek, drżąc i łykając łzy.

Hank otworzył drzwi jedną ręką, z drugiej nie wypuszczał mojej dłoni. Powstrzymał Shamusa krótką komendą, zanim ten się rozszalał na nasz widok. Pies ewidentnie się na nas obraził.

Dopiero po zamknięciu drzwi na klucz i przejściu do kuchni Hank puścił moją dłoń. Zapalił światło, a ja otworzyłam lodówkę. Zawinęłam kilka kostek lodu w ręcznik i przyłożyłam do dłoni, którą otarłam o gębę Billy’ego. Patrzyłam, jak Hank odwiesza kurtkę na oparcie krzesła i wita się w końcu z pupilem. Potem podszedł do mnie i wyciągnął źdźbło siana z moich włosów.

– Zapasy na sianie – rzekłam, patrząc na słomkę.

Hanka to nie rozbawiło.

Billy zwał, co nie było trudne w chaosie i tłumie, który falował i marudził, gdy zapalono światła. Wymknął się bez trudu.

Przybytek trzeba było zamknąć, gdy pojawiła się policja. Złożyłam zeznania, porozmawiałam z szefem ochrony. Carl streścił im moją przeprawę z Billym, więc mieli szerszy kontekst i byli wyrozumiali. To musiało się wkrótce skończyć, a póki co krzywda nikomu się nie stała, aczkolwiek zdawali się bardzo o mnie martwić. Na szczęście nos zaatakowanego pracownika nie był złamany.

Malcolm i detektyw Marker przyjechali autem z kogutem na dachu. Ten pierwszy podszedł do mnie i bez słowa objął i pocałował mnie w głowę. Odruchowo przytuliłam się do niego. Chwilę potem przyjechał Hank. Wysupłał mnie z objęć swojego ojca, przerywając nam pogawędkę.

– Jak twoje żebra? – zapytał.

Gestem dałam do zrozumienia, że okej. Skupiłam się na tym, że mnie obejmował. Nawet w tej pozycji, z policzkiem opartym o jego ramię, odpowiedziałam na resztę pytań.

Pojawiali się Lee i Eddie i wymienili kilka gniewnych spojrzeń.

Uściskałyśmy się na pożegnanie i dziewczyny odjechały, każda ze swoim mężczyzną. Daisy odwiozła Annette i Jasona, odprowadziliśmy ich z Hankiem do limuzyny. Ludzie gapili się, jakby nasza przyjaciółka faktycznie była jakąś gwiazdą country, która przyjechała się pobawić incognito, jakby była w centrum całego tego zamieszania.

Nie rozmawialiśmy podczas drogi do domu, każde z nas pogrążone we własnych myślach.

Dopiero stojąc bezpieczna w kuchni Hanka, poruszyłam drażliwy temat.

– Indy mogła stać się poważna krzywda.

– Tak, na szczęście nic się nie stało – odpowiedział Hank.

– Ale mógł ją skrzywdzić.

– Nie zrobił tego.

– Hank...

– Powiem ci coś o Indy. Spójrz na mnie – zażądał, gdy odwróciłam wzrok. – Wspominałaś, że prędzej zginiesz, że pójdziesz z nim, byle tylko nikomu nie stała się krzywda, pamiętasz?

Potaknęłam.

– India Savage w życiu nie pozwoliłaby ci na coś takiego, rozumiesz?

– Ale przecież prawie jej nie znam...

– I tu się mylisz. – Hank mnie objął. – Znasz ją lepiej, niż ci się wydaje, bo jesteście do siebie bardzo podobne.

Nie pamiętałam, by ktoś powiedział mi coś równie pocieszającego. Do oczu napłynęły mi łzy.

– Whisky... – szepnęłam łamiącym się głosem i wtuliłam twarz w jego pierś.

Upuściłam ręcznik z lodem i uchwyciłam się kurczowo jego swetra.

Zdałam sobie z czegoś sprawę aż za dobrze. Odsunęłam się i tupnęłam nogą.

– Ten pieprzony dupek! – krzyknęłam.

Shamus zaszczeakał.

Spojrzałam na niego; patrzył na mnie czujnie, stając nieopodal.

– Przepraszam, Shamus...

Na dźwięk swego imienia podszedł do mnie, merdając ogonem. Pochyliłam się, żeby go pogłaskać, i pozbierałam kostki lodu. Wrzuciłam je do zlewu i dalej czochrałam psa, ale patrzyłam na Hanka.

– Zabiję tego cholernego drania! – oznajmiłam.

Hank spojrział na mnie.

– Zepchnął Indy ze schodów! – kontynuowałam.

– Roxie, uspokój się.

– Właśnie że się, kurwa, nie uspokoję! Wytropię tego drania i go zabiję!

– O w mordę! – Hank wziął się pod bogi i z politowaniem spojrział w sufit.

– Co?

– Nic.

– No co? – zapytałam głośniej.

– Nikogo nie będziesz tropić! – Spojrział znów na mnie.

– No... – Spojrzałam na niego jak na wariata, ale to przecież ja gadałam głupoty. – No nie.

Mówię tak, bo jestem wściekła. Nawet nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

– Pozwól mi się tym zająć – rzucił Hank.

– Dobra.

– Mówię poważnie.

Wyprostowałam się i pozwoliłam Shamusowi jego psim zwyczajem usiąść na moich stopach.

– Przecież się zgodziłam.

– Jeśli zjawi się Indy i będzie coś wymyślać, powiedz jej, że ja to ogarniam – rozkazał.

– Okej.

– Jet, Daisy albo moja siostra, jeśli którakolwiek przyjdzie do ciebie z jakimś genialnym planem, powiedz im, że ja się tym zajmuję!

– W porządku – przytaknęłam, bo coś dziwnie się zaciął. – Whisky, wszystko w porządku?

– Już ja znam te baby. Chcesz wyrównać rachunki, jesteś wściekła, zaraz cię do czegoś namówią.

– Hank, przecież powiedziałam, że...

– Tak to wykminia, że będziesz myślała, iż to twój własny pomysł.

– Whisky!

– Tex jeszcze im pomoże.

Na Boga!

– Hank, przecież powiedziałam, że się zgadzam z twoją wersją!

– Przysięgaj mi tu!

Jeeezu!

– Hank!

– Zrób to, Słoneczko!

Westchnęłam. Jednak się zaciął.

– Dobra, obiecuję!

Spojrzał na mnie, wplótł palce w moje włosy i przegarnął je, aż posypało się kilka źdźbeł trawy.

– Przepraszam – powiedziałam cicho, patrząc na słomki.

– Nie chcę słyszeć tego ciągłego przeproszania!

Nie brzmiał słodko i przyjemnie. Był wkurzony. Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. Jego dłonie zawędrowały na moją szyję.

– Nie ty to wszystko na nas sprowadziłaś, tylko Flynn, jasne?

Potaknęłam.

– Nie jestem zły na ciebie. Po prostu jestem wkurzony – wyjaśnił.

– Okej – powiedziałam po raz pierdyliardowy.

– Jak twoja dłoń? – zmienił temat, a ja poczułam ulgę.

– Cholernie boli – poinformowałam go.

Napięcie zniknęło. Czułam, że być może odzyskuję nieco spokoju i nadziei na rozwiązanie sytuacji z Billym. Hank przytulił mnie mocno. Nasze ciała pasowały jak puzzle.

Shamus odszedł jak niepyszny na swoje posłanie. Szybko się uczył.

– A jak wszystko inne? Gdzie jeszcze cię boli? – Głos Hanka się zmienił, ochrypl z pożądania.

– Wszystko w porządku. – Moje dłonie ślizgały się po jego ciele.

– Coś mi jesteś winna – przypomniał mi Hank.

Pocałował mnie lekko.

– Co powiesz na gorący prysznic, tabletkę ibuprofenu i wskoczenie do łóżka? – zapytał, uśmiechając się. – Wymażesz mój koszmary dzień.

– Może ty powinieneś wymazać moją koszmary noc... – szepnęłam, gdy szliśmy do sypialni.

– Ale ty pierwsza wymażesz mój...

– Moja noc była gorsza niż twój dzień!

– Mój dzień cały był do dupy. A twoja noc tylko do połowy!

Racja.

– No dobra, wymażę twój zły dzień... – poddałam się.

Zgasił światło i wyszliśmy z kuchni.

Rozdział osiemnasty

Ślub cytrusowo-czekoladowy

Obejmowałam poduszkę i spałam smacznie, leżąc na brzuchu, gdy nagle poczułam, że przykrycie zjeżdża z moich pleców, coraz niżej, aż skraj prześcieradła zatrzymał się tuż nad moimi pośladkami.

Odwróciłam głowę, spoglądając na zarys sylwetki Hanka w półmroku.

– Whisky, co ty wyprawiasz? – wychrypiałam w półśnie.

– Cicho, kochanie, tylko coś sprawdzam...

Zapaliło się światło.

Siedział na krawędzi łóżka półnagi, tylko w jeansach, i gapił się na moje plecy.

– Jest kolejny...

– Ale co? – spytałam, usiłując dostosować wzrok do nagłego rozświetlenia.

Dotknął moich pleców, rysując jakiś nieznamy kształt.

– Wczoraj nie mogłaś się ułożyć, jakby coś cię bolało. I teraz wiem dlaczego. Nie było widać, ale teraz pojawił się kolejny siniec.

– Ach, to... – Odwróciłam się z zamiarem ponownego zaśnięcia. – Billy mnie targał po schodach i upuścił, gdy Indy się na niego rzuciła. Uderzyłam o stopień.

Zamknęłam oczy, uznając rozmowę za skończoną. Hank miał inne zdanie na ten temat. Przesunął mnie na łóżku, chwytając za biodra, i powoli posadził. Uniosłam prześcieradło, żeby okryć piersi.

– No co jest? – spytałam, patrząc na niego.

– Mam wrażenie, że się do tego przyzwyczajasz. To gównie to nie twoje życie. Gdy tylko zamkniemy sprawę, wracasz do normalności.

Poczułam skurcz w żołądku. Chyba powinnam zacząć go przekonywać, że wcale nie zatęskni, gdy już zniknę.

– Hank – zaczęłam wyjaśnienia. – Ja nie wiem, co to znaczy „normalność”. Byłam z Billym przez siedem lat.

Spodziewałam się, że spojrzy na mnie z obrzydzeniem, przerażeniem albo co najmniej zszokowany. Zamiast tego położył dłoń na moim karku i ucałował mnie w czoło.

– Pokażę ci zatem, co to „normalność” – obiecał, patrząc mi w oczy.

Chyba zabrakło mi tchu, ale nie zwrócił na to uwagi; wstał z zamiarem ubrania się.

– Przykro mi, Słoneczko, ale nie zostawię cię samej w domu, więc musisz razem ze mną wyprowadzić Shamusa. Ubieraj się, wychodzimy. Jedną ze spraw, które prowadzę, komplikuje się, więc muszę jechać na posterunek.

Poszedł do łazienki, jakby przed chwilą nie powiedział czegoś, co zatrzęsało całym moim światem. Ruszyłam za nim.

– Dziś masz wybór – rzucił z łazienki. – Fortnum albo biuro Lee. Nie muszę chyba mówić, że z żadnego z tych miejsc nie wolno ci się oddalać?

Usłyszałam odgłos golarki.

Shamus przysiadł obok i przyglądał mi się z psim uśmiechem. Pochyliłam się i przytuliłam jego wielki łeb, a on polizał mnie w policzek.

Hank wyszedł z pomieszczenia z golarką przy twarzy i spojrzał na nas.

– Słoneczko! – ponaglił mnie.

– Dobra, dobra, ubieram się! – burknęłam obrażonym tonem.

Mogłam później zastanowić się nad tym, że zignorował moje słowa o braku normalności. Teraz musiałam wybrać, czy wolę być podglądana przez detektywów przez kamery umieszczone w domu wariatów znanym jako Fortnum, czy może sama wolę podglądać, z przerwami na „pożeracza życia”, czyli Diabło, i kłótnie z Suczą Dawn.

Owinęłam się prześcieradłem niby togą i dumnym krokiem, choć przecież nie bardzo miałam przeciwko czemu protestować, przeszłam do drugiej łazienki. Shamus podreptał za mną.

Spojrzenie Hanka również, ale nie mogłam tego zauważyć.

Nie wiedziałam również, że się uśmiechał.

Wybrałam Fortnum, ale pożałowałam tego już w chwili przestąpienia progu.

– Cho no tutaj! – huknął Tex, gdy tylko mnie zobaczył.

– Do diabła... – mruknęłam.

Hank objął mnie, dodając otuchy.

– Co znowu? – zapytałam wujka.

– Już ty dobrze wiesz co! Strzelają do ciebie! A tydzień temu cię porwali! Co się, do cholery, wyprawia?

Chyba z tuzin osób czekało na kawę w kolejce, jeszcze kilka siedziało na sofach i przy stolikach. Duke i Jet zerknęli zza ekspresu, Jane spomiędzy półek z książkami. Teraz wszyscy się na mnie gapili.

– Przecież to nie moja wina! – broniłam się.

– Nie twoja? – Tex nie dawał za wygraną. – A kto łązi po nawiedzonych domach, kiedy jest ścigany przez wariata? Dzwonię do twojej matki!

Zesztywniałam, czując znów na sobie spojrzenia.

– Ani mi się waż! – krzyknęłam.

Jak na meczu tenisowym, oczy skierowały się na Texa.

– Dzwonię do Trish! A ty! – huknął, gdy otworzyłam buzię, by zaprotestować. – Dziób w kubek! Nie będę tego słuchał!

Sala westchnęła kolektywnie. Oczy na mnie.

Już miałam rzucić się do przodu, gdy poczułam palce Hanka wbijające się w ciało.

– Czy ty do mnie przed chwilą powiedziałeś złagodzoną wersję „morda w kubek”??

Oczy na Texa.

– Dobrze słyszałaś, dziewczuszko!

Odwrociłam się do Hanka.

– Zabierz mnie do biura Lee! – zażądałam.

– Nawet nie próbuj, panie oficerze, chcę ją mieć tutaj na oku!

Hank się zaśmiewał.

– No to mogę wykreślić Texa z drużyny podsuwającej ci durne pomysły! – zauważył.

Skrzywiłam się.

Cmoknął mnie w zaciśnięte usta i zebrał się do wyjścia.

– Nie myśl sobie, że wieczorem znowu cię będę pocieszać po ciężkim dniu! – wrzasnęłam za nim.

Puścił do mnie oczko i zniknął za drzwiami.

Zerknęłam na najbliższą siedzącą kobietę i szepnęłam:

– Mężczyźni...!

– Strzelali do ciebie...? – spytała.

– No, tak jakby – przytaknęłam.

– Och, kochana... – rzekła, a było w tym więcej treści niż w tysiącu słów.

Dwie godziny później pojawili się Annette, Jason i Daisy.

Siedziałam na kanapie, siorbiąc drugą kawę, kolejny eksperyment wujka. Pierwsza była migdałowa mokka z cynamonem. Druga to orzechowe latte z wanilią. Obie smakowały bosko!

– Ten lokal po drugiej stronie jest totalnie wypasiony! – Annette rozwaliła się na kanapie obok

mnie. – Złożyliśmy ofertę biznesową. Strasznie się napaliłam! – Odwróciła się do Texa. – Daj no mi dużą czarną z przelewowego, wielkoludzie!

– Tajes! – odpowiedział.

Rzucił mi groźne spojrzenie, ewidentnie jeszcze mu nie przeszło, po czym zaczął walić w ekspres.

Daisy usiadła naprzeciwko, a Jason podszedł do lady po zamówienie.

– Trochę dalej jest lokalik do wynajęcia – wtrąciła się. – Myślę o otwarciu salonu piękności, wiecie, jak w *Stalowych Magnoliach*, tylko nie w jakimś garażu. Mam zdecydowanie za dużo wolnego czasu... Chciałam się zająć dobroczynnością, ale babki z komitetu, z którymi organizuję przyjęcie charytatywne, mają kije wrośnięte w tyłki! Nie wiedziałyby, jak się bawić, nawet gdyby ktoś im zrobił lewatywę z alkoholu, a wierzcie mi, miałam takie desperackie plany!

To było całkiem do niej podobne.

Jet usiadła przy nas.

– Fajnie, przychodziłabym do ciebie robić włosy! – ucieszyła się Annette.

Jet spojrzała na mnie i w niemym przerażeniu zaczęła przecząco kręcić głową.

– Ooo! Czyż nie jesteś słodziuutka? – Daisy zaśmiała się perliście.

Na dźwięk dzwoneczka nad drzwiami wszyscy się odwróciliśmy.

W progu stał Luke. Wyglądał jak jakiś czarny charakter z filmu, dosłownie: góra cała czarna i bardzo obcisła, czarne jeansy, do tego potężne motocyklowe buty.

Moje oko fashionistki zostało przyjemnie polectane. Moje kobiece oko także.

– No w mordę jeża, zaraz ześlizgnę się z sofy! – szepnęła Annette, gapiąc się na Luke'a.

On za to patrzył na mnie, przywołując mnie gestem.

– Dobra, smaruję sofę przez spodnie i zjeżdżaaaaam... – Annette serio wyglądała, jakby miała za chwilę eksplodować.

Podeszłam do niego.

Dotknął mojej talii, prowadząc mnie w kierunku regałów. Zatrzymaliśmy się gdzieś przy biografiach.

– Jakie masz plany na wieczór?

– Idę do klubu ze striptizem – poinformowałam go.

Nie potrafił ukryć zdziwienia, po czym uśmiechnął się znowu w ten swój charakterystyczny, seksowny sposób.

– Dlaczego pytasz?

– Bo masz dziś randkę ze mną.

Moje serce stanęło na dobre pięć sekund.

– Że co proszę?

– Ja jestem twoim dzisiejszym Wielkim Bratem.

– Ale... co?

– Hank dzwonił. Ma sprawę do rozwiązania. Jest zajęty. Zostałem przydzielony do ciebie.

– Co?? – zamrugałam jak postać z kreskówki.

Jego uśmiech się poszerzył i zbliżył się do mnie.

– Jestem twoim ochroniarzem...

A niech to!

– Nie wyjdiesz stąd, chyba że ze mną.

Zrodził się we mnie jakiś bunt, ale równie szybko zdechł. Nie było o co walczyć.

Po pierwsze, potrzebowałam ochrony i wszyscy o tym wiedzieli. Po drugie, Hank to wszystko ustalił. Po trzecie, Luke'a nie było jak przegadać.

– No dobra – zgodziłam się na ten układ.

– Poza lokalem masz być ciągle w zasięgu wzroku.

– Spoko.

– Nie odsuwaj się dalej niż na długość ramienia.

Przeszedł mnie dreszcz na myśl o tym, że on ciągle będzie tak blisko.

– Dobra – powiedziałam zduszonym głosem.

– Jasne?

Przytaknęłam.

– Roxie, posłuchaj teraz uważnie – rozkazał.

Gdybym słuchała jeszcze uważniej, to chyba krew poszłaby mi z uszu.

– Wiem, że jesteś kobietą Hanka, ale mam to w dupie, bo znam również historie tych dwóch lalek, Indy i Jet, które pojawiły się niedługo przed tobą. Jeśli zrobisz coś durnego, będziesz się stawiać, narazisz mnie niepotrzebnie, to się policzymy. Jasne?

Jasne jak słońce.

– A nie chcesz tego, wierz mi – ostrzegł.

Wierzyłam, ale i tak zapytałam:

– A na czym by polegało... – odchrząknęłam – ...to liczenie się?

– Nie chcesz wiedzieć!

Chyba faktycznie nie chciałam.

Spojrzał na mnie tymi ciemnogrnatowymi oczami.

– Nigdy jeszcze nie podniosłem ręki na kobietę – oznajmił – więc musiałbym coś wymyślić.

Mój Boże...

– Obiecuję, że będę grzeczna! – zapewniłam gorliwie.

– Jeszcze jedno.

Cholera.

– Tak? – zapytałam niewinnie, choć przecież nie chciałam wiedzieć!

– Żeby było jasne, bardzo lubię Hanka.

– Eee... – Co on chciał powiedzieć? – Miło mi to słyszeć.

– Jeśli ci się z nim nie poukłada...

Wytrzeszczyłam oczy, rozdziawiłam usta, a serce mi waliło.

– ...to możesz zacząć wymazywać moje złe dni.

O! Mój! Boże!

Uśmiechał się tak, że serio nie wiedziałam, czy mówi poważnie, czy sobie robi jaja. Odsunął się i dotknął czubka mojego nosa, i chyba nic bardziej nie mogło mnie zaskoczyć niż taki uroczy, czuły gest, stojący w kontraście z jego obliczem zabijaki.

Odszedł, a ja wytoczyłam się spomiędzy półek jak pijana.

– Wszystko dobrze? – spytała Annette z drugiego końca sali.

– Nie – odpowiedziałam.

– Kisiel w majtkach? – dodała bez ogródek.

Dwóch facetów zerknęło na nas ciekawsko od strony kawowej lady.

– Raczej nie – odparłam.

– Ta, jasne!

Dotoczyłam się do kanapy i opadłam na nią bez sił.

– Mówiłem ci, jak tu jest – dosłyszałam rozmowę klientów, którzy wciąż się na nas gapili.

– Nawet nie lubię kawy, a i tak jestem tu codziennie – doszła mnie odpowiedź.

No dobra, starałam się myśleć pozytywnie. Przynajmniej dzień nie zapowiadał się nudno. Mogłam być grzeczna i w ten sposób odwdzińczyć się chłopakom Lee. Wystarczająco dużo kłopotów już im sprawiłam.

– Dobrze się bawicie?? – wrzasnęłam tak głośno, by cała sala słyszała.

W rzeczywistości mówiłam do chłopaków podglądających mnie w biurze.

Nie mogłam wiedzieć o tym, że faktycznie zaśmiewali się do łez!

Daisy przyniosła nam na lunch kanapki. Przyjaciele zdecydowali, że zostaną ze mną

w Fortnum, żeby się nie nudziła.

Wczesnym popołudniem pomagaliśmy Jane sortować książki. Później Tex pokazywał nam, jak przyrządza się jego kawowe specjały. Nie była to jakaś fizyka kwantowa, ale Daisy wypytywała o wszystko, łącznie z tajnikami spieniania mleka, a Tex zachowywał się jak sierżant podczas musztry.

Po tej lekcji baristycznej pojawili się Indy i Lee.

Indy udawała, że ma dobry humor, ale czułam, że coś jest nie tak. Bałam się, że chodzi o Hanka. Był z nią Lee, więc spjrzałam na niego z niepokojem. Bracia byli ze sobą blisko; gdyby coś mu się stało, gdyby ucierpiał na służbie, albo co gorsza z powodu moich spraw, od razu bym to zauważyła. Tak mi się wydawało, ale twarz Lee była nieprzenikniona. Poczulałam niewidzialne dłonie zaciskające się na gardle.

– Możemy pogadać? – zapytał, gdy podeszli do lady.

Przełknęłam głośno, wychodząc do niego; odeszliśmy do kanapy, Lee usiadł i położył jedną nogę na stoliku. Podwinęłam pod siebie stopy, siadając obok niego. Ułożył się wygodnie, dokładnie tak samo jak Hank, gdy pierwszy raz go zobaczyłam.

– Jesteście tacy podobni – rzuciłam jakby podświadomie.

– Słucham?

– Nic, nic...

Mogłabym przysiąc, że czyta w moich myślach.

– Do diabła z tym... – mruknął po chwili, patrząc na mnie.

– Co znowu? – Nie bardzo wiedziałam, o czym mówił.

– Podoba mi się to – rzucił, zadowolony z czegoś, o czym nie miałam pojęcia.

– Czy z Hankiem wszystko w porządku? – zapytałam, nie mogąc znieść niepewności.

– Tak. – Spojrzał na mnie przenikliwie. – Dlaczego pytasz?

– Wyglądałeś tak poważnie, że się zaniepokoiłam.

– Nic mu nie jest, pracuje. Chciał, żebym wpadł z tobą pogadać – rzekł z lekkim uśmiechem.

– Co ci się podoba? – zapytałam, nawiązując do tej uwagi rzuconej mimochodem.

– Co proszę?

– Powiedziałaś „To mi się podoba”. O co chodziło?

– O to, że jesteś zakochana w Hanku – odrzekł, nie owijając w bawełnę. – To bardzo dobrze.

Czy ja zaczynałam panikować?

– Hank umawiał się z taką jedną z liceum, ale była nudna jak flaki z olejem. Wszystkie jego dziewczyny to były nudziary – ciągnął Lee. – A ty jesteś zupełnie inna. Rozrywkowa.

Nie chciałam rozmawiać o byłych dziewczynach Hanka. W ogóle nie chciałam przeprowadzać tej rozmowy.

– Lee, nie mówmy o tym, proszę...

Dał za wygraną, choć ciągle wyglądał na rozbawionego. Po chwili jednak spowaźniał.

– Mamy nowe informacje.

A może jednak pogadalibyśmy o dziewczynach Hanka i mojej rozrywkowości?

– Co macie? – zapytałam cicho.

– Znasz Desmonda Harpera? – spytał.

Pokręciłam głową.

– To ważna persona w Chicago. Dealuje dragami. Flynn był małym trybikiem w jego machinie dystrybucyjnej. Obrobił go i jak się pewnie domyślasz, Desmondowi się to nie spodobało.

– O w mordę...

– Boss chce odzyskać swoją kasę.

– Ile? – spytałam odruchowo.

– Pół miliona.

– Kurwa! – krzyknęłam i wszyscy na mnie spojrzeli. – Pół miliona dolców?

Lee opuścił nogę i pochylił się w moją stronę.

– Roxie, nie ekscytuj się tak.

– Miał pół miliona, a kupował mi chrupki i trzymał w zapyziałej norze? Zabiję tego skurwysyna! – wrzasnęłam.

– Roxie...

– Mógł mnie chociaż związać jedwabną chustą, na pewno było go na to stać! Pieprzony dupek!

– Ro...

– Wiesz co? – Zaczynałam przypominać wkurzoną postać z kreskówki. – Nigdy nie płacił czynszu. Nawet żarcia nie kupował. Co za złamas!

– Roxie!

– Co? Czy on handlował prochami?

– Tego nie wiemy na pewno. Posłuchaj...

– Pewnie tak. Na pewno! Sprzedawał je dzieciakom! Jak mogłam być tak ślepa?

– Posłuchaj mnie w końcu!

– Jestem idiotką! Durną pałą! Powinnam była umrzeć! – Trochę się zagalopowałam. – Nie no, nie tak naprawdę, wiesz, tak w przenośni!

Lee gapił się na mnie, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Co jest? – zapytałam, jakbym przed chwilą nie powiedziała na głos całą masę głupot.

– Z pewnością nie jesteś nudziarą!

Wydałam z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk.

– Jest też dobra wiadomość. – Lee wykorzystał chwilę, w której nabierałam oddech.

O tak, dobra wiadomość to było coś, na co czekałam!

– Marcus umówił się z Harperem. Poleciał do Chicago i dziś rano się z nim spotkał, żeby wyjaśnić mu, że nie jesteś zaangażowana w ten proceder. Marcus zrobił coś jeszcze: powiedział, że obejmuje cię protekcją, więc, chcąc nie chcąc, jesteś pod ochroną innego bossa.

Westchnęłam głęboko.

Może Marcus też składał się z szarych niuansów, a nie tylko z czerni.

– Jest jeszcze i zła nowina.

Zesztywniałam.

– Spuściłem ze smyczy Vance'a i Mace'a.

– Co zrobiłeś?

– Po tym pościgu Vance postanowił powęszyć, o co tak naprawdę z tobą chodzi. Posłałem z nim Mace'a, trochę potropią, trochę ponasłuchują. Mają dowiedzieć się, czego tylko się da, i mieć oczy otwarte na każdego, kto mógłby dla odmiany węszyć za tobą, Flynnna lub kogokolwiek innego. Trafili na Desmonda Harpera w tym samym czasie co gliny.

Przytaknęłam.

– Flynn wkurzał Desmonda już od dłuższego czasu. Teraz Harper jest już nieźle wkurwiony. Gdy Flynn wykiwał jego ludzi, wysłał za nim kolejnych dwóch. A Flynn nie ustaje w ściganiu ciebie.

– No i?

– Pewnie myślą, że namierzą go, gdy znów po ciebie przyjdzie. Trafisz w krzyżowy ogień.

– Nie... – szepnęłam.

– Nie przejmuj się, kryjemy cię przecież. Luke ma cię na oku. Vance węszy za Flynnem. Jest skuteczny, wierz mi. Żeby się nie rozpedził, kazałem Mace'owi go pilnować.

Tego naprawdę było za wiele.

– Lee, muszę wyjechać, muszę stąd zniknąć. Nie mogę angażować tylu ludzi do...

– Tylko spróbuj się stąd ruszyć, to sam cię sprowadzę z powrotem.

Zabrzmiał tak, że nie śmiałam wątpić.

– Nie musisz się dla mnie tak angażować... – argumentowałam.

– To sprawa rodzinna.

– Nie należę do rodziny.

Coś zmieniło się w jego spojrzeniu. Jego oczy kolorem przypominały teraz słodką, rozpuszczoną czekoladę. Uśmiechnął się i niewinnym, pieszczotliwym gestem odgarnął mi włosy za

ucho. Wstał i odszedł w stronę Indy, ucałował ją czule, coś jej szepnął, po czym wyszedł.

– To chyba koniec rozmowy – zauważyłam, gdy usiadła obok mnie.

– Witamy w rodzinie! – odrzekła, kładąc mi dłoń na kolanie.

O rety!

Nie było szans, żebym któregokolwiek z tych koleśi przekonała do moich racji!

– Pozbierałaś się po wczorajszym? – spytałam.

– Tak. A ty?

– Też. Dobrze, że Lee nie gniewa się na mnie za wystawienie cię na niebezpieczeństwo.

– Na nic mnie nie wystawiłaś. A Lee cię lubi. Vance opowiedział mi, jak dzielnie się trzymałaś, gdy cię odnalazł. Pozostałe dziewczyny... – Zawiesiła na chwilę głos. – Powiedzmy, że im zaimponowałaś.

Spojrzałam w podłogę, zawstydzona.

– Chcesz jeszcze kawy? – zapytała.

– Walnęłabym raczej drinka...

– Może whisky? – droczyła się.

Stuknęłam ją w ramię, gdy odchodziła. Patrzyłam, jak zamawia dla nas kawę, a moje serce przepełniało ciepło.

W porze zamknięcia zadzwonił mój telefon; siedziałam akurat obok Duke'a przy książkach.

– Cześć, Słoneczko! – usłyszałam, gdy przyłożyłam telefon do ucha.

Hank. Zatrzepotało mi serce.

– Cześć, Whisky... – powiedziałam łagodnie.

– Jak ci mija dzień?

– Czyste szaleństwo! Ale nauczyłam się parzyć espresso. A co u ciebie?

– Mam nowe tropy. Cały dzień nad tym pracowałem i dziś w nocy zamykamy akcję. Fajnie by było, gdyby nikt cię w tym czasie nie porwał ani nie postrzelił.

– Postaram się – rzekłam z uśmiechem, choć nie mógł tego zobaczyć.

– Mam nadzieję. Indy ma klucze do mnie, poprosiłem ją, żeby ci je przekazała. W domu nie ma prawie nic do jedzenia, ale znajdziesz ulotki z restauracji serwujących na wynos.

– Dzięki, ale mam inne plany. Luke zabiera mnie do Smithiego. Siostra Jet ma dziś swój wielki wieczór. Może przed tym skoczymy całą bandą na kolację.

Cisza.

– Sorry – zaczął Hank po chwili – ale zdawało mi się, że powiedziałaś coś o pójściu do klubu go-go.

– To właśnie powiedziałam.

– Roxanne! – Co za mentorski ton!

– Hank! – spróbowałam podobnego, ale oczywiście mi nie wyszło.

Chyba szykował się do tyrady.

– Czy cokolwiek z tej besztanki, jaką zafundował ci rano Tex, dotarło do twojego cholernego, upartego mózdzku?

Chyba nie bardzo się kontrolował tym razem.

– Obiecałam Jet, że pójdę.

– Na pewno zrozumie, jeśli jednak odmówisz.

– Hank!

– Nigdzie nie pójdziesz.

Zacisnęłam szczękę.

– Właśnie że pójdę! Billy Flynn nie będzie mi więcej ustawiał życia!

– Cholerna uparciucha!

– Żebyś wiedział, do cholery!

Po chwili ciszy rzekł:

– Cały dzień skupiałem się na trudnej sprawie, a w wolnych chwilach usiłowałem ogarnąć twoje trudne sprawy. Zamiast tego jednak kończyło się na wyobrażeniach o tym, w jakich pozycjach cię przelecę, gdy już cię dorwę.

Prawie upuściłam telefon.

– Gdyby nie fakt, że staję mi na samą myśl o tobie, uznałbym cię za wrzód na tyłku!

O w mordunię!

– Whisky...!

– Postaraj się nie roznieść lokalu Smithiego w drzazgi, bo to dobry koleś. Jakakolwiek rozpierduchę mu na dziś szykujesz, nie zasługuje na to!

– Obiecałam Luke'owi, że będę grzeczna! – Uśmiechnęłam się do telefonu.

– Taaa, już to widzę!

Nie wiem, co przez to rozumiał, ale w jakiś niezrozumiały sposób mnie to podnieciło.

– Jeśli wrócisz do domu przede mną, połóż się do łóżka nago. Po ciężkim dniu nie zamierzam się dodatkowo fatygować.

To zrozumiałam aż za dobrze i poczułam ciepło w dole brzucha.

– Uważaj na siebie – powiedział w końcu.

– Ty też – odrzekłam łagodnie, choć przecież przed chwilą w zasadzie się kłóciliśmy. Nie wiedziałam, na czym miała polegać akcja, do której się szykował, ale nie chciałam rozłączać się na fochu.

– Hank? – zawołałam, licząc na to, że jeszcze się nie rozłączył.

– Jestem – powiedział takim tonem, jakby już się do mnie dobierał.

– Hank... – powiedziałam i było w tym jednym słowie więcej uczucia, niż zamierzałam zdradzić.

– Do zobaczenia, kochanie!

Rozłączył się.

– No i wszystko git! – Duke spojrział na mnie.

– Czy aby na pewno?

Skrzyżował ramiona na piersi, opierając się biodrem o ladę.

– Ci faceci potrzebują kobiet, które wejdą w ogień i się nie spalą – zaczął. – A wierz mi, często jest tu gorąco. Potrzebują kobiet, które nie zanudzą ich na śmierć. Takich, które w razie potrzeby są czułe, bo po całym dniu zbierania kopniaków potrzebują wrócić do kogoś, kto jest łagodny i daje poczucie bezpieczeństwa.

No patrzcie!

– Myślisz, że właśnie taka jestem?

– Myślę, że kilka takich by się znalazło na tym świecie. Na pewno jesteś jedną z nich.

No proszę!

– Chyba jednak nie jestem.

– Popełniłaś już jeden błąd, ładując się w nieudany związek. Nie zrób kolejnego.

– Duke...

– Powiedziałas Hankowi, że Flynn nie będzie kontrolował twojego życia, a przecież ciągle mu na to pozwalasz!

Równie dobrze mógłby wałnąć mnie pięścią w brzuch.

– Pora zmądrzeć, mała. – Duke pochylił się w moją stronę. – Inaczej będziesz mieć do siebie pretensje do końca życia.

Zanim zareagowałam, dzwoneczek oznajmił przybycie Toda i Steve'a. Tod taszczył jakiś potężny notes, wyładowany karteluskami i ozdobiony milionem doklejonnych świstków. Rzucił go na ladę.

– Dobrze, że jesteś cała! – Ucałował powietrze ponad ladą, po czym krzyknął pełen pasji:

– Chodź do mnie tutaj, Indio!

Stevie obszedł ladę i cmoknął mnie jak człowiek.

Ciągle rozmyślałam o tym, co powiedział mi Duke, a co wielu przed nim próbowało dać mi do zrozumienia. On trafił w sedno. Nie chciałam, żeby ktokolwiek źle o mnie myślał.

Dziewczyny podeszły do lady. Jason zaszył się gdzieś pomiędzy półkami i nie zamierzał dołączyć.

Tod otworzył swoją księgę na stronach pokrytych próbkami materiałów. Jedna była upstrzona, na drugiej były tylko dwa kawałki tkaniny: pomarańczowy i brązowy.

– Ally doniosła mi, że wybrałaś écru i róż – rzekł oskarżycielskim tonem.

– Tak. Co w związku z tym?

Tod puknął w pomarańczową łatkę.

– Zdawało mi się, że wybraliśmy już ślubne kolory: cytrusy i czekolada.

Pomarańczowo-brązowy ślub? Co za niedorzeczny pomysł!

Stevie rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło jednocześnie: „Wiem!” i „Nie teraz, błagam!”.

Poczułam dłoń na ramieniu. To był Duke. Dotknął mnie i odszedł.

Poczułam ulgę, najwyraźniej nie miał mi niczego za złe. Przymknęłam oczy, opierając się o ladę, i otworzyłam je dopiero na dźwięk głosu Toda:

– Zwołuję specjalne „Spotkanie na Szczycie”. Jutro wieczorem! – oznajmił, po czym spojrzał na Annette. – A to kto?

– Jestem Annette, psiapsiła Roxie.

– Będiesz na wieczorku Daisy? – zapytał, taksując ją wzrokiem. – Masz się w co ubrać? Obowiązuje dress code.

Pokręciła przecząco głową.

– A ty? – Przeniósł wzrok na mnie. – Zdecydowałaś już, czy wyskoczysz na zakupy między strzelaniną a porwaniem?

Również zaprzeczyłam. Ciekawe, czy Luke chętnie pójdzie z nami jutro na zakupy? Według jego zasad będzie musiał włączyć ze mną do każdej przebieralni...

– Jutro wyskoczymy po ciuchy. – Odepchnęłam niewygodną myśl, patrząc na Annette.

– Pieprzyć to! – zdecydował za nas Tod. – Jutro się wystrójcie w Burgundzkiej Posiadłości!

– Przeniósł wzrok na Indy. – Zjawią się jutro na szczycie. Potem je odpowiednio odziejemy. I nie próbuj się ze mną kłócić! Trzeba ci wybić z głowy écru i róż!

– Tod, to mój ślub! – usiłowała coś ugrać Indy.

– Kochana, myślisz, że dostarczałem ci fatalaszki, szampana i buty przez jakiś milion lat dla własnej przyjemności? – zachnął się. – Pora się odpłacić!

– Ojej... – rzekła cicho Jet.

Annette parsknęła śmiechem, Daisy zachichotała. Usiłowałam rzucić Indy jakieś współczujące spojrzenie, ale jej oczy przyłgnęły do Toda.

Ciekawe, co Luke'owi podobałoby się bardziej: polowanie na szmatki czy ślubny szczyt pod dowództwem drag queen?

Uśmiechnęłam się, chyba po raz pierwszy tego dnia.

Zabrzmiał dzwonek i wszystkie głowy odwróciły się w stronę drzwi.

To był Luke.

– Ojej, chyba mam kisiel w majtkach! – szepnął Tod.

– Co ty nie powiesz... – zgodziła się Annette.

– Pora na kolację – zarządził Luke tym swoim nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Muszę lecieć! – Chwyciłam torebkę.

– Smithie, o dziewiątej! – krzyknęła za mną Jet.

Skinęłam do niej, pomachałam na pożegnanie i podeszłam do Luke'a.

– Możemy iść.

Obrzucił mnie uważnym wzrokiem i uśmiechnął się po swojemu. Za mną rozległo się grupowe

westchnienie. Luke chwycił mnie za łokieć i wyprowadził.

– Załóż coś z cekinami! – dosłyszałam jeszcze głos Daisy.

Nie było dokąd uciekać...

Rozdział dziewiętnasty

Mężczyźni z Denver

Luke zabrał mnie do Lincoln's, który to lokal był najwidoczniej ulubioną stołówką detektywów. Przy kolacji za wiele się nie odzywał, co niespecjalnie mnie zdziwiło. Ja za to paplałam za dwoje.

Potem pojechaliśmy do Indy odebrać klucze do domu Hanka.

Nie mogła się zdecydować, w co się ubrać, Daisy narzuciła dress code, z którym Indy najwyraźniej sobie nie radziła. Nie chciała prosić Toda o kolejną pożyczkę ciuchów.

Przez pół godziny przewalałyśmy fatalaszki w poszukiwaniu czegoś błyszczącego i gdy już prawie zdecydowałyśmy, zjawił się Luke. Bez słowa wziął mnie za rękę i wywłókł z domu. Najwyraźniej miał dosyć czekania na mnie w firmowej furze.

Ja nie miałam problemu z wyszukaniem świecących szmatek.

Byłam Królową Brokatu!

Zrobiłam dramatyczny makijaż: smoky eye, ciemna pomadka, na szyi i dekolcie rozświetlający gwiazdny pył.

Włożyłam czarny asymetryczny top, który wyglądał na niedokończony przez krawcową. Jeden rękaw zakrywał ramię, drugi swobodnie opadał w dół z szerokiego dekoltu, obnażając obojczyk. Skrawki materiału, jakby niechlujnie przyszyte, były ozdobione błyszczącymi paciorkami. Do tego spodnie z szerokimi, nabijanymi jetami nogawkami, brzęczące bransolety i długie kolczyki. Włosy zebrałam w pozornie niedbały kok i spryskałam się perfumami.

Wyszłam z łazienki cała wysztafiowana i spojrzałam na łóżko Hanka, na którym w najlepsze leżeli Luke i Shamus. Co to był za obrazek!

– O matko, bosko... – szepnęłam, patrząc na Luke'a, który leżał z rękami pod głową.

Jego powieki się uchyliły, po czym zlustrował mnie powoli i szepnął:

– W mordę...

Otrząsnęłam się.

– Gotowy? – zapytałam, choć to raczej on powinien zapytać.

– Boso? – Spojrzał na moje stopy.

– Wiedziałam, że czegoś brakuje! Czekaj chwilę!

Przetrzęsłam chyba wszystko w graciarni, zanim znalazłam w bagażu to, czego szukałam. Do małej czerwonej zamszowej torebki zapakowałam kosmetyki do poprawek, karty kredytowe, trochę gotówki i przepustki, które dostałam od Jet.

Wybrałam jedną z czterech par od Jimmy'ego Choo, czerwone szpilki ze skóry węża, kupione na internetowej aukcji, dość drogie, ale warte każdego grosika. Na ramiona zarzuciłam czerwony szal. Wyszła z tego diablo seksowna stylówka.

Luke stanął w drzwiach, patrzył na mnie bez słowa przez długą chwilę, po czym rzekł:

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w kawiarni?

– Całkiem sporo tam powiedziałeś – odrzekłam, bo mimo że nie użył wielu słów, mnóstwo w nich było treści.

– Ostatnią część rozmowy.

Przytaknęłam.

– Żartowałem sobie wtedy.

Odetchnęłam, coraz bardziej zdenerwowana.

– Rozmyśliłem się.

Nie nadążałam za nim, bo teraz brzmiało to zupełnie bez sensu.

– Nie rozumiem.

– Wcale nie żartowałem.

Matko Boska Przenajświętsza!

– Czy ty flirtujesz ze mną w salonie Hanka...?

– Ja nigdy nie flirtuję.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– A właśnie tak to wygląda.

– Flirtowałbym, mówiąc, że masz ładne oczy. A tego nie mówię. Mówię za to, że jeśli nie wyjdzie ci z Hankiem, chcę cię widzieć w moim łóżku. To żaden flirt.

Gapiałam się na niego.

Racja, to żaden flirt.

Zrobiłam groźną minę, ale pozostał niewzruszony.

– Mężczyźni w Denver są popieprzeni! – rzekłam, patrząc w sufit.

– Mężczyźni w Denver są po prostu mężczyznami – podsumował, wyciągając mnie z domu za rękę.

Kolejka przed lokalem zakręcała aż za budynek. Wejście obstawione było przez wykidajłów w czarnych skórach i zagrodzone czerwoną liną.

Luke zaparkował przed samym wejściem, w niedozwolonym miejscu.

– Tu nie wolno parkować! – rzucił bramkarz, zbliżając się.

Wyciągnęłam przepustkę z torebki, a gdy facet podszedł zbyt blisko, Luke sugestywnym gestem złożył dłoń na jego piersi.

– Nie – rzekł Luke ostrzegawczym tonem, przygarniając mnie do siebie.

Ochroniarz najwidoczniej odebrał jakiś przekaz podprogowy, bo ustąpił nam z drogi i najwyraźniej nie miał już nic przeciwko złemu parkowaniu.

Drugi z bramkarzy otworzył przed nami drzwi na widok przepustek.

Gdy drzwi się za nami zamknęły, rzuciłam do Luke'a:

– Facet tylko robił swoje!

– Ja też – odrzekł.

Cóż więcej było mówić...

– Heeeej, tutaj! – usłyszałam wołającego nas Toda.

Bałam się, że klub będzie dość obskurny, ale byłam przyjemnie zaskoczona. Nowe meble, kolorowe światła, chromowane rury do tańca i czerwony neon nad barem, a do tego cała męska kadra wyglądała jak pracownicy Lee. Czarne postaci przemykały w półmroku.

Panował ścisk. Na scenie półnagie, naoliwione tancerki wyginały się w rytm głośnej muzyki, a ilość banknotów powtykana za ich stringi wskazywała na to, że publiczności bardzo się podobały ich popisy.

Nie licząc moich przyjaciółek, wokół byli sami faceci.

Luke delikatnie popchnął mnie w stronę dwóch złączonych okrągłych stolików po prawej stronie sceny, gdzie zgromadzili się nasi znajomi: Indy, Ally, Daisy, Annette, Jason, Tod i Stevie. W głębi dostrzegłam wujka i Nancy oraz Tracy i Adę, jej przyjaciółki. Pozostałych osób nie rozpoznałam, jakaś kobieta z odrostami w czarnych włosach i niedopałkiem zwisającym z wargi i włochaty olbrzym, przy którym Tex wyglądał jak uczeń. Obok niego siedziała roślina kobieta z ogromnym afro, w mroku połyskiwały tylko jej brązowe oczy.

– Słodziutka, ty to umiesz zadać szyku! – zapiszczała Daisy, gdy zdjęłam z ramion szal.

– I wzajemnie! – Uśmiechnęłam się do niej.

Dosłownie. Obnażony dekolt i włosy Daisy aż skrzyły się od brokatu.

– Czy to Jimmy? – zapytał Tod, patrząc na moje stopy.

– A jakże!

– Mam numer, do którego będą pasować idealnie! Nie wiem jeszcze, jaki to numer, ale znajdzie

się taki na pewno!

– Pożyczę ci – zapewniłam go.

– Dziunia, jesteś od teraz moją nową najlepszą psiapsiową! – Posłał mi całusa, po czym spojrzał wymownie na Indy.

Złowiłam też spojrzenie wujka, które mówiło jednoznacznie, że balowanie w klubie go-go to nie jest idealny sposób na spędzanie wieczoru przez dziewczynę ściganą przez chorego psychicznie byłego faceta. Nancy uważała chyba inaczej; puściła do mnie oczko i pomachała.

Jet wstała i wzięła mnie za rękę, po czym wskazała na nieznane mi osoby:

– To moi przyjaciele: Lavonne, Niedźwiedź i Shirleen. A to Roxie i Luke.

– No, dziewczyno, ależ masz gust! Spójrzcie no na tego kolesia! Moje oczy mają wzwód, gdy na niego patrzę! – rzekła Lavonne, patrząc na Luke'a, potem przerzuciła wzrok na mnie, mrużąc oczy w dymie. – Nieźle, młoda!

– To nie jest mój facet – poinformowałam ją, ale chyba mi nie uwierzyła, bo Luke wciąż obejmował mnie w talii.

– Na pewno nie twój facet? – spytała.

– Ochroniarz – rzekł Luke, jak zwykle kwieciście.

– Jesteś celebrytką? – Oczy Lavonne się rozszerzyły.

– Nie. Ściga mnie były, a jego ścigają jacyś zbójce. Luke ma się upewnić, że nie wpadnę w krzyżowy ogień.

– Dopilnujesz, żeby i nam się przy okazji nie dostało? – To Niedźwiedź się wtrącił.

– Skupiam się na Roxie – odparł Luke z brutalną szczerością.

Niedźwiedź zamruczał adekwatnie do imienia.

– To akurat widać – skwitowała Lavonne, a niedopałek nawet jej się nie odkleił od wargi.

Zanim zdążyłam zareagować, Luke obrócił mnie i zasłonił swoim ciałem, gdy jakiś wielki czarny facet pokłusował w stronę Jet.

– Twoja siostra zaczyna robić po nogach. Idź tam i coś jej powiedz, bo ja tu mam ważnych gości do ogarnięcia! Jest nawet senator! Ona nie może się teraz wycofać! Nie może... – Zawiesił głos, przyglądając się Luke'owi.

– A ten to, kurwa, kto?

– To Luke. On... – zaczęła Jet, ale wszedł jej w słowo:

– Już ja znam takich jak on! Mają na imię kłopoty! – rzekł facet, patrząc groźnie na Luke'a.

– Wypierdalaj stąd!

Mogłabym przysiąc, że powietrze wokół Luke'a zawibrowało od gromadzącej się morderczej energii.

Nie wiem, co mną kierowało, ale wyszłam przed niego i zaszcebiotałam słodko mocno akcentowanym głosikiem słodkiej idiotki, unoszącej ton na końcu zdania, choć wcale nie zadaje pytań:

– No czeeeeś, jestem Roxie. Przyjaźnię się z Jet? – Uwiesiłam się na ramieniu Luke'a. – A to mój narzeczony? Nie przyszedł to gapić się na panienki, prawda? – Rzuciłam „narzeczonemu” uśmiezek i zwinęłam buzię w ciup. – Prawda, bubusiu?

Luke spojrzał na mnie, ewidentnie rozbawiony, i ustawił się tak, że teraz moje piersi przylegały ściśle do jego ciała.

Odwróciłam się w stronę zaniepokojonego czarnego faceta:

– Przyszliśmy obejrzeć zajebistuni debiucik Lottie!

– Ciebie znam! – Nie odrywał ode mnie wzroku. – Narzeczony, akurat! Lottie się wygadała! Całe Denver wie, kim jesteś! Kurwa! Szlajasz się z Nightingale'em! – Wymierzył palec w Jet. – Jak będzie chryja, to twoja wina!

I odczytał się tam, skąd przyszedł.

– To był Smithie – poinformowała mnie Jet. – Niegroźny, serio.

Może wujek Tex miał rację, mówiąc, że Jet ma trochę nie po kolei...? Znowu przyklusował Smithie, tym razem celując palcem we mnie.

– Tańczysz? – zapytał.

– Czy tańczę? – Spojrzałam na niego ogłupiała.

Wskazał na scenę.

– No w mordę...

– Nie, w mordę, nie tańczy! – zaprotestował Luke.

Smithie wyrzucił w górę ręce w bezradnym geście i znowu spojrzał na Jet.

– Kolejny, kurwa, świętojebliwy! Przeciwnicy striptizu! Szlag!

Annette wychyliła się zza stolika.

– Ja tańczę! Macie jakiś konkurs talentów czy jak?

Smithie spojrzał na nią.

– Wystarczy, że umiesz się ruszać, kobieto. Umiesz się ruszać?

Jason zbladł.

– Umiem się ruszać! – potwierdziła hardo Annette.

– Skoro tak, to za miesiąc będziesz jeździć porsche!

– Nie chcę porsche, wolę mieszkanie w Breckenridge – uświadomiła go Annette.

– Na coś takiego to musisz zapracować tańcami jeden na jeden – wyjaśnił Smithie.

Jason wyglądał tak, jakby za moment miał puścić pawia.

– Tego chyba nie chcę... – zmitygowała się Annette.

– Jak tam sobie życzysz. Jeśli tylko robieranko, to wpadnij jutro, zrobimy cię na bóstwo!

Nie znałam Smithiego, ale wyglądał na podkreconego perspektywą robienia Annette na bóstwo.

Szturchnęłam Luke'a w ramię.

– Zrób coś – syknęłam.

– Co niby?

– Nie wiem, cokolwiek! Jason zaraz padnie!

– Jego problem.

– Ale super! – wrzasnęła Annette.

– Jezusku... – szepnęłam, jakoś tak odruchowo składając głowę na ramieniu Luke'a.

– Co tam, kociaku? – szepnął.

Momentalnie otrzeźwiałam i odsunęłam się od niego.

– Słusznie – mruknął.

– Muszę się napić – rzuciłam w stronę stolika.

– Chodź do mnie, siadaj przy Shirleen! – zawołała czarna kobieta.

Rzuciłam torebkę na stolik, powiesiłam szal na oparciu krzesła, a Luke stanął za mną.

– Dajcie dziewczynie coś do picia! Co byś chlapnęła? Ja piję appletini, wchodzi głodziutko i jesteś zrobiona na cacy, zanim zdążysz mrugnąć!

– Brzmi nieźle! – zgodziłam się na jej wybór; szczególnie to o zrobieniu się na cacy do mnie przemówiło.

Shirleen strzeliła palcami i jakby za sprawą magii pojawiła się kelnerka odziana w zgrabną tuniczkę z czerwonym logo klubu. Spod rąbka wycierała czerwona mini, a całości dopełniały zabójcze sandały z czarnych paseczków skóry. Wyglądała szalowo.

– Przynies no mojej dziewczynce appletini i jeszcze jedno dla mnie! – zażądała nosowym głosem, po czym machnęła afro, odwracając się do mnie. – Jet wspominała, że masz kłopoty z jakimś siusiakiem?

– Można i tak to nazwać.

– No to opowiedz Shirleen wszystko!

– A o którego siusiaka konkretnie ci chodzi? O walniętego byłego, który nie może odpuścić, o zbójów, którzy mnie ścigają i do mnie strzelają, czy o tego właściwego, którego złapałam i nie chcę stracić?

– To ile tych siusiaków trzymasz w garści, mała?

– Tylko te – rzekłam, zerkając kontrolnie na Luke'a. – Póki co.

– Na szczęście mamy całą noc na gadanie. No chyba że faktycznie przyszłaś tu, żeby pooglądać gołe dupki...?

Pokręciłam przecząco głową.

– Przyszłam, żeby wesprzeć Jet.

– No to nawijaj!

Zaczęłam nawijać.

Trzy appletini później byłam już totalnie wyluzowana.

Jet udało się uspokoić Lottie. Tod wysepił ode mnie buty i naprawdę na niego pasowały. Wybuchła żarliwa dyskusja, do którego numeru powinien je założyć. Nikt nie zdołał sprowadzić Annette na dobrą drogę, naprawdę zamierzała się rozbierać. Tex znowu się do mnie nie odzywał. Shirleen natomiast uspokoiła mnie w kwestii Hanka, twierdząc, że zna go od małego, i zaczęłam się zastanawiać, czy w Denver żyje tylko kilkadziesiąt osób i wszystkie się znają. Stwierdziła, że jeśli go zostawię, to mogę jechać prosto do psychiatryka.

W powietrzu iskrzyło. Brody’emu by się tu spodobało. Im dłużej czekaliśmy na występ Lottie, tym bardziej wzrastało napięcie, aż prawie iskry zaczęły latać w powietrzu.

Wtem przygaszono światła.

Smithie wkroczył na scenę.

– Panowie... o cholercia... – spojrzał w naszą stronę – i panie! Przed wami Lottie Mac!

Przez tłum przebiegło dzikie wycie.

W mordę, gdybym to ja miała wyjść na scenę, też pewnie zmiękłyby mi kolana.

Na moment zrobiło się zupełnie ciemno i cicho, usłyszeliśmy tylko krótkie „Kurwa!” rzucone przez gospodarza gramolącego się po ciemku ze sceny, a gdy znowu się rozjaśniło, w kręgu światła stała Lottie.

Była tak ładna jak Jet, ale miała większe cycki, mocniejszy makijaż i ciało, za które mogłabym zabić. Miała na sobie złote, wyszywane świecidełkami bikini, za które oddałabym nerkę, i złote sandaalki, ale poruszała się tak, jakby była bosą.

A ruszać się umiała, oj, tak!

Powiedzieć, że nieźle tańczyła, byłoby wielkim niedomówieniem. Rozruszała ciało, rozruszała rury, rozruszała tłum. Była tańcem wcielonym, a nie jakąś tam debiutantką na scenie.

Pierwszy utwór ucichł i tłum zamarł, ale gdy tylko rozległy się dźwięki kolejnego, rozległ się huczny aplauz. Daliśmy się porwać, klaskaliśmy, wyliśmy i zachęcaliśmy ją okrzykami.

Gdy Lottie zjechała po rurze głową w dół, przytrzymując się jedną nogą, przybiłyśmy z Shirleen piątkę, jakby i nam udzieliła się jakaś siostrzana moc.

Lottie była mistrzynią. Gdy wybrzmiewał ostatni dźwięk, sięgnęła za plecy i zrzuciła górę od bikini, ale nie minął nawet ułamek sekundy, podczas którego mignęły jej imponujące piersi, światła znów zgasły. Gdy znów się zapaliły, na scenie były już tylko etatowe tancerki.

Tłum oszalał, wszyscy zerwali się z miejsc. Zanim rzuciłam się pod scenę, poczułam na ramieniu dłoń Luke’a i usłyszałam jego szept: „Spadamy!”.

Odwrociłam się gwałtownie.

– Widziałeś to? Ale super! – krzyknęłam. – Ja też chcę zatańczyć! Chcę takie bikini! Lottie to mój wzór!

Mój głos ledwie się przebijał przez rumor, jaki wznosił rozochocony tłum.

Palce Luke’a zacisnęły się wokół mojej ręki.

– Idziemy! – powtórzył.

– Ale ja się tak dobrze bawię...! – zaprotestowałam.

Wyciągnął mnie zza stolika.

– Tu nie jest bezpiecznie. Spadamy.

– Luke!

Przyciągnął mnie zbyt blisko, pewnie po to, by nie musieć przekrzykiwać tupiącego, skandującego imię Lottie tłum. Spojrzałam mu w twarz i nie było na niej ani uśmiechu, ani chęci do flirtu. Był śmiertelnie poważny.

– Nie stawiaj się, bo się policzymy. Wychodzimy.

Nie zamierzałam się stawiać. Zgarnęłam swoje rzeczy i zebrałam się do wyjścia.

Poczułam to. Tłum nie był rozgrzany, on płonął. Dwie piosenki to było zdecydowanie za mało, chcieli, żeby Lottie zdarła stopy i uda do krwi. Inni też to zauważyli. Tex już ponaglał Nancy do wyjścia. Odwrócił się do mnie i krzyknął: „Jazda!”, podczas gdy Trixie i Jason wyprowadzali Adę. Tod i Stevie torowali nam drogę. Indy, Jet, Ally i Annette podążały w stronę bocznego wyjścia.

Shirleen, Lavonne i Niedźwiedź nigdzie się nie wybierali, siedzieli, sącząc drinki, jakby byli u babci na pączkach. Może nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa? Shirleen krzyknęła w moją stronę:

– Słuchaj ochroniarza, mała! O Shirleen się nie martw. To nie miejsce dla takiej delikatnej ślicznotki. Nabiorą smaka i cię pożrą!

Gdy Luke ciągnął mnie ze sobą, usłyszałam jeszcze jej głos:

– Wpadnij jeszcze do Shirleen. Jet cię przyprowadzi!

Tłum gęstniał. Pojawili się bramkarze i obstawili scenę.

Luke poinstruował mnie:

– Złap się mojego paska i trzymaj tuż za plecami, głowa nisko! Spadamy!

W połowie drogi do wyjścia zatrzymał się.

– Dokąd zabierasz tę ślicznotkę? – dosłyszałam, ale nie wiedziałam, kto mówi.

– Z drogi! – Głos Luke’a to było czyste ostrzeżenie.

Każdy przy zdrowych zmysłach na dźwięk takiego głosu by się odsunął.

– Niech ci się... – zaczął znowu głos kogoś, kto ewidentnie chciał zginąć, i nagle poczułam, jak Luke wykonał krótki, gwałtowny ruch.

– Patrz pod nogi! – upomniał mnie i gdy zerknęłam w dół, zobaczyłam delikwenta, który teraz leżał nieprzytomny na podłodze.

Tłum jakby się przed nami rozstał.

Luke wsadził mnie do auta, przeskoczył maskę i usiadł za kierownicą.

Gdy zapuszczał silnik, szepnęłam:

– Martwię się o pozostałych. I o Lottie. To nie wyglądało dobrze.

– Bo nie było dobrze – odparł, wybierając numer na wmontowanym telefonie.

Gdy wycofywał, z podsufitki rozległ się głos:

– Co tam?

– Powiedz Lee, że jego pani ma kłopoty. U Smithiego.

– Jasne – potwierdził głos.

– Pani Eddiego również.

– Jasne.

– I jej siostra.

– Mam.

– Bez odbioru.

Rozłączył się.

– I to tyle? – zapytałam, gapiąc się na martwy telefon.

– Mam chronić ciebie, nie innych.

– Ale...

– Lee się tym zajmie.

– Ale Annette, moja przyjaciółka, też tam została.

– Przecież była z facetem.

– Tak, ale Jason nie potrafi powalić kogoś jednym ciosem! – Zaczynałam panikować.
– Musimy po nich wrócić!

- Nie wracamy.
- Musimy zawrócić!

Cisza.

– Jason to pacyfista. I liberał! I wegetarianin! W normalnej sytuacji jakoś by się ogarnął, ale to jest kryzys! Jesteś przy nim jakimś herosem. Nikt z tobą nie zadrze, bo masz kozacką brodę! Wracajmy!

- Kotuś?
- Co?
- Zamknij się!

Zatrzymaliśmy się na światłach i wykorzystałam chwilę, żeby zadzwonić do Annette.

– No co tam, sunia? – zapytała rezolutnie.

– Wszystko okej?

– No pewnie! Tu jest Armagedon! Zajebicie! Lottie zaraz machnie wczesny bis, uwielbiają ją! To była petarda, no nie? Podobno to Daisy nauczyła Lottie tych wszystkich sztuczek! I mnie też nauczy!

– Z dziewczynami okej?

– No rejczel! Pijemy szampana w garderobie. Tod i Stevie wyszli, no wiesz, nie ma ptaszków do oglądania. Jason właśnie wrócił, odprowadzał panie starsze do auta. Jest moc!

Zamknęłam oczy, czułam ulgę.

– Jutro pogadamy – rzuciłam do telefonu.

– Nara!

Klik.

– Nic im nie jest. Popijają szampana w garderobie.

Brak odpowiedzi.

– Chyba wszystko się unormowało, może niepotrzebnie uciekliśmy?

Wciąż cisza.

Trochę mi było szkoda. Moi przyjaciele świetnie się bawili, a ja jechałam do domu. Też chciałam chlapnąć szampana, albo przynajmniej jeszcze jedno jabłkowe martini. No i polubiłam stukniętą Shirleen.

– Moglibyśmy wrócić? Lottie będzie jeszcze tańczyć, nie chcę przegapić. Może już jest bezpiecznie.

Wtedy właśnie minęły nas dwa radiowozy na pełnym gazie, migając światłami i wyjąc syrenami, pognały w stronę klubu.

Odwróciłam się, usiłując dojrzeć przez tylną szybę, czy może jednak pognały dalej, ale zatrzymały się przed lokalem.

Luke ruszył na zielonym i po chwili zjechał na bok, przepuszczając kolejny radiowóz.

– W mordunię... – wymruczałam.

– Co tam mówiłaś?

Rety.

Otworzyłam drzwi, ale Luke kazał mi zostać w progu i sprawdził dom. Zapaliliśmy światła i otworzyliśmy tylne drzwi, żeby wypuścić Shamusa. Bez słowa patrzyliśmy, jak załatwiał potrzeby na trawniku, po czym grzecznie wtoczył się z powrotem. Luke zamknął drzwi na zamek.

Cholera.

Byłam tu z nim całkiem sama.

– Może kawy? – spytałam asekurancko.

– Ta – odrzekł.

Zmielełam ziarna i zaparzyłam cały dzbanek.

Nie miałam pojęcia, jak długo mieliśmy czekać na Hanka, a Luke najwyraźniej nie zamierzał

zostawić mnie samej do jego powrotu. Zapowiadała się długa noc, więc potrzebowaliśmy hektolitrow kawy. Staliśmy przy barku śniadaniowym.

Postanowiłam zarzucić jakiś neutralny temat.

– Gdzie dostałeś kulkę?

– W brzuch.

Bosz. Nawet ja wiedziałam, że to nie były przelewki.

– Już wszystko dobrze?

– Już pytałaś.

Zaczynałam się wkurzać, ale nie wiedziałam czemu.

– To słabo! Złapali tego kogoś?

– Ta.

– Świetnie! – Chyba wchodziłam w tryb matki kwoki. – Powinieneś nosić kamizelkę kuloodporną. Nawet dziś. Kto wie, co cię może spotkać, to powinno być standardowe wyposażenie.

– Miałem kamizelkę. To była przeciwpancerka kula.

Szczęka mi opadła.

– Czy taka amunicja jest w ogóle legalna?

– Strzelał do mnie ktoś, kto nie dbał o przestrzeganie prawa.

Luke opuścił wzrok na psa, który siedział na moich stopach. Głaskałam go po głowie.

– Pies cię zaakceptował.

– Jest przyjazny, chyba lubi wszystkich.

– Ale to przy tobie siedzi.

To o czymś świadczyło.

Spojrzałam na psa, on na mnie. Potarrosiłam go czule, przytulił się do moich nóg.

Gdy ponownie spojrzałam na Luke'a, znów się uśmiechał w ten wściekle seksowny sposób.

– Co jest? – spytałam.

– Hank ma przesrane.

– Co to niby ma znaczyć?

– To, że masz go pod butem.

– Że co proszę?

Podszedł do mnie; nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Sięgnął ponad moją głowę po kubek, postawił go na blacie i spojrzał na mnie, przekrzywiając głowę.

Wstrzymałam oddech.

– Możesz iść spać.

– Mogę?

– Ta.

– A ty? Co będziesz robił?

Cisza.

Weszłam w rolę dobrej gospodyni.

– Nie mogę iść spać i zostawić cię tu, żebyś się nudził.

– Przywykłem.

– Głupio mi.

– Idź spać – zakomenderował.

Nie bardzo mi wychodziło słuchanie rozkazów.

– Dotrzymam ci towarzystwa – zaofiarowałam się.

– Małenka... – Zmrużył oczy. – Nie wpięprzę się pomiędzy ciebie i Hanka, póki wam się układa.

Chociaż tyle dobrego.

– Więc nie przeginaj – dokończył.

W mordę.

– Idę spać – powiedziałam, jakby to była moja decyzja.

– I dobrze.

Odsunęłam się, powiedziałam grzecznie „Dobranoc!” i zabrałam psa do sypialni. Rozebrałam się, zmyłam makijaż i zostałam w zawieszaniu.

Hank chciał mnie znaleźć w łóżku na golasa i taki scenariusz mnie również odpowiadał. Ale co by powiedział, wiedząc, że leżałam nago w łóżku, podczas gdy Luke snuł się po domu? A co gdyby nagle musiał wpaść do sypialni w razie kłopotów?

Założyłam tylko różową górę od piżamy, tę z koronką. Postanowiłam odpuścić przeszkodę w postaci majtek.

Wskoczyłam do łóżka, Shamus za mną i gdy już oboje się umościliśmy, zapadliśmy w sen.

Rozdział dwudziesty

Jak biegun północny

Shamus zerwał się z łóżka. Odruchowo przesunęłam się w ciepłą nieckę, która po nim została, i wtedy poczułam, jak materac ugina się pod ciężarem ciała Hanka. Przyciągnął mnie do siebie. Miałam wrażenie, że śpię od wielu godzin. Przez szparki w powiekach zobaczyłam tylko ciemność, więc na powrót je zamknęłam. Poczułam usta na ramieniu.

– Whisky?

– To ja. – Szepnął w moje ramię.

Jego dłoń posuwała się w dół, od talii na biodro.

– Jak ci dziś poszło?

Nie odpowiedział. Jego usta zawędrowały na moją szyję, poczułam dotyk języka. Zadrżałam i zrobiło mi się gorąco.

– Dorwaliśmy ich – szepnął w moją szyję.

– To dobrze. – Przeszył mnie kolejny dreszcz.

Czułam, jak podciąga mi w górę koszulkę i maca dłonią w poszukiwaniu bielizny, a gdy jej nie znalazł, jego ręka zamarła.

– Niech to... – mruknął.

Szok trwał sekundę, po czym jego dłonie obróciły mnie i przyciągnęły do jego ciała. Czułam je na swoich pośladkach.

Pocałował mnie tak łapczywie, jakby zamierzał mnie zjeść. To wystarczyło, żeby mnie rozgrzać do czerwoności, oddychałam z trudem. Przetoczyliśmy się po łóżku, znalazł się na górze i wylądował pomiędzy moimi odruchowo rozsuwającymi się udami. Oplotłam go w pasie jedną nogą. Nieustannie mnie całował, aż zakręciło mi się w głowie, a jego palce upewniały się, czy na pewno jestem już gotowa na przyjęcie go.

– Hank... – szepnęłam, po czym zassałam jego rozkoszną dolną wargę i nie przerwałabym tej pieszczoty nawet za milion dolarów.

W ciągu sekundy jego palce się cofnęły i wypełnił mnie czymś innym. Poruszał się zdecydowanie, posuwistymi ruchami. Myśl, że przeze mnie prawie przestał się kontrolować, bardzo mi się podobała. Uniosłam nogi, poruszałam się razem z nim. Szeptałam mu do ucha, wplatając palce w wilgotne włosy nad jego karkiem, ale po chwili już nie byłam w stanie mówić.

Skończyliśmy równocześnie, poczułam rozkoszny skurcz w najgłębszych partiach ciała, nasze usta odsunęły się na tyle tylko, byśmy mogli nawzajem spijać swoje przyspieszone oddechy.

Przez chwilę trwaliśmy bez ruchu, po czym Hank przeturlał się na plecy, nie pozwalając naszym ciałom się rozłączyć. Wtulałam twarz w jego szyję, a on wciąż nie zdjął dłoni z moich pośladków.

– Niech to... – szepnęłam, smakując jego skórę.

Palce się zacisnęły.

– Nie zrobiłem ci krzywdy? – zapytał po chwili.

– No coś ty! – odparłam.

Dłonie powędrowały w górę, jedna na plecy, druga na szyję.

– Roxie, kompletnie mnie rozbrajasz... – szepnął mi do ucha.

Nie odpowiedziałam, leżałam bez ruchu. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, i jakoś dziwnie niepokojący był sam fakt, że taki facet jak Hank przyznał się do tego. To było jedno z tych stwierdzeń, które odmieniały życie.

– Myślałam, że jesteś jeszcze nabuzowany po złapaniu bandziorów – powiedziałam po chwili.

– Trochę też. Ale nakręcało mnie to, co znajdę po powrocie do domu.

Mój Boże!

– A fakt, że nie miałaś na sobie majtek...

To faktycznie nieco przyspieszyło bieg wydarzeń.

Przetoczyliśmy się na bok.

– Musimy porozmawiać – wymruczał, dotykając mojej twarzy.

– Przecież rozmawiamy – zauważyłam.

– Nie jakieś łożkowe gadki. Musimy porozmawiać poważnie.

O nie! Nie byłam przygotowana na taką rozmowę.

– Późno już, pewnie jesteś zmęczony i...

– Czuję, że mi się wymykasz, choć pozornie jesteście coraz bliżej – zaczął.

Znowu zaczynałam drżeć, tym razem ze strachu. On naprawdę czytał w moich myślach!

– Hank...

– Nie chcę tego mówić tak samo, jak ty nie chcesz tego słuchać – nie dał mi dojść do głosu – ale powiem ci jedno o Flynnie. Nie rozdzieli nas.

Wstrzymałam oddech.

– Przestań...

– To nie tak. Nie jestem taki! – Zaciśnął dłonie wokół mojej talii. – Nigdy bym cię nie skrzywdził, kochanie.

Drżałam, jakby było mi zimno, więc objął mnie mocniej.

– Jesteśmy jak ogień i woda, ty i ja – powiedziałam.

– Wiem, Słoneczko.

– Jesteśmy z innej gliny.

– Roxie, wiem to.

– Z Billym nigdy nie było tak jak z tobą.

– Kochanie...

– Ale przez niego nie mogę z tobą być.

Tym razem to on zamarł.

– Że co proszę?

Musiałam w końcu to z siebie wyrzucić, żeby zrozumiał raz na zawsze.

– To zawsze będzie wisieć nad nami. To, że wiesz, co mi zrobił, to, że mu na to wszystko pozwalałam, to, że was porównuję, że porównuję to, co jest między nami, do tego, co było pomiędzy mną a nim. To nas splami, zbruka. To wszystko popsuje.

– Roxanne...

– To wszystko toczy się zbyt szybko. Chciałam czasu dla siebie po pozbyciu się tego drania. Potrzebuję czasu, by zmyć z siebie mentalny brud, odzyskać poczucie własnej wartości. A tymczasem wpakowałeś się w sam środek tego bagna i nie mogę tego znieść. Billy mnie zbecześcił, nie mogę pozwolić, żeby zbecześcił i ciebie!

– Roxanne, czy możesz zamilknąć choć na...

– Nie chodzi o to, żebyś nie oglądał mnie brudnej i przykutej do umywalki. Już zawsze będę dla ciebie w szarej strefie, a ty jesteś biały jak śnieg.

Skamieniał.

– Roxanne! – Jego ton również był twardy jak skała, przeciął moim imieniem powietrze jak stalowym ostrzem.

To było ostrzeżenie, ale ja byłam zdeterminowana, by to wszystko z siebie wyrzucić.

– Nasza historia skończyła się, zanim nawet się zaczęła.

Przygniótł mnie swoim ciałem i huknął:

– Cisza!

To było jak wybuch petardy.

Czułam w ciemności, jak świdruje mnie wzrokiem.

– A jednak rozmawiałaś z Jet – potwierdził bardziej, niż zapytał. – Ja też sobie z nią pogadałem.

O wewnętrznej walce, o wspólnych znajomych, którzy być może rozprawdzają prochy, zajmują się hazardem albo mordują ludzi.

O w mordę, o kim on mówił? Co to musiała być za rozmowa?

– To, co uważam o takich osobach, zrozum to raz na zawsze, nie ma nic wspólnego z tobą.

– Hank...

Teraz on był ewidentnie wściekły i nie pozwalał sobie przeszkodzić.

– Naucz się w końcu trochę sobie pobłażać. Ciągłe sobie dosrywasz, nawet gdybym spróbował uprzykrzyć ci życie tak, jak sama je sobie uprzykrzasz, tobym nie potrafił. Jezu!

– Nie rozumiesz...

– Chyba jednak, do cholery, rozumiem!

– Wcale nie! – naciskałam. – Nie wiesz, jak to było, jak moi przyjaciele patrzyli na Billy'ego i udawali, że go tolerują, choć wiedzieli, że jest zwykłym ścierwem. Wszyscy się pewnie zastanawiali, co ja w nim widziałam, dlaczego jestem z kimś takim.

– To dlaczego byłaś? – zapytał Hank.

To było jak policzek.

– Złaż! Jadę do domu! – Zaczęłam się szarpać.

Unieruchomił moje nadgarstki nad głową.

– Odpowiedz, co było z tobą nie tak, że wpakowałaś się w związek z kimś takim?

– Myślałam, że on mnie kocha! – krzyknęłam. – Naobiecował mi tyle rzeczy! Miał wielkie marzenia. Zamierzał pokazać mi świat. A ja byłam młoda i durna i mu wierzyłam!

– Byłaś durna, bo uwierzyłaś w stek bzdur, którymi ten dupek cię karmił?

– Tak!

– I uważasz, że to był twój błąd? Wiara w kogoś, kogo kochałaś i komu ufałaś?

W taki sposób nigdy wcześniej tego nie postrzegałam.

– Tak już działa miłość, Roxanne. Kochasz kogoś, więc ufasz, że mówi prawdę.

– Hank, puść mnie, proszę...

– Czy zmuszał cię do dealowania? – spytał.

– Co?? – zapiszczałam.

– Czy sprzedawałaś z nim dragi? Tym się zajmował, był dealerem. Hera.

To ostatnie słowo otrzeźwiło mnie, skonfundowało.

– Co to jest hera...? – spytałam.

Prawie usłyszałam, jak zgrzyta zębami.

– Jezu, nawet nie znasz slangowych nazw dragów, jak możesz być mętna?

Oświeciło mnie.

– Aaa... hera – powtórzyłam.

– No więc, co to jest według ciebie?

– Narkotyk.

– Jaki narkotyk? – drążył.

Usiłowałam sobie przypomnieć jakiś serial policyjny, bo nie chciałam wyjść na niefajną idiotkę, która nawet nie wie, co to jest hera, ale... nie wiedziałam.

Gdy tak usiłowałam to wykminić, poczułam, jak ciałem Hanka wstrząsa śmiech. Puścił moje nadgarstki i przytulił się do mojej szyi.

– Słoneczko, jesteś świrnięta!

Polewał ze mnie!

– Nabijasz się ze mnie? – zapytałam kontrolnie.

Przeturlał się na bok, pociągając mnie za sobą.

– Hera to heroina – oświecił mnie, wciąż rozbawiony.

– O Boże, Sid Vicious to przedawkował! – usiłowałam błysnąć.

– Wielu ludzi schodzi z tego świata w ten sposób.

Nagle zdałam sobie sprawę, że rozmowa zeszła na bardzo trudny temat.

– Nie sprzedaję narkotyków, Hank. Projektuję strony internetowe!

– Wiem – potwierdził, odgarniając mi kosmyk włosów za ucho. – Roxie, w sześciu stanach

twoje imię jest na ustach tysięcy ludzi i nikt nie ma pojęcia, kim ty właściwie jesteś. Mam na biurku stertę wysoką jak Mount Everest: potwierdzenie zatrudnienia, wynajem mieszkań, wyciągi z kont, rachunki telefoniczne, wszystko na twoje nazwisko. Mogę prześledzić całe twoje życie na cztery lata wstecz i nie ma tam nic podejrzanego. Cokolwiek nawywiązał Flynn, nie jesteś w to zamieszana. Każdy z tych świszków potwierdza, że jesteś biała jak śnieg. Jak biegun północny.

O. Mój. Boże!

– Sprawdzaleś mnie...? – zapytałam przerażona.

– Sprawdzalem Flynna. A to wiązało się ze sprawdzeniem ciebie, bo oprócz raportów z aresztowań i kilku drobnych spraw droga do niego wiedzie przez ciebie.

Co to niby znaczyło?

– Wiedziałaś, że zajmuje się handlem narkotykami?

Zamknęłam oczy, poczułam desperację. No to się zaczyna!, pomyślałam.

– Nie miałam o tym pojęcia. Na początku nie obchodziło mnie, czym się zajmuje. Potem zaczęłam się domyślać, że skoro nie ma go całymi dniami, to nie może to być nic dobrego. I nie chciałam wiedzieć, co to było.

To chyba również i o mnie nie mówiło nic dobrego.

– Potwierdzasz moje racje.

– Jakie racje?

– Nie współpracowałaś z nim. Nawet nie wiedziałaś, czym się zajmuje. Po prostu byłaś zakochana w tym dupku i w tym tkwiła twoja jedyna wina. Inni ludzie potrafili go przejrzeć. Leżało im na sercu twoje dobro. A ty nie prowadziłaś przestępczego życia. Po prostu żyłaś z kryminalistą, który cię okłamywał. Twoje życie było przez cały ten czas dość normalne, Roxie. Nie możesz obwiniać się za to, że wpuściłaś do serca niewłaściwego faceta.

Co mogłabym na to odpowiedzieć? Hank się całkowicie mylił.

Nie pojął nic z tego, co mu powiedziałam.

Nie chciałam mieć chłopaka gliniarza, który przetrzepał całą moją papierkową historię, by dorwać mojego byłego, kryminalistę. To było upokarzające i kropka.

Hank mówił dalej:

– Roxie, sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby on ciągle coś dla ciebie znaczył. Ale to przeszłość. Eddie powiedział mi, że próbowałaś go spławić od lat. Byłaś sama w tym trudnym przedsięwzięciu, ale, kochanie, już nie jesteś sama!

– Nie chcę o tym rozmawiać! – zapewniłam piskliwie, bo tak naprawdę było.

Wcześniej też stroniłam od poruszania tych tematów. Byłam wykończona tą rozmową. Czułam się, jakbym przebiegła maraton i nie przekąsiła po drodze nawet batonika energetycznego.

– Dobrze, koniec gadania. – Poczułam, jak ręce Hanka gładzą moje plecy.

Nie mogłam tego znieść, to naprawdę było za wiele. Czy mogłam mu powiedzieć coś takiego, żeby sobie odpuścił? Najwyraźniej nie. Był po prostu za dobry.

Ale przecież tak naprawdę nie chciałam, żeby odpuścił. Chodziło mi o to, że tak bardzo mi na nim zależało. Tak bardzo, że chciałam dla niego kogoś lepszego.

– Idę spać na kanapę. Muszę pobyć sama.

Przytulił mnie mocniej.

– Wcale nie musisz – usłyszałam.

– Proszę cię, Hank, muszę pomyśleć w spokoju.

– To jest ostatnia rzecz, na jaką ci pozwolę!

– Serio? Hank...

– Cicho! Śpijmy już!

– Przestań!

– Roxie, cicho już!

– Och, na miłość boską! – parsknęłam, usiłując przekonać samą siebie, że jestem na niego zła. Obejmował mnie mocno i chyba rzeczywiście już odpływał.

Usiłowałam nie myśleć, ale w głowie miałam taki kocioł, że to było niemożliwe. Skupiłam się na obejmujących mnie ramionach. I dopiero wówczas, gdy przestałam usiłować nie myśleć, to się samo stało.

Hank nie puścił mnie nawet przez sen.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nic go nie odstrasza

– Obudź się, Słoneczko!

Otworzyłam oczy; oślepiło mnie nagle włączone światło. Zobaczyłam uda Hanka opięte spodniami do biegania z potrójnym lampasem. Nikt o tej porze nie powinien stać w pozycji pionowej, nie o godzinie, która wskazywała na to, że zostały jeszcze co najmniej dwie do przespania.

– Żadnego budzenia... – mruknęłam, zamykając oczy.

Odwrociłam się od światła, wtulając w poduszkę.

Łóżko ugięło się pod ciężarem Hanka, kołdra zsunęła się ze mnie, jego dłonie pieszczotliwie dotknęły moich bioder. Poczulałam, że pies wdrapuje się na miejsce swojego pana; dojrzałam go przez uchylone powieki, ale skoro umościł się obok i złożył łeb na moich plecach, ja również postanowiłam nie wstawać. Najwidoczniej wcale nie był w nastroju do spacerów. Wolał leżeć i zastanawiać się, jak marny miał żywot, zupełnie tak samo jak ja. Pewnie nie rozumiał, co się działo w moim życiu, a jego przecież wcale nie było marne, ale byłam przekonana, że jeśli byłby zdolny do współodczuwania, pozwoliłby mi się wyspać. Gdy osuwałam się ponownie w niebyt, poczułam dźwigające mnie z łóżka ręce.

– Co jest, do diabła? – zapiszczałam, chwytając się Hanka, który najwyraźniej niósł mnie do łazienki. Właśnie w progu tego pomieszczenia mnie postawił.

Rzuciłam mu wrogie spojrzenie, a on tylko się szczyrzył. Wyglądał rzeško, z włosami wciąż wilgotnymi po porannym prysznicu. W jakiś niewytłumaczalny sposób strasznie mnie to rozeźliło.

– Jak możesz być taki rzeški o tej porze? Prawie nie spałeś!

Nie miałam pojęcia, jaka to była pora, ale z pewnością zbyt wczesna.

– Przywykłem – mruknął. – Ubieraj się. Muszę iść do pracy, ale czeka nas jeszcze spacer z psem, śniadanie i pewnie z godzina twoich tajemnych rytuałów, które wcale nie sprawiają, że wyglądasz bardziej ponętnie i uroczo niż w tej chwili!

Czy on mówił serio?

– Że co nas czeka? – spytałam.

– Ubieraj się, Roxie!

– Do twojej wiadomości, udoskonalałam swoje rytuały latami i z pewnością wyglądam po nich korzystniej niż w tej chwili!

– Guzik prawda.

Opadła mi szczęka. On był najwyraźniej nienormalny!

Malowałam się od dwunastego roku życia. Cała rodzina przeganiała mnie z łazienki. Nigdy nie wychodziłam z domu niezrobiona, a w torebce zawsze miałam kilka szminek i błyszczyków, na wypadek zmiany nastroju i koniecznej zmiany wizerunku z tym związanej.

– Właśnie że tak! Po przebudzeniu mam szparki zamiast oczu, jestem spuchnięta, a na głowie mam mopa.

Przyciągnął mnie do siebie.

– Widzę, że przede wszystkim to ty masz nastrój do kłótni. To może pokłócimy się podczas spaceru, bo muszę zdążyć na posterunek!

Znowu zrobił te swoje „noski-eskimoski”, po czym wepchnął mnie do łazienki, chwytając za tyłek. Chciałam odwrócić się i rzucić jakąś kąśliwą uwagę, albo jakąkolwiek inną, ale już go nie było.

Shamus usiadł na progu, merdając ogonem i wywalając jęzor.

– Niech wam tam... – mruknęłam, nakładając pastę na szczoteczkę do zębów.

Nie kłóciliśmy się podczas spaceru.

Szłam z obrażoną miną, usiłując nie myśleć o spirali, po której staczałam się do samego piekła.

Niestety, zgrywanie lodowej królowy na nic się zdało; Hank objął mnie ramieniem i przycisnął do swego boku.

Staczenie się do piekielka nie chciało jednak opuścić moich myśli i gdy wróciliśmy, byłam już wygodnie rozlokowana na samym jego dnie.

Wzięłam prysznic i zaczęłam robić się na bóstwo, a Hank smażył jajecznicę i przyrządzał tosty.

Nakładałam róż przy umywalce, gdy zaprezentował mi śniadanie: idealne jajka pachnące czosnkiem i serem, do tego złoty tost posmarowany prawdziwym masłem i dżemem winogronowym.

Czy on musiał być dobry we wszystkim? Nawet w gotowaniu?

Ugryzłam tost, patrząc Hankowi wyzywająco w oczy. Stał oparty o framugę, dziobiąc widelcem w jajecznicy.

– Co znowu nie tak? – zapytał rozbawiony.

– Nif – odrzekłam z pełną buzią.

– Usmarowałaś się dżemem – poinformował mnie.

Zerknęłam w lustro.

Odłożyłam tost i upiłam łyk kawy.

Podszedł do mnie, ucałował w skroń i wyszedł.

Cholerny Hank!

Zaparkowaliśmy na tyłach Fortnum, lecz zanim zdążyłam otworzyć drzwiczki, Hank odwrócił mnie do siebie.

– Powiesz mi w końcu, co cię ugryzło? – zapytał.

– Nie.

Znowu te uśmiechnięte oczy.

Dlaczego był w takim świetnym humorze? Ja nie widziałam w naszej sytuacji niczego zabawnego.

– Czy chodzi o naszą wczorajszą rozmowę? – dopytywał.

– Nie. – Tym razem skłamałam.

Oczywiście że chodziło o naszą wczorajszą rozmowę! Nie mogłam o niej zapomnieć. Ale przecież Hank miał rację. Wszyscy mieli rację: Daisy, Duke, wszyscy!

Chciałam im wierzyć, usiłowałam uwierzyć, ale w głębi serca nie mogłam. Musiałam chronić samą siebie przed tym momentem, który z pewnością kiedyś nadejdzie. Przed chwilą, kiedy górę bierze zdrowy rozsądek. Co zrobię, gdy Hank się opamięta? Co mu wówczas powiem? Moja moralność była bardzo wątpliwa, podczas gdy jego była wykuta z marmuru. W związku najważniejsza była równowaga. U nas tego ewidentnie brakowało.

On był dobry i czysty. Ja byłam, jeśli nie na wskroś zła, to przynajmniej ambiwalentna.

Kto chciałby być z dziewczyną z szemranego towarzystwa?

Ja na pewno nie.

Byłam pewna, że w końcu powie mi, że ta szemrana moralność i na nim zostawiła rysę.

– Wierzyć się nie chce, że nawet gotować potrafisz! – wypaliłam, usiłując skupić myśli na czymś innym.

– Słucham? – Uniósł brwi.

– Niezły z ciebie kucharz – powtórzyłam.

– Wkurzasz się, bo usmażyłem jajecznicę...?

– No... trochę tak – potwierdziłam, choć to brzmiało, jakbym była niespełna rozumu.

Dobra droga. Nikt nie chce zadawać się z dziewczyną bez piątej kleпки.

– Słoneczko, jajecznica i steki z grilla to żadne gotowanie, a na tym się mój talent kucharski kończy – wyjaśnił. – Czy to ci poprawi humor?

– Tosty jeszcze umiesz. – To zabrzmiało jak oskarżenie.

Wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę w tył. Nigdy wcześniej tego nie robił. Czułam, że

bywał w dobrym humorze, czasem coś tam mruknął rozbawiony, ale takiego wybuchu wesołości jeszcze nie widziałam. I gdy tak się śmiał, to był jeszcze przystojniejszy.

Nie o taki efekt mi chodziło, więc znowu się naburmuszyłam. Zobaczył ten sfochowany grymas, więc przyciągnął mnie do siebie i wtulił się w moją szyję.

– Jesteś świruską! – wyszeptał.

Tego naprawdę było za wiele. To się musiało skończyć! Nie że ja chciałam to skończyć, ale po prostu musiałam!

Hank nie kumał. Nikt z nich nie załapał, o co mi chodzi. Wszyscy mieli mnie za nieszkodliwą wariatkę, która rozczarowałaby wielu ludzi, gdyby zerwała z Hankiem. Ale przecież ich zdanie się nie liczyło. Wiedziałam, co robię, i robiłam to dla jego dobra. Zasługiwał na kogoś lepszego.

Mówiąc szczerze, to nie miałam pojęcia, co wyprawiam, choć zdawało mi się, że mam.

– Wyprowadzam się do Texa – oznajmiłam. – To wielki facet i ma strzelbę. Obroni mnie do czasu posprzątania tego bałaganu.

Hank uniósł głowę i spojrzał na mnie tak, jakbym była ślicznym, uroczym szczeniaczkiem.

– Nigdzie się nie wyprowadzasz.

– A właśnie że tak!

– Spróbujmy przez chwilę nie pamiętać, że w życiu ci na to nie pozwoli. Ja również nie pozwolę. Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, a mogę ją mieć tylko wówczas, gdy będziesz tuż obok mnie. Pamiętajmy również o tym, że Tex siedział. Jeśli musiałby wypalić z tej strzelby, wpakowałby się w kłopoty, bo w ogóle nie powinien jej mieć.

Cholera.

Nie chciałam wpakować wujka Texa w kłopoty.

– No więc przeprowadzę się do schronu w biurze.

– Lee ci nie pozwoli.

– A dlaczego nie?

– Bo ja nie pozwolę mu pozwolić tobie.

Rzuciłam mu nienawistny grymas.

Pieprzony Hank!

No dobra, pora wytoczyć ciężkie działa.

– No dobra, w takim razie zrywam z tobą. I wierz mi, robię to dla twego dobra. Teraz może tego nie pojmujesz, ale gdy już ockniesz się u boku uroczej dziewczyny, która będzie ci przyrządzać francuskie tosty z serkiem, zrozumiesz.

I mam nadzieję, że będzie przekłętą nudziarą!, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego, bo wyszłabym na niezłą mendę. Nie chciałam, żeby Hank związał się z jakąś nudziarą, ale przecież nie chciałam również, żeby o mnie zapomniał.

Gdy wygłaszałam tę bzdurę o zerwaniu, poczułam to niemal fizycznie. Zrobiło mi się niedobrze, miałam wrażenie, że za moment zwymiotuję.

Nawet mu powieka nie drgnęła. Ja tu z nim zrywałam, a on wciąż patrzył na mnie jak na uroczą, puchatą kulkę futerka!

– Nie będziesz mi tu urządzać żadnego zrywania.

– A właśnie że będę! – Mdłości minęły.

– Akurat!

– Właśnie zrywam!

– Słoneczko, nie wygłupiaj się.

– Nie możesz mi zabronić ze sobą zerwać, bo właśnie to robię! – podniosłam głos.

– Chyba właśnie ci zabroniłem.

Spojrzałam na podsufitkę.

– Nie wierzę, że to się dzieje! – rzekłam w jej stronę.

Czy tego kolesia nic nie było w stanie zniechęcić??

Uniósł moją głowę za podbródek.

– Roxie, w życiu nie spotkałem bardziej wkurzającej i upartej kobiety!

No ba!

Rzuciłam mu piorunujące spojrzenie, a przynajmniej usiłowałam.

– Uroiłaś sobie jakąś bzdurę i napalasz się, żeby ją wygzekwować. Dla mojego dobra?

– To nie jest bzdura! – odparłam.

– To jest kosmiczna bzdura! – wypalił.

Też mi coś!

Zignorował moje fochy i na ustach znowu wykwitł mu uśmiech.

– Na szczęście moja cierpliwość dorównuje twojemu uporowi.

– Nie jesteś cierpliwy, tylko jeszcze bardziej uparty ode mnie!

– Żadna różnica.

– Hank, musisz mnie wysłuchać...

– Wcale nie muszę.

– Hank!

– Zaprowadzę cię do środka. Muszę jechać do pracy.

– Musimy pogadać.

– Pogadamy później.

– Musimy porozmawiać teraz!

Poczułam, jak jego uścisk się zacieśnia i wciągnął mnie na swoje kolana. Objął mnie w talii jedną ręką, drugą dłoń wplótł w moje włosy. Siedzieliśmy jak wrośnięci w siebie, w końcu w aucie było ciasno.

– Gdy zamkną lokal, przyjadę po ciebie. Pojedziemy do domu. Zrobimy kolację. Potem będziemy się kochać, a gdy już zaliczymy te wszystkie punkty programu, pozwolę ci przekonywać mnie, że nam się nie uda. Oczywiście poniesiesz sromotną porażkę i to ja przekonam cię, że jednak się uda. A potem pewnie znów będziemy się kochać, aż zaśniemy ze zmęczenia. Co powiesz na taki plan na wieczór?

Superplan.

Rety!

Wpadłam po uszy, i to tak głęboko, że powinnam to sobie chyba wytatuować.

Poddałam się.

Na tamtą chwilę.

– Na dziś mam inne plany. Tod i Stevie zwołują ślubne zebranie, a potem będą mnie stroić na wieczorek u Daisy.

Znowu zatrzęsł się od śmiechu, najwyraźniej świetnie się bawił. Ja tu się dławiłam z nerwów, a on miał ubaw.

– Jak niby zamierzałaś zwiać z Denver bez auta? Ze wszystkimi swoimi gratami rozładowanymi w moim domu i planami towarzyskimi bardziej zaawansowanymi niż moje? – zapytał.

– To są twoi znajomi – wypaliłam.

– Za późno, kochanie. Już się ich nie pozbędziesz, choć to byłby niezły ubaw obserwować, jak usiłujesz tego dokonać.

No cóż, póki co byłam bezradna.

– Nie miałaś przypadkiem jechać do roboty? – zapytałam butnie.

– Ta – odpowiedział.

Pocałował mnie delikatnie, ale jego spojrzenie sugerowało, że ma ochotę na więcej.

Ześlizgnęłam się na fotel pasażera, wystrzeliłam z auta, ale dogonił mnie po dwóch sekundach i wziął za rękę.

Fortnum było pełne.

Hank na moment stał się czujny, ale gdy zlustrował tłum i stwierdził, że jest bezpiecznie, odpuścił. Przyciągnął mnie do siebie na chwilę wystarczająco długą, by skraść mi głęboki pocałunek, po czym rzucił mi uroczy uśmiech i wyszedł.

Wkroczyła do środka chwilę po południu. Nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby się tak ewidentnie nie rozglądała. Była ładna, ale w nienarzucający się sposób; jedno spojrzenie i człowiek odwracał wzrok. Miała na sobie niebieską bluzkę z długim rękawem, jeansy i wysokie buty. Była słomkową blondynką o ciepłych, brązowych oczach i brzoskwińowej cerze.

W myślach ją przebrałam, jak miałam to w zwyczaju. Wyrazisty pasek, szalowy naszyjnik, to dodałoby charakteru jej ubiorowi. No i te pospolite jeansy... Powinna założyć coś, co było deklaracją, a nie kamuflażem. Nie potrafiła podkreślić świetnej figury.

Spojrzała na wujka, ale ewidentnie ją onieśmielił, więc przerzuciła wzrok na mnie i zdecydowała się podejść, ale nie miałam pojęcia, po co.

– Cześć! Pracujesz tutaj? – zapytała.

– Dzisiaj tak – odpowiedziałam z uśmiechem, co by się zgadzało, bo akurat siedziałam na stanowisku z książkami.

Gdy Hank mnie podrzucił, w lokalu byli tylko Indy, Tex i Jet. Lokal był zatłoczony, stoliki zastawione pustymi filiżankami. Ledwie nadążali z wydawaniem kawy, nikt nie miał czasu posprzątać. Pozbierałam naczynia i wzięłam się do zmywania, żeby oderwać myśli od ponurych wizji.

Ryczący z głośników Lynyrd Skynyrd skutecznie zagłuszał wszelkie myśli. I tak przez dwie godziny.

Gdy już złąkniony kawy tłum się przewalił, Indy szybko mnie przeszkoliła z obsługi kasy fiskalnej przy książkach (wujek zajmował się wyłącznie kawą), a skoro ja ogarnęłam księgi, to dziewczyny mogły pojechać do szpitala odwiedzić ojca Jet. Zamierzały wrócić z lunchem dla wszystkich.

Dziewczyna rzuciła zdawkowe spojrzenie Texowi i zapytała mnie:

– Czy India Savage dalej jest właścicielką?

– Tak. Masz do niej jakiś interes? – odpowiedziałam pytaniem.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

– W zasadzie... – zaczęła, jakby nie była przekonana, czy jej pomogę. – Szukam jej przyjaciela.

Hank Nightingale. Czy bywa tu jeszcze?

Spojrzałam na nią uważnie.

Do diabła!

Coś boleśnie skurczyło się wewnątrz mnie.

– Tak – potwierdziłam cicho. – Hank czasem się tu pojawia. To twój znajomy?

– My... spotykaliśmy się jakiś czas temu, ale przeprowadziłam się do Nowego Meksyku.

Wróciłam i pomyślałam, że go odszukam. A wiem, że przyjaźnił się z Indy... – Zamyśliła się, ale nagle jakby rozjaśniła. – Jestem Beth.

– Roxie – przedstawiłam się.

Zlustrowała mnie, być może sądząc, że nie zauważę. Siedziałam na hokerze za ladą i mogła sobie mnie dokładnie obejrzeć. Wyglądałam o wiele lepiej od niej, w spranych jeansach, czarnym, obcisłym swetrze i rzucającej się w oczy srebrnej biżuterii. Espadryle na koturnach również rzucały się w oczy.

– Długo już tu pracujesz? – spytała.

– Nie pracuję tu na stałe, jestem na zastępstwie.

Trochę jej współczułam. Szukała pomocy u kogoś, kto sypiał z jej byłym facetem. Czy w ogóle powinnam ją uświadamiać? Postanowiłam zachować to dla siebie póki co.

– Może mogłabym przekazać Hankowi jakąś wiadomość?

– Tak, powiedz mu, że...

Zadzwieczał dzwoneczek nad drzwiami. Obie się odwróciłyśmy i dojrzałyśmy wchodzącego Hanka.

Do diabła!

Ależ miał główniane wycucie chwili!

Wyglądał chyba lepiej niż kiedykolwiek. Jego dopasowane jeansy to była czysta pornografia. Przy ciemnym pasku odznaka i giwera. Oliwkowy sweter, podwinięte rękawy, ukazujące umięśnione ramiona. No niech mnie! Nawet bez bandy stylistów wyglądał jak model wycięty z magazynu. Patrzył wprost na mnie i uśmiechał się seksownie.

Zły, zły, zły moment!

– Hank... – zaczęłam schrypniętym głosem, ale zanim zdążyłam odchrząknąć, przeszedł za ladę. Zanim zdążyłam go powstrzymać, zwrócić jego uwagę na Beth stojącą nieopodal, już był przy mnie i mnie całował.

Nawet nie zaszczycił jej zdawkowym spojrzeniem.

– Pomyślałem, że zabiorę cię na lunch – rzucił, patrząc mi w oczy, jego dłoń pieściła moją głowę.

No niech to.

Odchrząknęłam i wskazałam głową na stojącą obok dziewczynę.

– Hank, pamiętasz Beth...?

Wypuścił mnie z objęć, spojrzał niechętnie w bok i przez moment zdawał się jej nie poznawać. W końcu uśmiechnął się neutralnie, przyjacielsko.

– Beth, no niech mnie, co ty tu robisz? Myślałem, że mieszkasz w Nowym Meksyku!

Zaczerwieniła się, zażenowana, patrząc to na niego, to na mnie.

– Wróciłam do Denver – odpowiedziała cicho.

Hank przysunął się i objął mnie tym władczyim gestem, zastanawiając się, co ona w ogóle tu robiła.

Beth wyglądała tak, jakby miała ochotę na popełnienie seppuku. Rozejrzałam się, żeby upewnić się, czy nieopodal nie leży jakieś niebezpieczne narzędzie.

– To fajnie – podsumował Hank, ale chyba nie sądził tak naprawdę.

– Hank – zaczęłam. – Beth przyszła, bo sądziła, że...

– Już nic! – przerwała mi, rozglądając się przerażonym wzrokiem. – Wpadłam tylko... żeby...

To było tak żenujące, że musiałam ją uratować.

– Beth wpadła po nową książkę Dana Browna, *Kod da Vinci*!

Hank spojrzał na mnie zdziwiony. Co go to obchodziło?

– U nas niestety jej nie ma, ale może ty wiesz, w której księgarni można ją dostać? Beth bardzo chce ją przeczytać – dokończyłam, ale sama usłyszałam, że to była marna pointa.

Boże, byłam taką kretynką!

Hank nie bardzo mi wierzył. Skoro przyszła po książkę, po co miałyby mi się przedstawiać i wypytywać o niego?

Chyba wyczuł, o co tak naprawdę chodziło, bo odsunął się ode mnie i zwrócił do niej, usiłując wyciągnąć ją z tej upokarzającej sytuacji.

– Poszukam w Tattered Cover, dzięki za pomoc, Roxie! – Spojrzała na mnie, potem znów na Hanka. – Super było cię znowu spotkać, może jeszcze na siebie wpadniemy!

– Czeka! – zawołałam, gdy odwróciła się na pięcie.

Zsunęłam się ze stołka, wpadając na Hanka.

– Może skoczycie razem na lunch?

– Co? – Beth zamarła, przerażona tą sugestią.

– Co proszę? – To dla odmiany był głos Hanka; patrzył na mnie, jakbym rozum postradała.

To mogło być koło ratunkowe dla nas wszystkich.

Zdawała się urocza, była ładna i zależało jej na nim. Poszukiwała go po powrocie do Denver. Wyglądała na całkiem zwykłą dziewczynę, taką, do której się nie strzela. Może nie potrafiła się ubrać, ale w tym mogła pomóc jej Indy. Nie wyglądała na ekspertkę od tostów, ale za to Shamus na pewno by ją polubił. Choć z drugiej strony, kogo on nie lubił?

– Jestem zajęta i nie mogę wyjść – poinformowałam ich. – Poza tym Indy i Jet przyniosą nam

lunch. Idźcie razem, powspominacie dawne czasy.

Hank nie patrzył na mnie jak na wariatkę, wyglądał tak, jakby miał ochotę mnie udusić.

Odsunęłam się od niego.

– Chyba nie... – mruknęła Beth.

– Możemy chwilę pogadać? – Hank nie czekał na pozwolenie, skinął do Beth i pociągnął mnie między regały z książkami.

Dojrzałam jeszcze Texa kręcącego głową z politowaniem.

Hank powlókł mnie przez wszystkie działy aż pod tylną ścianę zastawioną regałami wypełnionymi starymi winylami.

Otworzyłam usta, ale nim zdążyłam się odezwać, rzucił:

– Ani słowa, do cholery!

Chyba się wkurzył.

Wciągnął powietrze, usiłując się uspokoić.

– Błagam, powiedz – zaczął spokojnym, ale cholernie groźnym głosem – że przed chwilą nie próbowałaś zeswatać mnie z moją byłą dziewczyną.

– Hank...

– Byłem dotąd cierpliwy, ale jak za chwilę tobą potrząsnę, to może odzyskasz choć cień rozumu!

– Hank...

– Roxanne, przed chwilą moja dziewczyna próbowała mnie wypchnąć na randkę z inną kobietą!

– Nie jestem już twoją dziewczyną, zerwałam z tobą rano.

Przysunął się, a ja się cofnęłam. Przycisnął mnie do ściany najeżonej płytami.

– Nieładnie sobie pograłaś z Beth...

– Bardzo ładnie pograłam. Może moglibyście się znowu zejść. Wyświadczałam jej przysługę – broniłam się.

– Byliśmy na dwóch randkach! Była koleżanką dziewczyny kumpla z wojska. Ledwie ją pamiętam. Nieśmiały dzieciak na nowej drodze życia. Drodze do Nowego Meksyku!

Cholera.

Cholera, cholera, cholera!

– Myślałam, że to było coś poważnego.

– Nigdy do niczego nie doszło i nie doszłoby. Umówiłem się z nią, bo nie chciałem sprawić zawodu kumplowi. Może jestem skurwysynem, ale zrobiłem to tylko dlatego, że wiedziałem o jej rychłym wyjeździe.

Noż w mordę...

– Niech to szlag... – mruknęłam, czując się jak ostatnia zołza. Pewnie wiele ją kosztowało przyście do Fortnum. – Pójdę z nią pogadać.

– Już się nagadałaś. Zabiorę ją na lunch, a ciebie odbiorę od Toda, gdy już pozłatwiacie swoje sprawy. Wieczorem sobie poważnie pogadamy i zakończymy te bzdury raz na zawsze!

Źle to zabrzmiało.

– Hank...

– Do Toda pójdziesz tylko z Texem, Dukiem, Lee albo jednym z jego chłopaków, rozumiano?

Przytaknęłam, bo ogień w jego oczach wskazywał na to, że ledwie się hamował.

– Przepraszam – szepnęłam.

Zbudziła się bestia i nie zamierzałam jej drażnić.

Nie chciałam, żeby się na mnie złościł. Złożyłam dłonie na jego piersi i przytuliłam się do niego.

– Naprawdę mi przykro – szepnęłam.

– Będziesz błagać o wybaczenie wieczorem, w moim łóżku, naga, na kolanach.

Oż ty...!

– Hank...

Pochylił się i złożył dłoń na mojej szyi.

– To jest ta chwila, w której się więcej nie odzywasz.

Chyba gniew nie ulatywał, a ja najwyraźniej byłam skończoną suką. Miałam się za chwilę dograć. Ku mojemu zdziwieniu pocałował mnie delikatnie i zacisnął pieszczotliwie palce na moim karku.

– Później o tym pogadamy – rzekł cicho.

I odszedł.

Stałam tam kilka minut, a może kilka godzin. To zastanawiające, że nawet kłótnie z nim był przyjemne. Z gniewnej bestii w ciągu chwili zmieniał się w łagodnego olbrzymia.

Poczułam wibrowanie komórki w tylnej kieszeni jeansów.

– Halo? – rzuciłam nieprzytomnie, oczekując odpowiedzi kogoś zaangażowanego w dzisiejsze wieczorne spotkanie.

Ale to był Billy...

– Widziałem was na spacerku z psem. Widziałem, jak kleiłaś się do niego w aucie, jak go całowałaś, cholerna suko!

Zamarłam bez tchu.

– Już ja cię nauczę, Roxie, już ja cię, kurwa, nauczę!

Rozłączył się.

Zmroził mnie paralizujący lęk. Stałam z głuchym telefonem przy uchu, gapiąc się w przestrzeń.

Billy mnie obserwował.

– Może byś pomogła? – zagrmiał Tex z sali, wyrywając mnie z katatonii.

– Idę! – rzuciłam, wsuwając telefon do kieszeni.

To nie było zmartwienie na teraz. Tutaj byłam bezpieczna, chroniona. Obserwowały mnie czujne oczy kamer, nawet teraz. Nigdy nie zostawałam sama. Dopadną go, zanim do mnie dotrze. Vance już go wywęszył. A Hank nie pozwolił mi skrzywdzić.

Zamknęłam oczy na tę ostatnią myśl.

Hank. Powiedz mu. Powiedz Lee. Powiedz komukolwiek!

Wyszłam pomiędzy regałami; w pomieszczeniu było kilka osób, dwie czekały przy pustej ladzie z książkami.

– Dziewczyno, ogarnij się! – huknął wujek.

Później mu powiem. Później pogadam z Hankiem. I później się pomartwię, że tak nieładnie sobie pograłam z małą Beth.

Podeszłam do kasy i uśmiechnęłam się do klienta.

Rozdział dwudziesty drugi

Dobry Bóg ją nawiedza

– No i jak myślisz, Roxie? – usłyszałam pytanie Toda.

Uniosłam wzrok; wszyscy na mnie patrzyli. Myślami byłam zupełnie gdzie indziej, pewnie dlatego, że miałam za sobą najbardziej popieprzony dzień mego życia.

A teraz popijałam wino z bąbelkami w salonie Toda i Steviego, który był najbardziej gejowskim, przewspaniałym salonem: czarne wykładziny, szare ściany, meble tapicerowane w kolorze fiołkowym, szklane stoliki i białe rzeźby niby manekiny porozstawiane pozornie bez ładu, czyli wszystko, czego człowiek się spodziewa po gejowskim salonie.

Nasz ślubny szczyt był w rozkwicie. Wszędzie wałyły się próbki tkanin i wstążek oraz magazyny z czterech krajów, broszury, zdjęcia z imprez, które nam się podobały, informatory z miejsc, w których mogła się odbyć ceremonia. Do tego wizytówki DJ-ów i wzory zaproszeń. Mieliśmy do wyboru siedem różnych dekoracji tortu, nawet taką z misiami zamiast figurek państwa młodych. Ślubna księga leżała otwarta na stoliku kawowym i wylewało się z niej jeszcze więcej karteluszek, zapisków i frędzelków niż poprzednim razem.

Dyskusja była zagorzała. O kolorach, o sukniach, kościołach, kapelach, o wszystkim. Indy miała konkretne wymagania, ale niestety Tod miał zupełnie odmienne wizje.

Stevie ze stoickim spokojem lawirował między nami, serwując ciepłe przystaweczki.

A ja mogłam myśleć tylko o mojej nieuniknionej rozmowie z Hankiem i tym dziwnym dniu, który właśnie mijał.

Jakieś pół godziny po wyjściu Hanka z Fortnum pojawił się Duke, a w chwilę po nim Indy i Jet z jedzeniem. Podczas posiłku powiedziałam wujkowi o telefonie od Billy'ego.

– Chyba sobie, kurwa, jaja robisz! – huknął, opluwając blat przeżutą kanapką z tuńczykiem.

Pokręciłam głową, z trudem unikając oplucia.

– Dzwoniłaś do Hanka? – Jet była wyraźnie zmartwiona.

– Byłam trochę zajęta.

– Ja do niego zadzwonię. Dawaj telefon, kobieto! – zażądał Tex, wysuwając dłoń w stronę Indy.

Indy wiedziała, jak kiepsko radził sobie z komórkami, więc wybrała numer Hanka i podała mu aparat z dzwiczającym już sygnałem połączenia.

Wujek odszedł, zabierając nadgryzioną kanapkę, a ja zwróciłam się do Jet:

– Odbyłam z Hankiem poważną rozmowę.

Zmartwienie malujące się na jej twarzy płynnie przeszło w uśmiech.

– To dobrze. Wyjaśniliście sobie wszystko?

– No właśnie nie bardzo. Próbowałam wyjaśnić mu tę kwestię szarości i trochę się wkurzył.

– Że co? – Jet zamrugła.

– Opowiadał o tym, że przeprowadzał kiedyś z tobą podobną rozmowę, z której wynikało, że...

Jak on to powiedział... – Obniżyłam głos, udając Hanka. – „Roxie, słuchaj uważnie, do cholery, zło innych nie kapie na ciebie!” Czy jakoś tak.

Jet uśmiechnęła się szeroko.

– Widzisz? Mówiłam, że nie pomyślał nawet, że masz szemraną reputację. Nie musisz się o nic martwić.

Pewnie.

Jakby to było takie proste.

– O co chodzi z tym szemraniem? – Indy była nie w temacie.

Zanim którejkolwiek z nas udało się wyjaśnić, wrócił Tex.

– Hank chce z tobą gadać.

Ciekawe, w jakim był humorze po lunchu z Beth...?

– Cześć! – rzuciłam do telefonu.

– W porządku? – W jego głosie była tylko troska.

Napięcie zaczęło ze mnie schodzić.

– Trochę się przestraszyłam, ale już dobrze.

– Może to słabo wygląda, ale tak naprawdę świetnie się składa. Zadzwońię do Lee, da cynk Vance'owi. Wiedzieliśmy, że Flynn cię śledził, ale do tej pory się nie wychylał. Nawet Vance, choć świetny w swoim fachu, miał kłopot ze znalezieniem go. Teraz, gdy Flynn traci cierpliwość i czujność, zacznie robić głupie, nieprzemyślane kroki. I w końcu popełni błąd.

To miało sens. Choć wizja szalejącego Billy'ego była przerażająca, to złapanie go nie brzmiało dobrze. Brzmiało świetnie!

– Okej – rzuciłam do telefonu.

– Nie ma pojęcia, jak dobrze cię chronimy. Wszystko się ułoży – zapewnił mnie Hank.

– Okej – odpowiedziałam znowu.

– Nie idź sama do Toda.

– Whisky – przerwałam mu. – Już to mówiłeś.

– Wiem, ale chcę mieć pewność, że będziesz grzeczna.

Hank był takim dobrym facetem!

– Jasne – odrzekłam.

– O dziewiątej po ciebie przyjadę.

– Okej – powiedziałam po raz trzeci.

– To do zobaczenia, Słoneczko.

Rozłączył się.

Akurat gdy oddawałam telefon Indy, zadzwieczał dzwoneczek. Wszyscy się odwróciliśmy, ale nie mogłam uwierzyć, że ona znowu tu przyszła.

– OESU! – wrzasnęła Indy. – Beth! Myślałam, że jesteś w Nowym Meksyku!

W mordę!

– Wróciłam. – Padły sobie w ramiona. – Słyszałam, że zesłaś się z Lee.

– Tak. – Indy zamachała jej dłonią przed nosem, demonstrując pierścionek. – Pobieramy się!

– Ale super! – Beth uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

Potem spojrzała na mnie i spłoszyła.

– Uhm... Roxie, możemy pogadać?

W mordę!

Indy, Jet, Duke i wujek spojrzeli na mnie. Tylko Tex wiedział o moim wcześniejszym wygłupie.

– Pewnie – rzuciłam do Beth znad kanapki spoczywającej na stoisku z książkami.

Przeszliśmy w stronę kanap.

– Przepraszam za to, co powiedziałam wcześniej. To było... – zaczęłam, chcąc mieć tę rozmowę jak najszybciej za sobą.

– Nie ma za co przepraszać – przerwała mi Beth łagodnym głosem. – Hank opowiedział mi o twoich... przejściach.

– Doprawdy?

– Bardzo mi przykro, że przesłaś przez coś takiego. Stwierdził, że przez to zachowujesz się irracjonalnie i masz problem z zaufaniem. – Poklepała mnie po kolanie. – To zupełnie zrozumiałe.

Irracjonalnie?

Z zaufaniem?

Zabiję tego drania!

– W każdym razie – ciągnęła Beth – chciałam z tobą pogadać o... eee... – Przerwała; było jej ewidentnie głupio.

– O czym? – dopytałam, uśmiechając się miło i równocześnie planując zbrodnię doskonałą.
– ...bo ty się tak fajnie ubierasz, pomyślałam, że może poszłabyś ze mną na zakupy?
– wypaliła.

Że co proszę?

– Wiem, wcale się nie znamy i pewnie myślisz, że to dziwaczne tak prosić nieznajo...

– Pewnie, że pójdę! – Podnieciłam się samą myślą o rajdzie po sklepach, zanim to chlapnęłam.

Oj.

Co ja znowu wygadywałam? Przecież miałam za moment wyjechać, nie mogłam zostać doradczynią stylu Beth!

– Byłoby super! – wykrzyknęła, a po chwili wahania objęła mnie. – Ja w ogóle tego nie ogarniam! Próbuję, ale za każdym razem, gdy sobie coś kupię, wyglądam w tym potem jak dziwadło! Potrzebuję lekcji stylu.

W mordę.

Nie mogłam się już wycofać.

No i to, że potrzebowała lekcji stylu, nie ulegało wątpliwości.

– Dzięki! – Znowu mnie objęła. – Wymieńmy się numerami!

Wymieniłyśmy numery, jeszcze jakieś uściski, a potem Beth pogadała chwilę z Indy, zapoznała się z Dukiem, Jet i Texem i wyszła, szczerząc się jak jakaś szczeżuja.

No cóż, przynajmniej przestałam czuć się jak wredna suka, a to chyba dobrze, nie?

– Co to znowu za chryja? – spytała Indy w przestrzeń, gdy drzwi zamknęły się za Beth.

– Roxie próbowała spiknąć z tą dziuszką Hanka – wyjaśnił Tex.

Indy, Jet i Duke spojrzeli na niego tak, jakby właśnie im oznajmił, że przetańcowałam przez Broadway tylko w sznurze koralu na szyi. I niczym więcej. Oprócz uśmiechu.

– A czy przypadkiem ty nie jesteś jego dziuszką? – zapytał Duke.

– Jestem i nie jestem. Zerwałam z nim – oznajmiłam wszem wobec.

Prawie poczułam ich palące spojrzenia.

– A dlaczego niby miałabyś zrobić coś tak durnego? – Duke zabrzmiał prawie jak wkurzony Tex.

– Spoko, nie przyjął tego do wiadomości. Dalej uważa, że jesteśmy razem – uspokoiłam go.

Indy i Jet wymieniły porozumiewawcze uśmieszki.

Zamknęłam oczy i położyłam głowę na oparciu sofy.

– W mordę go i nożem, te cholerne baby wykończą nas wszystkich – podsumował Duke i zniknął między regałami.

Poczułam, że ktoś się dosiada. Po obu stronach.

Otworzyłam oczy. Jet i Indy siedziały koło mnie.

– Chcesz o tym pogadać? – spytała Indy.

– Nie. – Znowu zamknęłam oczy.

– Jakby co, to wiesz, gdzie nas szukać. – Tym razem to była Jet.

Przez chwilę siedziały bez ruchu, żebym była pewna, że mogę na nie liczyć, po czym odeszły.

Zamknęliśmy lokal, a panowie odprowadzili nas do domu Toda i Steviego. Potem zaczekali, aż będziemy bezpieczne w środku i drzwi się za nami zatrzasną. Zwiali do domu, dając nam do zrozumienia, że ślubne zebranie to ostatnia impreza, w jakiej mają ochotę uczestniczyć.

Daisy i Annette już były na miejscu, Ally pojawiła się dziesięć minut po nas.

Annette i Jason spędzili dzień, usiłując pozbyć się kaca po szaleństwach z udziałem Lottie, a środkiem zaradczym miało być pedałowanie po górach. Jason zdecydował, że ponad przygotowania do ślubu przedkłada oglądanie meczu baseballowego u Eddiego.

Ja w sumie chyba też chętniej pooglądałabym mecz.

– No więc? – Głos Toda mnie otrzeźwił. – Masz wycucie stylu. Wiesz, jak nosić szpilki od

Manolo i kaszmir. Twoje zdanie jest nadrzędne. A więc, co o tym sądzisz? – zapytał Tod, sugerując, że wszyscy, którzy nie posiadają butów za pięć stów, nie mają prawa głosu. – No dobrze, może brąz to mało ślubny kolor, ale cytrusy chyba możemy przepchnąć?

Przeniósł wzrok na Indy. To chyba z nią zamierzał teraz rozwiązać kolorystyczny kryzys.

– Roxie, wszystko dobrze? – zagadnęła mnie Annette, a jej zielone oczy były uważne i pełne współczucia.

Odstawiłam kieliszek szampana na stolik kawowy i powoli wstałam.

– Nie. Chyba nic nie jest w porządku.

Przyjaciółka też wstała, czując, że kroi się jakaś grubsza sprawa.

– Kochanie... – zaczęła.

Odwrociłam się w stronę Toda.

– Tod, to słodkie, że tak się angażujesz, ale to jest ślub Indy. Wybrała róż i écru. Będzie DJ, a nie kapela, więc jak ktoś będzie chciał poszaleć przy AC/DC, to będzie taka możliwość. Jeśli chce gerbery, a nie frezje, to tak właśnie będzie. I żadnych cholernych misiów! Wszyscy wiedzą, że misie nie są w stylu Indii Savage.

Tod zamachał rękami i ściągnął usta w ciup.

– No dobrze, kochana, może jednak usiądziesz? Ktoś tu najwyraźniej potrzebuje więcej szampana...

– Nie. Nie usiądę i nie chcę szampana. – Zaczęłam chodzić po pokoju. – Do! Dia! Bła! Billy gdzieś tam jest i mnie obserwuje! Widział, jak z Hankiem wyprowadzamy Shamusa. Widział nawet, jak rozmawiamy w aucie! Hank mnie wówczas pocałował i ten dupek także na to patrzył!

– Kochanie, chodź no tutaj... – poprosiła Annette łagodnie.

Zignorowałam ją.

– Dziś próbowałam spiknąć Hanka z inną kobietą! Co ja sobie myślałam? To niewiarygodne! Upokorzyłam Beth. Zachowałam się jak skończona suka, choć nawet specjalnie się nie starałam, żeby być wredna. Hank tak bardzo się wkurzył! Nie tylko był zły, ale i zraniony. I ten jego gniew, i ból, wszystko to nagle zniknęło! Pstryk! – Strzeliłam palcami przed twarzą. – On potrafi to kontrolować, ogarnął się i znowu wszystko było okej. No i co to miało niby być? W kłótniach nie chodzi o to, żeby mieć wszystko pod kontrolą! To gadanie głupot, wrzaski i zwykle łzy przynajmniej jednej osoby. Nie umiem kłócić się tak, żeby tylko powiedzieć to, co leży mi na sercu, i wrócić do normalności. Jak niby, do diabła?

Zdałam sobie sprawę z tego, że krzyczę.

– Ona czasem tak ma, przyzwyczajacie się – wyjaśniła Annette wszystkim zebranym.

Niezrażona gadałam dalej:

– Hank chce dziś wieczorem porozmawiać. Wczoraj rozmawialiśmy. Nie mam już więcej sił na te rozmowy. Znowu będzie mnie straszył, bo chyba umie czytać w moich myślach! Znamy się niecałe dwa tygodnie, a on przeświecła mój umysł! To jest niemożliwe!

Wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu.

– A potem on mnie pocałuje, a ja, jak zwykle, stracę od tego zdolność rozumowania. To się dzieje za szybko. Za wiele tego, za szybko! Muszę mieć czas do namysłu. Muszę odzyskać życie, pozbierać je do kupy. Muszę... kurwa... stąd wyjść!

Zaczęłam się trząść i wiedziałam, że zaraz się rozryczę. Nie potrafiłam tego pohamować.

Z mokrymi policzkami odwróciłam się do Annette.

– Nettie... – szepnęłam. – On tam jest i mnie widzi. – Jej sylwetka się rozmyła.

Poczułam obejmujące mnie kojące ramiona.

– Ciii, kochanie, uspokój się – szeptała Annette.

– On mnie obserwuje. – Nie mogłam przestać. – On tam jest i obserwuje nas! Nie chcę, żeby ten parszywiec patrzył na Hanka!

– Ciii...

Przytuliłam się do niej z całej siły. Gładziła moje włosy.

– Możemy się odświeżyć? – spytała po chwili gdzieś w przestrzeń.
– Zaprowadzę was. – Poczułam, że Stevie dotyka mnie delikatnie i obraca w stronę schodów.
Pomogli mi ogarnąć się w łazience. Trzymałam dłoń Annette, a Stevie zmywał mój zrujnowany makijaż.

– Trochę lepiej? – zapytał, uśmiechając się.

– Nie – odrzekłam, ale również się uśmiechnęłam.

Cmoknął mnie w czoło.

– Będzie lepiej. – Spojrzał mi w oczy. – Teraz może wydaje ci się, że nigdy tak nie będzie, ale będzie, wierz mi. Obiecuję.

Pokiwałam głową. Tak bardzo chciałam mu wierzyć!

Wyszliśmy z pomieszczenia i usłyszałam, jak Ally mówi gdzieś z dołu:

– Pogadam z Lee. Gdy już dorwą tego dupka, chcę randki z nim w pokoju przesłuchań.

– Ally! – ofuknęła ją Indy.

– Słodziutka, dziś pogadam z Marcusem – wcięła się Daisy. – Chyba musi wziąć sprawę w swoje ręce. Gdy on wkroczy do akcji, nie będzie żadnego pokoju przesłuchań. Nie, jeśli mam w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia!

– Daisy! – To znowu była Indy.

– Nie ma mowy! Ja chcę go dorwać najpierw. Zabiję tego sukinsyna! – syknęła Ally.

– Ally! – Indy nie ustawała.

– Nie, to ja go zabiję! – zapewniła Daisy.

– Na miłość boską, nikt go nie będzie zabijał! – Indy nie wytrzymała.

Wszyscy zamarli, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Po chwili ołowianego milczenia Indy rzekła spokojnym już głosem:

– Tod.

– Naoglądałem się sporo syfu w życiu – odrzekł, a jego głos wibrował od gniewu. – Przez lata żyłem w ukryciu. Moi rodzice do tej pory nie znają mojej prawdziwej orientacji. Wielu z moich przyjaciół zmarło na AIDS, a wielu innych napadano i bito tylko dlatego, że są, kim są. Ale to nigdy nie działo się w moim salonie. Nigdy nie widziałem tak słodkiej i uduchowionej istoty stłamszonej. Nie, moje drogie, to ja zabiję tego pieprzonego Flynna!

Nikt nie odpowiedział.

Przełknęłam i spojrzałam na Annette i Stewiego.

– Czy ja jestem już doszczętnie stłamszona? – szepnęłam.

Stevie złożył dłoń na moim ramieniu.

– Dziewczynko, ty tak usilnie starałaś się przetrwać, że nawet nie zauważyłaś, iż byłaś na wycieczce w piekle. Wszyscy to widzieliśmy, wszyscy się zamartwialiśmy. Nie można być nieustannie silnym. Dobrze, że pozwalasz sobie na słabość. Poddaj się jej, potrzebujesz tego.

– Ale... – zaczęłam – ja nie jestem silna. Jestem słaba.

– Dlaczego tak uważasz? – Stevie zmarszczył brwi.

– Bo cały czas się mazgaję. – To chyba było oczywiste?

Machnął mi dłonią przed twarzą.

– Też mi coś! Tod też bez przerwy płacze, a jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego znam! Gdybym ci opowiedział, przez jakie bagno przepłynął, to chybabyś nie uwierzyła! – Wziął mnie pod ramię. – Ale to już opowieść na inną okazję. Może w końcu wyszukujemy cię na wieczorek u Daisy, hm?

Sprowadził mnie ze schodów. Rzuciłam przez ramię spojrzenie Annette. Stała u szczytu schodów i gdy dojrzała, że na nią patrzę, posłała mi całusa. Jej oczy był wypełnione łzami.

Udaliśmy się do sypialni na górze, zwanej Bordową Komnatą (Bordowa Róża to był sceniczny pseudonim Toda) i poddaliśmy Annette metamorfozie. Efekt był niewiarygodny!

Jej włosy potroiły objętość (dzięki Daisy); miała na sobie krwistoczerwoną suknię, obszytą czarnymi piórkami przy dekolcie.

– To jest odlot! Wyglądam jak pieprzona Scarlett O’Hara! – oznajmiła, podziwiając swoje odbicie w lustrze zamontowanym na drzwiach szafy.

Spojrzałam na Jet, która z trudem zachowywała powagę.

– Nie przegięłaś lekko? – spytałam.

– N. I. E. – odrzekła Annette. – O to właśnie chodzi.

– Cudnie! – Daisy pokiwała głową. – To twój look!

To było tak bardzo nie w stylu Annette, że jakimś cudem idealnie do niej pasowało.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Spojrzałam na zegarek, który wskazywał dziewiątą pięć.

– Cholera! – Zeskoczyłam z szezlonga. – To Hank.

Miałam na sobie mini w kolorze kamizelki drogowca. Oczywiście nie zamierzałam iść do Daisy w czymś takim, ale jak już dobrałam sobie outfit, zaczęłam mierzyć przeróżne sukienki, a ta była chyba piętnasta.

– Muszę to z siebie zdjąć! – panikowałam.

– Otworzę – rzucił Stevie.

– Idę z tobą. – Indy wyszła za nim.

Nagle ciuchy przestały się liczyć. Za chwilę miałam przeprowadzić z Hankiem „rozmowę” i wcale nie byłam na to gotowa.

Odwiesiłam sukienkę na wieszak, ubrałam się w swoje ciuchy, rzuciłam w przestrzeń parę buziaków i przepaszając, że nie pomogę sprzątać, zbiegłam po schodach.

W salonie na dole nikogo nie było, więc uchyliłam drzwi wejściowe, by spojrzeć, czy wyszli na zewnątrz.

Stali na podjeździe. Stevie miał przerzuconą przez ramię torbę z przygotowanym dla mnie strojem. Hank zdawał się skonfundowany, pocierał kark dłonią, słuchając monologu Stewiego. Indy stała obok, podpierając się pod boki.

– Co się dzieje? – spytałam, choć mogłam się domyślić.

Stevie umilkł i odwrócił się.

– Nic, kochana, wracaj do domu – poinstruował, cmokając mnie w policzek.

Nie wierzyłam w ani jedno słowo.

Indy mnie uściskała. Stevie wręczył pokrowiec z ciuchami Hankowi.

Spojrzałam na Hanka.

– Może ty mi powiesz, co się dzieje? – spytałam.

– Nic. Chodźmy już. – Objął mnie ramieniem.

Zaparłam się.

– Co oni ci naopowiadali?

Hank spojrzał w dół na mnie, było coś niespokojnego w jego oczach.

– Pogadamy w aucie.

– Hank!

Objął mnie mocniej.

– Roxie, wsiadaj, nie możemy tak stać na widoku.

Zrozumiałam od razu i szybko wsiadłam do samochodu, Hank zatrzasnął za mną drzwiczki.

Wrzucił ubrania na tylną kanapę.

Odezwał się dopiero, gdy ruszyliśmy.

– Podobno miałaś kiepski wieczór. Nic innego mi nie powiedzieli.

Wyrzałam przez okno.

– To nie tak. Ja po prostu... – Szukałam właściwych słów. – Pękłam na chwilę. Już mi lepiej.

Nie odpowiedział.

– Już mi lepiej – powtórzyłam, spoglądając na niego, ale to chyba siebie usiłowałam przekonać.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu, oderwał dłoń od kierownicy i dotknął mojego policzka, po czym spojrzał w obie strony i ruszył.

Jego dotyk był jak balsam na moją zbolałą duszę. Nie musiał się nawet odzywać. Wyglądałam przez szybę, ale zaniepokoiłam się, gdy nie zwoinił przed swoim domem. Minęliśmy oświetlony budynek.

– Coś nie tak? – zapytałam.

Mignęły rozświetlone światła salonu i kuchni.

– Nie zostawiłem zapalonego światła – rzucił. – Masz numer Lee? – Wyciągnął swój telefon z tylnej kieszeni.

Lodowaty strach spełził w dół mojego kręgosłupa.

– Nie wiem...

– Kochanie, wyciągnij komórkę, podam ci numer.

Drżącymi rękami wydobyłam telefon z torebki. Zanim cokolwiek zrobiłam, wyświetlił się numer Texa. Wystraszyłam się tak bardzo, że prawie wypadł mi z rąk.

– Co, do...? – zaczęłam.

Przecież wujek nigdy nie dzwonił do mnie z komórki!

– Halo? – zapytałam niepewnie.

– No co wy wyrabiacie? Dlaczego minęliście dom?

Zamrugalam w ciemności.

– Gdzie ty jesteś? – spytałam.

– Stoję przy oknie w salonie Hanka! Gdzie żeście pojechali, po lody na deser?

Hank jednym okiem patrzył na drogę, drugim zerkał w swój telefon.

– Wujek Tex jest u ciebie, widział, jak przejeżdżamy – uświadomiłam go.

Hank zerknął na mnie, dojechał do skrzyżowania i zawrócił.

– Zawróciliśmy – poinformowałam go.

– Widzimy się za minutę. – Tex się rozłączył.

– Co wujek robi w twoim salonie? – spytałam.

– Nie mam pojęcia. Dałem mu klucz, gdy się wprowadziłaś, tak na wszelki wypadek. Najwyraźniej uznał, że dziś jest ten wszelki wypadek.

Zaparkowaliśmy na podjeździe. Hank wziął mnie za rękę, ale przysłonił mnie swoim ciałem i wszedł pierwszy.

– Jezuniu słodki! – usłyszałam głos mojej matki gdzieś z wnętrza domu.

Niech mnie wszyscy święci!

Przepchnęłam się obok Hanka, Shamus wypadł na nas, ale ja gapiłam się na rodziców siedzących jak jakieś święte figury na kanapie Hanka.

Byłam młodszą wersją mojej mamy, wysokiej i soczystej. Wprawdzie trochę jej się przytyło i rozjaśniła włosy, ale wciąż pozostawałyśmy bardzo podobne.

Tata przypominał wielkiego, rudego, zielonookiego irlandzkiego gnoma. Wcześniej nie zauważyłam, że był niższy ode mnie o jakieś dziesięć centymetrów! No i wyhodował piwny brzuchal.

Najwyraźniej Tex skutecznie swoją niedawną groźbę i zadzwonił do mojej matki.

Cholera.

– Jezu słodki! – rzekła znowu mama, gapiąc się na Hanka i podnosząc się z kanapy.

Tata dla odmiany patrzył na mnie, również się powoli podnosił.

– Roxie...! – szepnął.

Miał taką minę, jakiej jeszcze nie widziałam. Można to było nazwać „szalejący z niepokoju”.

– Tato...

Przeszedł przez pokój i gwałtownie przyciągnął mnie do siebie. Potem odsunął mnie na odległość ramion, żeby mi się przyjrzeć. Chociaż opuchlizna i sińce zniknęły, miałam jeszcze strupy na policzku.

– Zabiję tego skurwysyna! – syknął tata.

Zamknęłam oczy.

– Herb! – zbesztła go mama. – Nie przy chłopaku Roxie!

Dobra Boziu!

Tata spojrział na Hankę i puścił mnie.

– Jestem Herb Logan, ojciec Roxie – przedstawił się, wyciągając do niego rękę, jakby nie było to dość oczywiste.

– Hank Nightingale. – Hank uściśnił jego dłoń.

– Słodki mój Jezuniu! – szeptała mama, patrząc na te kurtuazyjne bzdury.

– To moja żona, Trish. Dobry Bóg ją nawiedza od czasu do czasu... Najlepiej to zignorować – wytłumaczył ją tata.

Hank uśmiechnął się do mojej mamy, która wzniosła oczy ku niebu.

– Pan nasz i zbawiciel wysłuchał moich modlitw!

– Mamo! – prychnęłam.

– No co? – zapytała, przenosząc rozanielony wzrok na mnie. – Podoba mi się!

To się nie działo! Żenadometr wybuchł!

– Zabij mnie, serio. Wyciągaj tego swojego gnata i zastrzel mnie, pozwalam!

Hank z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Przyciągnął mnie do siebie.

– Dzięki ci, słodki Jezusie! – piała mama, która w końcu doczekała się boskiej interwencji.

– Przestań, mamo, bo Hank uzna cię za dziwaczką dewotkę! – wypaliłam.

– Jest dziwaczką, nie da się ukryć... – mruknął tata.

– Nie jestem dziwaczką! – zaprzeczyła.

– Trish, jesteś walnięta, od zawsze byłaś! – zagrzmiał Tex, zwracając w końcu i na siebie naszą uwagę. – Mamy to w genach, niestety.

Nagle jakby mnie olśniło.

Mama i Tex stali razem w jednym pokoju, tak blisko siebie! A przez lata się do siebie nie odzywali!

Moje oczy wypełniły się łzami.

– Mamo... – szepnęłam do niej i widziałam, że jej spojrzenie też się zeszkliło.

Podeszłam do niej i zawołałam Texa.

– Teraz przydałyby się jakiś Jezusek, żeby mnie uratować... – mruknął, zbliżając się.

– Chodź no tutaj! – zażądałam drżącym od emocji głosem.

Utonęliśmy w jego objęciach.

– Zadowolone? – mruknął nad nami.

– Tak... – szepnęłam.

Ucałował mnie w czubek głowy, potem zrobił to samo z mamą. Nie wytrzymałyśmy i poryczyłyśmy się jak na komendę!

– Niech to diabli! – zagulgotał Tex.

Tę ckliwą scenkę przerwał w końcu mój tata.

– Skoro już odbiliśmy to łzawe pojednanie, może przejdziemy do sprawy porwania i pobicia mojej córki? Chętnie poznam szczegóły!

Wyswobodziłam się z objęć i otarłam twarz wierzchem dłoni.

– Hank to ogarnia – wyjaśniłam.

– Tak właśnie mówił Tex. Możemy pogadać? – Tata zwrócił się do Hanka.

– Tato!

– Tex mówi, że to fachowiec i zna się na swojej robocie. Wierzę mu, ale, Roxanne Giselle Logan, masz na twarzy rany, a w oczach ciągle strach. A ja jestem twoim pieprzonym ojcem i chcę być, do cholery, wtajemniczony! Czy to jasne?

Znałam już ten władczy ton, więc więcej nie protestowałam.

– Herb, wyrażaj się! – Mama, w przeciwieństwie do mnie, nie ulegała temu tonowi.

Zanim doszło do jakiejś niepotrzebnej kłótni, zaproponowałam:

– To co, może napijemy się kawusi?
– Nie będę pił żadnej kawy, mam ochotę na piwo! – Tata zwrócił się do Hanka. – Jest jakiś bar w okolicy?

Hank spojrział na mnie, potem na tatę.

– Jest, ale jest również piwo w mojej lodówce.

Ojcu to nie odpowiadało.

– Synu, musimy porozmawiać bez towarzystwa pań. Mam ci coś do powiedzenia, a Trish to nawet przez ścianę usłyszy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– A co za sekrety masz przede mną, Herbercie Logan? – obruszyła się mama.

– Nie zostawię Roxie bez opieki – oznajmił Hank tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Tata uśmiechnął się do Hanka.

Jeśli wcześniej miałam przesrane, to teraz byłam już kompletnie ugotowana, gdyż mój ojciec właśnie wyraził aprobatę.

Podejrzewałam, że Hank mógłby mu się spodobać, ale nie sądziłam, że tak mnie to wzruszy.

– Zostanę z paniami – zaofiarował się Tex.

Tata pokiwał głową i spojrział na Hanka.

– Tak może być?

Hank zgodził się niechętnie.

Przywołał mnie spojrzeniem, a gdy podeszłam, objął mnie.

– Zaraz wracamy – powiedział.

– Okej.

– Zamknijcie i nie otwierajcie nikomu – rozkazał.

– Okej.

– Kanapa w biurze się rozkłada. Jeśli rodzice chcą z nami zostać, to nie ma sprawy.

– Okej – zgodziłam się, choć to było dziwaczne.

Chyba czytał w moich myślach, bo wyszczerzył się w uśmiechu. Ucałował mnie w czoło i skinął na tatę.

– Przystojniak! – rozanieliła się mama, gdy wyszli.

Nagle przy moich nogach znalazł się Shamus.

– Nie zostaniecie tutaj na noc – oznajmiłam jej.

– Tata nie chce cię spuszczać z oka!

– Ale do baru z Hankiem rażno pokłusował.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli! – ofuknęła mnie mama.

– Wynajmiemy wam pokój w hotelu – zaoferowałam.

– Jesteśmy twoimi rodzicami, mamy swoje pieniądze!

– Mamo! – pisnęłam.

– Roxanne Giselle...

– Trish, do diabła, ona sypia z tym facetem, no weź się domyśl! – wtrącił się zniecierpliwiony Tex.

Spojrzałam na niego ze zgrozą.

Mamę ta rewelacja niespecjalnie wzruszyła.

– W porządku, mam liberalne poglądy – oznajmiła. – Herba też nawrócę na liberalizm. Poza tym polubił Hanka, było widać.

Mama nie miała pojęcia, co to są liberalne poglądy. Gdy przyjeżdżaliśmy do domu z Billym, spaliśmy w osobnych pokojach. Ta reguła tyczyła się też Mimi i Gila, mojego rodzeństwa. Braciszek spał osobno, choć miał tę samą dziewczynę od trzech lat.

– Niech zatrzymają się u ciebie! – poprosiłam błagalnym tonem wujka.

– A co ja mam do powiedzenia? – Wzruszył ramionami.

Poddałam się, westchnąwszy ciężko. Ten dzień był wystarczająco ciężki i płacziwy.

– Podoba mi się ten dom – oznajmiła mama. – Przytulnie tu, ale świeca czy dwie nie

zaszkodziłyby. A ten jego psiak, co za słodziak! – Mama pochyliła się do Shamusa; obwąchał jej dłoń, a potem liznął przyjaźnie po policzku. – No istny słodziak!

– To może ty mnie zastrzelisz? – zwróciłam się do Texa.

Z uśmiechem zmierzwił moje włosy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Chodź no tutaj

Gdy Hank i tata wrócili z baru, twarz mojego rodzica nie wyglądała już na zmartwioną, co wzięłam za dobrą monetę. Niestety, wnieśli do salonu bagaże, a to już był bardzo zły znak.

– Skoro już wyszliśmy, to przynieśliśmy również bagaże z auta. A baby twierdzą, że faceci nie potrafią być multizadaniowi! – rzekł tata, porzucając walizy na środku pokoju.

– No jeszcze czego, raz coś zrobił sam z siebie i oczekuje fanfar! – Mama westchnęła i spojrzała na mnie.

Nie miałam ochoty na wysłuchiwanie ich przekomarzanek; patrzyłam na bagaże.

– Nie możecie tutaj zostać! – pisałam.

Tata spojrzał na mnie skonfundowany.

– Hank powiedział, że możemy.

Spojrzałam na Hanka, potem na rodziców, na Texa, aż w końcu przewróciłam oczami. Naprawdę nie miałam na to siły!

– No dobra – poddałam się.

Pościeliłyśmy kanapę, na szczęście Hank miał wystarczająco dużo poduszek. Potem siedzieliśmy w salonie i rozmawialiśmy, pijąc piwo. Wujek wrócił już do siebie, a rodzice też byli zmęczeni. Ucałowałam ich na dobranoc.

Nie skomentowałam tej sprawy z nocowaniem.

Hank objął mnie i poprowadził do sypialni, po drodze gasząc światła.

– Dziś śpię na kanapie – oznajmiłam, gdy doszliśmy do pokoju. – Masz jeszcze jeden koc? – zapytałam.

Wyciągnęłam piżamę spod poduszki i ruszyłam do łazienki.

– Nie śpisz na żadnej kanapie – zdecydował Hank, po czym dodał: – Wypuszczę na chwilę Shamusa.

Patrzyłam, jak wychodzi, wołając psa.

No chyba nie sądził, że my razem, a rodzice za ścianą...

Przyszykowałam się do spania i czekałam na jego powrót, siedząc po turecku na łóżku.

– Skoro nie ja, to ty idziesz na kanapę! – zaatakowałam, gdy tylko wrócił.

Zdjął sweter przez głowę, potem buty (nie przez głowę) i usiadł obok mnie.

– Nie będę spał na żadnej kanapie.

Uniósł się, by rozpiąć jeansy. Odłożył broń, telefon i odznakę na nocny stolik.

Usiłowałam nie gapić się na jego obnażone ciało, ale to nie było łatwe, bo mięśnie przyciągały wzrok.

– Hank, moi rodzice śpią obok!

– No i?

– No i mój ojciec padnie, gdy uświadomi sobie, że leżymy w jednym łóżku!

Hank, już całkiem nagi, zaczął gramolić się do łóżka.

– Twój tata nie ma z tym problemu – oznajmił z całą pewnością.

– Co? Rozmawialiście o tym?

Wyciągnął rękę i pociągnął mnie na siebie, okrywając kołdrą.

– Nie – odpowiedział, patrząc, jak układam się na plecach.

– No to skąd wiesz?

– Bo to jest moje łóżko. I mój dom.

– Nie rozumiem.

Hank sięgnął ponad mną i wyłączył lampkę. Obrócił mnie na bok i przytuliliśmy się na łyżeczkę.

– To taka męska niepisana umowa. Zaufaj mi.

Shamus wskoczył na kołdrę, podreptał w kółko i opadł ciężko, układając się do snu.

No cóż, skoro tak...

Byłam wykończona i było mi tak dobrze! Mój mężczyzna i jego pies po drugiej stronie dawali mi poczucie bezpieczeństwa. Czułam, że odpływam.

Gładziłam psa po uszach, gdy Hank szepnął:

– Słoneczko?

– Hm? – Prawie już zasnęłam.

– Puszczam cię.

Po co to mówił? Nie trzeba było takich rzeczy ogłaszać.

– Dobra, wygodnie mi. I tak nie mam gdzie się przesunąć, Shamus się do mnie przykleił i zajmuje chyba połowę łóżka...

Zapadła cisza, a potem poczułam, że dzieje się coś niedobrego, jakby ktoś wysysał powietrze z pokoju.

– Nie to mam na myśli.

Otworzyłam oczy, lecz wokół była tylko ciemność.

– A o co ci chodzi?

– Gdy to wszystko się skończy, oddam ci samochód i będziesz mogła wrócić z przyjaciółmi do Chicago.

Poczułam, jak napinają mi się wszystkie mięśnie.

– Co powiedziałaś?

– Uwalniam cię – powiedział cicho.

Zabrakło mi oddechu.

– Czy ty... – zawahałam się – ze mną zrywasz?

Poczułam, że obejmuje mnie pod kołdrą.

– Przecież to ty ze mną zerwałaś, pamiętasz?

Byłam taką idiotką!

Zaczynałam się dusić.

– Ale muszę ci coś jeszcze wytłumaczyć – mówił dalej.

Ja natomiast nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

– Jestem gliną. Zawsze chciałem zostać policjantem. Codziennie chronię ludzi, dbam o ich bezpieczeństwo. Ale gdy w grę wchodzi ktoś, na kim mi zależy... – Przerwał.

Ja również przestałam oddychać.

– Chyba już wiem, dlaczego nie chciałaś angażować mnie w ten bajzel z Flynnem. Ale zrozum, zrobiłbym to tak czy inaczej.

Wzięłam oddech, bo moje ciało potrzebowało rozpaczliwie tlenu, inaczej chyba umarła.

W tamtym momencie śmierć nie wydawała się nawet taka zła.

Czekałam, aż powie, że tak naprawdę nie chce mnie uwalniać, że wolałby, żebym została.

Nie dodał jednak nic więcej.

Cisza ciążyła między nami jak ołowiana chmura.

– Dlaczego? – zapytałam w końcu.

– Co dlaczego?

– Dlaczego mnie uwalniasz?

Zacieśnił uścisk ramion.

– Powiedziałaś kiedyś, że jeśli na czymś ci zależy, musisz to uwolnić. I jeśli samo wróci...

– Pamiętam.

– Uważam, że to bzdura.

Uśmiechnęłam się, choć wszystko wewnątrz mnie zaciskało się z bólu.

– Więc ja jadę do domu do Chicago, a ty masz nadzieję, że wrócę do Denver? – zapytałam.

– Nie. Ty idziesz swoją drogą, ja idę moją. Jeśli oboje będziemy iść naprzód, będę usatysfakcjonowany. Ale nie będę na ciebie czekał i nie chcę, żebyś ty czekała na mnie.

Mój uśmiech zniknął, gardło mi się ścisnęło. Poczułam, że Hank zbliża usta do mojej szyi.

– Długo byłaś sama, Roxie, jak w pułapce. Niedługo ten cały syf się skończy. Masz przyjaciół i rodzinę, którzy pomogą ci się pozbierać.

Nie chciałam, żeby pomogli mi się pozbierać. Chciałam, żeby Hank to robił.

Dobry Boże!

Chyba znowu zbierało mi się na płacz.

Ile jeszcze łez miałam w sobie?

Wiedziałam, że tak to ma się skończyć, że tak ma być. Mimo to czułam się tak potwornie!

Już wiedziałam.

Wiedziałam, dlaczego miał takie niespokojne spojrzenie po rozmowie z Indie i Steviem. Wiedziałam, dlaczego tak delikatnie dotknął mojej twarzy.

Myślał, że to on mnie więzi.

Nie uwalniał mnie dlatego, że to ja tego chciałam. Nie dlatego, że w końcu przekonałam go, iż zasługuje na kogoś lepszego. Nie dlatego, że byłam upartą świruską z matką wołającą do Jezusa.

Uwalniał mnie, żebym w końcu poczuła, czym jest prawdziwa wolność.

O... mój... Boże...!

Był takim wspaniałym facetem!

Coś znowu zaczęło się we mnie kurczyć. Jakby zimny, ale wciąż płynny metal wypełnił moje żyły.

– Whisky? – zawołałam go.

– Tak?

Wzięłam głęboki oddech, a serce waliło mi ze strachu.

– Zmieniłam zdanie.

Jego mięśnie również się napięły.

– Myślę, że już nie chcę... – szepnęłam – żebyś mnie uwalniał.

Ledwie wypowiedziałam ostatnie słowo, a Hank przetoczył się na mnie, zrzucając Shamusa z łóżka.

Pocałował mnie tak, jakby zamierzał mnie zjeść, a jego dłonie nagle były wszędzie.

Objęłam go, przegarnęłam jego włosy. Przetoczyliśmy się znowu, po chwili leżałam na nim, całując jego szyję, barki, obojczyki. Wędrowałam w dół, gdy przejął kontrolę i przeturlał mnie na plecy, znowu całując szaleńczo. Zaczął zsuwać mi majtki, gdy...

Zadzwoił mój telefon.

Zamarliśmy.

Dzwonił i dzwonił, ale nie drgnęliśmy.

Zapadła cisza, dłonie Hanka się poruszyły i wtedy...

Telefon zadzwonił znowu.

– Kurwa! – mruknął Hank, a ja chwyciłam torebkę ze stolika i wydobyłam telefon wyświetlający informację o zastrzeżonym numerze.

– Halo? – zapytałam.

– Pieprzycie się?

Zesztywniałam.

Hank patrzył na mnie, będąc wciąż na górze.

– Billy?

W tej sekundzie Hank zeskoczył z łóżka, chwytając swój telefon, zaczął wciągać jeansy. Uniosłam się na łokciu.

– Pieprzycie się? Czy teraz cię obmacuje, suko?

– Billy, gdzie jesteś?

Obserwowałam Hanka, który wybrał numer i teraz przyciskał telefon policzkiem do ramienia, zakładając spodnie.

– Pierdolę was oboje, Roxie, ciebie i cholernego detektywa Hanka Nightingale'a!

– Słyszysz to? – rzucił Hank do swojego telefonu.
– To on? Co on tam pierdoli? – zasyczał Billy do mojego ucha.
– Billy, masz przesrane. Ludzie Desmonda Harpera cię ścigają – powiedziałam.
Hank spojrział na mnie i mrugnął porozumiewawczo.
Ulżyło mi. Musiałam utrzymać Billy’ego na linii.
– Ludzie Harpera siedzą w pierdłu – odparł Billy.
– On ma więcej ludzi. Depczą ci po piętach. Musisz wyjechać, uciekać z miasta. Harper chce odzyskać kasę. Znajdzie cię.
– Skąd to wszystko wiesz? W mordę! Nightingale ci powiedział? – spytał Billy.
– Billy...
– Co ci jeszcze nagadał? Nie wierz mu, Roxie! Nie wierz w ani jedno słowo tej kłamliwej świni!

Usiadłam na łóżku.
No tylko tego brakowało!
– Nie waż się nazywać Hanka świnią! – wypaliłam.
– No i dlaczego go bronisz, dziwko?
Tak to się mogłam kłócić!
Odrzuciłam kołdrę i wyskoczyłam z łóżka.
– Nie nazywaj mnie dziwką!
– Dwa tygodnie temu leżałaś w moim łóżku, suko! Teraz pieprzysz się z jakimś gliną. Tak właśnie robią dziwki!
– To było moje łóżko, idioto! Byłeś moim współlokatorem i z jakiegoś durnego powodu pozwoliłam ci w nim spać!
– Ty mi pozwoliłaś? Błagałaś mnie, żebym cię przeleciał, gdy się poznaliśmy!
– Ja błagałam? Ale żeś sobie wymyślił!
Tego argumentu nie mógł odbić.
– Nie byłem żadnym cholernym współlokatorem! Byłaś moją kobietą!
– Od trzech lat nie jestem twoją kobietą, debilu! – krzyknęłam.
– Tak? A dlaczego tak sądzisz?
– No nie wiem? – rzuciłam sarkastycznie. – Pewnie dlatego, że wystawiłam twoje graty na korytarz i wymieniłam zamki? A może dlatego, że zostawiłam cię z milion razy, a dla pewności dodawałam liścik, w którym pisałam, że to definitywnie koniec? A może dlatego, że nie pozwalałam ci położyć na mnie brudnych łapsk przez ostatnie półtora roku? Zapewne właśnie dlatego! – wrzasnęłam.

Gdy ja się darłam, ktoś pukał do drzwi sypialni. Hank, ciągle przytrzymując głowę telefonem, otworzył drzwi.

Rodzice stali za nimi, tata w piżamie, mama okutana w szlafrok. Hank uciszył ich gestem, zanim zaczęli wypytywać. Patrzyli na mnie z troską.

– Wcale nie chcesz ode mnie odejść, Roxie. Nie chcesz. Zawsze wracasz.
– Przez trzy lata próbowałam odejść, Billy, ale ty byłeś za głupi, żeby się z tym pogodzić!
– Nie nazywaj mnie głupim! – Głos mu się zmienił, obniżył.
– Billy, to koniec! K.O.N.I.E.C!
– To nie koniec, Roxie.
– Właśnie że tak!

Zamilkł.

Czekałam.

– Zrób mu dzisiaj dobrze, Roxie – zaczął po chwili. – Porządnie go wyruchaj. Niech nigdy nie zapomni twojej kształtnej dupki. Dogódź mu ustami, dobra w tym jesteś, pamiętam twoją słodką buźkę...

Przełknęłam i spojrzałam na Hanka. Stał jak skamieniały, z nieruchomą twarzą, ale czułam, jak wściekłość z niego promieniuje i osiada na wszystkim wokół.

Hank czegoś nasłuchiwał. Czy możliwe, że słyszał głos Billy'ego z telefonu?

Niech to diabli!

– Billy, musisz wreszcie...

– Dziś mu dogodzisz – wciął się – ale jutro będziesz ze mną. Jutro on będzie leżał w pustym łóżku i tęsknił za twoimi słodkimi usteczkami. A co do ciebie i mnie... Sprawię, że o nim zapomnisz, Roxie. Wyjedziemy, on zniknie i zostaniemy tylko my dwoje.

– Nigdy i nigdzie z tobą nie wyjadę! – rzuciłam w pustkę, bo zdążył się rozłączyć.

Odrzuciłam telefon na stolik i spojrzałam na Hanka.

Odwzajemnił spojrzenie, ale mówił do kogoś innego.

– Masz go? – Chwila ciszy. – Tak. Informujcie mnie.

Rozłączył się, odłożył telefon i powiedział:

– Jest w Colorado Springs.

Spoglądałam to na rodziców, to na Hanka, zastanawiając się, co on sobie teraz o mnie myśli. Po tym, co usłyszał, mógł nie tylko mnie uwolnić, ale i wykopać ze swojego życia.

– W Colorado? – spytała mama. – A co on tam robi?

– Ukrywa się. Wie, że ścigają go ludzie Harpera, więc nieustannie się przemieszcza – wyjaśnił Hank i spojrzał na mnie. – Vance tam jest. Przetrzyzymał go na linii tak długo, że udało się określić dokładną lokalizację. Vance zaraz go dorwie.

Pokiwałam głową.

– Dzięki niech będą Panu naszemu, Jezusowi! – zapiała mama.

– Brawo, dziewczyno! – dodał tata.

Zignorowałam ich.

– Wszystko słyszałeś? – spytałam Hanka.

– Tak. Gdy dowiedziałem się, że do ciebie wydzwania, podłączyliśmy się do twojego telefonu.

Byłaś na głośniku. Hej, w porządku?

– Nie – odrzekłam.

Nie, nic nie było w porządku. Hank wszystko słyszał i nie podszedł do mnie. Stałam tam, półnaga i drżąca, a on nawet się nie zbliżył.

Wiedziałam, że tak to się skończy. Nigdy już nie zechce się do mnie zbliżyć.

Hank wyglądał na wkurzonego. Na tak wściekłego, że aż gotowego do mordu. Jakby powstrzymywał się przed zrobieniem czegoś naprawdę strasznego. Nie zdziwiłabym się, gdyby za moment zaczął rozpieprzać wszystko w pokoju.

– A ty jak? – spytałam go.

Przez moment nie odpowiadał.

– Zabiję tego skurwysyna – wysyczał w końcu, a głos miał taki, że aż przeszył mnie dreszcz.

Naprawdę był gotów to zrobić.

– Whisky...

– Chodź no tutaj! – rozkazał.

– Co?

– Chodź tutaj – powtórzył.

Okrążyłam łóżko i podeszłam.

Przyciągnął mnie do siebie gwałtownie i objął tak mocno, że aż rozboleły mnie żebra, pierwszy raz od wielu dni.

– Whisky, moje żebra! – wydyszałam.

Nie poluzował uścisku.

– Nigdy więcej cię nie dotknie – powiedział gdzieś nade mną.

– Dobrze, ale... boli...

– Nigdy więcej się do ciebie nie zbliży.

Tak bardzo pragnął utrzymać swoje emocje na wodzy, że nie mógł się poruszyć.

Roztopiłam się w jego ramionach i odwzajemniłam uścisk. Spróbowałam spojrzeć na niego

i powiedziałam:

– Whisky, poradzimy sobie z tym!

Nie odpowiedział, ale trzymał mnie już delikatniej. Atmosfera się rozluźniała, staliśmy tak bez słowa.

– No cóż, widzę, że masz to pod kontrolą, synu! Widzimy się rano – rzucił tata gdzieś zza moich pleców.

– Dobranocka! – powiedziała mama.

Drzwi się zamknęły.

A my trwaliśmy, nieporuszeni.

Poczułam, że Shamus ociera się o nasze nogi.

– Przykro mi, że musiałeś tego wysłuchiwać – szepnęłam cichutko.

– Lee kieruje się innymi zasadami – zaczął Hank, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. – I zatrudnia ludzi, którzy je rozumieją.

Przytaknęłam, choć nie bardzo wiedziałam, o co mu chodzi. Wolałam nie wnikać.

– Zależy im na pieniądzach. Lawirują pomiędzy ciemną i jasną stroną. Zazwyczaj stoją po stronie dobra, ale czasem po prostu robią to, za co się im płaci, i nie zadają pytań.

Pogłodziłam go po twarzy.

– W porządku – szepnęłam.

– Czasem wcale nie chodzi im o sprawiedliwość, w moim rozumieniu tego słowa. Ale zdarza się, że Eddie i ja gramy z nimi; metodycznie, sumiennie, żeby do kolesia coś dotarło. Zastanowi się dwa razy, zanim znów podniesie rękę.

O w mordę.

Chyba zaczynałam rozumieć, do czego to zmierza.

– Whisky... – Przyłgnęłam do niego.

– Do pokoju przesłuchań nie wprowadza się ludzi po to, żeby ich krzywdzić. Przesłuchać owszem, ale nie słyszałam o tym, aby kogokolwiek spotkała tam krzywda.

– Może powinniśmy się położyć...? – zasugerowałam.

Zignorował mnie.

– Gdy Vance cię znalazł, to nieźle się wkurzył. On pochodzi z rozbitej rodziny, przemocowej. Ojciec wyrzucił go z domu, kiedy próbował bronić matki. Miał dziesięć lat.

– O mój Boże... – szepnęłam, a mój umysł wypełniły obrazy wyrzuconego z domu dziesięciolatka. Co wówczas zrobił? Naprawdę żył na ulicy?

Dobry Boże!

Nie mogłam teraz o tym myśleć, musiałam skupić się na Hanku.

Zdawał się w ogóle mnie nie zauważać.

– Vance zażądał, żeby to jemu przydzielono pościg za Flynnem. Chciał, żeby to było jego wynagrodzenie za odnalezienie cię. To byłby precedens w branży, ale Vance się uparł. Flynn pozbawił cię możliwości obrony i teraz zasługiwał na to samo. Tex też tak uważa. Decyzję zostawiono mnie. Nie zgodziłem się. Nie zamierzałem wnikać, co tak naprawdę się stanie, ale nie wyraziłem aprobaty. To Tex ocalił Indy, zanim przestrelono jej kolano, aby zmusić ją do mówienia. Lee miał więc u Texa dług. To on miał ruszyć za Flynnem, a jeśli by zawiódł, następny w kolejce był Vance. Eddie i ja zdecydowaliśmy się wkroczyć do akcji i znaleźć Flynnna, zanim dopadłby go któryś z żądnych zemsty chłopaków.

Pozwalałam mu się wygadać.

– Myślę, że teraz jest właśnie moja kolej – powiedział, a moje serce przeszył spazm.

Teraz to już musiałam się wtrącić.

– Hank, nie możesz tego zrobić! Ty nie romansujesz z ciemną stroną!

– Nie pytam cię o pozwolenie, Słoneczko. Oznajmiam ci, że to zrobię.

W mordę!

– Nie możesz przeze mnie zrobić czegoś takiego! – zaprotestowałam.

– Mogę. Teraz już rozumiem, co czuł Lee. Każdy, kto zdecyduje się podnieść na ciebie rękę, obrazić cię, musi wiedzieć, co go czeka.

– Hank, możesz stracić przez to odznakę!

– Jeśli do tego dojdzie, będę pracował dla Lee.

– Hank!

– Mówię ci to, żebyś znała moje motyw. Nie proszę o zgodę i nie zamierzam dyskutować.

No w mordę, mordeczkę, mordunię!

– A właśnie że podyskutujemy, bo nie pozwolę ci na to! – uniosłam głos i chyba nawet tupnęłam. – Chciałeś być gliniarzem od zawsze. Nie będziesz ryzykował swojej reputacji dla mnie! I to ja jestem świruską?

Coś zmieniło się w jego twarzy. Złość gdzieś uleciała i pojawiło się coś dobrego, coś, co już znałam.

Naparł na mnie, a ja zaczęłam cofać się w stronę łóżka.

– Więc nigdzie się nie wybierasz? – zapytał.

O co on mnie pytał?

– Denver. Zostajesz w Denver?

Zmrużyłam oczy.

– Nie zmieniaj mi tutaj tematu, Hanku Nightingale!

Oparłam się o łóżko i polecałam do tyłu, a on już leżał na mnie.

– Przeprowadzisz się do Denver na stałe? – zapytał spokojnym tonem.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, jego usta zawędrowały na moją szyję.

– Nie o tym rozmawialiśmy. Rzecz była o ryzykowaniu kariery dla głupich ideałów!
– przypomniałam mu.

– Tamten temat zamknęliśmy. Teraz będzie o tobie i o Denver.

Dotknął językiem mojego ucha.

Zadrżałam.

Usiłowałam się odsunąć i spojrzeć na niego.

– Hank, musimy dokończyć rozmowę o...

Zamknął mi usta pocałunkiem.

O czym to mieliśmy rozmawiać...?

Chwilę później Hank już był bez spodni, a potem w moich ustach, ale zanim skończył, zaczął znowu mnie całować, grając palcami we wnętrzu mojego ciała.

– To jak będzie z tą przeprowadzką...?

Co on wyczyniał tymi palcami...!

– Będzie przeprowadzka! – wydyszałam.

Gdy na niego spojrzałam, jego twarz zdobił triumfalny uśmiech.

Pieprzony Hank!

Rozdział dwudziesty czwarty

Maślanka

Zadzwoił telefon.

Otworzyłam oczy w kompletnych ciemnościach.

Hank leżał na plecach, do połowy okrywałam go moim ciałem, moja głowa spoczywała na jego ramieniu, a z drugiej strony dociskał mnie do niego Shamus.

Spałam smacznie, ale na dźwięk dzwonka momentalnie się spięłam.

Hank odebrał jedną ręką, drugiej nie odrywając od mojej talii.

– Ta? – rzucił do telefonu, po czym słuchał w milczeniu. – Powiedz mi, że to jakieś jaja!
– dodał zmienionym od gniewu głosem.

Cholera! Billy musiał się wymknąć.

Mocniej przytuliłam się do Hanka, przycisnęłam czoło do jego ramienia.

– Znajdź go! – dokończył Hank i się rozłączył.

– Whisky... – szepnęłam, a mój głos drżał ze strachu.

– Dorwie go – zapewnił mnie Hank.

– Z Vance'em wszystko w porządku?

– Flynn zniknął, gdy Vance dotarł na miejsce. Ale są świeże ślady. Vance go dorwie, Roxie.

Przelknęłam.

Hank odłożył telefon i otoczył mnie ramionami.

– Uspokój się, kochanie! On już cię więcej nie skrzywdzi – mruknął.

Usiłowałam rozluźnić mięśnie. Dotyk dłoni Hanka był kojący i po chwili znowu zasnęłam.

– Nie ma maślanki.

Otworzyłam oczy powoli i pierwsze, co zobaczyłam, to grdyka Hanka oświetlona poranną łuną.

Leżeliśmy spleceni, wciąż drzemaliśmy, ale mimo to słyszałam głosy z kuchni.

– Oczywiście, że nie ma maślanki! Kto to w ogóle jeszcze pija?

Zamrugalam.

Mama i tata rozmawiali w kuchni tak głośno, jakby stali tuż obok nas. Głosy penetrowały wcale niecienkie ściany.

– No ale skoro nie ma maślanki, to jak mam usmażyć racuchy? – pytała mama. – Słodki Jezu!

– wykrzyknęła. – Mąki też nie ma! – oznajmiła, jakby to było niewyobrażalne. Albo karalne.

– Czy on ci wygląda na faceta, który w wolnym czasie zajmuje się wypiekami? – Tata mówił jeszcze głośniejszym głosem.

Hank otworzył oczy.

Do diabła!

Ja dla odmiany swoje zamknęłam i wtuliłam się w jego szyję.

– No, może on nie piecze, ale przecież Roxie tu pomieszkuję, a ona potrafi!

– Tak, bo Roxie faktycznie krzątała się po wspólnym gniazdku i piekła ciasteczka, podczas gdy tamten skurczybyk na nią czyhał! Jezu, Trish!

Trzasnęły drzwi kuchennej szafki.

– Nic tu nie ma poza piwem i kawą! Ani jajek, ani chleba, ani mleka! A wygląda na zdrowego chłopaka! I co, tak na kawie i piwie ciągnie? No i co ja pocznę?

O rety...

Mama właśnie nazwała Hanka „zdrowym chłopakiem”!

Choć zdjęła mnie zgroza, mocniej przytuliłam się do jego ciepłego ciała; jego ramiona zacisnęły się wokół mnie.

– No to zrób chociaż cholerną kawę! – stwierdził oczywiście tata.

– Nie tym tonem, Herbercie Logan! – obsztorcowała go mama.
– Nie mów mi, jakiego tonu mam używać, kobieto! – odgryzł się.
– Zasuwał po maślanekę! – zignorowała ten protest mama. – I po bekon. I syrop klonowy!
– Znowu trzask drzewiczek. – Nie, czekaj, syrop jest!
– Dokąd niby mam zasuwąć po tę maślanekę? – Tata zaczynał histeryzować.
– Do spożywczaka, a dokąd niby? – Mama brzmiała tak, jakby tłumaczyła coś wsiowemu głupkowi.

– Błagam, zamknijcie się już! – szepnęłam w szyję Hanka.

Hank przeturlał mnie pod siebie. Oczy mu się śmiały, gdy przysłuchiwał się ich przekomarzankom, a i wargi lekko drżały.

– Do jakiego spożywczaka? Jesteśmy w Denver, skąd mam wiedzieć, gdzie tu jest spożywczak?
– dopytywał tata.

– No nie wiem, przejeżdż się po okolicy. W takim mieście na pewno są setki spożywczaków, w końcu na jakiś trafisz!

Przygryzłam wargę zawstydzona, a Hank na mnie już trząsał się ze śmiechu.

– Coś sobie wyjaśnijmy – ciągnął oburzony tata. – Chcesz, żebym wsiadł w samochód i jeździł po mieście, w którym jestem pierwszy raz w życiu, żeby kupić ci maślanekę?

– No a co ja właśnie powiedziałam? – Mama brzmiała tak, jakby to była najnormalniejsza prośba w życiu.

– W dupie to mam. Znajdę jakąś pączkarnię! – rzucił tata i zaczął hałasować, szykując się do wyjścia z domu.

– Ani mi się waż kupować pączki! – zapiała mama. – Hank jest policjantem, pomyśli, że się z niego nabijasz!

Hank prawie padł na mnie ze śmiechu.

– To wcale nie jest zabawne! – szepnęłam.

– Właśnie że jest cholernie zabawne! – zaśmiał się Hank.

– Nie tylko gliniarze jedzą pączki, wiesz o tym? – odparł tata. – Ja nie jestem gliną, a pączki jadam!

– Maślankowe racuchy to ulubione śniadanie Roxie. Chcę jej zrobić przyjemność!

– Kupię, co uznam za słuszne! – Tata uciął dyskusję, najwyraźniej już znudzony tą wymianą zdań.

– Idź i kup cokolwiek. Ja zajmę się psem, a Hank i Roxie niech sobie pośpią, bo mieli ciężką noc.

Zamarliśmy.

– Nie zbliżaj się do ich sypialni, Trish! – ostrzegł tata.

– Tylko psa wypuszczę. Nie będę przecież zaglądać...! – wyjaśniła mama.

Hank uniósł się nieznacznie.

– Błagam, powiedz, że twoja matka tutaj nie wejdzie! – szepnął Hank.

– Trish, wracaj tu natychmiast!

– Herb, weź, wyluzuj...

Głos mamy się zbliżał. Był tuż-tuż.

Ona naprawdę zamierzała tu wejść!

– Słyszemy was! – krzyknęłam ostrzegawczo.

Odpowiedziała mi cisza.

Byliśmy oboje na golasa, przykryci tylko od pasa w dół prześcieradłem! Hank naciągnął je pod moją szyję w chwili, w której drzwi się uchyliły.

O Boże!

Hank odwrócił głowę, ale nie ruszył się, najwyraźniej usiłując przysłonić mnie swoim ciałem. Przytrzymując się jego ramienia, wyjrzałam ponad nim.

Mama stała w progu, odziana w szlafrok, zasłaniała ręką oczy, jakby mogła zamienić się

w kamień na nasz widok.

– Dzień dobry, dzieciaki! W ogóle mnie tu nie ma! Shamus, chodź, piesku! – Zaczekała, ciągle zakrywając oczy.

Shamus ocknął się, zeskoczył z łóżka i wybiegł z pokoju, merdając ogonem.

– Śpijcie sobie. Zrobię naleśniki, ale Herb musi najpierw pojechać po maślanekę, więc trochę czasu zejdzie. Akurat na małą drzemkę – wyjaśniła, ciągle z dłonią na oczach.

– Zorientowaliśmy się – uświadomiłam ją. – Mamo?

– Tak, kochanie? – Uniosła głowę, nasłuchując zza przysłaniającej oczy dłoni.

– Idź sobie!

– Tak, racja, zmykam!

Zamknęła drzwi.

Coś tam szurało, podzwaniały klucze, trzaskały drzwi. Przez cały ten czas leżałam pod Hankiem, wpatrując się w niego. Spoglądał w miejsce, w którym prześcieradło przysłaniało moje piersi, wciąż się uśmiechając.

– Przepraszam – szepnęłam, gdy wszystko ucichło.

Potańił mój nos swoim, a mnie od razu zrobiło się cieplej.

– Moi rodzice są trochę walnięci – tłumaczyłam.

– Kochanie. – Hank spojrzał mi w oczy. – Po pierwsze, znam twojego wujka. Nie zrozum mnie źle, to ma być chyba komplement. W porównaniu z nim jesteś całkiem normalna. Znajomość z nim przygotowała mnie na różne dziwactwa.

– Ale są mili, zapewniam cię... – zaczęłam wyjaśniać, a w moim głosie pobrzmiwała desperacja.

Wszystko zaczynało się układać. Dałam nam szansę. Zgodziłam się przeprowadzić do Denver. Nie chciałam, żeby teraz, przez głupie zachowania moich rodziców, Hank się przestraszył. Nie chciałam, żeby po jednym dniu moi rodzice sprawili, że będzie chciał znaleźć się jak najdalej od całej mojej rodziny.

Pogładził mnie po twarzy, palcem nakreślił linię moich włosów na czole, potem jego dłoń zawędrowała na mój kark.

– To oczywiste, że są w porządku – powiedział.

Chyba nie obawiał się życia wśród świrów. A może się z tym pogodził. Tak czy inaczej, nie zamierzał uciekać.

Uniosłam głowę i skradłam mu całusa.

Coś zmieniło się w jego oczach, przeszedł z trybu rozbawionego w namiętny.

– Jakie są szanse na to, że twoja mama ruszyła na krucjatę w poszukiwaniu maślanek razem z twoim ojcem? – zapytał, wpatrując się w moje usta.

Wiedziałam, co ma na myśli, i poczułam motyle w brzuchu.

– Była w szlafroku, więc raczej niewielkie – zauważyłam.

– No tak... – W jego głosie słychać było żal.

Trochę mnie to rozbawiło.

– Dzieciaki! – wrzasnęła mama gdzieś z głębi domu.

Hank uniósł się, pokręcił głową, a na jego usta wrócił uśmiech. Chyba nikt od bardzo dawna nie nazywał go dzieciakiem.

– Tak? – odkrzyknął.

– Biorę Shamusa na spacer. Mam klucz, ten z haczyka przy drzwiach, więc zamknę was od zewnątrz. Śpijcie sobie!

Drzwi otworzyły się, potem trzasnęły. Wyszli.

Hank nie czekał ani sekundy, rzucił się na mnie żarłocznie i było oczywiste, że nie zamierzał „sobie spać”.

– Na ile wyszła? – zapytał.

– Nie na długo – odpowiedziałam szczerze, znając nie najlepszą kondycję mamy.

Hank całował mnie po szyi, dotarł do ust.

– No to będzie szybki numerek! – zdecydował.

– Nie, Hank, muszę wstawać. Mama zaraz wróci!

Chwył moją dłoń i wcisnął ją między nasze przyspane do siebie ciała. Był twardy jak stal.

– Pospieszmy się!

Uśmiechnął się szelmowsko i wrócił do całowania.

Siedzieliśmy przy stole w jadalni. Narzuciłam na piżamę flanelowy szlafrok Hanka, który, choć uprany chyba z milion razy, wciąż był miękki i puszysty. Pachniał swoim właścicielem i pomyślałam, że chyba już nigdy go nie zdejmę.

Tata ostentacyjnie zjadał pączka, ignorując zrobione przez mamę racuchy.

Kupił tę maślanekę, zapewne dlatego, że kochał mamę i zwykle poddawał się jej woli, ale kochał też mnie i chciał, żebym zjadła coś, co lubię.

A ten pączek przekonywał bardziej jego samego niż kogokolwiek innego, że nie był kompletnym pantoflarzem.

Mama postawiła przede mną talerz z dwoma posmarowanymi masłem i polanymi syropem racuchami; obok nich leżał dobrze przysmażony bekon. Postawiła talerz również przed Hankiem.

– Proszę, Hank, wcinaj! – Poklepała go po ramieniu i dumna z siebie spojrzała na tatę.

Spojrzałam na porcję Hanka, która była chyba trzykrotnie większa od mojej.

Hank gapił się na jedzenie, po czym uniósł na mnie błagalny wzrok.

Zgrzytnęłam zębami.

– Mamo! Drużyna futbolistów by tego nie pochłonęła!

Tata spojrzał na porcję, a potem krytycznie na żonę.

– Jezu, Trish! On się po tym nie podniesie! Chłopak jest gliniarzem, musi być sprawny.

– Przystaniecie w końcu nazywać Hanka chłopakiem? – Spojrzałam na tatę. – On jest dorosłym mężczyzną, do diaska!

– Jest w wieku twojego brata, Roxanne, więc w moich oczach jest chłopcem! – oznajmił tata głosem bardzo ojcowskim.

– Nie musisz tego wszystkiego zjadać – rzekłam, spoglądając na Hanka.

Mama usiadła i włączyła tryb matki kwoki:

– A właśnie że zjesz! Musisz mieć siłę!

Zmarszczyłam brwi.

– Mamo, on nie jest rekonwalescentem i nie potrzebuje nikogo, by nadzorował jego utrzymywanie formy!

Tata się roześmiał, a Hank odchylił się w tył na krześle i również posłał mi szeroki uśmiech.

– Bacz na słowa, moja panno! – A potem mama zwróciła się do Hanka: – Zawsze była pyskata. Zanim pomyśli, to gada. Przez trzydzieści jeden lat rwę sobie włosy z głowy z powodu jej bezmyślnego gadania!

– Jaka matka, taka córka... – szepnął tata, gryząc pączek.

– A to co niby ma znaczyć? – wypaliła mama w jego stronę.

– Nico. – Tata dalej mruczał pod nosem, ale posłał Hankowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Nie zerkaj mi tam, Herbercie! Co sobie Hank o nas pomyśli?

Trafne pytanie...

– Dobrze, żeby chłopak już na starcie wiedział, w co się pakuje! – Tata przeniósł spojrzenie na Hanka. – Dobrze ci radzę, chłopcze, zwiewaj, póki możesz!

Mama trzasnęła widelcem o talerz.

– Co ty mu za bzdury wygadujesz? Słodki Jezu! – rzuciła w sufit. – Zwiewaj, też mi coś! Tyle czekaliśmy, aż w końcu Roxie znajdzie sobie porządnego, dobrego chłopaka! Dzięki niech będą panu naszemu Jezusowi, że taki właśnie tutaj siedzi! To dobra dziewczyna, nasza Roxie. Trochę dzika, ale

z pewnością ją okiełznasz, jestem tego zupełnie pewna! – rzekła mama autorytarnym tonem.

Hank zacisnął usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Prawie tego nie zauważyłam, bo przyszła właśnie kolej na moją ripostę.

– Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mnie poskramiał! Nie jestem dzikuską! – rzuciłam w stronę mamy.

Tata zagulgotał.

– Nie jesteś? Dobrze! – Tata zwrócił się do Hanka: – Można by pomyśleć, że w małych miastach ciężko o kłopoty, ale jakie by one nie były, Roxie się w nie pakowała. A jeśli nie było się w co wpakować, to już coś sama wymyślała!

– Tato!

Zignorował mnie, a jakże!

– Miała dobre stopnie, ale jakim cudem, to nie wiem, skoro ciągle się szlajała, popijała, popalała i chodniki tyłkiem zamiatała! – Tata spojrział na mnie badawczo. – A co robiłaś na tym polu golfowym, gdzie policja cię znalazła o północy, to do tej pory nie wiem!

Złożyłam czoło na dłoni, zrezygnowana.

– To się nie dzieje... – powiedziałam w talerz.

– Zachęcałam cię do zostania cheerleaderką, ale czy posłuchałaś? Nie! – Mama najwyraźniej szykowała się do tyrady na temat zalet kibicowania, choć skończyłam liceum przed dekadą.

Spojrzałam na nią: dziobała wściekle naleśniki, jakby to one były odpowiedzialne za moje złe życiowe wybory.

– Cheerleaderki zawsze były grzeczne, nie włóczyły się po nocach. Wiem, bo przyjaźniłam się z ich matkami. Miały porządných chłopaków. Nosiły ładne, stonowane fatałaszkę. Ale nie Roxie! Cisza nocna? A co to takiego? I do centrum handlowego co weekend! Więcej miała ciuchów ode mnie! I wiecznie w tych miniówkach! Tata zawału dostawał, gdy tak wychodziła! – Celowała widelcem to we mnie, to w tatę. – Jak oni się kłócili o te spódniczki! I, panie dzieju, te bluzunie! Z ramion zjeżdżały, więc było widać bieliznę. Słodki Jezu, sąsiedzi to sobie pewnie myśleli!

Spojrzałam na Hanka pewna, że albo sam jednak zwieje, albo nam każe wyjść.

Ale nie, patrzył na mnie niemal rozczulony, nawet oczko puścił.

Poczułam przenikające mnie na wskroś ciepło.

Poczułam również, że na twarz wypełza mi przebiegły, ale łagodny uśmiech, że gdyby nie rodzice i stół pomiędzy nami, to rzuciłabym się na Hanka i zdarła z niego ubrania.

– Słodki Jezu! – szepnęła mama i moment przysł.

Patrzyła to na mnie, to na niego i wyglądała na bardzo szczęśliwą.

Tata również się uśmiechał, ale do ostatniego kęsa swojego pączka.

– Czy już skończyliście wymieniać Hankowi wszystkie żenujące momenty mojej burzliwej młodości? – spytałam.

– Ta. – Tata skończył jeść i wytarł cukier puder z ust serwetką.

– To nie było żenujące, tylko... charakterne. – Mama zastanowiła się przez chwilę. – Choć ciągle żałuję, że nie dołączyłaś do drużyny cheerleaderek!

Westchnęłam ciężko, dźgając widelcem ostatni racuch.

– W mordę, Tex, to jest zajebiste! – krzyknął ojciec naprawdę za głośno, odrywając usta ozdobione pianą od szklanki z latte.

– Herb, miarkuj się! – upomniwała go mama.

Byliśmy w Fortnum. Ja siedziałam przy książkach, a „Stado Supersamców”, w tym Hank, Lee, Mace i Luke, kręciło się przy kanapach. Spojrzeli dziwnie na mojego ojca.

Indy i Daisy, które były ze mną, rzucały uśmiechy w stronę moich rodziców.

– Wczoraj poprosiłam Hanka, żeby mnie zastrzelił, tak mi było wstyd – powiedziałam im.

– Ależ słodziutka, luz, oni są uroczy!

– Że jak to się nazywa? La-tej? – spytał tata, który był w kawiarni chyba pierwszy raz w życiu, znowu ściągając uwagę wszystkich.

Ciągle miał piankę nad ustami.

– Kurde, Herb, musisz wyjeżdżać częściej z tej swojej wiochy! – zasugerował Tex, podając kawę jednemu z klientów stojących przed ladą.

– W dupę tam! – Tata otarł usta wierzchem dłoni, gdy mama delikatnie mu zasugerowała, że jest cały umorusany. – A co tu takiego niby jest, czego nie ma u nas? W Miriam już też podobno robią takie srusie-kawusie. – Tata spojrział w naszą stronę. – Też mamy różne takie milkszejki. Wkurzyli się o to ci z Dairy Palace, zaraz naprzeciwno. I tak u nich nie kupuję, nawet jeśli sypią podwójną porcję pokruszonych ciasteczek!

– Dairy Palace dodaje więcej ciasteczek?? – zapytałam, nagle zapominając, że przecież mam się za niego wstydzić.

Uwielbiałam ciasteczkowego shake’a!

– A jakże, Roxie! – Tata pokiwał głową. – Musisz wpaść do domu. Wiem, że ciasteczkowy to twój ulubiony, ale padniesz, jak spróbujesz tego z mrożonym jogurtem u Miriam. Matka o mało nie padła, gdy go spróbowała! – Tata spojrział na Hankę. – Roxie lubi lody! – oznajmił tata Hankowi i nagle zdałam sobie sprawę, jak nieprzyzwoicie to zabrzmiało.

– Zapamiętam! – Puścił do mnie oczko, bo przecież już się o tym przekonał...

Wszyscy faceci na tę uwagę skierowali na mnie wzrok, szczerząc się w uśmiezkach. Tylko Luke patrzył na swoje buty, ale też uśmiechał się pod nosem.

Poczułam, że mam gęsią skórę z zażenowania, więc zapytałam na głos:

– Czy możemy skończyć tę gadkę szmatkę o lodach?

Luke uniósł głowę i spojrział wprost na mnie.

– A ja bym chętnie posłuchał jeszcze o lodach – rzekł.

W mordę!

Zadzwęczał dzwoneczek przy drzwiach.

– Nie gadam z tobą! – Jet rugała Eddiego w progę.

Zaniepokoiłam się, ale zauważyłam, że Eddie się z tego śmieje.

– Co znowu, świrusko? – zagrzmiął Tex.

– Nie będę o tym mówić! – Jet wkroczyła za księgarską ladę i wrzuciła z rozmachem torebkę do szuflady.

– Co się dzieje? – spytała Indy.

Jet spojrzała w stronę Eddiego, jakby chciała wzrokiem wypalić mu dziurę w plecach. On, niewzruszony, podszedł do ekspresu, gdy oddalił się ostatni klient.

– Wszystko się dzieje! Lottie jest taką petardą, że Smithie wprowadził biletowane występy. Już jej dał podwyżkę. Znalazła dom i ot tak go kupiła. Wprowadzają się mama i Trixie, a mieszkanie Lottie już wynajęła komuś innemu. Chciałabym też się tam wprowadzić, ale Lottie mi nie pozwala, bo sobie z Eddiem pogadała.

Daisy i Indy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– No i? – spytałam.

– Eddie jest znany z tych „pogaduszek” – wyjaśniła Indy.

– Niech no tylko Hank nie próbuje robić ci wykładów – ostrzegła Jet. – Te ich pogadanki to zło! Oni tak gadają, czarują i zgadzasz się na rzeczy, na które normalnie nie wyraziłabyś zgody. I pod żadnym pozorem nie rozmawiajcie w łóżku! Bo przy takiej rozmowie to się na wszystko zgodzisz! – dokończyła monolog Jet.

Włączyło mi się ostrzegawcze światełko.

– Hank nazywa to „porozmawianiem” – powiedziałam jej.

Zrobiła wymowną minę i ze smutkiem pokiwała głową.

– Czyli że co, słodziutka? Mamy rozumieć, że oficjalnie wprowadziłaś się do Eddiego? – spytała Daisy.

– Tak, właśnie pobiłam rekord w szybkości wprowadzania się do faceta! – potwierdziła Jet. Indy i Daisy poszły w jej stronę uśmieški.

– No... to chyba właśnie cię pobiłam – oznajmiłam.

Wszystkie trzy spojrzały na mnie.

– Przeprowadzam się do Denver – dodałam wyjaśniająco.

– Juuuuuuu! – krzyknęła Daisy, wyrzucając w górę rękę.

Jet i Indy przybiły piątkę.

– Roxie przeprowadza się do Denver! – krzyknęła Indy w głąb pomieszczenia, bo reszta spoglądała w naszą stronę pytająco.

Lee spojrział na Hanka, który dumnie skrzyżował ręce na piersi, uśmiechając się na moje przewracanie oczami.

– Przeprowadzasz się do Denver? – spytała mama, patrząc na mnie bez zrozumienia.

Ożeż ku...

Nie powiedziałam rodzicom.

– No, na to wygląda...

Mama zamarła.

– Nie możesz się przeprowadzić. A co z Bożym Narodzeniem? – zaprotestowała. – O Jezusku! Sama w Wielkanoc i Święto Dziękczynienia? Przecież ja szyneczkę w miodzie zawsze piekę! No i ty najlepiej malujesz pisanki! Mimi i Gil nie potrafią, kto mi pisanki zrobi? – biadoliła.

– Mamo, ja przekroczyłam trzydziestkę! Od piętnastu lat nie malowałam jajek! – przypomniałam jej.

– A susz tu mają? Jak zrobisz kompot z suszu? Mam ci suszone owoce przesyłać pocztą? Zwietrzeją i nie będzie smakować, jak należy!

– Mamo, ja nie lubię kompotu z suszu! Gotujesz go, a potem nikt tego nie pije!

Mama wyszukała wzrokiem Hanka.

– Zamawiamy Boże Narodzenie! – wystrzeliła w jego stronę, a zabrzmiało to tak, jakby przeładowywała strzelbę.

– Trish, spokój! – rozkazał tata.

– Sam się uspokój! Moja córka chce się wyprowadzić na drugi koniec kraju! – zbesztła go.

– Od dawna nie mieszka z nami – wypomniał jej.

– Tak, mieszkała za to z Billym i wszyscy wiedzieliśmy, że to się rozwali prędzej czy później! A teraz chodzi o Hanka. Spójrz no na niego! – Wskazała palcem. – Ona nigdy nie wróci do domu. Nigdy!

– Przecież na księżyc się nie wyprowadza! – rzekł spokojnie tata.

– Dla mnie to w zasadzie to samo! – Odwróciła się w moim kierunku i zaczęła mnie instruować: – Gdy tylko zapowiedzą zawieje, lecisz do sklepu i robisz zapas papieru toaletowego! I gotujesz gar gulaszu albo chili! Nie chcę potem telefonów, że zasypało was w domu i nie macie co jeść! – Spojrzała na Daisy, jakby szukając poparcia. – Słyszałam, że tu straszne zamiecie są. Ludzie zamarzają!

– Zwykle są to bezdomni – wyjaśniła Daisy. – Na ulicach.

Daisy usiłowała pomóc, ale wyszło odwrotnie.

Mama wyprostowała się w pełnej gotowości bojowej i wstała, zgarniając torebkę ze stolika.

– No tak, idziemy do sklepu kupić dodatkowe koce! Hank ma tylko jeden, potrzebuje więcej! I jeszcze drewno do kominka w pokoju gościnnym. Kupimy koce i opał. Herb, idziemy!

– Kobieto, ja tutaj sobie siorbię latej!

– Chcesz, żeby ci córka na śmierć zamarzła? – wrzasnęła mama.

Spojrzałam w stronę panów.

– Kto ma broń? Zastrzelcie mnie, błagam!

To było trochę głupie, biorąc pod uwagę fakt, że wśród nich stał Luke, który niedawno oberwał kulkę w brzuch.

– Przepraszam, Luke, głupio to wyszło... – wytłumaczyłam się.
Spojrzał na mnie pobłaźliwie i skrzyżował ramiona na szerokiej piersi, krzywiąc się w czymś na kształt uśmiechu, więc chyba nie miał mi za złe tej idiotycznej prośby.
Hank zdjął mnie z lady, na której przysiadłam, i przyciągając mnie do siebie, obiecał:
– Pojedziemy do twoich rodziców na Boże Narodzenie.
– Dziękuję! – krzyknęła mama z za jego pleców.
Pokręciłam przecząco głową.
– Tylko nie Boże Narodzenie! Nasz dom zamienia się w tym czasie w istny dom wariatów! Ta próbka, której doświadczyłeś, to jeszcze ci mało?
– Roxanne Giselle Logan, nie gadaj głupot. No i co z tego, że tata za dużo wypija i przypala indyka? – Mama wzruszyła ramionami.
– Ja nie piję za dużo! I nie przypalam indyka! – wrzasnął tata. – Ja go przypiekam! Wszyscy wolą chrupiącą skórę!
– Ale nikt nie lubi grillowanego! A stoisz z piwkiem w upale, jakby to był czwarty lipca!
– A właśnie że Roxie lubi indyka po mojemu! Prawda, córciu?
Zamknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, twarz Hanka przysłaniała świat.
– Nie rozmyśliłeś się?
Powoli pokręcił głową.
– No to poczekaj, aż się rozkręca! – ostrzegłam.
– No to jak, Roxie? Lubisz mojego wędzonego indyczka? – dociekał tata.
Na moment oparłam czoło o pierś Hanka.
– Tak, tato, lubię twojego indyka! – zawołałam słabo.
I to była prawda, był pyszny, najlepszy!
Zadzwieczał dzwoneczek i do lokalu wmaszerowali Ally, Malcolm i Kitty Sue.
Oczy mi się rozszerzyły i spojrzałam na Hanka pytająco. Stał tuż obok, obejmując mnie i dodając otuchy przed tą konfrontacją.
– Zadzwoniłeś po nich...? – spytałam przez zaciśnięte zęby.
– Ekhm... ja to zrobiłam – odezwała się Indy.
Przechłapane!
– Roxie przeprowadza się do Denver! – rzuciła Daisy w stronę Ally.
– No i prawidłowo! – Oczy Ally rozblęły.
Malcolm tylko na mnie spojrzał, kurze łapki w kącikach jego oczu się pogłębiły.
– Tak się cieszę! – Kitty Sue się uśmiechnęła.
– No w mordę go i nożem! – zagrzmiał Tex, a na jego twarzy wykwitł uśmiech od ucha do ucha.
– No i co się tak szczerzysz? – zapytałam, gdy wytoczył się z lady kawowej.
– Doniesiono mi, że jest tu twój ojciec. – Malcolm cmoknął mnie w policzek.
Chyba mina mi zrzedła, uśmiechnęłam się słabo.
– Tu są! – Tex popychał przed sobą moich rodziców.
– O co chodzi? – dopytywała mama.
– To pozostali członkowie rodziny Hanka. Lee już poznaliście. To jego siostra, Ally, a to rodzice, Malcolm i Kitty Sue. – Tex czuł się zobowiązany dokonać introdukcji.
– O Jezusie! – Mama się ożywiła. – O Jezusku! Jak miło was poznać!
Panie się uściskały, jakby znały się od lat i mocno za sobą stęskniły.
– Jestem Herb, a to moja żona, Trish. Miło nam poznać. – Na szczęście tata i Malcolm poprzestali na uścisku dłoni.
– Wzajemnie! – odparł Malcolm.
– Dbaliście o moją córeczkę, mam nadzieję? – zapytał tata, obrzucając Malcolma badawczym spojrzeniem.
– Ma się rozumieć – przytaknął ojciec Hanka.

Panowie najwyraźniej się sprawdzali i dali sobie szansę. Hank ciągle mnie obejmował, a Ally rzuciła mi ciepłe spojrzenie. Wszystko wyglądało obiecująco, aż lzy napłynęły mi do oczu.

– Czyli ja stawiam następne piwko – rzekł tata cicho.

– Chętnie – rzekł Malcolm.

– Wiem, zrobmy imprezę! – wypaliła Ally.

Ona chyba nie potrzebowała specjalnego pretekstu, żeby balować...

– Dziś to ja robię przyjęcie! – przypomniała jej Daisy.

– No to zrobimy kolejną w piątek!

– Mnie pasuje! – rzuciła Indy.

– Piszę się! – dodała Jet.

– Ale zrobisz te swoje wafelki z karmelem? – zapytał Tex.

– Jakie wafelki z karmelem? – dopytywał tata.

– Wafelki w wykonaniu tej świruski biją na głowę wszystkie twoje słodkości! – rzekł Tex pewnie.

– Uważaj, co mówisz! – Tata przyjął wyzwanie.

– To lepiej, kurna, w to uwierz!

– Się okaże! – Tata się nie poddawał.

– Lepiej zrobię te wafelki... – mruknęła Jet.

Towarzystwo zaczęło się rozchodzić.

– Chłopaki, a macie smokingi? – zapytała Daisy.

Chłopaki spojrzeli na nią przerażeni i trochę się skuliła pod ich wzrokiem.

– No dobra, daruję wam, niech będą garnitury!

– Smokingi? – spytała zdziwiona mama.

– Elegancka impreza u mnie, dziś wieczorem – oznajmiła Daisy.

Mama nabrała powietrza i wygłosiła stałą kobiecą formułkę na taką okazję:

– Nie mam się w co ubrać!

– Spokojnie, Trish – uspokoiła ją Kitty Sue. – Zabiorę cię na zakupy.

Nie miała pojęcia, w co się pakuje. Powinnam chyba była ją ostrzec, ale już było za późno, mama szykowała się do rajdu po sklepach.

– Herb, ruszamy. Musimy ci kupić garnitur. Mam nadzieję, że znajdziemy coś, co będzie pasować bez przeróbek... – Wzięła Kitty Sue pod rękę i ruszyły w stronę wyjścia. – Musimy jeszcze kupić opał i koce. I zrobić zapasy żywności, może w jakimś większym markecie? Trzeba zaopatrzyć dom Hanka.

– W opał? – zapytała zaskoczona Kitty Sue.

– Nie chcę, żeby Roxie mi tu zamarzła, gdy przyjdzie jedna z tych waszych zamieci! – wyjaśniła mama.

Wyszły przy wtórce dzwoneczka, tata podążył za nimi zrezygnowany, ale na pocieszenie zabrał swoją „latej”.

Hank obrócił mnie do siebie.

– Lecę do roboty – oznajmił, a ja przytaknęłam. – O której jest ta biba u Daisy?

– O siódmej. Przyjdź na głodniaka, bo nadzoruję sekretny bufet dla VIP-ów w kuchni! – rzuciła Daisy, zanim wyszła.

Objęłam Hanka, który przez moment odprowadzał ją wzrokiem.

– „Rockowe Laski” przyjęły cię w swoje szeregi. Zostaniesz tu na zawsze – zapewnił, spoglądając na mnie.

– To zabawne, bo to samo pomyślałam o tobie. O przyjęciu cię w szeregi.

Chyba nie czuł się źle z tym zwerbowaniem.

Gdy zbierał się do odejścia, powiedziałam jeszcze:

– Muszę pogadać z Annette, wyjaśnić jej sytuację. I muszę podzwonić do klientów. Pewnie zostaną ze mną, w końcu wszystko robię zdalnie i nie muszę być w Chicago. Po tym, jak dostałam tę

nagrodę, znalazłam klientów poza miastem, w Des Moines i Cincinnati. Wyglądają na fajnych. Muszę
jesz...

– Jaką nagrodę? – wciął się Hank.

– A, nic takiego! – Machnęłam ręką. – Jakieś wyróżnienie za design.

Uśmiechnął się z uznaniem, a sposób, w jaki to zrobił, sprawił, że poczułam się tak, jakbym
faktycznie odniosła nie wiadomo jaki sukces.

– Przestań tak na mnie patrzeć, to była jakaś bzdura!

– Nagroda to nie bzdura.

– Ta była bzdurna.

– Czy nie powiedziałaś przed chwilą, że dzięki niej zdobyłaś nowych klientów?

– No, tak, ale...

– Więc była ważna.

– Whisky!

– Słoneczko, nie gadaj już tyle! – Zamknął mi usta delikatnym pocałunkiem. Podziałało.

– Widzimy się wszyscy u mnie w domu o wpół do siódmej!

– Masz garnitur?

– Tak.

– Całe szczęście.

Chciał odejść, ale przytrzymałam go.

– Jeśli usłyszysz cokolwiek o Billym...

– Jasne – przerwał mi.

Westchnęłam.

– Przez chwilę zapomniałam o jego istnieniu.

Pochylił się nade mną i ujął moją twarz w dłonie.

– Słoneczko, obiecuję, że za chwilę on będzie już tylko przykrym wspomnieniem!

Wierzyłam mu.

Moje ciało pasowało do jego ciała. Pochylił się raz jeszcze i tym razem pocałował mnie już
bardziej sugestywnie.

Zanim odzyskałam jasność myślenia, wyszedł.

Rozdział dwudziesty piąty

Nalot mamuśki

Wyglądałam przez okno samochodu, myśląc o tym, co dziś przeżyłam, i tym, co mnie jeszcze czekało tego wieczoru.

Niecałe dziesięć minut temu byłam w Fortnum. Nagle pojawił się Luke i rzucił dwa słówka:

– Do domu!

Najwidoczniej dziś to on miał mnie odwiedzić.

Annette i Jason spędzili dzień na sprawdzaniu, czy w okolicy nie znajduje się jakaś prężna konkurencja. Zadzwoiłam, żeby poinformować ją, że sprawy z Hankiem się poukładały i zamierzam przenieść się do Denver. Oszalała z radości, bo zmieniałyśmy miejsce zamieszkania równoległe od lat. Najpierw Indianapolis, potem Chicago, teraz Denver.

– Sunia! Jak razem wpadniemy na dzielnię, to się to całe Denver nie pozbiera!

Podejrzywałam, że to raczej my się nie pozbieramy za prędko po tej przeprowadzce, ale nie powiedziałam jej tego.

Skontaktowałam się też z klientami i z zarządcą budynku, w którym wynajmowałam mieszkanie. Klientom oczywiście było wszystko jedno, skąd zarządzałam ich stronami, póki robiłam to fachowo i na czas. Za to zarządca panikował, bo gdy gliniarze wypytywali go o włamanie, był przekonany, że moje zmasakrowane ciało leży gdzieś pod warstwą ściółki w pobliskim lesie. Musiałam go przekonywać, że nie mówi do niego duch. Wcale się nie zmartwił, że się wyprowadzam. Każdy chciałby pozbyć się lokatorki, do której ktoś się włamywał, wywracał wszystko do góry nogami, a ona zniknęła i najprawdopodobniej w ogóle już nie żyła. Na szczęście nie zalegałam z opłatami i miał zwrócić mi zaliczkę z końcem listopada.

No i załatwione!

To wszystko wydawało się zbyt proste...

Zostało tylko znaleźć Billy'ego.

Hank się nie odzywał, ale czasem brak wieści jest lepszy niż złe wieści.

– Mała! – Głos Luke'a wyrwał mnie z zamyślenia.

– Ta? – odwróciłam się w jego stronę.

Wskazał głową na okno i zorientowałam się, że jesteśmy już przed domem Hanka. Już miałam wysiadać, ale nagle zamarłam z dłonią na drzwiczkach.

– O mój Boże...! – szepnęłam, a Luke natychmiast stał się czujny jak wyżeł.

– Co jest? – zapytał.

– Spójrz na dom! – szepnęłam.

– Co z nim?

– No popatrz tylko! – wrzasnęłam.

Wyskoczyłam z auta, zatrzasnęłam drzwiczki i stałam na podjeździe, gapiąc się na dom.

– Roxie! – Luke nagle znalazł się obok mnie, chwycił mnie od tyłu za pasek. – Co jest?

– Dynie! – odrzekłam.

Spojrzał na budynek.

Na podjeździe stały dwie wielkie, rzeźbione w krzywe mordy dynie. Dwie kolejne stały po każdej stronie drzwi, a nad nimi wisiał jakiś pokraczny ornament ze splecionych za wyschłe łęty kolb kukurydzy. Wszędzie walały się te małe, przypominające pokraczne żyjątko dyńki ozdobne. A ze sznura ciągnącego się wzdłuż elewacji zwisały jakieś pomalowane deszczułki, na których bardzo pośledniej jakości artysta wymalował wiedźmę na miotle na tle księżycy, czarnego kota i napis „Happy Halloween”.

Zerknęłam na Luke'a.

– Moja mama zrobiła nalot na dom Hanka – wyjaśniłam.

Spojrzał na mnie, potem na swoje buty, ale i tak zdążyłam dojrzeć uśmiezek.

– To nie jest zabawne! Hank się wkurzy!

Otworzyły się drzwi. O wilku mowa...

– No cześć, córuniu! – Mama uśmiechała się szeroko. – No co tak stoicie na chodniku? Luke, prawda? – Spojrzała na mojego towarzysza. – Wejdźcie, zrobię wam kakao!

– O mój Boże...! – wyszeptałam, zażenowana do granic możliwości, bo moja matka właśnie zaproponowała kakao „Panu Twardzielowi Zabijace”! – Wiem, że wcześniej prosiłam, żeby ktoś mnie zastrzelił, ale może lepiej będzie zastrzelić ją?

Jego dłoń zawędrowała na moje plecy i popchnął mnie w stronę drzwi, teraz już się całkiem szczerząc.

– Nie wiem, dlaczego was wszystkich tak to bawi! Przecież to nie jest w najmniejszym stopniu zabawne! – mruzczałam, wlokąc się noga za nogą.

– Dla ciebie nie jest, bo to twoi starzy. Ale wszyscy dookoła świetnie się bawią!

Od progu zaatakował mnie Shamus, popychając z radości w pewne ramiona Luke’a. Już miałam się od niego odsunąć jak oparzona, ale to, co zobaczyłam, sprawiło, że zamarłam.

Wszędzie wały się gigantyczne plastikowe torby po sprawunkach, wzdęte jak namioty. Trzy nowe koce i cztery puchate poduchy rzucono na kanapę. W miejscu zbitej przez Billy’ego lampy stała nowa i ciepłym blaskiem oświetlała pomieszczenie. W kącie stał wielki sześcioramienny świecznik z kutego żelaza, zwieńczony zapalonymi zielonymi świecami, które wypełniły pomieszczenie zapachem lauru. Na stoliku stały kolejne świeczniki i paliły się kolejne świece. Podobnie na stole jadalnianym, jeszcze więcej świec w objęciach miniaturowych dyniek. Na barze stała gigantyczna misa pełna halloweenowych słodyczy. Na kuchennych blatach nowe pojemniki na mąkę, cukier i kawę, z pewnością już napełnione. No i pachniało jedzeniem.

– Coś ty zrobiła z domem Hanka? – zapytałam słabo.

– Dodałam kilka drobiazgów i od razu zrobiło się przytulniej, prawda? To w podziękowaniu za przenocowanie nas i zajęcie się tobą. No to jak, Luke, napijesz się kakao?

– Nie – rzekł krótko pytany.

– Kawusi? – Mama się nie poddawała.

– Nie.

– Herbatki? – Nie ustawała, bo bycie dobrą matką i gospodynią, nawet w cudzym domu, miała we krwi. Chyba uznała, że proponowanie tak niemęskiego napitku, jakim była herbata, trochę Luke’owi uwłaczało, tak jakby kakao było bardziej macho...

– Nie. – Luke był równie uparty.

– No to wiem! Piweczko! – rzekła triumfalnie mama.

Luke tylko pokręcił przecząco głową.

– Jezu, mamó! – wciąłam się. – On nic nie chce! Daj mu spokój!

– Roxie, nie bądź niegrzeczna! – zbesztła mnie mama, a w tle zabrzączał minutnik. – Wiem, co mu posmakuje! – Okręciła się wokół własnej osi, chwyciła rękawicę i otworzyła piekarnik, wyciągając tacę. – Świeżo prażone pestki dyni! Częstujcie się!

Patrzyłam ze zgrozą, jak podsuwa nam przekąskę, którą oboje zignorowaliśmy.

– Gdzie tata? – spytałam.

– Negocjuje z facetem od opału. Powiedzieli, że nie dowożą, ale przecież sam nie przytarga palety polan! Przywiózł mnie z zakupami i wrócił po drewno. Zaraz tu będzie i zdążymy się wyszykować!

Tacie zdawało się, że można wynegocjować wszystko odrobiną uroku, przasności i kilkoma odgrzewanymi dowcipami. Zwykle mu się udawało, więc podejrzewałam, że jednak przywiozą to drewno.

Opał był ostatnią rzeczą, o jakiej zamierzałam myśleć.

Lepiej było zabrać się do szykowania na imprezę. Mogłam stąd zwiać, a to brzmiało jak świetny plan.

– Idę pod prysznic! – oznajmiłam i już, już miałam czmychnąć, gdy poczułam rękę Luke’a na

swojej talii.

– Zostaw mnie z nią – szepnął wprost do mego ucha – a faktycznie cię zastrzelę.

Odwrociłam się i niemal zderzyłam czołem z jego nosem, tak blisko się znajdował. Postąpiłam krok do przodu i dopiero wówczas mnie puścił.

Mama, niezrażona tym, że zignorowano jej zdrową przekąskę, wsypała pestki do miseczki stojącej na stoliku i zabrała się do zbierania pustych toreb.

– Luke, bądź tak miły i pozbądź się ich! – Przytknęła kłęb plastiku do jego klaty i odeszła, zanim się zorientowała, że nie uniósł rąk. Schwyciłam torby, zanim spadły na podłogę.

– Mamo, on jest tutaj, żeby mnie pilnować, więc daj mu spokój. Niech robi tylko to, cokolwiek ma robić. Nie przyszedł tu sprzątać, pić kakao ani urządzać sobie pogaduszek, jasne?

Mama spojrzała na Luke'a zawiedzionym wzrokiem i przytaknęła powoli.

– Chodź ze mną! – rzuciłam w jego stronę.

Wręczywszy mamie zmięte torby i cmoknąwszy ją w policzek, ruszyłam do pokoju na tyłach domu.

Luke poszedł za mną. Shamus też.

Zamknęłam za nami drzwi.

– Idę się kąpać. A ty się zachowuj, przestań mnie obłapiać i straszyć. Muszę się wystroić, a to jest poważna robota! Nie chcę, żeby coś mnie rozpraszało!

Przymknął oczy i się uśmiechnął.

– Właśnie o to mi chodzi! – sarknęłam, westchnęłam zrezygnowana i ignorując jego zdziwioną minę, zamknęłam się w łazience.

Po godzinie z okładem rozległo się pukanie.

Wykąpałam się, zrobiłam wieczorowy makijaż i właśnie poprawiałam pozornie niedbały, ale w rzeczywistości bardzo dopracowany kok z delikatnych loków. Miałam na sobie tylko szlafrok Hanka.

Wszystkie ubrania, buty i biżuteria czekały ułożone na łóżku, a Luke nie miał oporów, by ułożyć się prawie na nich. Shamus też nie. Nic nie mówił, ale widać było, że czuwa.

Otworzyłam drzwi z przekonaniem, że to on puka. Luke, nie Shamus.

To był Hank.

Cholera!

Zanim się odezwał, zaczęłam przeproszać:

– Nie gniewaj się na mamę za dom!

– Roxie!

– Powinnam była zadzwonić, żeby cię ostrzec, ale zrobiło się późno i...

– Roxie!

– Ona stara się być miła, podziękować na swój sposób...

– Roxanne, posłuj...

– Ja wiem, narzuca się, ale chyba próbuje w ten sposób powiedzieć, że martwi się o mnie i...

– Roxanne!

– Gdy tylko wynajmę mieszkanie, przeniesiemy tam te graty, a podjazd uprzątnę chwilę po ich wyjeździe!

Chwycił mnie w pasie i przyciągnął do siebie, zamykając usta pocałunkiem.

I co to był za pocałunek!

Gdy otworzyłam oczy i spojrzałam w jego twarz, zapomniałam, co tam wcześniej za przeprosiny wygadywałam w imieniu mojej matki.

– A to z jakiej okazji? – zapytałam.

– Bez okazji, ale to był jedyny sposób, żeby cię uciszyć.

– Aha...

Powinłam chyba się obrazić, ale przecież Hank świetnie całował, więc jeśli zamierzał mnie tak uciszać za każdym razem, to nie miałam nic przeciwko temu.

– Dom mi się nawet podoba, serio – rzekł.

– To dobrze.

– I nie mam nic do twoich rodziców. To ciekawi ludzie i troszczą się o ciebie.

– To dobrze, że tak myślisz.

– A o twoim mieszkaniu jeszcze sobie porozmawiamy.

– To... co? – Zamrugłam.

Odsunął mnie na bok i przeszedł do łazienki.

– Skończyłaś? Muszę wziąć prysznic.

Schylił się, by zdjąć buty, i cisnął je do sypialni. Ledwie zdążyłam się uchylić.

– Ale o co chodzi z moim mieszkaniem? – spytałam.

– Później o tym pomówimy.

Zaczął ściągać sweter przez głowę, ale przytrzymałam jego rękę.

Spojrzał na mnie i poczułam jakiś nieprzyjemny dreszcz.

– Chcesz, żebym zamieszkała w Denver? – spytałam cicho.

– Tak, chcę, żebyś się przeprowadziła.

– No więc o co chodzi z tym mieszkaniem? – powtórzyłam. Ale już wiedziałam. – Co tu niby jest do omawiania? – zapytałam i przypomniałam sobie, co Jet mówiła o ekspresowych związkach. I o wprowadzaniu się do faceta po tygodniu.

– Czy to ma być jakaś specjalna rozmowa? „Porozmawianie”?

Ściągnął brwi.

– Czy ty już coś sobie chlapnęłaś? – spytał.

– Nie, nic nie piłam!

Wyprostował się, odetchnął głęboko i skupił się na mnie.

– No to może powiedz mi wprost, o co ci chodzi.

Chyba chodziło nam o to samo, ale nie byłam pewna.

– O nic mi nie chodzi. Ale zwykle takie rozmowy przeprowadzamy w łóżku.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Ty jednak jesteś świrnięta... – mruknął, zdejmując w końcu sweter.

– Nie jestem świruską!

Rzucił sweter w ślad za butami, po czym przyciągnął mnie do siebie raz jeszcze.

– To był komplement... – mruknął, uśmiechając się.

– Jak można nazwanie kogoś wariatką uznać za komplement?

– Kochanie, potrzebujesz jeszcze łazienki? – spytał cierpliwie.

– Nie!

Ucałował mnie w czoło i zamknął za mną drzwi.

Ustawiłam jego but przy łóżku, sweter złożyłam na kołdrze.

– Twój tatunio jest świrnięty, mały! – powiedziałam Shamusowi. – Uważa, że moi rodzice są interesujący! Też mi coś! To dopiero wariactwo! – Pies siedział przy łóżku, wachlując ogonem. – Nie nazwał ich świrniętymi, a przecież tacy są!

Zrzuciłam szlafrok, włożyłam bieliznę, spryskałam się perfumami i dalej gadałam do psa:

– Jak tylko złapią Billy’ego, zabieram cię do parku na frisbee. Nauczę cię, bo jestem dobra w te klocki. Gil i ja rzucaliśmy przed domem godzinami! Pójdziemy do sklepu i kupimy ci z dziesięć, na wypadek, gdyby gubiły się gdzieś w krzakach. Zostaniemy mistrzami! Będziemy brać udział w turniejach! Nakręcą o tobie reportaż. Zostaniesz Psim Królem Frisbee!

To słowo chyba brzmiało znajomo, bo Shamus aż zatrząsał się z ekscytacji. Zerwał się na nogi i domagał uwagi, więc porządnie go wyczochrałam.

Odwróciłam się.

Hank stał oparty o framugę, w samych jeansach, do tego rozpiętych, i patrzył na nas

rozbawiony.

– Psi Król Frisbee...? – zapytał.

O w mordunię.

No dobra, może byłam trochę świrnięta.

Wyprostowałam się, patrząc na niego, a Shamus usiadł na moich stopach.

– Chodź no tutaj... – zawołał Hank łagodnie i bynajmniej nie mówił do psa.

– Nie ma mowy! Zniszczysz mi fryzurę!

– Chodź do mnie!

– Nie, Hank! Układałam ją przez wieczność!

– Słoneczko...

– No dobra...

No i musiałam poprawiać te włosy.

Gdy skończyłam poprawki, pomogłam tacie zawiązać muchę. Udało mi się dopiero za szóstym podejściem, ale nieczęsto miałam do czynienia ze smokingiem i dodatkami do niego. Mama co chwilę biła mnie po łapach i sama próbowała, równie bezskutecznie. Potem ja biłam ją i w drugiej turze w końcu mi się udało.

– Po kiego diabła mi smoking...? – mruzczał tata, bezskutecznie próbując poluzować kołnierzyk.

– Herb, już to omówiliśmy! – powiedziała mama.

– Niczego nie omawialiśmy. Zawzięłaś się i go kupiłaś! Dwa razy w życiu miałem na sobie taką zbroję, po raz pierwszy na balu maturalnym, i to dla ciebie się tak wystroiłem, a po raz drugi na naszym ślubie. Mam pięćdziesiąt osiem lat i to dopiero trzeci raz! Na cholerę mi własny smoking?

Mój tata był sknerą. Ciął cenciki, gdzie się dało. Ku jego zgryzocie mama wydawała kasę tak, jakby banknoty rosły na drzewach w naszym ogródku. Wiedziałam, że zakupy to dla niego męka. A wbijanie go w smoking to już serio było znęcanie się.

– Masz dwie córki, które, jeśli Pan nasz, Zbawiciel pomoże, niedługo będą wychodziły za mąż. Smoking się przyda na tę okoliczność – wyjaśniła mama.

– Mimi stwierdziła, że jeśli ślub, to tylko w Vegas. Tam nie wymagają smokingów! Wystarczą szorty i hawajska koszula, a takich zestawów mam z tuzin!

Mama spojrzała na niego oburzona.

– Nie włożysz hawajskiej koszuli na ślub córki, nawet jeśli będzie w Vegas! – wybuchła.

– A właśnie że włożę!

– Założyć to się o to właśnie możemy! – Mama nie dawała za wygraną.

– A... włoś...nie... że... – Tata zacisnął zęby.

– Przestańcie! – spróbowałam się wciąć, dość nieskutecznie.

– Ale Roxie nie będzie brała ślubu w Vegas! Będzie miała wesele z planerem! A tam smoking będzie nieodzowny!

Tu miała rację. Już miałam gotowy strój: kieckę od Very Wang i buciki od Manolo. Dla gości koktajl krewetkowy, nie z tymi małymi robalami, ale z prawdziwymi krewetkami królewskimi. I morze kwiatów! To wszystko zaplanowałam sobie już w wieku ośmiu lat, więc wiedzieli, czego się spodziewać. Chyba od tamtego czasu oszczędzali, żeby wyprawić mi królewskie wesele!

– Patrząc na to, co wyrabiają, to Roxie będzie miała ciasto w piecu za kilka miesięcy. A wówczas szybki ślubik i sukienusia z marketu!

Zachnęłyśmy się z mamą, naprawdę spektakularnie!

– No co? Prawie się zjedli przy stole zamiast śniadania! Przecież siedziałaś obok, Trish, oczu nie masz? W końcu ona z nim mieszka! – Tata próbował jakoś wybrnąć. – Nie żebym miał coś naprzeciwno. Lubię Hanka! No i nie oszukujmy się, czas najwyższy, córcia, nie młodniejesz w końcu! Co to ja chciałem... no! Hank nieźle wygląda, dzieci z pewnością będą śliczne!

Dobry Boże!

– Nie ubiorę się do ślubu w sukienkę z sieciówki! – wypaliłam, bo przecież to był najważniejszy aspekt całej sprawy. – I nie będzie żadnego pospiesznego ślubu z brzuszkiem! I wcale nie rzucamy się na siebie z Hankiem!

– Taaa, jasne! – uciał tata sarkastycznie. – Przecież ja chciałbym wnuki, zanim będę tylko siorbał pudding z tapioki! Gil nigdy się nie ożeni, a Kristy nie wierzy w instytucję małżeństwa, cokolwiek to znaczy. Mimi to żadnego nie potrafi utrzymać na dłużej. No to zostaje Roxie, która w końcu znalazła kogoś porządnego! Hank stanie na wysokości zadania! Nie chcę być złym prorokiem, ale jesteście moją ostatnią nadzieją!

Jakim cudem ta rozmowa w ogóle miała miejsce??

Nie miałam na to siły.

– Zaraz się spóźnimy, idę się ubierać! – oznajmiłam i odwróciłam się na pięcie, zmierzając do sypialni.

Uszłam zaledwie kilka kroków, gdy w kuchni zobaczyłam Hankę.

Stał oparty biodrem o blat, z otwartą puszką piwa w dłoni. A jego mina sugerowała, że wszystko dokładnie słyszał. Wszyściuteńko.

Ale to nie fakt, że nas słyszał, zatrzymał mnie w miejscu jak słup soli.

Hank miał na sobie garnitur.

Grafitowy garnitur, ciemnoniebieską koszulę rozpiętą przy szyi. Włosy, jeszcze wilgotne po kąpieli, wiły się nad kołnierzykiem. Wyglądał tak dobrze, że dosłownie mnie замуrowało.

Spojrzał na mnie i rzucił mi rozbawiony uśmiech, który sugerował, że uważał rozmowę z rodzicami za cholernie zabawną. Najwyraźniej nie zamierzał zwiewać po wysłuchaniu takich bzdur.

Przytrzymałam się blatu.

– Ależ ty jesteś przystojny...! – wypaliłam.

Uśmiech zniknął z jego ust, a w jego spojrzeniu pojawiło się coś dzikiego.

Nogi się pode mną ugięły.

– Lepiej się ubierz... – mruknął, patrząc na mnie.

Mogłam jedynie przytaknąć i przejść na miękkich nogach do sypialni.

Musiałam się streszczać, bo już byliśmy spóźnieni.

Tod pożyczył mi czarną satynową suknię z rozporkiem prawie do pasa. Mimo to spódnica miała eleganckie drapowania. Kreacja wydawała się prosta, choć nie miała rękawów, a łódkowy dekolt nie był głęboki, dopóki...

...dopóki ktoś nie spojrzał na plecy.

Pleców nie było, a wycięcie sięgało tak głęboko, że było prawie nieprzyzwoite. Tod ani razu nie włożył tej sukni, bo chyba żadna drag queen nie miała pleców usprawiedliwiających takie wycięcie. Kupił ją jednak, zachwycony, ale nie mógł wymyślić okazji, na którą ją włożyć.

Mnie tam się podobała! A także wszystkim, którzy mnie w niej już widzieli.

Założyłam nabijane ćwiekami sandaalki na szpilce, kolczyki z diamentami, które dostałam od Billy'ego, i diamentową bransoletkę, której rodzice użyli jako przekupstwa, żeby nakłonić mnie do skończenia college'u w cztery, a nie w pięć lat. Nie miałam żadnej narzutki, więc pozostawało mi liczyć na to, że w toycie Hanka było sprawne ogrzewanie.

Chwyliłam torebkę i wybiegłam do kuchni.

– Jestem, jestem, już le... nie, cholera, jeszcze nie lecę!

Zapomniałam o szmince!

Wpadłam jak pershing do łazienki, rzuciłam się do kosmetyczki i przekopałam ją w poszukiwaniu pomadki i konturówki. Wpadłam na Hankę, wybiegając z sypialni.

Jego sylwetka była zarysowana wyłącznie światłem padającym z kuchni.

– Już, już jestem gotowa! – usprawiedliwiałam się.

Objął mnie w talii, dłonie prześlizgnęły się na nagie plecy. Palcem obwiodł krawędź materiału tuż nad moimi pośladkami.

– Wcześniej wrócimy... – powiedział cicho.

– Co? Dlaczego niby?
– Załatwię podwózkę twoim rodzicom – dokończył, wsuwając palec pod materiał. – Ale później, sporo po naszym powrocie.

Zrozumiałam.

– Okej – zgodziłam się natychmiast na ten plan.

W półmroku zamajaczył jego uśmiech.

– A co, podoba ci się sukienka? – spytałam.

Myślałam, że znowu mnie pocałuje, znowu zniszczy moją fryzurę, ale wycofał się i obejmując mnie w talii, poprowadził przez dom.

Rodzice na nas patrzyli.

– A ta wciąż w tej sukience? – spytał tata bezczelnie.

Hank zbył to milczeniem.

– Myślałem, że każesz jej się przebrać.

– Nie – rzucił krótko Hank.

– Herb! – zaczęła mama, ale widać było, że tata jest oburzony moim strojem.

– Nie może tak wyjść! To nieprzyzwoite! Prawie jej tyłek widać!

Obejrzałam się przez ramię, będąc pewna, że nic mi nie widać, choć dłoń Hanka spoczywała tuż na moimi pośladkami.

– Nic mi nie widać! – rzuciłam do taty.

– Prawie ci widać! – upierał się.

– Prawie robi wielką różnicę! – Zaczynałam się denerwować.

– Roxie! – próbowała udzielić się mama.

– Hank, dobrze ci radzę, ustaw tę dziewczynę do pionu! Nie możesz jej pozwalać paradować z gołą dupą! Raz pozwolisz, to się przyzwyczai! Wierz mi, wiem coś na ten temat! – mądrzył się tata.

O boszzz...

– Nie latam z gołą dupą i Hank nie będzie mnie ustawiał! – warknęłam.

Hank tylko przytulił mnie mocniej do swego boku.

– Dziewczyno, prawie mnie doprowadziłaś do zawału, biegając jako gówniara z bielizną na wierzchu. Wolę Hanka uprzedzić, zanim on też dostanie zawału!

– Herb! – Znowu mama.

– Nie biegałam z bielizną na wierzchu!

– A pani Montgomery mówiła co innego! Twierdziła, że wyglądasz tak, jakby nikt się o ciebie nie troszczył! – upierał się tata.

No nie!

– Dla pani Montgomery nawet Giny Lampard wyglądała na zaniedbaną! A nosiła tenisówki i kardigan zapięty pod szyję przez całe życie i kadencję przewodniczącej klubu młodzieżowego przy kościele! – wyklócałam się.

– Roxie! – Znowu mama.

– Herb, Roxie nie będzie się przebierać – uciął kłótnię Hank tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Wygląda pięknie. No i już jesteśmy spóźnieni.

Tata gapił się na niego w niezrozumieniu.

Hank otworzył drzwi i zachęcił nas do wyjścia.

Mama minęła mnie, uśmiechając się.

Tata minął mnie, ciągle z wyrazem zdziwienia na twarzy.

I gdyby nie ta kiecka, chyba fikałabym koziołki z radości!

Rozdział dwudziesty szósty

Daisy nie wie, co to nuda

– O w mordę!

Stałam przed domem Marcusa i Daisy i już wiedziałam, dlaczego nazywano go „Zamkiem”. Zapewne dlatego, że po prostu był... zamkiem, prawdziwym, z fosą!

Mama stała obok, również gapiąc się na gmach.

– Czy Daisy śpi na pieniądzech? – zapytała ledwie słyszalnym głosem.

– Jej mężunio chyba nieźle zarabia. Czym się zajmuje? – Tata stanął obok i spojrzał na wieżyczkę.

Przeniosłam spojrzenie z niego na Hankę, który zamknął samochód i właśnie do nas podchodził.

– Jest sprzedawcą – odpowiedział zamiast mnie.

– No to chyba potrafi ludziom wszystko wcisnąć! – skomentował tata, będąc ewidentnie pod wrażeniem.

Wymieniliśmy z Hankiem porozumiewawcze uśmiešky. Wziął mnie za rękę.

– Przepraszam! Tu nie wolno stawać! – W naszym kierunku biegł parkingowy.

Auto zostawiliśmy obok samochodów Lee i Eddiego. Tylko te były zaparkowane przed budynkiem.

Hank machnął chłopakowi przed nosem odznaką, a ten tylko wydał usta i rzekł niechętnie:

– Proszę wchodzić.

– Dobrze mieć gliniarza w rodzinie – odezwała się mama półgłosem, gdy przechodziliśmy po przerzuconym ponad fosą moście.

– Tak, rzeczywiście! Możliwość parkowania, gdzie się chce, to największa zaleta posiadania gliniarza w rodzinie! Zlituj się, Trish! – sarknął tata.

Hank tylko mocniej ścisnął moją dłoń, a ja westchnęłam, ale chyba po raz pierwszy nie ze zgrozy.

Odrzwia otworzył nam lokaj w liberii i weszliśmy do obszernego hallu. Otoczyły nas kamienne ściany, a przez środek biegł najprawdziwszy czerwony dywan. Wystrój był adekwatny, a składały się na niego broje, pochodnie i skrzyżowane szable.

W pomieszczeniu porozstawiano stoliki zwieńczone szklanymi gablotami, w których znajdowały się przedmioty do licytacji: kolie, koleczki ze szlachetnymi kamieniami, broszury reklamowe ekskluzywnych czasów, kryształ czy rzeźby. Wystarczyło rzucić okiem, by zauważyć, że wszystkie cieszyły się zainteresowaniem. Wokół niektórych stały grupki gości i wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć w naszym kierunku. Na twarzach pojawiały się uśmiechy, ale szybko zorientowałam się, że były to grymasy kusicielek zapatrzonych w Hankę. Niektóre gapiły się naprawdę beczelnie.

W głębi widać było kolejną salę, na której końcu w gigantycznym kominku buchał ogień. Kolejni eleganccy goście konwersowali wewnątrz, popijając szampana. Pomiędzy nimi przemykali kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków i przekąsek.

Ledwie wkroczyliśmy do pomieszczenia, gdy usłyszałam głośnie „Juuuhuuu!”.

To byli Tod i Stevie, Indy w towarzystwie Lee oraz Carl i Ally. Panowie w garniturach i rozpiętych przy kołnierzykach koszulach wyglądali spektakularnie, aż ślinka ciekła! Indy miała na sobie klasyczną małą czarną, no, nie czarną, a szmaragdową, z szerokim dekoltem obnażającym jedno ramię. Jet była ubrana w jasnoróżową suknię odciętą pod biustem czarną tasiemką. Ally wyglądała super w granatowej sukni z amerykańskim dekoltem, wspaniale podkreślającej biust. Szyku dodawało rozcięcie z przodu. Tod i Stevie, o dziwo, przyszli w klasycznych smokingach.

Przywitaliśmy się, ściskając dłonie i cmokając powietrze przy uszach. Przedstawiłam rodziców tym, którzy ich jeszcze nie znali, i trąciliśmy się kieliszkami szampana z tacy kelnera, którego zatrzymał Eddie.

– Niunia, wyglądasz booskooo! Możesz zatrzymać tę kieckę, bo to na ciebie została uszyta!
– oznajmił Tod.

Już drugi raz tego wieczoru się zaśmiałam.

– Nie możesz mi zrobić takiego prezentu, pewnie kosztowała fortunę! – zaoponowałam.

– Pieniądze przychodzą i znikają. Kiecki natomiast są wieczne! A ta ma wyszyte na sobie twoje imię! – upierał się Tod.

– Tod, ja przecież nie chodzę na formalne bale! Dziękuję, ale nie mogę jej przyjąć.

– Możesz i zrobisz to! I proszę się tu nie wyklócać! – uparł się, a potem zwrócił do Hanka:

– Postaraj się, by miała gdzie w tym wychodzić!

Szukałam wzrokiem pomocy u Indy głównie z powodu tego, że nie byłam pewna, jak Hank przyjmie polecenie Toda. Hank zdawał mi się facetem, który nie przyjmuje poleceń od nikogo.

Indy się tylko uśmiechała.

– Z Todem nie wygrasz! – Pokiwała głową.

– Ha! – rzucił triumfalnie Tod. – A może jeszcze pogadamy o barwach ślubnych? Lee! Co powiesz na cytrusowo-czekoladowy ślub?

– Myślałam, że tę dyskusję mamy już za sobą? – wtrąciła się Ally.

– Cicho tam, nie z tobą rozmawiam! – uciszył ją Tod. – Lee?

– Mnie nie pytaj. Moje zadanie polega jedynie na stawieniu się na uroczystości. I się stawię

– odpowiedział obojętnie Lee.

Wszystkie oczy damskie i gejowskie rozszerzyły się z niedowierzania.

Eddie spojrzął na swoje buty. Carl się wyszczerzył. Tata chrząknął. Hank objął mnie mocniej i spojrzął w sufit, udając, że bardzo podoba mu się jakiś drapowany banner. To oznaczało jedno: Lee nie mógł znikąd oczekiwać pomocy.

– Że co proszę? – spytała go Indy.

– Rób, co chcesz, mnie wszystko jedno. Moja działka to miesiąc miodowy! – odpowiedział spokojnie Lee.

– Czyli co? Chcesz mieć cytrusowo-czekoladowy ślub? – drążyła Indy.

– Ja nawet nie wiem, o jakie kolory tu chodzi! – wypalił Lee i zanim zdążyła się odezwać, dodał: – I nie próbuj mi wyjaśniać!

– Niewiarygodne! – syknęła Indy.

– Coś ci doradzę, synu! – Tata przyjął autorytarny ton eksperta. – Nawet jeśli masz coś gdzieś, udawaj zainteresowanie. Oszczędzisz sobie sporo kłopotów! Wyobraź sobie, że ona mówi o narzutkach. Masz gdzieś narzutki. Nawet nie wiesz, co to jest narzutka. Ale udawaj, że w twoim życiu nie ma nic ważniejszego od narzutek!

Eddie stłumił śmiech. Carl po prostu brechnął. Lee uśmiechnął się do mojego ojca. Hank ciągle studiował makatkę, ale już ledwie powstrzymywał się od śmiechu.

Mama spojrzała na tatę, zamiast oczu miała tylko wążutkie szparki.

– Co proszę?

– Trish, w zeszłym tygodniu przez trzy kwadransy omawialiśmy wzór na zasłony do salonu – zaczął tata. – W dupie mam zasłony! W lodówce ma być piwo i telewizor ma nie śnieżyć, reszta mnie nie obchodzi. Mam gdzieś, co za szmaty zwisają z sufitu. Nawet słowa z tamtej tyrady nie zakodowałem!

– Zgodziłeś się na materiał w małe trąbeczki! Stwierdziłeś, że to uroczy pomysł! Już je zamówiłam! – zapięła mama.

Tata spojrzął na Lee bardzo wymownie, a mama poczerwieniała.

– Czyli że nie chcesz zasłon w trąbeczki?

– Nie obchodzi mnie trąbeczki! Powieś sobie, jakie chcesz! Ja nawet nie zauważę zmiany!

– Przestańcie! – spróbowałam załagodzić konflikt.

– Nie do wiary! – zaczęła biadolić mama. – Wiedziałam, że trzeba było wybrać te z małymi konikami! Trąbki będą wyglądać głupio, co sobie pomyślą sąsiedzi?

– Pani Logan, jestem pewien, że trąbeczki bardzo się spodobają sąsiadom! No bo wie pani, koniki...? – Stevie skrzywił się sugestywnie, współczująco.

– Jesteś pewien? – Mama uniosła pytająco brwi.

– Jestem – przytaknął Stevie.

– Uspokoileś mnie! – Mama uśmiechnęła się i golnęła sobie szampana.

Wspięłam się na palce i szepnęłam Hankowi do ucha:

– Ziemia do Hanka! Możesz wracać, kryzys zażegnany!

Uśmiechnął się nieznacznie.

– A jak wielką wagę ty przywiązujesz do zasłon? – spytał.

– No... – Przywiązywałam wielką wagę, bo nadawały ton całemu pomieszczeniu!

– Dobra, ujmę to inaczej. Czy będziesz bardzo się przejmować, jeśli powiem ci, że ja się wcale nimi nie przejmuję?

– Nie bardzo. – Posłałam mu szeroki uśmiech.

– No to wyjaśnione! – Odpowiedział tym samym.

– Moje słodziutkie cukiereczki! – krzyknęła Daisy za naszymi plecami.

Odwróciłam się; szła w naszą stronę z Marcusem, a wyglądała tak, że aż zmrużyłam oczy. Od stóp do głów pokrywały ją cekiny, cyrkonie i kryształki. Włosy, natapirowane do granic możliwości, podpięte były skrzącymi się od klejnotów grzebieniami i spinkami. Nawet przy prawym oku miała przyklejone dzęty, a na nadgarstkach i na szyi wisiały chyba miliony dolarów w diamentach. Błękitna suknia z długimi rękawami, obsypana tymi wszystkimi klejnotami, musiała ważyć tonę.

Ćwierkaliśmy, cmokaliśmy i witaliśmy się. Gdy Eddie i Marcus uścisnęli sobie dłonie, zrobiło się trochę dziwnie, a kiedy Marcus powiedział coś, czego do końca nie zrozumiałam, po czym cmoknął mnie w policzek, tylko przez chwilę się bałam.

Gdy już ukończyliśmy ten kurtuazyjny taniec, panowie się oddalili, a Daisy zagarnęła do siebie panie oraz Toda i Steviego.

– Zróbcie coś! – syknęła gospodyni.

– Co niby? – spytała Jet.

– Cokolwiek! Ta impreza jest sztywna jak koci ogon! Nic się nie dzieje. Ludzie tylko stoją w grupkach i gawędzą. Nigdy w życiu nie byłam na bardziej drętwej imprezie! Niech ktoś coś na to poradzi! – wskazała palcem Ally. – Niezła jesteś w robieniu rozróby! Masz może pistolet na lotki?

Spojrzałam na nią, jakby rozum postradała.

Mama tylko westchnęła.

– Jaja sobie robisz, jak sądzę? – spytała Ally.

– Bynajmniej! Co napiszą na plotkarskich portalach? Daisy nie zna nudy! Daisy nie jest sztywniarą! U Daisy zawsze chodzi o dobrą zabawę, *comprende?*

– Daisy, ale to przecież bardzo przyzwoita impreza! – próbowałam ją pocieszyć.

Daisy przeszła mnie wzrokiem.

– Przyzwoita? Przyzwoita??

Ojej.

Cofnęłam się o krok.

– A niech mnie pokręci! Ale to wypasiona chawira!

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę głosu dobiegającego od wejścia.

W progu stał Jason w wypożyczonym smokingu, a przy jego boku Annette, która jednak uległa namowom chłopaków i zamiast kreacji à la Scarlett wdziała ciemnozieloną suknię z krótkimi rękawkami, marszczoną przy dekolcie.

– Przywieźliście ten zamek z Anglii na taczkach czy jak? – spytała gospodyni, gdy się zbliżyli.

Znowu buziaki, znowu szampan.

– Nie. Marcus zbudował dla mnie ten zameczek. Cudnie wyglądasz, słodziutka!
– odpowiedziała Daisy.

– Słuchajcie tego! – Annette najwyraźniej zamierzała coś ogłosić. – Smithie pozwolił mi

tańczyć! Nawet do Boba Marleya! Muzyka go nie obchodzi, póki gościom się podoba!

Spojrzałam na Jasona, ale tylko pokręcił bezradnie głową.

– Lottie i ja będziemy się zamieniać. W dzień będę prowadzić sklep, a wieczorami się rozbierać. Czy może być coś fajniejszego?

– Ona żartuje, prawda? – Hank pochylił się w moją stronę; nawet nie zauważyłam, że dołączył do stadka dziewczyn.

Usiłowałam jakoś ratować Jasona.

– Annette, może jednak przemyśl to sobie? – zasugerowałam.

– Kochana, podobasz się Smithiemu – oświeciła mnie Annette. – Powiedział, że jeśli cię namówię, dorzuci mi premię!

– Zapomnij – wtrącił się Hank, już oficjalnie.

– Stary! – Annette się nie poddawała. – Zostałaby gwiazdą! Założę się, że Lottie musiałaby się bardziej postarać, gdyby Roxie stanęła w świetle jupiterów!

– Zapomnij – powtórzył zimno Hank, patrząc na Annette.

Annette chyba nie zauważyła, że nieco się nasrożył.

– Koleś, serio! Czy ty wiesz, ile zarabia Lottie? – spytała go.

– I tak biega półnaga, więc może się rozebrać do rosołu! – wtrącił tata.

– Herb! – zrugła go mama.

– Nie biegam półnaga! – fochnęłam w stronę taty.

– Dupę ci widać – odparł.

– Serio? – Annette wychyliła się, żeby dojrzeć moje plecy. – Pokaż!

– Nie widać mi dupy! – wyjaśniłam jej.

– Szkoda – mruknęła Annette zawiedziona.

Kilku stojących nieopodal gości już zaczęło się interesować naszą grupą.

– Nie gadajcie tak głośno! – upomniałam towarzystwo.

– Jeejuuu, darmowy szampan! – usłyszeliśmy gdzieś z drugiego końca.

To była Shirleen. Jej wielkie afro połyskiwało od brokatu i nie sposób było nie zauważyć jej brzoskwiowego kostiumu i koronkowego naszyjnika z pomarańczowych paciorków.

Zręcznie schwyciła kieliszek z tacy przemykającego obok niej kelnera.

– Spójrzcie no na siebie! Choooolercia! – Podpłynęła do nas. – Wyglądacie, jakby ktoś was zaczarował magiczną różdżką! Normalni ludzie nie są tak piękni!

– Łaknę takiego naszyjnika! – wypaliłam. – Jest precudny! Ale ja chcę czerwony! Gdzie go kupiłaś?

Shirleen przyłożyła dłoń do szyi, załśniły pomalowane koralowym lakierem szpony.

– Leon kupił mi go dwa dni przed tym, nim odstrzelili mu dupsko. Nie tylko uwolniłam się od tego sukinsyna, ale i została mi pamiątka. Mogę ci pożyczyć!

Gapiałam się na nią bez słowa.

Mama się na nią gapiała.

Tata się na nią gapił.

– Leon to mój świętej pamięci małżonek – wyjaśniła Shirleen. – Dobrze mu tak. Był wrednym skurczybykiem. Dwa dni po złożeniu go w piachu przemeblowałam całą chałupę. A potem popłynęłam w rejs. Wiecie, ile oni dają żarcia na takim statku? Wszędzie leży żarcie, przez cały czas! Wyrwałam sobie nawet pięknego Jamajczyka, barmana, wiecie, jak na *Statku miłości*? Jak on miał na imię...? W każdym razie był miły dla Shirleen, naprawdę przemiły! Zostawiłam mu taki napiwek, że nigdy mnie nie zapomni! – Aż zatrzęsała się od śmiechu.

A my wciąż się na nią gapiliśmy. Mama przysunęła się do mnie, zalękniona jakaś.

– Naprawdę chcesz się przeprowadzić do tego miasta? – szepnęła.

Spojrzałam na Hanka.

Czułam jego dłoń tuż nad wycięciem sukni. Przebiegł mnie dreszcz.

– Naprawdę – odpowiedziałam jej.

Westchnęła, a minę miała naprawdę nietęgą.

– Może wmieszajmy się w tłum? – zasugerowała Jet, bo wszyscy już chyba się na nas gapili.

– Dobry pomysł! – zgodziła się Indy.

– A gdzie ten sekretny bufet dla VIP-ów? – spytał tata. – Umieram z głodu!

Chyba niektórzy go usłyszeli, bo znowu zaczęli się nam przyglądać.

– Herb, nie drzyj się! – To miał być szept, ale mamie nie wyszło.

– Proszę za mną, panie Logan! – Daisy skinęła na niego i wcale się nie przejęła, że zdradził sekret sekretnego bufetu. – Tędy!

Rodzice i Daisy się oddalili, a Marcus podszedł do nas.

– Musimy pogadać – zagadnął Hanka.

Po jego minie i po czujności Hanka wywnioskowałam, że nie chodziło o towarzyską pogawędkę.

Hank skinął nieznacznie, po czym odwrócił mnie do siebie i szepnął, pochylając się:

– To potrwa chwilę.

Przytaknęłam.

– Bądź w zasięgu wzroku chłopaków, jasne?

Znowu przytaknęłam.

Musnął mój policzek i podążył za Marcusem.

– Widzę, że wyłuskałaś sobie faceta – zauważyła Shirleen, odprowadzając panów wzrokiem.

Lee, Eddie i Carl również za nimi patrzyli. Gdy Hank zniknął, Lee spojrzął na mnie, szepnął coś do Indy, skłonili się parze, z którą rozmawiali, i podeszli do nas.

Wymieniłyśmy z Indy uśmiechy.

Nagle naszła mnie myśl, która prawie fizycznie wstrząsnęła moim ciałem.

– Chyba się w nim zakochałam – odpowiedziałam Shirleen ledwie słyszalnym głosem.

– Co mówisz, mała? Nie dosłyszałam.

– Prawie go nie znam, ale wydaje mi się, że go kocham – powtórzyłam.

Spojrzała na mnie uważnie, bo chyba było widać, że ta świadomość mnie przeraża.

– Uspokój się, dziewczyno! To bardzo dobrze! Powinnaś się cieszyć. Hank Nightingale to dobry facet i będzie cię dobrze traktował. Chyba obie aż za dobrze wiemy, że nie ma za wielu takich na tym świecie. Skoro już ci się taki trafił, to trzymaj się go pazurami i ciesz się! – poradziła Shirleen, a głos miała tak poważny, że prawie groźny.

– Myślę, że zakochałam się w całym tym towarzystwie – dodałam, jakbym nie usłyszała jej tyrady.

– W jakim towarzystwie?

– W nich. – Powiodłam ręką po ludziach w oddali. – W Indy, Ally, Daisy, Eddiem, Jet, Steviem... we wszystkich – wyjaśniłam.

– No to powiem ci, że sporo tu masz do kochania! – Shirleen wciąż patrzyła na mnie.

– Dlaczego wyglądasz tak, jakby cię właśnie skazano na dożywocie?

– Billy gdzieś tam jest, zachowuje się jak wariat. Coraz bardziej mu odbija. Nie wiem, co jeszcze mu strzeli do łba. Może im zrobić krzywdę – wyjaśniłam.

Wiedziałam to już kilka dni wcześniej, gdy strzelano do mnie i do Daisy. Teraz działo się jeszcze gorzej. Czułam się bezpośrednio zagrożona i nie zamierzałam tego znosić.

– A oni wiedzą o Billym? – zapytała Shirleen.

Kiwnęłam głową.

– Wszyscy?

Potwierdziłam.

– No więc wiedzą również, w co się pakują – zapewniła mnie. – Zaufaj Shirleen, mała. Wielu odwróciłoby się od dziewczyny takiej jak ty, zostawiłoby cię z tym samą. I jeśli ten cały Billy jest tak bardzo walnięty, jak mówisz, no to chybabyś poległa. Albo cię skrzywdził, albo ostatecznie przeciągnął na swoją stronę. Obie opcje to szambo.

Poczułam, jak krew krzepnie mi w żyłach, a Shirleen mówiła dalej:

– Tacy jak on mają gładką gadkę. Potrafią czarować. Nie pozwól, żeby ci namieszał w głowie. I spokojnie, będziesz miała jeszcze swoją szansę, żeby wyrównać rachunki.

Nie zabrzmiało to dobrze.

Oczy Shirleen były czyste i skupione, ale na chwilę się rozmarzyła.

– Zawsze miałam słabość do tego chłopaka... – powiedziała cicho, jakbym nie stała obok.

Patrzyła za Hankiem, choć już dawno nie było go w tamtym miejscu. Shirleen posmutniała, z całej jej sylwetki biła jakaś dziwna tęsknota.

– On zawsze był tym dobrym. Był dobry dla rodziców, dla brata, nawet dla mojego bratanka, Dariusza. Los się odwrócił. Mój los i Dariusza, ale Hank nie odwrócił się od nas. Próbował z całych sił wyciągnąć go z bagna, bardziej niż Lee i Eddie. Próbował go uratować z całych sił.

Wciągnęła powietrze ze świstem, jakby ktoś uderzył ją pięścią w żołądek. Nie bardzo wiedziałam, o kim mówiła, ale nie było czasu na wyjaśnienia. Pewnie nawet by nie próbowała, w końcu mówiła do siebie samej.

– Wiem, jakie Hank wyznaje wartości. Dariusz też to wie. Ale nawet mimo to... mimo to... – szeptała już tak cicho, że brzmiało to prawie jak modlitwa. – Choć tak bardzo się różnimy, podziwiam go. Gdybym miała syna, chciałabym, żeby był taki jak Hank.

Jej słowa poruszyły w moim sercu struny, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

Chyba tylko kobiety takie jak ja zdolne były dosłyszeć te tony. Takie jak ja albo Daisy. Shirleen należała do naszego grona. Kobiety skrzywdzone przez mężczyzn, przed którymi otworzyły serca, a mimo to miały nadzieję, że wyniknie z tego coś dobrego.

Daisy odnalazła dobro w Marcusie. Choć dla świata był, kim był, ona widziała w nim kogoś zupełnie innego.

Ja znalazłam dobro w Hanku.

A Shirleen? Nie znałam jej historii, ale przeczuwałam, że ona już nie szukała dobra w mężczyznach. Wolałaby dziecko, które w przyszłości stałoby się takie jak Hank.

Poczułam napływające łzy. Odszukałam dłoń Shirleen i ścisnęłam ją mocno. Być może odgadłam powód jej buzujących emocji. Najważniejsze było to, że pozwoliła mi je dostrzec i zrozumieć. Podejrzewałam, że nieczęsto się tak otwierała.

Odwzajemniła uścisk dłoni, po czym wyswobodziła ją z mojej i jednym haustem opróżniła kieliszek szampana.

– Pić mi się chce! – Nastrój prysł. – Gdzie jest ten dzieciak z szampanem? – zapytała, nawet na mnie nie spoglądając. – Hej, młody! – wrzasnęła i ruszyła w stronę kelnera z tacą.

Nie odwróciła się więcej w moją stronę.

Zanim zdążyłam przetrwać jej słowa, poczułam, że ktoś delikatnie dotyka moich obnażonych placów, tak lekko, że musiałam się odwrócić, aby upewnić się, że to nie tylko prąd powietrza.

Prawie uderzyłam nosem w opaloną grdykę wychylającą się zza kołnierzyka jasnoszarej koszuli.

Spojrzałam w górę.

Luke.

– Gdzie Hank? – zapytałam, zamiast grzecznie się przywitać.

Luke obserwował tłum i wcale nie wyglądał na zadowolonego. Był przystojny, gdy go czymś rozbawiłam, a teraz, gdy wyglądał na skrajnie nieszczęśliwego, zdał mi się jeszcze przystojniejszy.

– Rozmawia z Marcusem – rzucił. – Ładnie wyglądasz – dodał.

A że sam wyglądał nadspodziewanie dobrze w czarnym garniturze, to profilaktycznie się odsunęłam. Nawet za dobrze.

Jego ręka drgnęła, objął mnie w talii i przyciągnął z powrotem do siebie. Chyba zbyt dosłownie zrozumiał to, że miał trzymać mnie w zasięgu ręki.

– Luke, nie bądź nadgorliwy. Hank gdzieś tu jest i Lee też ma mnie na oku.

Gdzieś rozdzwoniła się komórka, ale czy to w ogóle mnie dotyczyło?

– Nie odsuwaj się ani na krok. Znajdziemy Hanka, już – rozkazał.

Na kogo Luke patrzył?

To był Lee z telefonem przy uchu, cały skupiony, brodą wskazywał nam drzwi wyjściowe. Popychał Indy w tamtym kierunku. Rzuciła mu pytające spojrzenie, ale nic więcej nie dojrzałam, bo Luke popędził mnie we wskazaną stronę.

– Idziemy! – nalegał.

Coś było nie w porządku. Eddie i Carl też coś wyczuli, a może oni wszyscy łączyli się ze sobą telepatycznie? Może wysyłali jakieś komunikaty, które odczytać mogli tylko twardziele?

– Co się dzieje? – spytałam, poddając się nagłocemu dotykowi Luke’a. Poczułam strach, wżarty głęboko w trzewia, przeradzający się w panikę. – Musimy znaleźć Hanka!

W tej chwili on i Marcus wkroczyli do pomieszczenia. Hank szedł szybko w moim kierunku, jego twarz przypominała oblicze posągu, wzrok skupił na mnie. Marcus działał tak samo, przeczesując tłum w poszukiwaniu Daisy.

– Jest Hank! – Usiłowałam wyrwać się Luke’owi.

Luke przyciągnął mnie do siebie i zamarł w pół kroku.

Gdy przenosiłam wzrok z niego na Hanka, moje spojrzenie musnęło jakiś znajomy kształt.

Zamarłam.

To był Billy.

Stał w progu, a w wyciągniętej ręce trzymał pistolet.

Wycelowany prosto we mnie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Odrodziłam się

Pierwsza myśl, jaka mnie uderzyła, to że Billy wyglądał całkiem nieźle.

Życie uciekiniera wyraźnie mu służyło. Wytarte jeansy, sfatygowana skórzana kurtka, rozczochrana blond grzywa i dzikie spojrzenie... Nie dało się tego wszystkiego nie zauważyć.

Chyba tylko ja mogłam o tym pomyśleć, bo pozostali skupili się na jego pistolecie.

Wybuchła panika, rozległy się krzyki, a Eddie i Carl próbowali w jakikolwiek sposób kontrolować szalejący tłum. Ale to wszystko działo się poza mną, bo widziałam tylko jego, jakby pomieszczenie było opustoszałe.

– Dawaj ją tu! – wrzasnął Billy do Luke'a, ale wciąż patrzył na mnie.

Luke wepchnął mnie za siebie, stając się celem.

– Nie! – krzyknęłam, otrząsając się ze stuporu.

– Do diabła, dawaj ją! – ryknął Billy.

– Nawet o tym nie myśl!

Pobiegłam spojrzeniem za głosem. Po naszej lewej stał Lee, celując w Billy'ego.

– Pierdol się! – Billy wziął go na cel.

Poczułam skurcz przerażenia w żołądku, przy którym cytrusowo-czekoladowy ślub przestał mi się wydawać koszmarem.

– Billy, nie! – Próbowałam wyjść zza Luke'a. – Przestań, pójdę z tobą!

– Luke, zabierz ją stąd! – To był głos Hanka, który stał za Lee i teraz zbliżał się powoli.

Również trzymał pistolet, a ja, durna, pomyślałam, że obchodzi się z nim równie łatwo jak z samochodem, jakby był przedłużeniem jego ręki. Celował w Billy'ego, spokojnie, w skupieniu.

Luke tymczasem zmusił mnie do ruchu, znów zasłonił sobą, prowadząc między uciekającymi ludźmi. Pod ścianą przemykał Marcus, również ze spluwą.

– Nie ruszać się! – wrzasnął Billy, znowu w nas celując. Nie zauważył Marcusa.

– Billy, przestań! Proszę! – błagałam, wyglądając zza ramienia Luke'a, który wciąż się cofał. Chyba nie wzruszał go widok wycelowanej w niego lufy.

Billy nie posłuchał.

Wystrzelił.

Luke szarpnął się, a ja wrzasnęłam. Cała sala rozbrzmiała wrzaskami, a ludzie zaczęli chaotycznie biegać we wszystkich kierunkach.

Luke nie upadł, zamiast tego wyciągnął broń z kabury pod pachą i wycelował w Billy'ego, który trzymał teraz na muszce Hanka.

Lee stał obok mojego faceta i w momencie gdy Billy wystrzelił, udało im się do niego zbliżyć. Dzieliły ich może dwa metry.

Obaj bracia mierzyli prosto w Billy'ego.

To się nie dzieje!

Chyba straciłam rozum, bo rzuciłam się biegiem (lata praktyki na szpilkach się przydały), wymijając Luke'a, w stronę Billy'ego.

– Luke, zabierz ją stąd! – zagrzmiał Hank ponad panikującym tłumem.

– Billy, pójdę z tobą! – krzyknęłam, ignorując Hanka.

Wymknęłam się z zasięgu Luke'a.

Musiałam zrobić coś, żeby Billy nie postrzelił Hanka czy kogokolwiek innego. Nie byłam pewna, czy Luke jednak nie zarobił przeze mnie kulki, i nie zamierzałam pozwolić na nic więcej.

– Zdejmij go, Luke! – rzucił Lee.

– Roxie, z drogi! – usłyszałam za sobą, ale nie zesłam z linii strzału. – Nie mogę, stoi na linii!
– wydarł się Luke.

Zbliżyłam się do Billy'ego, więc natychmiast mnie pochwycił, wykręcając mi rękę, po czym

przyciągnął do siebie brutalnie. Stałam się żywą tarczą.

Coś pękło w twarzy Hanka, teraz malowała się na niej czysta furia. Gdy postąpił krok, Billy wymierzył w niego.

– Przestań się, kurwa, ruszać! – To było do Lee, który postąpił krok, gdy Hank się zatrzymał.

– To się nie dzieje... – wyszeptałam.

Komuś za moment stanie się krzywda, może już się stała.

Musiałam jakoś to powstrzymać.

– Musimy iść – powiedziałam do Billy’ego.

– Zabiję go! – odpowiedział, celując w Hanka.

– Nie! Błagam! Chodźmy stąd! – Głos mi się łamał.

– Chciał zabrać moją własność! Zabiję go! – wrzasnął Billy.

Szalał, nie kontrolował się, mógł naprawdę to zrobić.

Złapałam go za rękę w tej samej chwili, w której znowu wystrzelił.

To był odruch.

Wykręciłam ciało i pchnęłam go z całej siły. Nie spodziewał się oporu, więc oboje się przewróciliśmy. Upadł na plecy, leżałam na nim. Musiałam się odsunąć, sprawdzić, czy trafił Hanka, ale Billy przetoczył po podłodze nas oboje. Poderwał nas z ziemi, znowu przycisnął mnie do siebie, wstając.

Oddychał ciężko, stracił rezon, ale się nie poddawał.

Odszukałam wzrokiem Hanka, stał tuż obok. Wszyscy trzej zbliżyli się, zacieśniając krąg.

Hank wściekł się, bo nie miał kontroli nad sytuacją. Drgały mu mięśnie zaciśniętych szczęk.

Poczułam ulgę, bo nie dojrzałam krwi.

A potem wszystko wydarzyło się w ciągu chwili.

Billy miotał się, szarpiąc mnie ze sobą. Oddaliliśmy się od Hanka. Od drugiej strony korytarzem zbliżał się Vance z bronią w gotowości. Dwóch ochroniarzy w czarnych garniturach i cienkich krawatach również wkroczyło do akcji.

Dwóch zbirów ubranych podobnie do Billy’ego wparowało jeszcze innymi drzwiami. Wiedzieli, po co tu są. Oni również celowali w nas.

Zaczęłam chyba modlić się w duchu, bo doliczyłam się jakichś ośmiu luf wycelowanych prosto w nas, a nie było w tym Marcusa, który pewnie też gdzieś się czał.

– Rzuć broń, Flynn! – krzyknął Hank.

Billy znowu nas obrócił i stanęliśmy twarzą w twarz z Hankiem.

– Pierdol się! – wrzasnął Billy.

– Rzuć broń! – Głos Hanka zabrzmiał jak uderzenie bicia.

– Desmond chce z tobą gadać, Billy! – wtrącił się koleś w skórze, tak, jakbyśmy byli w pomieszczeniu tylko we trójkę. – Puść dziewczynę.

– Pierdol się, i pieprzyć Desmonda! – odkrzyknął Billy, kierując drżącą lufą na nowy cel.

– Czy ktoś w końcu strzeli do niego? – zapytał Lee głosem tak spokojnym, jakby upominał się o kolejną lampkę szampana.

– W co mam strzelać? Mogę od tyłu w kolano – stwierdził Vance równie spokojnym głosem.

– Wal! – rozkazał Lee, a Billy histerycznie odwrócił się w kierunku Vance’a.

– Billy przestań się rzucać, bo mi niedobrze! – zamarudziłam głupio, ale przecież nie chciałam zarzygać takiej ładnej sukienki.

– Mam go na linii – rzucił Luke gdzieś zza nas.

– Nie postrzel Roxie – zatroskał się Lee.

Billy znowu nas obrócił.

– No na miłość boską! – zaczynałam się wkurzać, a to było lepsze niż strach.

Nigdy nikt nie zrobił ze mnie tarczy, więc nie wiedziałam, że próbują wyprowadzić go z równowagi, pogrywają z jego nerwami.

– Nikt nie będzie strzelał, opuście broń! – rozkazał Hank.

Dojrzałam, że Lee patrzył na niego.

– Podдай się, do cholery! – powtórzył Hank, ale nie opuścił broni i wciąż patrzył czujnie na Billy'ego.

Billy obserwował wszystkich, wówczas Lee gestem nakazał Vance'owi i Luke'owi opuścić broń.

To była pokazówka. Nie wiem, skąd wiedziałam, że Lee potrafił sięgnąć po broń szybciej niż ktokolwiek inny. To było pewne jak jakość rajstop Wolforda.

Bardziej to poczułam, niż dostrzegłam, że Luke i Vance opuszczają broń. Nie wiedziałam, czy inni posłuchali rozkazu Hanka. Atmosfera się zagęściła, w powietrzu czuć było napięcie.

– Pozwól jej odejść – rozkazał Hank, a w jego głosie było coś, co sugerowało, że nie chodziło mu tylko o to, by Billy mnie puścił.

– Jest moja! – Billy szarpnęła mnie, chcąc podkreślić przynależność.

– Puść ją. Jeśli to zrobisz, nic ci się nie stanie, ale jeśli nie, to sam cię zastrzelę.

No dobra, musiałam coś zrobić. Nie wiedziałam, czy w takiej sytuacji zastrzelenie Billy'ego wpakowałoby Hanka w kłopoty, ale nie chciałam się o tym przekonać. Wiedziałam jednak, że Billy był gotów, by strzelać. Przecież przed chwilą już spróbował!

– Billy, puść mnie! – powiedziałam cicho.

– Nie, Roxie, wyjdziemy stąd razem. Znikniemy – odpowiedział.

– Billy, rozejrzyj się. Nigdzie stąd nie wyjdziemy.

– Musisz się w końcu nauczyć, Roxie. Tylko ty i ja. Tylko to się kiedykolwiek liczyło. Moje życie zaczęło się w chwili, gdy cię poznałem – mówił Billy, jego głos zaczynał brzmieć jakoś dziwnie.

To nie była jego gładka gadka. Pobrzmiwała w nim groźba i znowu zaczęłam się bać.

Przymknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, Hank patrzył na mnie.

– A wiesz, że on zabrał mnie na przejażdżkę powozem na pierwszej randce? – zapytałam Billy'ego, ale patrzyłam na Hanka.

Ciało Billy'ego stężało.

– Kiedyś obiecałeś mi coś takiego, pamiętasz, Billy? Wyjazd do Nowego Jorku, dorożka w Central Parku. Pamiętasz? – drażylałam.

Przemawiałam łagodnym głosem nabrzmiałym rozczarowaniem.

– Przestań, Roxie... – Głos Billy'ego nabrał błagalnego wydźwięku.

– On ma psa – kontynuowałam, wciąż patrząc na Hanka. Billy wiedział, że uwielbiałam psy. – Labradora.

To była moja ulubiona rasa i to wiedział również. Nigdy nie pozwoliłby mi mieć labradora, wciąż się przeprowadzaliśmy. No i Billy nie lubił psów. Opieka nad psem u boku Billy'ego to byłaby kara. Dla psa, oczywiście.

– Widziałeś go, w końcu nas obserwowałeś. Shamus, słodki czekoladowy labrador. Ciągle siada mi na stopach i nauczę go ganiać z frisbee.

– Roxie... – To już była agonია, a te wszystkie lata z Billym sprawiły, że i mnie zabolął ten ton.

Wciąż jednak patrzyłam na Hanka.

– On ma dobrą pracę, piękny dom. Chroni ludzi, tym właśnie się zajmuje. – Czułam, że Billy za mną słabnie, jakby moje słowa go przenikały i wysysały z niego energię. Nieznacznie opuścił broń. Działo się. – Jego rodzice są mili, a jego siostra powiedziała mi, że sam wyremontował swój dom. Czy ty kiedyś coś naprawiłeś, Billy? Czy kiedykolwiek zamieniłeś zło w dobro? – Nie rzucałam oskarżeń, pytałam łagodnym tonem.

– Boże, Roxie... – Niski głos Billy'ego drżał.

– Czuję się tak, jakbym całe życie na niego czekała – kontynuowałam, nie odrywając spojrzenia od Hanka. – Czekałam bardzo długo, pewnie wiesz, o co mi chodzi. Odrodziłam się, gdy go poznałam.

I wtedy, ku zaskoczeniu mojemu i wszystkich w pomieszczeniu, Billy się poddał.

Objął mnie ręką, w której dzierżył pistolet i oparł czoło o moją szyję.

– Roxie... – mruknął.

Hank ruszył powoli w naszą stronę, wciąż czujny, z bronią wyciągniętą przed siebie. Jego spojrzenie było przeszywające, paliło mnie.

– Billy, ty chcesz, żebym miała to wszystko, prawda? – spytałam, obserwując czujnie Hanka.

– Ja chcę mieć ciebie... – powiedział Billy w moją szyję.

Odwrociłam twarz w jego stronę. Uniósł głowę i mogłam ująć jego twarz w dłonie. Jego policzki pokrywała szczecina zarostu, a błękitne oczy były niewymownie smutne i przepełnione bólem.

I nagle coś mnie oświeciło. Związek z Billym to była tylko zabawa. Ucieczka z małego miasta, w którym dorastałam, bunt, który był we mnie na długo, zanim go poznałam. To była przygoda, adrenalina i energia.

Ale on nie był esencją mojego życia.

Nie w ten sposób, w który Hank się nią stał.

Przytknęłam czoło do czoła Billy'ego.

– Przykro mi – szepnęłam.

I naprawdę tak było.

– Jesteś jedynym dobrem, jakie mam, jedynym, jakie mnie kiedykolwiek spotkało...
– odszepnęła Billy.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo silne ramię Hanka schwyciło mnie w tali i wyrwało z uścisku Billy'ego. Cofnęliśmy się o kilka kroków i Hank odepchnął mnie na bok. Uderzyłam w ciało Lee, który mnie odciągnął.

Billy chciał unieść broń i wycelować w Hanka, ale w tej sekundzie Marcus przyłożył mu lufę do skroni.

– Rzuć to! – rozkazał.

Billy nie przestawał powoli unosić ręki, jakby prosił się o śmierć.

Wstrzymałam oddech, bezwiednie cofając się, prowadzona przez Lee.

Hank celował w Billy'ego, lufa pistoletu Marcusa wciąż tkwiła przy jego skroni, ale nie przestawał podnosić ręki.

– Rzuć broń! – powtórzył Marcus.

Dłoń Billy'ego skręciła. Zamierzał się zastrzelić.

– Hank, powstrzymaj go! – krzyknęłam przerażona.

Huknął wystrzał.

Zamarliśmy, patrząc, jak dłoń Billy'ego odskakuje w górę w krwawym obłoku. Wrzasnął przeszywająco, a pistolet upadł na podłogę.

– Wezwijcie karetkę! – rzekł Hank po chwili świdrującej uszy ciszy.

Ciało Hanka przysłoniło Billy'ego.

Spojrzałam na Luke'a, myśląc, że to on postrzelił Billy'ego, ale zajmował się strząsaniem krwi z rękawa. Czerwona strużka skapywała z jego ramienia. Osłabłam na ten widok, ale Lee mnie przytrzymał, chowając broń do kabury.

– Cofnąć się, policja! – Eddie wkroczył do akcji, machając bronią i odznaką.

Powiało grozą.

Tamci dwaj faceci, zapewne z Chicago, zmierzali w stronę Hanka, Marcusa i Billy'ego, ale cofnęli się, gdy zobaczyli policjanta.

– Rzućcie broń i ręce na ścianę! – rozkazał Eddie, a oni bez szemrania wykonali polecenie.

Dwaj ochroniarze w czarnych garniturach zniknęli, jakby nigdy ich tu nie było.

Billy siedział na podłodze, Hank kuczał obok niego.

– Lee, zabierz ją stąd! – rzucił, nie patrząc w naszą stronę.

W tym momencie weszła do budynku cała armia umundurowanych policjantów, z Carlem na czele.

– Idziemy, Roxie! – szepnął Lee do mojego ucha, lecz ja zamarłam w miejscu.

– Ale Luke...!

– Zajmą się nim, mała, chodźmy już! – Jego głos był łagodny, ciągnął mnie do wyjścia.

Gdy usiłowałam się opierać, chwycił mnie mocniej i wiedziałam, że nie ma co się szarpać. Pozwoliłam wyprowadzić się na zewnątrz.

Siedziałam na hokerze w kuchni Daisy i obskakiwało mnie dziesięć osób: osiem kobiet i dwaj faceci.

Później przyjechali Kitty Sue i Malcolm. Ojciec Hanka dołączył do panów, Kitty została z nami.

Obstawili mnie taką ilością jedzenia, że mogłabym tym obdzielić całą drużynę futbolową! Czterech umundurowanych oficerów już się poczęstowało, a zdawało się, że nic nie ubyło.

Gdy Lee wprowadził mnie do kuchni, zobaczyłam tatę, na którego obliczu wymalowała się ulga, a chwilę potem pękł, przeklinając i wrzeszcząc. Lee wyprowadził go łagodnie, aczkolwiek sugestywnie, jednak nawet z korytarza słysząc było jego wrzaski.

Jason poszedł za nimi. Nie wyglądał na spokojnego jak zwykle.

Pojawił się detektyw Jimmy Marker, wysłuchał moich zeznań i znów zniknął. Gdy z nim rozmawiałam, mama trzymała mnie za rękę. Annette stała za mną i pozwalała mi się o siebie opierać. Bez tego wsparcia, fizycznego i duchowego, nie dałabym rady, emocje zbyt dotkliwie mną szarpały, a ona, jako najlepsza przyjaciółka, zdawała sobie z tego sprawę.

Marker powiedział mi, że ramię Luke'a to tylko draśnięcie. Rana jest powierzchowna i z pewnością szybko się zagoi. Billy'ego zabrano pod eskortą do szpitala, ale jego obrażenia były o wiele poważniejsze. To Vance go postrzelił.

– Ten facet ma świetne oko. Lee i Stark również. Chociaż używał cię jako tarczy, byłaś w miarę bezpieczna. Chłopcy ustawili się tak, żeby nawet przypadkiem cię nie trafić – wyjaśnił Marker, jakby cała ta akcja była tylko bezpieczną ustawką.

– Kim jest Stark? – zapytałam.

– Luke. To jego nazwisko. Tak za nim wołają na ulicy i chyba tylko chłopcy z drużyny Lee mówią na niego po imieniu – dokończył detektyw.

– A skąd pan wie o ich umiejętnościach strzeleckich? – dociekałam.

Mężczyzna chrząknął, wyglądał na zmieszanego, jakby powiedział za dużo.

– Po prostu wiem.

Gdy odszedł, wszystko zaczęło się wyciszać i zauważyłam, że dziewczyny dobrały się do bufetu. Ally wcinała ser brie i owoce, a Shirleen smarowała tost pasztetem.

– No, słodziutka, postarałaś się o to, by moja imprezka zdominowała jutrzejsze rubryki towarzyskie! – stwierdziła Daisy ze śmiechem, próbując rozładować ciężkawy nastrój.

– A pewnie! Nigdy nie czytam tych bzdur o wyższych sferach, ale jutro nie będę sobie żałować! – zapewniła Shirleen.

Annette objęła mnie i ucałowała w czubek głowy, i chyba dopiero wtedy poczułam, że mój koszmar się skończył.

Koniec.

Dzięki Bogu!

Odetchnęłam głęboko, z ulgą.

– Cieszę się, że nie zniszczył kiecki! Z tego materiału nie dałoby się sprać krwi! Jestem prawie pewien, że nie schodzi z satyny! Chyba nie chcę się upewniać, umrę szczęśliwy bez tej wiedzy! Mordujecie moje kiecki, dziewczyny, wdajecie się w nich w bójki w barach i inne takie! Muszę co tydzień latać po nowe, żeby mieć zapas! – Tod wygłosił przemowę.

– Wcale nie dlatego latasz na zakupy, Tod! – stwierdził Stevie.

– No wybacz, ale Róża musi mieć wybór! Nigdy nie wiadomo, na jaką stylizację przyjdzie jej ochota! – Tod zrobił minę do Stewiego, po czym zwrócił się do Shirleen: – Kochaniutka, czy oferta pożyczania tego naszyjnika jest i dla mnie otwarta? On jest cudny!

– No pewnie, słodziaczku! – odrzekła Shirleen.

Już miałam parsknąć śmiechem, ale złowiłam spojrzenia Indy i Jet, które patrzyły na mnie nasrożone i najwyraźniej wcale nie uważały całej tej sytuacji za zabawną.

– Wszystko gra! – rzuciłam bezgłośnie w ich stronę.

Nie wydawały się usatysfakcjonowane.

– Serio! – powiedziałam już na głos.

Indy pokiwała głową smutno i wyglądała tak, jakby chciała rzucić jakieś zaklęcie, które wymazałoby całą moją przeszłość z Billym. Jedno machnięcie czarodziejską różdżką i zło znika.

– To dobrze – powiedziała cicho Jet.

– O co chodzi? – spytała mama, która nie była wtajemniczona.

Pochyliłam się i oparłam o nią.

– O nic – odpowiedziałam.

– Gdzie jest Hank, do diabła? – zawołała Kitty Sue i w tym momencie wyczułyśmy męską energię, gdy „Brygada Twardzieli” (i mój tata) wkroczyła do kuchni, z Hankiem na czele.

– O rety! – mruknęła Ally.

Annette puściła mnie, a ja odruchowo się wyprostowałam. Chciałam uśmiechnąć się do Hanka, ale jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, żebym wiedziała, że nie pora na to.

– Co teraz będzie? – spytałam, gdy się zbliżył.

Moją głowę wypełniły wizje Billy’ego wyskakującego przez tylne drzwi karetki, szykującego się do nowego polowania na mnie.

Uniosłam głowę, by na niego spojrzeć.

Jego twarz była zimna i wściekła.

– Coś ty, do kurwy nędzy, tam wyrabiała? – ryknął.

Hank Nightingale, mistrz samokontroli, właśnie ryknął.

Chyba był na mnie wściekły.

Tyle dobrego.

– Whisky... – spróbowałam.

– O nie! – Jego głos opadł, brzmiał cholernie groźnie. – Bez czułych słówek mi tu! Włazłaś prosto w jego łapy!

Moja ulga z powodu końca tej historii wyparowała i poczułam wściekłość na Hanka.

No helo! ale tak nie będziemy rozmawiać!

Zeskoczyłam ze stołka i spojrzałam mu prosto w twarz.

– Postrzelił Luke’a! – krzyknęłam.

– Mieliliśmy wszystko pod kontrolą! – odkrzyknął Hank.

– Mierzył do ciebie! – wrzasnęłam.

– Mieliliśmy to pod kontrolą! – powtórzył Hank.

– Celował do Lee!

– Mieliliśmy to, kurwa, pod kontrolą!

Podparłam się pod boki.

– Ostrzegałam cię, że nie pozwolę narazić nikogo z was, i to właśnie robiłam!

– Byliśmy we trzech i wiedzieliśmy, że za moment zjawi się Vance, a on był jeden! Przez ciebie nie mogliśmy go zdjąć. Co ci strzeliło do głowy? – Hank wciąż wrzeszczał.

– Mierzył do ciebie. To mi strzeliło!

– No i co z tego, do cholery? Nie pierwszy i nie ostatni raz byłem na muszce! Potrafię sobie z tym radzić. Mieliliśmy wszystko pod kontrolą!

O cholera.

Skurczyłam się na myśl o ludziach mierzących z broni do Hanka.

– Hanku Nightingale, przestań się na mnie drzeć! – wypaliłam.

– To było głupie, Roxie! – wtrącił się tata.

– Tato! – odwróciłam się do niego.

– Bo było! – potwierdził Lee szorstkim głosem.

– Było durne jak cholera! – dorzucił Eddie, a przecież nawet nie widział całej akcji!
Otworzyłam usta jak ryba, ale co miałam niby na to odpowiedzieć?
Osaczyli mnie.

– Sorry, że się wtrącam, ale może byście się odpieprzyli? – Ally wkroczyła do akcji, stając przy obładowanym żarciem barze. Miała w dłoni niedojedzony krakersik z kawiozem i sama zdawała się zimna jak ryba.

– Ally, nie mieszaj się! – rzucił Carl.

– Nie mów mi, w co mam się mieszać, a w co nie! – odwarknęła Ally i straciła całe opanowanie.

– Wszyscy są cali, bezpieczni, udało się wybrnąć z sytuacji. Może wszyscy trochę wyluzujemy, co? – Annette próbowała mediować.

– Nie masz pojęcia, co tam się działo! Ona tak po prostu do niego polazła! Dziewięć luf, z tego osiem wycelowane w nią! Gdyby nerwy puściły, stałaby w krzyżowym ogniu! – To Jason dorzucił swoje trzy grosze.

Annette chyba się rozmyśliła i stwierdziła, że mediowanie to jednak nie jej rola.

– A co ty byś zrobił, mądralo, co? – spytała Jasona. Oczy miała zwięzione do szparek.

– No chyba, kurna, nie polazłbym do niego! – wrzasnął Jason.

– Jejuuu, wy, biały, to się umiecie żreć! – wyraziła podziw Shirleen.

– Dajcie spokój Roxie! – wtrąciła się Daisy. – Dość już dziś miała wrażeń!

– Jeszcze nie skończyliśmy! – Hank zignorował Daisy.

Wciąż staliśmy oko w oko.

– Skończyliśmy raz na zawsze! – oznajmiłam i nawet nie drgnęłam.

– Hank, synku, może przyniosę ci piwo, co? – spróbowała Kitty Sue.

– Nie będzie teraz pił piwa. Będzie przemawiał Roxie do rozumu! – stwierdził Malcolm.

Nie znałam Kitty i zdawało mi się, że była dość opanowana, ale po tych słowach poczerwieniała na twarzy i zwróciła się do męża:

– Czyli że co, będzie teraz ją pouczał? – spytała.

– Chłopcy świetnie sobie radzili! – odrzekł Malcolm.

– No pewnie, ale to wiemy my, bo ich znamy. A ona działała pod wpływem impulsu, w dobrej wierze!

– I prawie dała się zabić! – dokończył ojciec Hanka.

– Akurat! Nikt by do tego nie dopuścił! I nie wiem, czy to cię w ogóle obchodzi, ale ja cieszę się, że Roxie tak bardzo troszczy się o mojego syna, że ryzykowała dla niego życie! Dobrze, że nic się nie stało!

– Ja też się cieszę, że pokazałaś serce! – Mama podeszła do nas i wzięła mnie za rękę. Chyba była ze mnie dumna.

Poczułam falę ciepła, nie dość silną jednak, by rozpuściła mój lodowaty gniew.

– Trish, pogięło cię? – wybuchł tata. – O naszą córkę chodzi! Cieszysz się, że się narażała?

– A może i cieszę, bo to świadczy o tym, że jedno z nas dobrze ją wychowało! – odpaliła mama.

– Dobrze gada! – krzyknęła Daisy.

– No w mordę! – usłyszeliśmy od drzwi.

W drzwiach stał Tex, w jeansach i flanelowej koszuli, a włosy i brodę miał tak najeżone, że wyglądał jak jakiś walnięty niedźwiedź, który czochnął się przed chwilą o drzewo.

– Dlaczego mnie zawsze mija cała zabawa?? W mordę!

Wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata.

– No? Co się działo? Nic ci nie jest, kochana dziewczuszko? – zapytał.

Uśmiechnęłam się.

Spojrzał na Hanka.

– Co z wami? – zapytał, a Hank przysunął się do mnie.

– W porządku – odpowiedział.

– To dobrze! – dokończył wujek, nieświadomy kłótni, która naelektryzowała aurę w pomieszczeniu. – Choooolercia! Spójrzcie no tylko na to żarcie! W mordunię! Na co czekacie? Rozkręcamy tę imprezę! Macie gorzałę? – spytał Daisy.

– Szampana – oznajmiła Daisy, uśmiechając się nieznacznie.

– No to strzelaj koreczkiem! Szkoda, że nie dorwę tego gnoja w pokoju przesłuchań, ale trudno się mówi. Nie pijam jakichś bąbelkowych pierdół, ale chyba dziś właśnie mogę zrobić wyjątek!

– Rozejrzał się po kuchni. – No mogę?

Gapiliśmy się na niego, wciąż w bojowym nastroju.

– No co? Może to nie jest okazja? – huknął Tex.

– Racja, Tex, święta racja! To zajebista okazja! – odezwała się w końcu Indy.

– Marcus, kochaniutki, dawaj no tego szampana! – rzuciła Daisy, ale on już nurkował w wielkiej szklanej chłodziarce na wina.

Odwróciła się, trzymając dwie butelki.

– Przyniosę kieliszki – zaofiarowała się Jet, ruszając w stronę szafek.

Poczułam dłoń Hanka na karku i zeszywniałam, bo nie byłam jeszcze gotowa na jakies czułości. Wciąż byłam na niego wkurzona.

Opuścił głowę i szepnął mi do ucha:

– Nie skończyliśmy tej rozmowy.

Spojrzałam na niego, wykręcając szyję.

– Skończyliśmy, Whisky! Nie będzie żadnych więcej konwersacji. W chwili, gdy uniosę kieliszek do ust, Billy Flynn stanie się wspomnieniem!

Widziałam w jego oczach, że też wciąż jeszcze był wściekły. Po chwili jednak się opanował.

– Wyrwałaś się i nigdy więcej nie wpakujesz się w coś takiego.

Zgodziłam się, ale nie zamierzałam pozwolić, by jego było na wierzchu.

– Dla jasności, drugi raz postąpiłabym tak samo! Nie tylko ty możesz chronić kogoś, na kim ci zależy!

Znowu przełączył się w tryb wkurzony, najwyraźniej nie zamierzał mi pozwolić mieć ostatniego słowa.

– Słoneczko...

– Nie, Hank, koniec tej gadki! Serio. Teraz jest już po rozmowie!

Przez moment uważnie mi się przyglądał, a potem jego wzrok znów się zmienił i dojrzałam w jego oczach coś zupełnie nowego.

Cichutko, tak cicho, bym tylko ja słyszała, zapytał:

– Naprawdę poczułaś, że się odrodziłaś, gdy mnie poznałaś?

Gdyby mnie nie przytrzymał, chyba bym się odruchowo odsunęła.

Nie byłam gotowa na takie wyznania. W ogniu chwili, owszem, powiedziałam to wszystko i to była szczerza prawda, ale nie czułam się na siłach, by o tym teraz rozmawiać.

Może później.

Dużo później.

– O tym też teraz nie będziemy gadać! – rzuciłam.

Znowu przez chwilę mi się przyglądał, a potem przygarnął mnie do siebie, objął w talii i wtulił twarz w moją szyję. Odwzajemniłam uścisk i przytuliłam się do jego ramienia.

Wokół strzelały korki od szampana, a ludzie, których pokochałam, wiwatowali.

Rozdział dwudziesty ósmy

Normalność

Przede mną migotała łuna Denver i na ten widok poczułam ekscytację, lęk i podniecenie.

Przez trzy ostatnie tygodnie byłam w Chicago; spotykałam się z przyjaciółmi, żeby się z nimi pożegnać, załatwiłam przeprowadzkę, spakowałam się, zdałam klucze do loftu, użerałam się z firmą ubezpieczeniową i wyrzuciłam roztrzaskane meble.

Na weekend zatrzymałam się w Brownsburgu, aby wszystko wyjaśnić Mimi i Gilowi, ponieważ rodzice już zdążyli wtajemniczyć ich w całą tę aferę z Billym.

– Zabiję tego skurwysyna! – wrzasnął Gil, gdy skończyłam opowiadać.

Ojejku.

– Nie ma potrzeby, synu, już mu łapę odstrzelili! – wyjaśnił spokojnie tata.

Gilowi to nie wystarczało.

– Może mi wyjaśnisz – domagał się – dlaczego, do cholery, przez wszystkie te lata nie powiedziałaś, że siedzisz w gównie po uszy?

– No... – Co miałam niby teraz na to odpowiedzieć?

Nie chwaliłam się swoimi kłopotami pewnie dlatego, że Gil miał prawie dwa metry wzrostu i składał się wyłącznie z mięśni, więc gdyby dorwał Billy'ego, to złamałby go jak gałązkę.

Gdy teraz o tym myślałam, to wcale nie wydawało się to takie złe.

– Dobra, wystarczy tego! – Mama mnie uratowała. – Już po wszystkim. Roxie jest bezpieczna. Ma nowego chłopaka i wierz mi, Gil, polubisz go. Tata go lubi. Ja go lubię. Wszyscy go uwielbiają. Zrobiłam ciasto orzechowe, kto chce?

Ciasto orzechowe mamy przez lata zażegnywało spory w naszej rodzinie.

Ruszyliśmy do kuchni, Mimi wzięła mnie pod rękę.

– Jesteś pewna, że chcesz pakować się w nowy związek, choć łóżko po Billym jeszcze nie ostygło? – szepnęła pytanie.

Namyślałam się nie dłużej niż sekundę.

– Jestem pewna.

Miała wątpliwości.

Pokazałam jej zdjęcie, które Ally cyknęła Hankowi komórką z ukrycia.

– Ożeż ty! – Mimi wpatrywała się w zdjęcie.

– Wszyscy faceci w Denver tak wyglądają – powiedziałam jej.

– Ożeż ty! – powtórzyła.

Wyszeptałam jej do ucha kilka smaczków, może nie z sypialni, ale opowiedziałam o słodkich cechach, którymi mnie ujął.

– Ożeż ty! – rzuciła trzeci raz.

– Dokładnie tak!

Uściskała mnie.

A Gil zerkał na nas podejrzliwie.

Annette i Jason zamierzali przeprowadzić się do Denver po nowym roku, póki co zostali w Chicago.

Mieli więcej spraw do załatwienia, no i nie spieszyło im się z powrotem, tak jak mnie do gorącego faceta.

Połowa pracowników Annette chciała jechać za nią do Denver, a druga biła się o to, kto zostanie kierownikiem zostawianego biznesu, który Annette nazwała „Wschodnią Filią”. No i musieli

zdecydować, co przenieść do „Zachodniej Filii” w Denver.

Jet doniosła mi uprzejmie podczas jednej z naszych telekonferencji, że Smithie był zawiedziony, że jego „biała rastamanka” nie wskoczy na dniach na rurę w jego klubie, ale jakoś próbował sobie z tym radzić.

Hank nazywał te nasze rozmowy „Pogaduszkami Rockowych Lasek”. Zawsze tak to nazywał, gdy wspominałam mu, że gadałam z Jet, Indy, Ally czy Daisy. „O cholera, znowu urządziłaś sobie Pogaduszki z Rockowymi Laskami”.

Przyznaję, były dość częste, gdy potrzebowałam porady i ześlizgiwałam się niebezpiecznie w stronę porozmawiania z Hankiem.

Postanowiłam rozłożyć jazdę do Denver na dwa dni. Pierwszego jechałam niespiesznie aż do granicy z Kolorado. Mogłam wprawdzie zrobić całą trasę w ciągu jednego dnia, ale nie chciałam, by pierwszy raz od trzech tygodni Hank zobaczył mnie niewyspaną, z czerwonymi i podkrążonymi oczami. Zamierzałam się porządnie wyspać (co nie wyszło, bo byłam zbyt podekscytowana), a potem zrobić na bóstwo, w miarę możliwości oczywiście, w polowych warunkach (to się na szczęście w miarę udało).

Włosy mi trochę odrosły, więc ułożyłam je w delikatne fale i zrobiłam pełny makijaż, by ukryć zmęczenie. Ubrałam się stosownie do stanu, przez który przejeżdżałam: w jeansy, wysokie brązowe kozaki na obcasie i zielony sweter z golfem i warkoczem z przodu. Okręciłam szyję szalikiem w kolorowe paski i wcisnęłam na głowę czapkę z dzianiny, bo było zimniej niż w Boże Narodzenie.

Samochód miałam załadowany po sufit i zamierzałam zrzucić póki co wszystkie rzeczy u wujka Texa. Wyszukałam w sieci kilka fajnych mieszkań na wynajem i miałam przed sobą dwa dni oglądania. Reszta mojego skromnego dobytku, wszystko, co dało się uratować, musiała gdzieś przez ten czas przeleżakować.

Hank nie zniósł dobrze pomysłu zatrzymania się u wujka na czas przeprowadzki i wynajmowania własnego mieszkania. Przeprowadziliśmy kilka „rozmów” na ten temat. Hank nie widział sensu w tym, bym mieszkała sama, skoro prędzej czy później miałam wprowadzić się do niego. Dlaczego nie prędzej?

Upierałam się, głównie dlatego, że taki miałam charakter, no i chciałam zostawić mu furkę, gdyby jednak zamierzał wycofać się z tego związku. Stało na tym, że wynajmę coś na pół roku, miałam jednak wrażenie, że Hank nie wytrzyma tak długo i zgodził się na takie warunki tylko dlatego, żebym przestała się ciskać.

Mieszkanie to był pikuś, bardziej bałam się tego, że jednak się wycofa. Przeprowadzka to nie był dla mnie problem, w końcu przenosiłam się z miejsca na miejsce wiele razy. Mieliśmy z Hankiem może dziesięć dni normalności po schwytaniu Billy’ego, choć może „normalność” to było niewłaściwe słowo, gdy w grę wchodziło Fortnum i jego bywalcy. Przez trzy tygodnie mojego pobytu w Chicago byliśmy skazani na związek przez telefon. To, co w Denver było już znajome i bezpieczne, przez telefon zdawało się zupełnie nowe.

Przynajmniej ja tak to odbierałam, bo zachowanie Hanka względem mnie się nie zmieniło.

Nawet przez telefon.

Po aferze w Zamku jeszcze długo imprezowaliśmy w ogromnej kuchni Daisy, aż wciągnęliśmy większość jedzenia i wypiliśmy większość szampana.

Rodzice pojechali na noc do wujka, żeby dać mnie i Hankowi trochę prywatności. Potoczyli się w stronę samochodu, głośni i weseli, a my tylko przyglądaliśmy się, trochę zażenowani. Hank narzucił mi na ramiona marynarkę, bo robiło się chłodno, a ja miałam gołe plecy.

Gdy odjechali, zwróciłam się do Hanka:

– Już po wszystkim – powiedziałam głosem pobrzmiewającym ulgą.

Serio, gdybym nie była odziana w balową suknię, zaczęłabym fikać koziołki z radości.

Objął mnie i trącając nosem, wyszeptał:

– Zabiorę cię do domu.

Przez całą drogę wypytywałam go i dowiedziałam się, że tamci faceci w czerni byli od Marcusa. Wysłał ich w pogoń za Billym i dowiedzieli się, że przestał nas obserwować, a zamiast tego skupił się na Annette i Jasonie. To właśnie za nimi Billy trafił na imprezę Daisy. Ludzie Marcusa widzieli, jak krąży wokół posiadłości, aż w końcu zdobył się na odwagę, by wkraść się do środka. Zaparkował, wyskoczył z auta i zniknął w lasku otaczającym posiadłość.

Hank, Eddie i reszta drużyny wiedzieli już, na podstawie analizy moich rozmów telefonicznych z Billym, że teraz pora na jego ruch, więc nie szukali go na siłę. Wiedząc o zagrożeniu, Lee polecił Luke'owi dodatkowo mnie chronić.

Vance siedział Billy'emu na ogonie, podobnie ludzie Desmonda Harpera, i wszyscy oni wiedzieli, że jedzie do Zamku. Nikt jednak nie przypuszczał, że Billy będzie na tyle zdesperowany, by wkroczyć na przyjęcie. Byli przekonani, że przyczai się i napadnie na nas, gdy będziemy wychodzić.

Vance złapał Luke'a przed imprezą i ostrzegł go, że Billy kręci się w pobliżu.

W tym samym czasie Hank dostał podobny komunikat od Marcusa. Mieli w planie zebranie kobiet w bezpiecznym miejscu w domu i wyruszenie na łowy.

Wtargnięcie Billy'ego pomiędzy gości było kompletnym zaskoczeniem. Vance czaił się przy wejściu i widział, jak Billy skrada się do środka. Wtedy właśnie zadzwonił do Lee.

Resztę wydarzeń znałam z autopsji.

Aresztowano ludzi Desmonda Harpera.

Luke'a pozszywano i wypuszczono do domu.

Zanim wyszliśmy od Daisy, do Hanka zadzwonił detektyw Marker z informacją, że Billy już nigdy nie użyje prawej dłoni. Nawet trochę mnie to zasmuciło, ale nie chodziło o to, że jakoś specjalnie Billy'emu współczułam. Sam fakt, że ktoś stracił dłoń, był zasmucający.

– Jeszcze jedno – powiedziałam, gdy byliśmy już w salonie Hanka.

Przywitaliśmy się z Shamusem, a Hank zdjął z moich ramion marynarkę i odwiesił ją na oparcie krzesła.

– Ta? – spojrzał na mnie.

– Opowiedz mi o Shirleen i jej bratanku Dariusie. Zaczęła się zwierzać i...

Objął mnie i przyciągnął do siebie. Oparłam dłonie na jego piersi i spojrzałam w górę, prosto w jego oczy.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o tym, że znam dobrych ludzi robiących złe rzeczy?

Poczułam skurcz żołądka.

– Tak – odpowiedziałam.

– I mówiłem ci również, że pogadałem sobie z Jet o ludziach z szarej strefy, o naszych znajomych lawirujących pomiędzy ciemną i jasną stroną?

Pamiętałam. Chodziło o hazard, prochy i pewnie też morderstwa.

Serce podeszło mi do gardła.

– Nie mówiłeś.

– Mówiłem.

Pokręciłam głową, bo nie chciałam dopuścić do siebie świadomości, że Shirleen mogłaby mieć coś wspólnego z takimi brudami. Lubiłam ją.

– Opowiem ci tę historię innym razem – obiecał Hank, domyślając się, że miałam dość przeżyć jak na jeden wieczór. Delikatnie popchnął mnie w stronę sypialni.

– Chyba nie chcę znać tej historii – mruknęłam.

– No to ci nie opowiem.

No i po sprawie.

– No i dobrze – rzuciłam.

Przeszliśmy przez kuchnię.

– To co? Wymazujemy ten kiepski wieczór? – zapytał Hank, gdy zbliżyliśmy się do sypialni. Uczucie ścisku w żołądku ustąpiło, ale serce zaczęło bić mocniej, na szczęście z zupełnie innego powodu niż przed chwilą.

– Dobry pomysł... – mruknęłam.

Cały piątek Hank spędził w pracy, porządkując bałagan, jakiego narobił Billy.

Ja cały dzień spędziłam w Fortnum i musiałam naprzemiennie zapewniać o moim zdrowiu psychicznym wszystkim zainteresowanych, którzy akurat wpadli, zażegnawać konflikty pomiędzy rodzicami i pomagać w zaadaptowaniu się Annette i Jasonowi. Oprócz tego biegałam między stolikami, obsługując gości.

Zamierzałam powiedzieć Indy, że musi zatrudnić kogoś innego. Poranny tłum to była jakaś masakra i wszyscy musieliśmy się uwijać, żeby podolać zapotrzebowaniu.

Indy postanowiła urządzić imprezkę pod hasłem „Bye, bye, Billy!” (tę nazwę wymyśliła Ally) i musiała zamknąć lokal na wieczór, bo nigdzie indziej byśmy się wszyscy nie zmieścili.

Dla Indy i Ally fakt, że mają zorganizować imprezę w ciągu kilku godzin, nie był żadną przeszkodą. Impreza była zrzutkowa, więc każdy przyniósł, co mógł. Największe pole do popisu miały Kitty Sue i matka Eddiego, Blanca. Pojawiła się cała rodzina Eddiego, choć przecież nawet mnie oficjalnie nie poznali. Pojawiły się tłumy, każdy z czymś pysznym albo gorzałą. Impreza w Fortnum przyciągała jak magnes!

Wujek i tata pałaszowali wypieki Jet i tata musiał w końcu przyznać, że jej wafelki są lepsze niż najlepszy mrożony jogurt u Miriam. Po tej deklaracji mama znowu zaczęła wołać imię Jezusa nadaremno, gdyż uznała, że fakt, iż tacie smakuje cokolwiek przyrządzone poza Brownsburgiem, musi być boską interwencją.

Gdy impreza już na dobre hulała, pojawił się Vance.

Zauważyłam go, bo zadzwonił dzwoneczek nad drzwiami. Nie żebym zyskała jakąś nadnaturalną moc odbierania fluidów wysyłanych przez gorących twardzieli...

Były przy mnie Indy, Ally, Annette i Daisy, a Hank stał w drugim kącie pomieszczenia z Malcolmem, Eddiem i Lee.

Zostawiłam dziewczyny i podeszłam do Vance’a.

– Cześć – rzuciłam, podchodząc chyba trochę za blisko.

– Cześć, mała – odpowiedział, skanując moją twarz ciemnymi oczami.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc powiedziałam:

– Nie wiem, co powiedzieć.

– To nic nie mów – poradził.

Ale w końcu wymyśliłam.

– Przykro mi, że musiałeś robić to wszystko.

– Co wszystko?

Westchnęłam.

– Ganiać Billy’ego przez tyle czasu i jeszcze na koniec do niego strzelać. Naprawdę nie chciałam cię na to skazywać, Vance.

Przez chwilę patrzył na mnie bez słowa.

– Ile ci zostało? – zapytał w końcu.

– Czego?

– Tego, co ci pozwala przeczłgiwać się przez takie gówno.

Nie bardzo rozumiałam.

– Chyba powinnaś coś o mnie wiedzieć. – Zbliżył się niebezpiecznie.

O nie!

– Co? – spytałam, choć nie miałam ochoty na wysłuchiwanie zwierzeń kolejnego twardziela. To nigdy nie wychodziło dobrze.

– Mnie wcale nie jest przykro.
– Ale...?
– Wcale mi go nie szkoda. Wcale nie jest mi przykro, że odstrzeliłem mu łapę. Mało tego, Roxie. Cieszę się, że to zrobiłem. To była frajda!

W mordę.

Wstrzymałam oddech.

Pochylił się do mnie i szepnął:

– To się nazywa sprawiedliwość.

W mordę, mordeczkę, mordunię!

Poczułam ciepło i jakieś silne ramię objęło mnie od tyłu. Rozpoznałam dotyk Hanka.

Vance się odsunął, ustępując mu pola.

– Hank.

– Vance – usłyszałam za sobą.

Vance zlustrował nas, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Zaczynajcie swoje nowe, wspaniałe życie, a ja się napiję.

No tak.

Zamknęłam oczy i przytuliłam się do obejmującego mnie ramienia. Gdy je otworzyłam, Vance ciągle się do mnie szczyrzył.

– Nie usłyszę, co było dalej, prawda? – zapytałam.

– Nie – potwierdził, a może zaprzeczył.

Gdy Vance się nie poruszył i nie zmienił wyrazu twarzy, zapytałam w końcu:

– Nie miałeś przypadkiem iść sobie chlapanąć?

Zaśmiał się, po czym potwierdził i odszedł.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że ciało Hanka za mną podrygiwało od tłumionego śmiechu.

– Nawet nie zaczynaj, Whisky! – ostrzegłam go.

Wyglądałam przez witrynę na samochody pełzające po Broadway; czułam za sobą pewne oparcie, nieustępliwe ciało Hanka.

Pocałował mnie w czubek głowy.

– Później o tym pogadamy – mruknął.

– Nie, już nigdy o tym nie będziemy gadać. Nigdy, nigdy, nigdy! – oznajmiłam.

Jego ramiona zacisnęły się wokół mojego ciała.

– Później. – To zabrzmiało jak złowroga obietnica.

Noż...

– Niech ci będzie – mruknęłam.

Wypuścił mnie z objęć i odszedł.

Stado Rockowych Lasek gapiło się na nas i najwidoczniej świetnie się bawiły.

Dziiiiizz!

Jakiś czas później zjawił się Luke.

Nie wyglądał, jakby stała mu się jakakolwiek krzywda. Mówiąc szczerze, wyglądał świetnie jak zawsze.

– Sorry, kocham Jasona, wszyscy o tym wiedzą, ale ten facet jest gorący! – oznajmiła Annette, ale na całe szczęście Jason stał w drugim końcu pomieszczenia, rozmawiając z moim tatą.

Podeszłam do Luke'a. Nie bardzo miałam pomysł, jak do niego zagadać, więc choć był twardzielem i superciachem, po prostu objęłam go, złożyłam głowę na jego piersi i przytuliłam mocno.

Wiem, to było infantylne i nie miałam już pięciu lat, ale ten facet zarobił kulkę w czasie, gdy mnie ochraniał, więc musiałam zrobić coś, cokolwiek.

Po kilku sekundach poczułam, że mnie obejmuje. Wcale się nie zdziwiłam, że w ogóle się nie odezwał. O dziwo, ja również milczałam.

– Wiem, że to może za szybko... – mruknął po chwili. – Ale...

– Ale co? – zapytałam.

– ...ale odzyskałaś życie. Czujesz to już?

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego pytająco.

– Bo wiesz, moje życie mogłoby się rozpocząć na nowo, teraz właśnie.

O czym on gadał?

– O czym ty gadasz?

– O niczym. – Rzucił ten swój półśmieszek.

Wyswobodziłam się z jego ramion.

– Ta sytuacja wcale nie jest zabawna! – rzuciłam.

– Jest przezabawna! – odparł.

Już miałam pogrążyć się we frustracji, bo nie miałam pojęcia, o czym Luke, do diabła, mówił, gdy znów z pomocą zjawił się Hank. Odciągnął mnie za ramiona.

– Luke.

– Hank.

I znowu to mierzenie się spojrzeniami, te gierki samców alfa. Naprawdę, czułam się jak gnata, o który biją się pitbulle, więc wtrąciłam:

– No... dzięki, że dałeś się dla mnie postrzelić! – palnęłam i było to tak głupie, że natychmiast zapragnęłam, by ktoś mnie zastrzelił.

Luke spojrzał na mnie, jakbym była jakimś puchatym, słodziutkim stworzeniem.

– Słodka jest – zauważył.

– Wiem – rozczulił się Hank.

– Och, na Boga! – wypaliłam.

– Najlepsza część przemowy, oprócz tego całego odżywiania, to ten kawałek o czekaniu całe życie – kontynuował Luke, jakby nagle zyskał umiejętność wypowiedziania się pełnymi zdaniami.

– Nie wydawało się to śmieszne wczoraj, ale gdy teraz to wspominam... – wtrącił Hank, a ja doznałam szoku.

– To o psie i frisbee też było rozmiękczające, serio. – Luke się rozgadał, nie ma co.

Musiałam to przerwać.

– Może byś się napił? – spytałam Luke'a.

Uśmiechnął się szerzej.

– Dobry pomysł – powiedział, ale się nie poruszył.

– No to idź sobie weź drinka! – walnęłam.

Niespodziewanie dotknął mojego nosa, po czym odszedł.

Odwróciłam się do Hanka.

– Chyba zaczynam żałować mojej płomiennej przemowy! – poinformowałam go.

– No ja myślę! – rzucił pretensjonalnym tonem, ale i z ulgą.

– Nie dlatego, że to było złe, ale... och, nieważne! – Spróbowałam wyrwać się z jego objęć, ale nie miałam szans, był zbyt silny.

– Słoneczko?

Spojrzałam na niego zagniewana.

– Czego?

– Myślisz, że droczyliby się z tobą, gdyby uważali, że zrobiłaś coś złego?

No właśnie, czy droczyliby się?

– No chyba nie...

Patrzył na mnie przez chwilę.

– Jezu, nie mogę uwierzyć, że zaczęłaś się przytulać do Luke'a Starka! W pokoju nadzorczym pewnie padają ze śmiechu!

Orzeszku... zapomniałam o tym!

– Może powinniśmy się zmyć, zanim znowu zrobię coś żenującego? – zaproponowałam.

– A co, bierze cię znowu na jakąś ckliwą przemowę? – spytał Hank.
– W życiu! – Zmrużyłam oczy.
Odwrócił mnie do siebie i szepnął:
– Może od dzisiaj zostawimy sobie takie przemowy na spotkania w cztery oczy, co?
– Hanku Nightin...
Nie dokończyłam, bo pocałował mnie i odleciałam.

Sobotni poranek.

Zbudził nas wrzask mojej matki przy akompaniamencie walenia do drzwi sypialni.

– Dzieci, wstaliście?

Tak, oczywiście, że wstaliśmy!

– Tak, mammo... – skłamałam.

– Tex przyjechał. Wychodzimy z nim i Nancy. Nie będzie nas cały dzień, wracamy dopiero na kolację. Pójdziemy gdzieś z Kitty i Malcolmem. Spotykamy się tutaj o szóstej.

– Dobra! – rzuciłam i znowu wtuliłam się w ciepłe ciało Hanka.

Nie miałam siły na nerwówkę z powodu kolacji zapoznawczej rodziców.

Zerwany ze snu Shamus zaczął łązić po łóżku, czy może raczej po nas, usiłując sięgnąć swoim oślinionym pyskiem do naszych twarzy. Ręka Hanka uniosła się nade mną, chwycił psa i przyciągnął go do siebie, żeby trochę go poprzytulać. Przez chwilę obserwowałam te ich pieszczoty, po czym odwróciłam się na drugi bok i przytuliłam do poduszki, chcąc jeszcze się zdrzemnąć.

Shamus po chwili miał dosyć spoufalania się i znowu zaczął po mnie deptać, węsząc gdzieś wokół mojej głowy.

– Co robisz? – spytał Hank i założyłam, że pyta mnie, a nie psa, więc odpowiedziałam:

– Śpię.

– Wstawaj, Słoneczko!

– Nie!

– W górę dupka! – zażądał.

– Nieee... – powtórzyłam błagalnym tonem.

– Słoneczko...!

Shamus dobrał się do mojej twarzy i zlizwał wszystkie ewentualne resztki makijażu. Usiłowałam schować się pod kołdrę, ale zjechała z mojej głowy, szarpnięta gwałtownie.

Łóżko się poruszyło i poczułam, że się unoszę.

– Whisky! – jęknęłam, obejmując go, gdy niósł mnie do łazienki.

– Idziemy pod prysznic.

– Ale ja chcę spaaać!

Postawił mnie na podłodze, po czym usiłował zdjąć mi przez głowę koszulkę, ale chwyciłam go za nadgarstki.

– Prysznic, śniadanie, a potem idziemy uczyć Shamusa ganiać za frisbee – oznajmił Hank.

– Serio? – Chyba właśnie się obudziłam.

Pokiwał głową.

Puściłam jego ręce i uniosłam swoje, żeby jednak mógł mnie rozebrać.

Billy przyznał się do pobicia, porwania i usiłowania morderstwa dwóch osób: Luke'a i Hanka. To były poważne zarzuty i nieprędko miał wyjść z pierdła. A to tylko to, o co został oskarżony w Kolorado.

Czwartek. Tydzień po masakrze.

Mama i tata wyjechali kilka dni wcześniej. Ja miałam pojechać do Chicago w niedzielę.

Od czasu nauki Shamusa zabawy we frisbee (szybko się uczył, ale przecież wiedziałam od razu,

że to mądry pies!) spędzaliśmy z Hankiem całe dni razem. Pokazywał mi, jak wygląda normalne życie z facetem.

Normalne życie było dobre. Było wspaniałe!

Któregoś wieczora gapiałam się w telewizor, skulona na kanapie w salonie Hanka. Zjedliśmy lazanię, którą przygotowałam, pozmywaliśmy i ułożyliśmy się wygodnie, żeby obejrzeć film.

Zadzwoił mój telefon, ale numer był nieznany, więc odebrałam, żeby sprawdzić, kto to.

Opierałam się o Hanka, a Shamus drzemał w swoim legowisku koło telewizora.

– Roxie.

To był głos Billy’ego.

– Billy...?

Hank zeszytniał, słysząc to imię, a Shamus chyba też coś wyczuł swoim psim radarem, bo przybrał pozycję Sfinksa i nadstawił uszu. Obaj patrzyli na mnie w napięciu.

– Roxie, ja...

Rozłączyłam się, po czym przytrzymałam klawisz, aż telefon się wyłączył. Rzuciłam go na stolik kawowy.

Może powinnam była go wysłuchać, choć przecież wcale mnie nie obchodziło, co miał do powiedzenia. Nie byłam w nastroju, już nigdy nie miałam być w nastroju do wysłuchiwanie jego gładkiej gadki.

– Potrzebny ci nowy numer – stwierdził Hank; czułam, że się rozluźnia. Znowu spojrzał w telewizor.

– Zdecydowanie – zgodziłam się.

– Słucham? – Hank znowu spojrzał na mnie.

– Masz rację – zgodziłam się znowu.

– Możesz powtórzyć? – spytał, a kąciki jego ust się uniosły.

Spojrzałam na niego kwaśno, gdy odwracał się w moją stronę.

– Mam numer z kierunkowym do Chicago – stwierdziłam oczywistość. – Pewnie, że potrzebuję lokalnego! Chyba nie chcesz płacić taryfy międzymiastowej za każdym razem, gdy zadzwonisz do mnie na komórkę?

Nie słuchał mnie. Uniósł się nade mną, wciskając mnie w poduszki kanapy. Jego dłonie wślizgiwały się w górę po bokach mojego ciała i skuliłam się, bo miałam łaskotki.

– Hank, przestań, przegapimy film!

Wyciągnął rękę i pomacał stolik w poszukiwaniu pilota, po czym wcisnął pauzę i obraz na ekranie się zatrzymał.

Shamus uwalił się na bok, bo już dobrze wiedział, co się święci.

– Hej, oglądałam to! – zaprotestowałam.

– Później dokończymy... – Hank całował moje obojczyki i znów mnie łaskotał.

– Whisky, przestań, łaskoczesz mnie! – Spróbowałam go odepchnąć.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie.

Włożył dłonie pod mój top i przesunął nimi jeszcze delikatniej niż poprzednio.

– Ale że co robię...? Tak...?

Zaczęłam chichotać, nie mogłam się powstrzymać. Skuliłam się i wciąż usiłowałam go odepchnąć, ale oczywiście nawet nie drgnął.

– Przestań! – Zrobiłam obrażoną minę. – Serio, nie cierpię łaskotek!

– Serio? – Nie przestawał, robił mi na złość.

– Koleś, weź przestań! – krzyknęłam i usiłowałam się dźwignąć, ale nie miałam szansy w starciu z nim.

Równie dobrze mogłam przepychać się ze skałą. I choć jego siła i muskulatura mi imponowały, to w takich chwilach jak ta raczej mnie wkurzały.

Usiłowałam pochwycić jego ręce, ale skończyło się tym, że uchwycił moje nadgarstki i jedną dłonią przytrzymał je nad moją głową.

– Nie nazywaj mnie kolesiem! – powiedział, ale ze śmiechem.

Zmarszczyłam się.

– Koles! – powtórzyłam, bo w końcu byłam uparciuchą.

Zemścił się, łaskocząc mnie wolną ręką. Ja chichotałam, wierciłam się i krzyczałam, żeby przestał, naprzemiennie nazywając go kolesiem, a on oczywiście nie przestawał mnie męczyć i w końcu stoczyliśmy się z kanapy.

Wylądowałam na nim. Moje ręce były już wolne. Usiadłam na nim okrakiem i zaczęłam badać, w którym miejscu on miał łaskotki. Nie znalazłam żadnych takich miejsc, ale przecież pozwolił mi szukać tylko przez jakieś dwie sekundy. Szukanie przerodziło się w obłapianie, a potem w miłosne przepychanki, więc koniec końców nie obejrzelśmy tego filmu.

Nic straconego, bo szczerze mówiąc, wcale nie był taki fajny.

Ruszyłam do Chicago w niedzielę z samego rana.

Spakowałam się w kilka walizek, a podczas mojej nieobecności Hank i Tex mieli przenieść resztę moich rzeczy do Texa. Hank wynosił moje bagaże do samochodu, a ja dojadłam jego pyszną jajecznicę i tosty.

Włożyłam talerz i kubek do zmywarki, chwyciłam torebkę, a do kieszeni kurtki włożyłam balsam do ust, bo chyba wszyscy wiedzą, że bez niego nie da się wyruszyć w żadną podróż.

Hank, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, opierał się o przedni błotnik mojego auta, które przyproceedził z warsztatu w dniu schwytania Billy'ego. Shamus siedział przy jego nogach.

Wyglądał na zamyślonego. Hank, nie pies.

Co to był za widok! Prawie potknęłam się o krawężnik, tak się zagapiłam.

Uniósł spojrzenie, jakby i mój widok sprawiał mu przyjemność.

Gdy byłam na wyciągnięcie ręki, uchwycił mnie i przyciągnął do siebie. Objęłam go w pasie, przytuliłam policzek do jego torsu.

– Zatrzymasz się w Iowa? – zapytał ponad moją głowę.

– Ta – odrzekłam.

– Zadzwoń do mnie z hotelu – zażądał, bo przecież to nie była prośba.

Omówiliśmy to już z dziesięć razy.

– Dobra – zaczęłam, czując nieuniknione pieczenie w nosie.

– Będziesz mieszkać u Annette i Jasona? – zapytał, choć przecież też już doskonale o tym wiedział.

Oni wyjechali dzień przed moimi rodzicami. Nie wiedziałam, w jakim stanie jest moje mieszkanie w Chicago, ale nawet nie zamierzałam sprawdzać. Nie chciałam wracać do niczego, co miało związek z Billym. Chciałam wszystko posprzątać, spakować i zapomnieć.

– Ta – powtórzyłam.

Hank objął mnie mocniej, wiedział, co się święci.

– Rety, Roxie...! – mruknął i słyszałam, że się hamuje.

Ja również przylgnęłam do niego, a łzy płynęły już swobodnie.

– To tylko kilka tygodni – powiedziałam w jego pierś, ale zabrzmiało to jak płaczliwy jęk.

– Ta – burknął Hank. – Spójrz na mnie, Słoneczko! – powiedział po chwili.

Gdy tylko uniosłam głowę, pochylił się, żeby mnie pocałować. Znowu inaczej. Było już całowanie do utraty tchu, całowanie delikatne i przekomarzenie się. Ten pocałunek był długi, słodki i pełen obietnic na przyszłość. Chyba najbardziej mi się podobał, choć... no, może był na drugim stopniu podium.

Oderwał usta od moich ust i otarł mi łzy z policzków. Potem podprowadził mnie do auta i otworzył drzwi. Cmoknął mnie na pożegnanie. Wsiadłam i zapuściłam silnik, ostatni raz na niego spojrzałam, rzuciłam mu smutny uśmiech i pomachałam bez sensu.

Ruszyłam.

Gdy dojechałam do końca uliczki, spojrzałam we wsteczne lusterko. Obaj tam stali, Hank i Shamus, patrząc za mną.

Skręciłam w lewo w University Boulevard.

Gdy przede mną była już tylko autostrada, a za mną światła Denver, wyciągnęłam z torebki telefon i głosowo wybrałam numer Hanka.

Odebrał po dwóch sygnałach.

– Co się dzieje? – zapytał, nie witając się.

– Moje życie rozpoczęło się w chwili, w której cię poznałam – powiedziałam.

Chwila ciszy.

Usłyszałam tylko, że szepcze „Słoneczko...”.

Rozłączyłam się, wrzuciłam telefon na dno torby. Zadzwoił jeszcze krótko, ale zrobiłam głośniej Springsteena i zaczęłam śpiewać *She's the One*.

Zagłuszyliśmy dzwonek w duecie z Bruce'em.

A teraz wracałam.

Dochodziło południe. Jechałam międzystanową dwudziestką piątką i byłam już w mieście, więc sięgnęłam po telefon i wypowiedziałam pewnym głosem imię Hanka.

Umierałam z nerwów. Nie byłam już podekscytowana, byłam przerażona.

Przez trzy tygodnie codziennie rozmawialiśmy przez telefon. No dobra, dwa dni bez telefonu, ale wtedy miał ciężko w pracy i nie zamierzałam mu tego wypominać. Czasami rozmawialiśmy tylko przez minutkę. Trzy razy przez ponad godzinę.

– Jeju, sunia! Można by głodnych w Afryce wykarmić za całą tę kasę, którą przebimbałaś na telefoniczne gadki! – opieprzała mnie za te długie rozmowy Annette.

Nie słuchałam jej.

Ani razu Hank nie dał mi odczuć, że chce się wycofać. Ale i tak się bałam. I teraz, słuchając sygnału wybierania, miałam serce w gardle. Slajdy Denver przesuwają się za oknem samochodu.

– Jesteś w Denver? – rzucił Hank, zamiast się przywitać jakimś słodkim słówkiem.

Wypuściłam powietrze ze świstem.

– No witam cię, kochanie! – odpowiedziałam obrażonym tonem.

– Słoneczko, jesteś w Denver? – powtórzył pytanie.

– Mógłbyś się chociaż przywitać. Tak robią dobrze wychowani ludzie, nie? Luke dawał ci jakieś tajne lekcje etykiety dla mruków, gdy mnie nie było?

Nie chciałam, żeby usłyszał, jak bardzo się denerwuję.

– Słoneczko – rzekł po chwili – ostatni raz cię pytam, czy jesteś już w mieście!

Zagryzłam wargę.

– Tak, Whisky, zjeżdżam z dwudziestki piątki.

– Do zobaczenia w naszym miejscu.

Rozłączył się.

Ściągnęłam brwi, rzucając telefon na siedzenie pasażera.

W naszym miejscu?

Musiał mieć na myśli Fortnum.

I tam właśnie się skierowałam.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nasze miejsce

Weszłam do Fortnum.

Chyba wszyscy tam byli. Za wyjątkiem Hanka.

Lee, Mace, Vance, Eddie i Luke relaksowali się na kanapach. Jet siedziała na podłokietniku przy Eddiem, Ally stała koło Mace'a. Wujek Tex i Duke uwijali się za ladą przy ekspresie. Gdzieś między półkami kręciła się Jane, a Indy i Daisy siedziały na ladzie przy kasie na stoisku z książkami.

Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi, gdy weszłam.

– Gdzie Hank? – zapytałam.

– No, wszystko w porządku, cieszę się, że pytasz! – huknął wujek, wychodząc zza lady.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

– Cześć, wujku! – powiedziałam.

Objął mnie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu.

– Kochana dziewczynko! – Głos wujka był już łagodniejszy.

Uściskałam go mocno, zniknęłam w jego ramionach.

Wycalowałam i wyściskałam wszystkich oprócz Mace'a i Luke'a. Tego pierwszego prawie nie znałam, a z tym drugim wyściskałam się już za wszystkie czasy.

Dziewczyny zostały przy mnie.

– Hank chciał się ze mną spotkać w „naszym miejscu”. Powinien dotrzeć tu przede mną – poinformowałam je.

Popatrzyły po sobie. Lee wyciągnął telefon.

– Oj... – rzuciła Ally.

– Oj co? – zapytałam.

– Oj nic – mruknęła Ally i rzuciła jakieś konspiracyjne spojrzenie Indy.

Spojrzałam na nią, nieźle już zaniepokojona.

– Oj co? – ponowiłam pytanie.

Indy mruknęła coś niezrozumiałego pod nosem.

– Hank? – rzucił Lee do telefonu. – Ta, Roxie jest w Fortnum. – Odczekał chwilę, po czym dodał: – Dobra. – I się rozłączył.

– Gdzie on jest? – spytałam go.

– W swoim domu.

– A co on tam robi? – Zmarszczyłam brwi.

– Najwyraźniej czeka na ciebie – odrzekł Lee.

– Nie rozumiem, czemu tam... – naburmuszyłam się.

– Już tu jedzie – dokończył Lee.

Gapiłam się na niego, wciąż nie rozumiejąc.

Daisy wyszła przed szereg, objęła mnie w talii i zaczęła popychać w stronę ekspresu.

– Słodziutka, chyba twój facet zataił przed tobą pewne sprawy, ale nieco się pozmieniało od czasu twojego wyjazdu.

O. Mój. Boże.

Zamarłam i spojrzałam na nią przerażona.

– Co się pozmieniało? – szepnęłam.

– No więc Hank... – Zamyśliła się, szukała właściwych słów. – On nie do końca jest przekonany... – znowu pauza, a ja prawie zemdlałam – ...że powinnaś zatrzymać się u Texa. Wiesz, on uważa, że...

– Noż w mordę! Przeprowadziliśmy cię do Hanka! – ogłosił wszem wobec wujek Tex. – Nie będziesz urządzać jakichś głupich dziewczyńskich gier! Najpierw do mnie, potem do jakiejś wynajętej nory, a koniec końców za parę miesięcy i tak wylądowałabyś u niego! Musisz się

ustatkować, i to już, dziewczyno! Koniec tych pierdół, chodź no tu, zrobię ci latte!

Gapiałam się na wujka.

– Nie wprowadzę się do Hanka!

– Już się wprowadziłaś – odparł Tex.

Wielkie nieba!

– Przenieśliście moje rzeczy do ciebie, tak, jak prosiłam? – zapytałam.

– Pewnie, że nie. Strata czasu. Zrobię ci kawę według mojego nowego przepisu. Jest tak popularna, że rano stoi po nią kolejka aż po same drzwi! – gruchał Tex.

Zmarszczyłam się.

– Nie wprowadzam się do Hanka! – powtórzyłam, ale myślami byłam już przy tej nowej kawuni.

– Już się wprowadziłaś.

– Wcale nie! – krzyknęłam.

Daisy się odsunęła, ale za to Jet podeszła bliżej.

– Może powinnaś przegadać to z Hankiem? – zasugerowała. – No wiesz, porozmawiać.

– Uśmiechnęła się.

Daisy również się uśmiechnęła.

Nie było w tym jednak nic zabawnego, przynajmniej dla mnie.

– No i pewnie, że sobie pogadamy. To będzie rozmowa nad rozmowami, która zakończy wszystkie rozmowy! – oznajmiłam, podchodząc do lady.

Wszyscy wymieniali porozumiewawcze uśmieszki.

Udawałam, że nie widzę, i przyglądałam się, jak wujek robi latte z czekoladowymi wiórkami, syropem o smaku pieczonych pianek cukrowych i pokruszonymi ciasteczkami razowymi.

Zapowiadała się bosko!

Pięć minut później pojawił się Hank.

Gdy tylko na niego spojrzałam, cały bunt się rozpuścił i od razu zdecydowałam, że niczego bardziej nie pragnę niż zamieszkać z nim.

Chyba zdążyłam zapomnieć, jakim jest przystojniakiem. No, nie zapomniałam, ale widok na żywo po tak długim okresie rozłąki był powalający. Wyglądał tak smakowicie, że aż pociekła mi ślinka. Miał na sobie jeansy, a spod zapiętego granatowego swetra wyglądał biały T-shirt. Miał na nogach buty do biegania, jakby przyleciał tu na piechotę.

– Whisky... – szepnęłam, ale zabrzmiało to jak namiętny, tęskny jęk.

Podszedł do mnie, wyjął mi z ręki filiżankę i chwyciwszy mnie za rękę, dosłownie powlókł między półki z książkami.

Otrząsnęłam się i przypomniałam sobie, że nie mogę tak szybko ulec w sprawie tej przeprowadzki.

– Whisky! – wypaliłam.

Prowadził nas aż na tyły pomieszczenia.

Jakiś smętny facet przeglądał bez przekonania przewodniki turystyczne.

– Czy możemy zostać sami? – odezwał się Hank.

Klient spojrzał na niego mętym wzrokiem.

– Szukam przewodnika po Indiach. Jadę tam na waka...

Hank sięgnął na półkę, wyciągnął na chybił trafił jakieś pięć książek i wręczył mu.

– Do kasy! – zakomenderował.

Zdezorientowany facet zamarł.

– Hank! – Zrobiło mi się szkoda gościa.

Hank pochylił się nad nim i zmierzył go takim wzrokiem, że ten niemal pobiegł w stronę kasy.

– Nie wierzę, co ty wyprawiasz? – syknęłam do Hanka.

Hank bez zbędnych ceregieli oparł mnie o półkę i pocałował. Całował długo, głęboko, namiętnie, a jego ręce wślizgnęły się pod mój sweter.

Odleciałam.

Przerwał w końcu, ale wciąż opierał czoło o moje, a dłonie błdziły niespiesznie po moim ciele.

– Cholera, stęskniłem się! – szepnął, patrząc mi w oczy.

Potarł swoim nosem o mój.

No dobra, może jednak powinnam się do niego wprowadzić.

– Ja też się stęskniłam...

Przytulił mnie mocno.

– Chodźmy do domu – powiedział miękko.

Zamarłam.

– Musimy o tym pogadać – zaczęłam.

– Bez gadania. Zdecydowaliśmy z Texem.

Że co proszę? Dobra, nie wprowadzę się, zapomnij!

– Zdecydowaliście z Texem? – spytałam.

– Słoneczko...

– A ja nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia? – Przybrałam wojowniczą pozę.

Hank wykrzywił usta w uśmiešku.

Zapomniałam, jaki ten grymas był uroczy! No, nie zapomniałam, ale wiecie, o co mi chodzi?

– Chodźmy do domu i tam cię przekonam! – zasugerował.

No niech to!

Już ja wiedziałam, jak bardzo był przekonujący.

Moja reputacja uparciuchy nie mogła jednak ucierpieć.

– Pojedziemy do ciebie, zabierzemy moje rzeczy i przewieziemy je do Texa.

Pokręcił przecząco głową.

– Tex cię nie przyjmie. Już to obgadaliśmy – uświadomił mnie Hank.

– Więc na jakiś czas zatrzymam się u Indy i Lee.

– Lee się nie zgodzi – uświadomił mnie znowu Hank.

W to akurat nie wątpiłam.

– Ally...

– Jeśli cię przygarnie, to nie dostanie prezentu pod choinkę.

– A jakie ty dajesz prezenty? – zapytałam zaciekawiona.

– Bilety na najlepsze koncerty. Co roku.

W mordę.

Ally odpadała.

– No to do Daisy.

Aż ztrząsał się od śmiechu i nawet nie próbował odpowiedzieć na tak niedorzeczną sugestię.

– Hanku Nightingale...! – Zmrużyłam oczy.

Znowu przycisnął mnie do pólki, znowu zaczął łapczywie całować.

– Roxie... Wprowadzasz się do mnie...

No...

Serce mi przyspieszyło, poczułam motyle w brzuchu.

Chyba nie bardzo miałam wybór.

Musiałam przynajmniej poudawać, że biję się z myślami.

Westchnęłam.

– No dobrze – poddałam się.

Znowu mnie pocałował.

Coś słabo wyszła ta rozmowa nad rozmowami.

No cóż.

Wróciliśmy do ludzi.

Chciałam mieć to jak najszybciej z głowy.

– Wprowadzam się do Hanka! – ogłosiłam.

Rozległ się pomruk aprobaty, ale niektórzy ewidentnie się ze mną nabijali.

Strzeliłam focha i posiorbałam latte.

– Jeszcze jedną na drogę? – Tex słusznie założył, że nie zostaniemy długo.

– Pewnie – odpowiedział Hank, obejmując mnie ramieniem.

Patrzyłam, jak wujek szykuje kawę. Stałam przytulona do Hanka i czułam, jak ta okropna rana, którą miałam w sercu, schowana przed światem, wstydliva i paląca, goi się. A nawet więcej.

Znika.

– Miesiąc – usłyszałam głos Duke'a. Stał z rękoma skrzyżowanymi na potężnej piersi, a jego głęboki głos brzmiał jakoś tak radośniej niż zwykle. – Miesiąc sielanki. Bez strzelanin. Bez porwań. Bez trupów. Bez wybuchających samochodów. Bez bójek w chińskich restauracjach. Bez wymiany ognia na salonach. Bez wizyt w szpitalach. Miesiąc cholерnej sielanki.

Ledwie wypowiedział ostatnie słowo, a przed lokalem rozległ się pisk opon.

Spojrzeliliśmy przez witrynę.

Czerwone camaro, bardzo retro, wykręciło na ręcznym i stanęło pod prąd.

Otworzyły się drzwiczki kierowcy i wysiadła jakaś kobieta.

Lśniące czarne włosy miała zebrane w imponujący kucyk, była ubrana w obcisły czarny golf i piaskowe bryczesy. Lśniła klamra szerokiego pasa. Wyglądała obłądnie.

Stanęła przed maską, sięgnęła za plecy i wyciągnęła giwerę.

Hank zeszywniał, w pomieszczeniu zapadła martwa cisza, aż prawie trzaskało w powietrzu napięcie.

Trzymała pistolet tak, jakby nic innego nie trzymała w dłoniach przez całe swoje życie.

Auta stały na czerwonym, więc ulica była pusta. Ruszyła zwykle zatłoczoną, lecz teraz pustą jezdnią w stronę mężczyzny, który wysiadł z innego auta.

On również w nią mierzył z broni.

Zatrzymała się.

Mierzyli się spojrzeniami jak w westernie.

– Jules! – krzyknął.

To musiało być jej imię i słysząc je, opuściła nieznacznie ręce. Po czym strzeliła dwukrotnie, w przednie opony samochodu, z którego wysiadł mężczyzna.

– Co jest, w mordę jeża? – szepnęła Indy.

– Nieźle! – dodała Ally.

– Kurwa, Jules! – krzyknął facet i rzucił się w jej kierunku.

Odwróciła się na obcasie, wsiadła do auta, zamiatając efektownie kucykiem, rzuciła pistolet na fotel pasażera. Ruszyła na wstecznym, buksując oponami, aż poszedł dym, i odjechała, zostawiwszy faceta wśród białych smug.

Patrzyliśmy z podziwem, jak lawiruje, by ustawić się zgodnie z kierunkiem jazdy, i odjeżdża z piskiem opon.

Facet z giwerą wbiegł na chodnik i ruszył w pościg na piechotę, przebiegając przed witryną.

– Zostań tutaj – rzucił Hank, po czym sięgnął do tylnej kieszeni po telefon.

Ruszył w stronę wyjścia z lokalu.

Zawrzało jak w ulu.

Banda Gorących Twardzieli znowu wkraczała do akcji. Wyszli z Fortnum całym stadem, nie musieli nawet się do siebie odzywać, wiedzieli, co robią.

Vance na swoim harleyu pierwszy ruszył za „Jules”.

Indy odwróciła się do mnie i rzuciła, szczerząc się:

– Witaj w domu!

Podziękowania

Gdy marzysz o tym, by pisać książki, i chcesz dzielić się nimi z ludźmi, których kochasz, a twoja najlepsza przyjaciółka, która jednocześnie jest twoją redaktorką, mieszka na drugim końcu świata, nic bardziej nie cieszy niż widok informacji „komentarz Kelly Brown” wszędzie w tekście. Dzięki, że jesteś ze mną, Kel, że towarzyszysz mi w tej podróży przez słowa.

Moim Rockowym Laskom, moim Siostrom Ninja: Lily-Flower i Lotus Blossom – kocham was, dziewczyny! Dzięki, że mogłam z wami szaleć. JAKE!

Mojemu Rockowemu Guru, Willowi: wiesz, co czuję!

Mojej Rockowej Królowej, która od zawsze mi kibicuje, Stephanie Redman Smith: dzięki za to, że czytasz, kochasz i pozwalasz mi twardo stać na ziemi. Kocham cię, Steph, ale Luke’a ci nie odstąpię, jest mój!

Mojej siostrze Erice „Rikki” Wynne i mojemu bratu, Gibowi Moutaw... Straciliśmy korzenie, ale nasza więź nigdy nie osłabnie. Nie byłabym tym, kim jestem, gdyby nie ty. Jesteś tak bliski memu sercu, że wrosłeś w nie. Tęsknię za tobą każdego dnia.

Mojej rodzinie, przyjaciołom i czytelnikom: witam ponownie, dzięki, że znów jesteście ze mną! Trzymajcie się mocno, bo jazda dopiero się zaczyna!

Czadu!

[1] shamus (ang.) – policjant lub detektyw policyjny, (slang.) prywatny detektyw.